


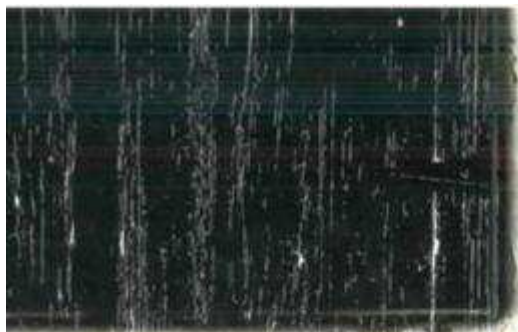
PALESTYŃSKI DETEKTYW ZNÓW W AKCJI



# MATT REES

## GRÓB W GAZIE

Świat Książki



Do Gazy przybywa z Jerozolimy Omar Jussef, dyrektor szkoły w Betlejem i jednocześnie detektyw amator, by wraz z wystannikami ONZ-u zająć się sprawą wykładowcy wyższej uczelni, Maszarawiego, który został aresztowany w dziwnych okolicznościach przez palestyńską Służbę Bezpieczeństwa. Omar Jussef, korzystając z pomocy swego przyjaciela, szefa policji w Betlejem, rozpoczyna prywatne śledztwo. Wszystkie trogy prowadzą na uniwersytet. Zaczynają ginąć ludzie. Detektyw nie domyśla się, że rozwiązania tajemnicy przyjdzie mu szukać w... grobowcach.

**Matt Beynon Rees** – korespondent tygodnika „Time”, a do niedawna szef biura „Time’a” w Jerozolimie. W 2003 r. otrzymał nagrodę Henry’ego Luce’a. Naktadem Świata Książki ukazała się jego powieść *Kolaborant z Betlejem*.



złoty okładzek Agnieszka

www.wydawnictwo.pl



Cena 29,90 zł | Nr 6108

# MATT REES GRÓB W GAZIE

Z angielskiego przełożył

*Jan Kabat*

  
Świat Książki

Tytuł oryginału A GRAVE IN GAZA

Konsultacja arabistyczna i redakcja

*Elżbieta Krawczyk*

Redakcja techniczna

*Agnieszka Gąsior*

Korekta

*Krzyszyna Śliwa Grażyna Henel*

© Matt Beynon Rees, 2008

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Jan Kabat 2010

Świat Książki Warszawa 2010

Świat Książki Sp z o.o.

ul. Rosola 10

02-786 Warszawa

Skład i łamanie

*Piotr Trzebiecki*

Druk i oprawa

Rzeszowskie Zakłady Graficzne S.A.

ISBN 978-83-247-0817-8 Nr 6109

*Dżamilowi Hamadowi*

Akcja tej książki oparta jest na prawdziwych wydarzeniach. Nazwiska i niektóre realia zostały zmienione, jednakże sposób działania morderców i okoliczności śmierci ofiar są autentyczne.

## ROZDZIAŁ 1

Kiedy Omar Jussef szedł długim korytarzem, z zalanych ubikacji wyległy roje much, zwabione jego obecnością. Wkrótce smród odchodów przyciągnął je z powrotem, ale niewielka, bzycząca eskorta krążyła wokół niego uparcie, gdy zmierzał z wysiłkiem w stronę Gazy.

Korytarz był szeroki i pusty, ale wyczuwało się obecność tysięcy ludzi, którzy przemierzali go dwa razy dziennie. Bielone wapnem ściany kryła do wysokości ludzkiego ramienia gruba warstwa szarego brudu, pozostawiona przez tłumy robotników, którzy wczesnym świtem szli tędy na budowy do Izraela. Słońce późnego ranka, o chorowitej barwie moczu, rozlewało się nad blaszanym dachem. Powietrze było ciężkie i cuchnące, każda powierzchnia wydzielala odrażającą woń.

Omar Jussef szedł z wysiłkiem po nierównym betonie, zdzierając podeszwy fioletoworóżowych pantofli, i czuł, jak przy każdym kroku obija mu się o kolano torba podróżna. Przyciskał wierzch dłoni do nosa, starając się stłumić odór ubikacji wodą kolońską.

Obok niego szedł Magnus Wallender. Z czterdziestką na karku, Szwed był o szesnaście lat młodszy od Omara Jussefa i nieco wyższy - niespełna sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Falujące włosy odznaczały się jasną szarością, a równie jasna broda była starannie przycięta. Nosił spodnie koloru

khaki, dobrze wyprasowaną niebieską koszulę i gustowne kwadratowe okulary w rogowej oprawce.

- O rany - powiedział, unosząc jasne brwi na widok cuchnącej kałuży przed toaletami.

- Zapach Gazy - wyjaśnił Omar Jussef.

Wallender zwrócił się do niego z uśmiechem:

- Pomóc ci?

Szwed starał się być miły, ale Omar Jussef nie chciał nawet myśleć o tym, jak bardzo uciążliwe byłoby dla niego niesienie ciężkiej torby w takim upale. Gdyby chodziło o kogoś innego, odwarknąłby niegrzecznie, ale Wallender był jego szefem. „Całuj dłoń, której nie możesz ugryźć”, pomyślał.

- Nie, dziękuję, Magnusie. Dam radę - odparł.

Przy podniszczonym biurku, które kryło się w cieniu obskurnego korytarza, za skrzypiącą bramką obrotową i wysokim zwojem drutu kolczastego, siedział palestyński oficer. Ujrawszy Omara Jussefa zbliżającego się w towarzystwie cudzoziemca, wyprostował plecy, przygotowując się na przyjęcie i obsługę ważnych gości. Wyciągnął dłoń po zielony plastikowy portfel z dokumentami Omara Jussefa i ciemnoczerwony paszport Wallendera.

- Pan Magnus? - spytał.

Wallender uśmiechnął się i skinął głową.

- Witamy - mruknął oficer po angielsku. - Po co przyjechał pan do Gazy?

- Pracuję w ONZ-owskiej Agencji do spraw Pomocy Uchodźcom Palestyńskim\*, z biurem w Jerozolimie - wyjaśnił Wallender. - Dokonujemy inspekcji ONZ-owskich szkół w obozach dla uchodźców w Gazie. - Wskazał Omara Jussefa. - Mój kolega jest dyrektorem jednej ze szkół w Betlejem.

Oficer przytaknął, choć Omar Jussef był pewien, że za słabo zna angielski, by w pełni zrozumieć słowa Wallendera.

\* Agencja do spraw Pomocy Uchodźcom Palestyńskim (UNRWA - United Nations Relief and Works Agency) utworzona w 1940 r przez Zgromadzenie Ogólne ONZ, wspierająca edukację i udzielająca pomocy medycznej Palestyńczykom w Jordanii, Libanie, Syrii i na terytoriach okupowanych (przyp. red.).



Zauważył też, że błędnie zanotował nazwisko Szweda w dużym bloku z oślimi uszami.

- Kiedy był pan ostatnio w Gazie, *ustaz*\*! - oficer zapytał Omara Jussefa.

\* *Ustaz* (arab nauczyciel, profesor, mistrz) - grzecznościowa forma zwracania się do ludzi wykształconych.

- Dwadzieścia lat temu, synu. Niełatwo zdobyć pozwolenie.

- Zauważy pan w Gazie pewne zmiany.

- To Gaza zauważy pewne zmiany we mnie. - Omar Jussef parsknął śmiechem, jakby miał za chwilę się zakrztusić. - Kiedy byłem tu ostatnim razem, miałem ładne kręcone włosy i mogłem nieść ciężką torbę, nie oblewając się potem.

Oficer uśmiechnął się. Oderwał wzrok od dowodu osobistego Omara Jussefa i spojrzał na niego; po czym spowaźniał, okazując uprzejme zdziwienie. Czy jest zaskoczony, że nie wyglądam na swoje lata? - zastanawiał się Omar Jussef. Odnaczając się wzrostem poniżej średniego, wydawał się jeszcze niższy, ponieważ garbił się jak stary człowiek. Włosy miał zbiełale, na łysiejacej skórze czaszki widać było plamy wątrobowe, a starannie przycięte wąsy przyprószyła siwizna.

- Przynajmniej nie straciłeś rozumu, wujku - rzekł przyjaźnie oficer i oddał mu dokumenty. - W przeciwieństwie do Gazy.

Wallender stanął w oświetlonej części korytarza, wpatrywał się w słońce i przeciągnął.

- Mamy się spotkać z oficerem bezpieczeństwa z ramienia ONZ-u na Strefę Gazy - powiedział. - Nazywa się James Cree. Słyszałem, że to Szkot.

Omar Jussef stanął obok niego.

- Oficer bezpieczeństwa?

- Widocznie Gaza nie jest zbyt bezpieczna - roześmiał się Wallender.

W cieniu jednopokojowego posterunku policji kręcili się leniwie taksówkarze. Kilku zbliżyło się, rzucając nieco nachalnie

słowa powitania i wskazując na swoje rozklekotane żółte samochody. Z cienia wyłonił się łysy, chudy mężczyzna, wpatrzony w telefon komórkowy. Miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, a jego twarz i skóra głowy były czerwone od słońca.

- Podejrzewam, że to nasz pan Cree, nie sądzisz? - powiedział Wallender. - Wygląda tu jeszcze bardziej obco niż ja, co jest dość niezwykle.

James Cree schował komórkę do kieszeni koszuli z krótkim rękawem. Jego opalona twarz była miękka i swoim owalem przypominała jajko. Oczy miał delikatne, bladoniebieskie i nosił rude wąsy, nie szersze niż mały palec. Długie, szczupłe kończyny sugerowały siłę mięśni wycyznowca.

Wallender uściśnił oficerowi dłoń.

- To nasz kolega, Omar Jussef, dyrektor szkoły dla dziewcząt w obozie dla uchodźców w Dehajszy - wyjaśnił. - Udało mi się zdobyć dla niego pozwolenie na udział w tej inspekcji.

Szkot nachylił się, by uściścić dłoń Omarowi, który poczuł się przy tym wysokim i chudym człowieku mały, powolny i otyły.

- Pan Wallender pokaże panu najpiękniejsze miejsca - oznajmił Cree ponuro, od niechcienia ruszając ustami.

Wallender uniósł rękę, by klepnąć oficera w ramię, i ruszył ze śmiechem w stronę białego chevroleta suburban z czarną plakietką ONZ-u, który wyjechał z parkingu.

Usadowili się w chłodzie klimatyzowanego wnętrza wozu. Siedzący z przodu Cree spojrzał przez ramię na Wallendera, kiedy kierowca wyjechał na drogę.

- Mamy sytuację alarmową, Magnusie. Dzwonili do mnie z biura, kiedy czekałem na was, a przed chwilą przekazali mi przez komórkę więcej szczegółów. Wczesnym rankiem aresztowano jednego z naszych nauczycieli.

- Kogo? - spytał Wallender.

- Facet nazywa się Ejad Maszarawi. Uczy na pół etatu w naszej szkole w obozie dla uchodźców Asz-Szati. Wykłada też na uniwersytecie.

- Na Uniwersytecie Muzułmańskim? - zainteresował się Omar Jussef.

- Nie, na tym drugim, jak on się do diabła nazywa...?

- Al-Azhar.

- Właśnie. No cóż, aresztowali biedaka. Więc jeśli nie macie nic przeciwko temu, to podwiozę was do hotelu, a sam pojedę jak najszybciej do domu Maszarawiego i zobaczę, co da się zrobić.

Magnus Wallender spojrział na Omara Jussefa.

- Nie chcemy cię zatrzymywać, James. Może pojedziemy z tobą? Do hotelu zawieziesz nas później.

- Wolalbym jednak najpierw was podrzucić.

- Nie, nie, pojedziemy z tobą.

Cree nie patrzył na nich w tej chwili.

- A wasza inspekcja? - spytał cicho.

- Powiedziałbym, że możemy potraktować to jako część inspekcji, w końcu jeden z naszych nauczycieli został zatrzymany - oświadczył Wallender. - Zgodzisz się ze mną, Abu\* Ramizie?

\* Zwrot grzecznościowy składający się ze słowa „Abu”, czyli ojciec, oraz imienia jego najstarszego syna, używany, by okazać drugiej osobie szacunek, i będący oznaką zażyłości między rozmówcami.

Omar Jussef uchwycił przelotne spojrzenie niebieskich oczu oficera, gdy Wallender zwrócił się do niego z szacunkiem, choć poufale, nazywając go Abu Ramizem, ojcem Ramiza. Szkot nie dał Omarowi szansy na odpowiedź.

- W porządku, jak chcecie. - Zwrócił się do kierowcy: - Nasser, najpierw pojedziemy do domu Maszarawiego.

Kiedy Chevrolet manewrował między dziurami i nabierał szybkości, Omar Jussef zastanawiał się, gdzie mogą przetrzymać biednego Maszarawiego i co doprowadziło do jego aresztowania. Jako nauczyciel historii w szkole dla dzieci uchodźców czuł solidarność z innymi ludźmi, którzy wybrali taką pracę, otrzymując w zamian niewiele pieniędzy i jeszcze mniej szacunku.

Nad drogą unosił się upalny żar, a wydmy z oddali białły.

Nawet Betlejem jest bardziej przyjazne, pomyślał. Jego rodzinne miasto, położone na nagich wzgórzach na południe od Jerozolimy, miało koszarne problemy, ale zachowało historyczny charakter i godność starych kamieni. Jego przyjaciel Chamis Zejdan, szef policji w Betlejem, który odwiedzał Gazę regularnie, twierdził, że jest ona tak zdruzgotana, iż powinno się ją wciągnąć do Morza Śródziemnego i zatopić razem z zamachowcami i skorumpowanymi ministrami. Jednak to właśnie ten mały pas lądu, bardziej niż Betlejem, symbolizował pełną rozpacz palestyńską rzeczywistość: Gaza ryczała z bólu i zmagła się niczym ranny osioł, podczas gdy jej władcy odgrywali rolę rozgniewanego wieśniaka, który wściekle bije bezsilne zwierzę, choć wie doskonale, że i tak się nie podniesie.

Nasser nacisnął hamulec, podjeżdżając do powolnego konwoju wojskowego, i zaklął. Omar Jussef zerknął na obu przedstawicieli ONZ-u. Nie okazali niczym, że rozumieją arabskie przekleństwo. Nachylił się do kierowcy.

- Wstydz się - powiedział. - Zważaj na to, co mówisz.

Kierowca zredukował bieg i skręcił z rykiem silnika na przeciwny pas, by wyprzedzić pojazdy wojskowe.

Konwój składał się z pięciu ciężarówek. Trzy z tyłu były niewielkie i zamaskowane, jechało w nich tak wielu żołnierzy, że musieli stać. Trzymali się za ramiona i kołysali, kiedy wozy podskakiwały na nierównościach drogi. Mieli na sobie mundury maskujące w kolorze zielonym i khaki, czerwone berety i czerwone opaski na ramionach z białym napisem „Wywiad wojskowy”.

Druga ciężarówka z przodu miała płaską skrzynię średniej wielkości. Pośrodku spoczywała trumna owinięta flagą palestyńską w kolorze zielonym, białym, czarnym i czerwonym. Po obu jej stronach stali w szeregu żołnierze, którzy napinali mięśnie nóg, by się nie przewrócić. Patrzyli przed siebie i starali się zachować postawę na baczność. Omarowi przyszło do głowy, że próbują sprawiać wrażenie twardych, ale ich niedoświadczone twarze były wychudzone i zafrasowane.

Kierowca zwolnił, mijając wóz z trumną.

- Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego wysłannikiem - wymamrotał na znak szacunku dla zmarłego.

Omar Jussef wychylił się ze swojego miejsca, żeby lepiej przyjrzeć się trumnie. Pod flagą kryła się zapewne prosta skrzynia z surowych desek i bez wieka. Podejrzewał, że zmarły jest zawinięty w całun i ma związane nogi w kostkach, a po pochówku trumna zostanie wykorzystana ponownie.

- Jedziesz po niewłaściwej stronie tej cholernej drogi, Nasser - rzucił Cree przez zaciśnięte zęby do kierowcy.

Nasser wcisnął gaz i wyprzedził szybko ciężarówkę, po czym zjechał na prawy pas.

Omar Jussef zastanawiał się, kto leży w tej trumnie. Było to jego pierwsze spotkanie ze śmiercią w Gazie, śmiercią, która spoczywała w drewnianej skrzyni. Przejechał ledwie milę od punktu kontrolnego, a śmierć podążała już tą samą drogą.

## ROZDZIAŁ 2

Dom Maszarawich w dzielnicy At-Tuffah był otynkowanym na biało dwupiętrowym budynkiem z betonu z drzwiami pomalowanymi wokół framugi spłowiała liliową farbą. Całość otaczał sięgający do ramion mur, na którym wymalowano flagę palestyńską i żółtą Kopułę na Skale\*. Meczet przypominający kadr z kreskówki otaczały zwoje drutu kolczastego.

\* Kopuła na Skale (arab. Kubbat as-Sachra) - meczet w Jerozolimie z VII wieku.

Omar Jussef zszedł z piaszczystego pobocza, na którym kierowca zaparkował chevroleta. Ścieżka prowadząca do domu wiodła przez gąszcz drzewek cytrynowych, dwukrotnie wyższych od muru. Wydzielały intensywny zapach, tak jakby były podgrzewane przez silne słońce z myślą o herbacie ziołowej. W upalnej atmosferze rozlegało się kojąco ciche gruchanie gołębi. W narożnej części ogrodu znajdował się cienisty zagajnik oliwny i stał niezgrabny gliniany *tannur*\*\* , gdzie żona Maszarawiego zazwyczaj piekła chlebki. Drzwi i okna były otwarte, a wewnątrz panowała dziwna cisza.

\*\* *Tannur* - rodzaj pieca, w którym wypieka się tradycyjne płaskie placki chleba, a który zazwyczaj znajduje się na podwórzu lub w ogrodzie.

Na progu pojawił się chudy, nastoletni chłopak, którego lewe ucho odstawało od głowy pod kątem niemal dziewięćdziesięciu

stopni. Jego wzrok przenosił się z cudzoziemców na podłogę. Omar Jussef zwrócił się do niego pierwszy.

- Bądź pozdrowiony - powiedział.
- Bądź podwójnie pozdrowiony, *ustaz* - wyszeptał chłopiec.
- Czy to dom *ustaza* Maszarawiego?

Chłopiec spuścił wzrok, popatrzył na swoje tanie plastikowe klapki i skinął głową.

Cree przysunął się do ramienia Jussefa. Chłopiec wyprostował się, by spojrzeć na wysokiego mężczyznę. Broda zadrżała mu lekko, a w oczach pojawił się lęk.

- Czy pani Maszarawi jest w domu? - spytał Cree.
- Moja matka? - odezwał się chłopak, wymawiając powoli angielskie słowa.
- Nie kto inny - wyjaśnił Cree.

Chłopak nie zrozumiał. Spojrzał na Omara Jussefa, który zwrócił się do niego łagodnie po arabsku:

- Ci ludzie są z ONZ-u. Chcą ustalić, co stało się z twoim ojcem. Możemy porozmawiać z twoją matką?
- Zapraszam - powiedział chłopiec, ponownie po angielsku.

Weszli za nim do domu. Ciemny hol przynosił ulgę od gorącego słońca odbijającego się bezlitośnie od zewnętrznych białych ścian. Omar, którego wzrok z wolna przyzwyczajał się do mroku, podązał bezwiednie za dźwiękiem plastikowych kłapek chłopca, stukających o płytki. Nastolatek zaprowadził ich na tyły parteru i wskazał kilka grubych, kwiecistych kanap stojących jedna przy drugiej pod ścianami ciemnego i chłodnego pokoju.

- Zapraszam - powtórzył, gdy Cree i Wallender weszli do pomieszczenia. Potem zwrócił się do Omara Jussefa po arabsku: - Czuj się jak u siebie w domu.
- Jestem szczęśliwy, mogąc gościć u ciebie - odpowiedział na powitanie Omar Jussef.
- Życzycie sobie kawy czy herbaty, *ustaz*?

Omar Jussef przetłumaczył swym towarzyszom pytanie chłopca.

Wallender uśmiechnął się, poprosił o kawę i usiadł cicho. Cree zwrócił się do chłopca donośnym głosem, przerywając ponurą ciszę tego domu:

- Niech będzie kawa. Dzięki, chłopie.

- Ja proszę *sa'ade* - powiedział Omar Jussef, który zawsze pił taką kawę, bez cukru. - I bądź łaskaw powiedzieć matce, żeby przyszła z nami porozmawiać.

Chłopiec wyszedł z pokoju. Trzej mężczyźni siedzieli nieruchomo na sofach. Gdzieś z głębi domu dobiegały przytłumione dźwięki, co przypominało to pospieszny szelest sukni, zakłócający ciszę. Do pokoju napłynął swojski zapach płonącego gazu i parzonej kawy.

W rogu, między Omarem Jussefem i Jamesem Cree, stał tani regał na książki z płyty wiórowej imitującej drewno. Na górze stały w rzędzie fotografie. Półki uginały się od ciężaru książek o tematyce edukacyjnej i historycznej w języku arabskim, francuskim i angielskim, z wyjątkiem jednej, która była pusta. Omar Jussef wstał i ją obejrzał. Nie dostrzegł na niej pyłu, choć krawędzie pozostałych nie były odpylane od miesięcy. Coś, co zajmowało całą półkę, zostało z niej usunięte.

Domyślił się, że środkowe zdjęcie na górnej półce przedstawia Ejada Maszarawiego. Uwieczniony na nim mężczyzna przechylał lekko głowę na lewą stronę. Omar uśmiechnął się, zastanawiając się, czy Maszarawi też ma odstające ucho jak jego syn i czy był na tyle próżny, by ukryć to przed fotografem. Mężczyzna był łysy, ale włosy na skroniach wydawały się czarne jak gorzka kawa parzona teraz w kuchni. Miał opadające powieki, oczy szlachetne i ciemne. Usta sprawiały wrażenie zaciętych i pełnych rezygnacji, jakby nawykłych do przykrych wieści.

Chłopiec powrócił z tacą, która podobnie jak półki regału, imitowała drewno. Wyciągnął dwa małe, polakierowane na wiśniowy kolor stoliki i postawił je przed gośćmi. Potem ustawił na nich filiżanki z kawą, najpierw przed Wallenderem.

- Niech Bóg pobłogosławi twoje ręce - powiedział Szwed, zwracając się tradycyjną arabską formułą podziękowania.



Omar uśmiechnął się do niego.

- I niech ciebie pobłogosławi - wymamrotał chłopiec i przycupnął w fotelu stojącym w rogu pokoju.

Wallender pochylił się i wyszeptał do Omara Jussefa:

- Czy powinniśmy określać pana Maszarawiego mianem *ustaza*?

- To człowiek wykształcony, nauczyciel, więc szacunek nakazuje, by tak go określać - odparł Omar Jussef.

Skosztował kawy przyprawionej kardamonem i odstawił filiżankę na stół. Do pokoju starannie odmierzoną i cichym krokiem weszły dwie kobiety.

Pierwsza z nich skinęła każdemu głową i wyszeptwała słowa powitania. Ubrana była w długą czarną podomkę z dużymi złotymi guzikami, zwieszającą się luźno niemal do samej podłogi. Wokół twarzy miała zawiązaną chustę, spiętą pod brodą złotą agrafką, z tkaniny koloru kremowego, a na rogu chusty opadającym na ramiona widniał wzór z brązowych kwiatów. Skórę miała jasnobrązową, tak jak pełne melancholii i troski oczy. Czarne brwi były uniesione, jakby dopiero co zaczerpnęła powietrza i chciała odetchnąć. Miała delikatne rysy pomimo podwójnego podbródka zdradzającego upływ czasu. Omar Jussef przypuszczał, że ma około trzydziestu kilku lat. Przyciskała do brzucha cienką tekturową teczkę, przesuwając po niej ostrożnie palcem, na którym nosiła prostą złotą obrączkę. Usiadła wyprostowana na brzeжку wolnej kanapy, trzymając głowę w górze. Dłonie spoczęły płasko na teczce, którą położyła sobie teraz na kolanach. Palec z obrączką zataczał po jej powierzchni małe nerwowe kółka.

Kobieta za jej plecami była o kilka lat starsza i nosiła podobny strój, choć chusta na głowie była jednobarwna, suknia szara, a kryjące się pod nią ciało cięższe. Usta miała szerokie, bezkształtne i nadąsane. Kiedy się poruszała, jej mięsiste policzki podrygiwały z każdym krokiem. Uśmiechnęła się do gości i usiadła na tej samej sofie co pierwsza kobieta. Jej pulchność przywodziła na myśl Omarowi jego sąsiadkę z Betlejem, Lejlę. Przypomniał sobie z niejakim wstydem, że zawsze pociągała go

seksualnie. Teraz doznał podobnej fizycznej ciekawości w stosunku do tęgiej kobiety na sofie. Przyłapał się na tym, że wstrzymuje oddech, obserwując, jak adresatka jego zainteresowania głaszcze swoją przyjaciółkę po ramieniu, by dodać jej odwagi.

Ten czuły gest przywołał Jussefa do rzeczywistości. Zwrócił się do kobiety w czerni:

- Ty jesteś żoną Ejada?

Przytaknęła i uniosła głowę odrobinę wyżej.

- Nazywam się Abu Ramiz, Omar Jussef Sirhan z Betlejem. To moi znajomi z ONZ-u. - Omar przedstawił Wallendera i Cree, po czym zwrócił się do nich cicho po angielsku: - Mam ją spytać, co wydarzyło się podczas aresztowania?

- Nie ma potrzeby tłumaczyć, Abu Ramizie - oznajmiła kobieta. - Jestem nauczycielką angielskiego.

Cree i Wallender uśmiechnęli się z uznaniem.

- Gdzie pani uczy? - spytał Wallender.

- Od czasu do czasu w tej samej ONZ-owskiej szkole co Ejad. Udzielam także lekcji miejscowym dzieciom. - Zwróciła się do kobiety siedzącej obok. - To moja przyjaciółka, Umm\* Rateb. Pracuje na uniwersytecie jako sekretarka rektora.

\* Zwrot grzecznościowy używany w stosunku do matki (arab umm) wraz z imieniem jej najstarszego syna.

Pulchna kobieta uśmiechnęła się, ukazując duże białe zęby w szerokich ustach, i obrzuciła Omara Jussefa przeciągłym spojrzeniem, pełnym rozbawionej ciekawości.

- Ejad został aresztowany z powodu czegoś, co wydarzyło się na uniwersytecie, nie z powodu swojej pracy w szkole - wyjaśniła żona Maszarawiego.

- Dlaczego tak pani uważa, pani Maszarawi? - spytał Cree.

Kobieta nie odpowiadała przez chwilę. Zwrócenie się do niej słowem „pani” musiało brzmieć dla niej równie dziwnie co dla Omara Jussefa.

- Jestem Salwa Maszarawi. Możecie nazywać mnie Umm

Nadzi - matką Nadziego. To jest właśnie Nadzi, mój najstarszy syn - wskazała chudego chłopca, skulonego na fotelu w kącie.

Cree przytaknęła, okazując zniecierpliwienie.

- Wczesnym rankiem, kiedy wszyscy spali, do naszego domu przyszło czternastu uzbrojonych ludzi - powiedziała Salwa.

- Izraelscy żołnierze? - spytał Wallender.

- Palestyńscy agenci sił bezpieczeństwa.

- Czego chcieli? - Wallender wyjął niewielki notatnik i pióro.

- Agenci poprosili mojego męża o dokumenty.

- Dokumenty tożsamości?

- Nie, chodziło o dokumenty z uniwersytetu. Odbywały się tam ostatnio egzaminy i mąż trzymał prace tutaj. - Salwa wskazała regał w kącie. - Zabrali wszystkie papiery z tej pustej półki.

- Dlaczego ich potrzebowali?

- Na uniwersytecie pojawiły się ostatnio trudności, panie Wallender. - Salwa zamknęła oczy i dotknęła dłonią czoła. - No cóż, w każdym razie Ejad robił rzeczy, które, jak to się mówi po angielsku, były proszeniem się o kłopoty.

- Jakiego rodzaju kłopoty?

- Trzy dni w tygodniu Ejad uczy w waszej ONZ-owskiej szkole. Lubi to robić, bo pochodzi ze starego rodu w Gazie i często mówi, że powinniśmy pracować z uchodźcami, by pokazać, że są tu mile widziani. Może wydawać się to trochę niemądre, ponieważ obecnie, po sześćdziesięciu latach spędzonych w obozach, są oni w takim samym stopniu mieszkańcami Gazy jak pozostali, ale to wciąż najbiedniejsi ludzie w mieście, a Ejad uważa, że jest jego obowiązkiem pracować dla nich. Przez pozostałe dwa dni pracuje na uniwersytecie. Uczy na wydziale pedagogiki. - Salwa zawahała się i zerknęła na przyjaciółkę, która skinęła jej głową. - W przeciwieństwie do pracy dla ONZ-u, praca na uniwersytecie nie jest już dla niego źródłem przyjemności. To walka.

- Przeciwno komu? - spytał Omar Jussef.

- Być może sądzisz, że zepsucie palestyńskiego życia nie powinno dotyczyć uniwersytetu, Abu Ramizie. Że uczelnia powinna być ponad tym? - Salwa pokręciła głową. - Niestety, tak nie jest.

Cree dopił resztkę kawy z maleńkiej filiżanki, otarł gęste fussy, które przyłgnęły mu do koniuszków wąsów, i odstawił ją z brzękiem na stolik.

- Nadzi, zaparz teraz herbaty - powiedziała Salwa. Wykrzywiła usta i odetchnęła głośno, jakby z ulgą, że jej synowi oszczędzi się tej opowieści.

- To dobry chłopak - zauważył Omar Jussef, kiedy Nadzi wyszedł z pokoju.

- Wygląda jak jego ojciec, nawet ucho ma takie same. Zauważyliście, jak odstaje? - spytała Salwa. - Ale jest spokojny i cichy w przeciwieństwie do Ejada.

- Jakie kłopoty miał twój mąż na uniwersytecie? - spytał Omar Jussef.

- Ejad odkrył, że uniwersytet sprzedaje dyplomy funkcjonariuszom prewencyjnej służby bezpieczeństwa.

- Prewencyjna służba bezpieczeństwa? - Wallender zmarszczył czoło. - Co to takiego?

- Policja w cywilu - wyjaśnił Cree.

Salwa przytaknęła.

- Po co policjantowi dyplom? - zainteresował się Omar Jussef.

Umm Rateb położyła dłoń na nadgarstku Salwy.

- Żeby szybko awansować, funkcjonariusze muszą udowodnić, że studiowali prawo albo że mają wyższe wykształcenie. Umożliwia im to, można tak powiedzieć, szybką drogę do kariery. Oczywiście, oznacza to też lepszą pensję i większą władzę.

- A więc uniwersytet daje im dyplomy za pieniądze? - spytał Omar Jussef.

- Tak, muszą pokazać się na paru zajęciach, ale tak naprawdę nie studiują - wyjaśniła Umm Rateb.

Salwa cmoknęła głośno i w jej głosie po raz pierwszy pojawiła się nuta gniewu.

- Nie mogliby studiować, nawet gdyby próbowali. Nie mają odpowiednich kwalifikacji, żeby znaleźć się na uniwersytecie. Ci ludzie nigdy nie ukończyli szkoły średniej. Wtedy, kiedy powinni siedzieć w klasie, robili zamieszanie na ulicach. Ale teraz stanowią prawo w Gazie i chcą zdobyć coś wartościowego, w ogóle na to nie pracując.

- Co zrobił Ej ad, kiedy to odkrył? - spytał Omar Jussef.

Salwa pokręciła głową.

- Mój mąż nie jest spokojnym człowiekiem. Jeśli widzi coś, co mu się nie podoba, musi się temu sprzeciwić. Zawsze mu mówię: „Proszę, Ejad, nie działaj pochopnie. Żyjmy spokojnie”. Ale on tego nie chce. Trzy tygodnie temu przeprowadził egzamin wśród swoich studentów na uniwersytecie.

- Prace zostały skonfiskowane dziś rano? - domyślił się Omar Jussef.

Salwa podała mu teczkę.

- Nie wzięli tylko tej kopii egzaminu. Ejad zostawił ją na stoliku nocnym.

Omar Jussef przetłumaczył polecenie z pierwszej strony: „Napisz esej o korupcji w rządzie”. Spojrzał na Cree, którego twarz była spokojna i nieodgadniona. Wallender pochylił się nad swoim notatnikiem.

Umm Rateb powiedziała:

- Rektor uniwersytetu, profesor Adnan Maki, był bardzo rozgniewany. Wezwał Abu Nadziego do swojego gabinetu, pokłócili się. Kiedy Abu Nadzi wychodził, a ja siedziałam przy swoim biurku, zapomniał się nawet ze mną pożegnać, choć przyjaźnił się z jego rodziną. Przez resztę popołudnia profesor Maki był wyjątkowo poirytowany.

- Czy władze uniwersytetu ukarały Ejada? - spytał Omar Jussef.

- Mój mąż nie czekał na to - odparła, smutno uśmiechając się, Salwa. - Poszedł prosto na swoje zajęcia i ustalił nowy temat egzaminu dla studentów. Proszę spojrzeć.

Omar Jussef zerknął na drugą kartkę w teczce: „Napisz esej o korupcji na uniwersytecie”.

- Wszyscy studenci napisali o tym, że uniwersytet sprzedaje dyplomy policjantom w cywilu - wyjaśniła Salwa. - Profesor Maki bezzwłocznie zawiesił Ejada w obowiązkach.

Wallender podniósł wzrok znad notatnika.

- Jeśli studenci już wcześniej wiedzieli o sprzedawaniu dyplomów, to dlaczego ukarano Ejada?

- Bo nie mówiono o tym publicznie ani nie pisało się o tym prac egzaminacyjnych - wyjaśniała Umm Rateb.

- Co więcej - wtrąciła Salwa - poruszyło to kwestię osobistą.

- Między Ejadem a profesorem Makim? - spytał Omar Jussef.

- Gorzej. - Salwa machnęła ręką. - Między Ejadem a pułkownikiem Al-Farą.

- O, cholera - mruknął Cree.

- Kto to taki? - zainteresował się Wallender.

- Szef tajnej policji. Jeden z najbardziej wpływowych ludzi w Gazie i z pewnością jeden z największych sukinsynów, jakich kiedykolwiek można spotkać w życiu. - Cree klepnął Szweda w udo. - Torturował więcej więźniów, niż ty zjadłeś marynowanych śledzi, popijając aqua vitae, Magnusie.

- James - upomniał go Omar Jussef, wskazując wzrokiem na Salwę.

Cree spojrział na pełną powagi twarz kobiety.

- Przepraszam, moja droga - powiedział, cicho pokaszując.

Salwa skinęła głową, ale usta miała zaciśnięte. Drgnęła lekko, po czym mówiła dalej:

- Profesor Maki powiedział mojemu mężowi, że go zawstydził w obecności pułkownika Al-Fary. Jak pan już wspomniał, panie Cree, sytuacja w Gazie nie jest teraz dla nikogo korzystna. Gdy ma się do czynienia z takimi ludźmi jak Maki i Al-Fara, wszystkiego można się spodziewać i, jak powiedziałam mężowi, niczego nie można przewidzieć.

- Czy rektor uniwersytetu nie powinien bronić niezależności uczelni? - spytał Wallender.

Salwa i Umm Rateb wymieniły spojrzenie, które sugerowało, że Szwed mógłby równie dobrze urwać się z księżycą.

- Profesor Maki nie został rektorem z powodu osiągnięć naukowych, tylko dlatego, że jest zaangażowany w politykę - wyjaśniła Salwa. Ponownie zwróciła się do Umm Rateb, która posepnie przytaknęła. - Jest członkiem rady rewolucyjnej Al-Fatahu i wysokim rangą działaczem OWP. Podobnie jak pułkownik Al-Fara. Nie ulega wątpliwości, że konflikt między nimi mógłby zagrozić wielu tajnym porozumieniom. Ostrzegalam mojego męża, że będą potrzebowali kozła ofiarnego, który pozwoli zatrzeć między nimi różnice.

- Co zrobił mąż po tym, jak został zawieszony? - spytał Wallender.

- Gdyby zaczął do przyszłego roku, wszyscy zapomnieliby o sprawie i zostałby przywrócony na swoje stanowisko. Ale on poszedł z tym do jednej z organizacji praw człowieka, która prowadzi kampanię przeciwko korupcji. Postanowili wykorzystać to w obronie niezależności nauki. Napisali do profesora Makiego w sprawie mojego męża.

Omar Jussef poczuł, jak ogarnia go ponure zniechęcenie. Pomyślał o porywczym mężu tej kobiety, zdeterminowanym i aroganckim. Te powściągliwe oczy na fotografii były zbyt dumne jak na Gazę. Żeby tu żyć, należało zaakceptować cienie, oblewać się potem w dusznych pokojach i skrywać urazy.

- Napisali także do pułkownika Al-Fary - dodała Salwa.

Omar Jussef domyślał się, jakie były skutki tego listu. Po chwili pojawił się chłopiec z tacą, na której stały małe szklanki wypełnione liśćmi mięty i ciemną herbatą. Omar Jussef dostrzegł cień lęku na twarzy Salwy, a jej zaciśnięte usta sugerowały obawę, że chłopcu groziło to samo co jej mężowi. Nadzi postawił przed Omarem szklankę i spojrzał na otwartą teczkę, która znajdowała się na kolanach starszego mężczyzny. Omar Jussef sięgnął po herbatę, jednak zdrząła mu dłoń, więc ją cofnął. Poczul przyspieszony puls.

- Czy pułkownik Al-Fara odpowiedział w jakikolwiek sposób na list organizacji praw człowieka? - spytał Cree.

- Jego odpowiedzią było aresztowanie - wyjaśniła Salwa.

- Powiedziałaś, że zażądali papierów egzaminacyjnych - rzekł Omar Jussef. - Widać po tej pustej półce, że dał im to, czego chcieli. Czemu więc go aresztowali?

- Policjanci go poniżali. Słyszałam, jak jeden z nich powiedział, że te papiery wyglądają bardzo podejrzanie i że muszą go przesłuchać w tej sprawie. Ejad stracił panowanie nad sobą i zaczął się na nich wydzierać. Jestem pewna, że chcieli go sprovokować, żeby usprawiedliwić aresztowanie.

- Gdzie wtedy byłaś? - spytał Omar Jussef.

- Na górze. Kiedy zeszłam na dół, zobaczyłam, jak wyprowadzają Ejada z tego pokoju, a potem z domu. Miał kajdanki na rękach i szedł zgięty, bo jeden z policjantów przyciskał mu kark. Krzyknęłam do niego, ale przy schodach stał jeden z agentów. Nie pozwolił mi przejść.

Omar Jussef słyszał rozpacz w głosie Salwy nawet teraz. Rozumiał, jak ciężkie były dla niej te chwile.

- To byli agenci służby prewencyjnej? - spytał.

- Tak. Mieli na sobie skórzane kurtki, choć nie było zimno.

Wyprowadzili Ejada z ogrodu i oddalili się bardzo szybko.

- Czy ktoś ci wyjaśnił, dlaczego go aresztowano?

- Z samego rana poszłam do ich lokalnego biura. Powiedzieli mi, że Ejad jest przetrzymywany w siedzibie głównej, w południowej części miasta. Wyjaśnili też, że jest przesłuchiwany i że być może pracował dla CIA.

- CIA?! - zawołał zdumiony Cree.

- Zgadza się.

- Jezu Chryste, idą na całego. - Cree klasnął w dłoń. - Nie bawią się w jakieś śmieszne oskarżenia o współpracę z Izraelczykami, tylko robią z niego ważniaka z CIA. Chryste.

Salwa się wyprostowała. Jej głos był cichy i wyraźny.

- Zgadza się, panie Cree. Powiedziałam im, że jeśli mój mąż jest szpiegiem, to niech go wyprowadzą na plac Palestyński



i rozstrzelają. Ale najpierw niech go postawią przed sądem. Zgodnie z prawem.

- Wspominali coś o rozprawie? - spytał Omar Jussef.

Salwa pokręciła głową.

Cree prychnął ironicznie i machnął ręką.

- Rozprawa? Nie ma szans.

Magnus Wallender uniósł wzrok znad swoich notatek. Oparł łokieć o kolano i podrapał się po krótkiej brodzie.

- Twój mąż może liczyć na wsparcie ze strony ONZ-u, Umm Nadzi. Dopilnujemy, żeby został uwolniony, a przynajmniej miał uczciwy proces. Wykorzystamy wszelkie nasze kontakty z tutejszym rządem i powiadomimy naszych przedstawicieli dyplomatycznych.

- Dziękuję - odparła Salwa.

Omar Jussef wyczuł, że spotkanie zbliża się ku końcowi. Jego dłoń była już na tyle pewna, by sięgnąć po szklankę na stoliku. Przysunął ją do ust i wypił łyk herbaty.

Umm Rateb pochyliła się do przodu.

- Może zechce pan, panie Wallender, odwiedzić profesora Makiego na uniwersytecie i omówić z nim tę sprawę?

- Tak, Umm Rateb, chyba tak.

- Proszę jednak poczekać kilka godzin - doradziła pulchna kobieta. - Był dziś rano w Rafah, a zanim uda się na uczelnię, wpadnie do domu na obiad i sjęstę. Zastanie go pan po czwartej albo około wpół do piątej. Proszę spytać przy głównym wejściu na uniwersytet, gdzie go znaleźć.

- Dziękuję.

Umm Rateb wstała, opierając ciężar ciała na jednej nodze i wysuwając biodro. Omar z przyjemnością patrzył, jak ta kobieta się porusza.

- Słuchaj, Salwa, muszę iść przygotować obiad dla rodziny. Później porozmawiamy.

Salwa wstała i ucałowała Umm Rateb w pulchne policzki. Umm Rateb uśmiechnęła się do Omara Jussefa, ukazując zęby.

- Spotkamy się jeszcze dzisiaj, Abu Ramizie - rzekła.

Omar był zaskoczony. Czy zauważyła, że go pociąga? Czy mogłaby wyjść z niestosowną propozycją w obecności ludzi? Zadrżała mu dłoń i ochlapał kropelkami herbaty szarą teczkę i spodnie w kroku.

Wallender wybawił go z tej kłopotliwej sytuacji.

- Na uniwersytecie, Abu Ramizie. Umm Rateb jest sekretarką profesora Makiego, jak pamiętasz.

- Będziesz musiał przejść obok mojego biurka, idąc do jego gabinetu - przypomniała Umm Rateb.

Omar Jussef odstawił herbatę i odchrząknął, biorąc się w garść.

- Jeśli Allah pozwoli - powiedział.

## ROZDZIAŁ 3

Omar Jussef usłyszał wystrzał z broni palnej, kiedy wóz ONZ-u podjechał pod Sands Hotel. Wallender spojrział na niego nerwowo. Strzały dobiegały z bliska, były to krótkie rezonujące eksplozje.

- Ogarnijcie się trochę, chłopcy, wróć po was po południu, jak będę jechał na uniwersytet - oświadczył Cree. Mrugnął do Omara Jussefa, potem Chevrolet zawrócił na podjeździe i odjechał.

Hol hotelu krył się za drzwiami z przyciemnionego szkła, na którym widoczne były smugi brudnego deszczu. Mimo że dzień był pogodny Omar Jussef wyczuwał zbliżającą się burzę piaskową po narastającym ciśnieniu i nieznacznym bólu głowy, który niczym piekąca igła przeszywał mu głowę od prawego oka do ucha. Pracownicy hotelu nie przejmowali się walką z żywiołem: kolejna burza była nieunikniona i zawsze pozostawiała po sobie warstwę brudu, bez względu na to, jak skrupulatnie by sprząтали.

Kontuar recepcji wycięty był z ciemnego, poplamionego drewna. Za innymi drzwiami z przyciemnionego szkła, na drugim końcu holu, Omar Jussef widział białe obrusy sali jadalnej. Na prawo od recepcji znajdowała się klatka schodowa, której stopnie wykonane z polerowanego kamienia prowadziły do pokoi. Podesty wznosiły się nad kontuarem i każdy był

przyozdobiony skrzyżowanymi bułatami, zawieszonymi na ścianie, niżej zaś umieszczono niewielkie czerwone dywaniki o grubym beduińskim płocie.

Kobieta w recepcji odwróciła się od komputera. Była niska, szczupła i młoda. Miała niebieską chustę na głowie i duże ciemne oczy o długich rzęsach. Wzięła od Wallendera paszport, a od Omara Jussefa dowód tożsamości.

- Mają panowie szczęście, że udało wam się wynająć pokój - oświadczyła, robiąc ksero ich dokumentów. Wręczyła im formularze do wypełnienia. - Za dwa dni spotyka się tu rada rewolucyjna. Już teraz do miasta zjechało wielu ważnych ludzi z Al-Fatahu ze swoimi ekipami. Lubią zatrzymywać się w naszym hotelu.

- Co im się tak w nim podoba? - spytał Wallender, który bez wątpienia widywał w swoim życiu bardziej atrakcyjne miejsca. - Chyba nie to, że nie jest szczególnie elegancki.

Omar Jussef zwrócił się do Szweda:

- Al-Fatah to największa frakcja OWP, która posiada różne przedsiębiorstwa: począwszy od linii lotniczych, a skończywszy na zakładach chemicznych. I hotelach. Przypuszczam, że należy do niej także i ten hotel i że szefowie partii lubią się tu zatrzymywać, bo jako właściciele mogą się zachowywać, jak im się tylko podoba - wyjaśnił ze śmiechem.

- Naprawdę? - spytał Wallender.

- Oczywiście, tylko OWP ma dość pieniędzy, żeby pozwolić sobie na zatrudnienie najbardziej uprzejmego, wykształconego i pięknego personelu - oświadczył Omar Jussef i mrugnął do recepcjonistki.

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

- *Ustaz*, powinienes powiedzieć to mojemu biednemu ojcu. Swoją córkę ocenia w prostszy sposób. Kobieta o odpowiednio szerokich biodrach zapewnia posag złożony z siedmiu wielbłądów, ponieważ urodzi wiele dzieci. A ja jestem drobna i mam wąskie biodra, więc choć otrzymałam dyplom z zarządzania, ojciec narzeka, że dostanie za mnie tylko jednego wielbłąda.

Żartobliwa atmosfera udzieliła się Magnusowi.

- Abu Ramizie, jestem pewien, że stać cię na jednego wielbłąda.

- Chodźmy - powiedział Omar Jussef. - Wrócimy z wielbłądem.

Recepcjonistka znów wybuchnęła śmiechem.

- A tak przy okazji, ile kosztuje wielbłąd? - spytał Wallender, udając, że liczy pieniądze w portfelu.

Od strony jadalni odezwał się jakiś głos:

- Niech pan schowa pieniądze, sir. Pański przyjaciel jest Palestyńczykiem. Ukradnie wielbłąda.

Omar Jussef odwrócił się od kontuaru recepcji. Z sali restauracyjnej wyszedł właśnie brygadier Chamis Zejdan, wyraźnie rozbawiony. Miał na sobie sportową kurtkę w kratę i rozpiętą pod szyją kremową koszulę. Rzednące, siwe włosy były przystrzyżone na krótko i zaczesane do przodu. Czoło, zwykle osłonięte przed słońcem wojskowym beretem, odcinało się ostrą błądzącością od reszty twarzy. Zgasił niedopałek papierosa w szklanej popielniczce stojącej na blacie, wciągnął w nozdrza dym ponad brązowymi od nikotyny wąsami i ucałował Omara Jussefa trzy razy w policzki.

- Magnusie, to jest szef policji w Betlejem - wyjaśnił Omar.

- Abu Adelu, to jest Magnus Wallender z ONZ-u.

Chamis Zejdan uściśnął Szwedowi dłoń i zapalił następnego papierosa.

- Zna pan Abu Ramiza od dawna? - spytał Wallender. Wskazał na policzki Omara, by dać do zrozumienia, że chodzi mu o pocałunki.

- Od bardzo dawna, a nawet jeszcze dłużej - odparł Chamis Zejdan, opierając dłoń na ramieniu Omara Jussefa. - Znam go od czasu, kiedy studiowaliśmy razem na uniwersytecie w Damaszku. Pamiętam go, gdy miał ładne, kręcone ciemne włosy i niewielki wąsik. Wyglądał jak Charlie Chaplin.

Omar Jussef zauważył, że Wallender przygląda się z zainteresowaniem czarnej obcisłej rękawiczce na lewej dłoni Zejdana, którą trzymał na jego ramieniu. Żałował, że nie powiedział

mu wcześniej o protezie znajdującej się pod tą rękawiczką. Pomyślał o nienawiści, jaką Chamis odczuwał do tej plastikowej kończyny, kiedy był pijany albo przygnębiony. Nie chciał, by spojrzenie Szweda zwróciło uwagę przyjaciela i zepsuło mu humor wspomnieniem o granacie, który zranił go w czasie wojny domowej w Libanie.

- Nie poznałem cię w cywilu - wyznał Omar Jussef.

- Jestem tak przerażający, że nie potrafisz wyobrazić mnie sobie w ludzkim ubraniu? - spytał żartobliwie Chamis Zejdan. - Znacznie łatwiej przejść przez izraelski punkt kontrolny do Gazy bez munduru. Ale noszę niebieskie skarpetki, żeby było widać, że jestem policjantem.

- Przyjechałeś tutaj na spotkanie rady rewolucyjnej? - zainteresował się Omar Jussef.

- Tak. Chodź, napijesz się ze mną kawy. - Chamis pociągnął Omar a Jussef a za łokieć. - Ty też, Magnusie. Zapraszam was.

- Miło z twojej strony - powiedział Wallender. - Ale powinienem zadzwonić do swojego biura w Jerozolimie i przekazać ostatnie wiadomości.

Chamis Zejdan zaczął protestować, ale Omar Jussef ścisnął go za ramię.

- No dobra - oznajmił z rezygnacją szef policji. - Mieszkałem w Europie. Nie zamierzam być jednym z tych prowincjonalnych Arabów, którzy się obrażają, gdy ktoś odrzuca ich gościnność. - Mrugnął do uśmiechniętej recepcjonistki. - W każdym razie, Magnusie, jak już zadzwonisz, zjedź do nas na kawę. - Zniżył głos. - A może wolicie przyjść później do mojego pokoju? Mam tam butelkę, która stanowi poważne naruszenie prawa muzułmańskiego.

Omar Jussef zmarszczył czoło, ale nie z troski o nakazy Proroka. Choć wyrzekł się alkoholu dziesięć lat wcześniej, przechowywał w domu trochę szkockiej whisky na wypadek wizyty Chamisa Zejdana. Zauważył ostatnio, że szef policji opróżnia te butelki szybciej niż zwykle. Odchrząknął i zerknął na recepcjonistkę.

Z ulicy znów dobiegł huk z broni palnej.

- Co to za strzelanina? - spytał Wallender.

- Nie denerwujcie się. Chowają żołnierza, który zginął wczorajszej nocy w Rafah - wyjaśnił Chamis Zejdan. - Pogrzeb odbywa się na plaży na terenie kompleksu prezydenckiego. Ominęła was najważniejsza część parady. Kondukt opuścił dom generała Musy Hussajniego kilka minut przed waszym przyjazdem.

- Kto to taki? - spytał Wallender.

- Szef wywiadu wojskowego. Mieszka dokładnie naprzeciwko hotelu. Właśnie teraz jego żołnierze oddają strzały w powietrze. Ogień z broni palnej to oznaka palestyńskiej żałoby.

- Chamis Zejdan stuknął lekko w ramię Wallendera. - Oczywiście, jak pójdiesz na wesele, to przekonasz się, że to także oznaka palestyńskiej radości. Odgłos broni palnej to muzyka Palestyńczyków.

Omar Jussef przypomniał sobie trumnę wieszoną przez konwój wojskowy w drodze do miasta. To musiał być żołnierz, na którego cześć oddawano teraz salwę.

- Jaka jest różnica między tymi ludźmi z wywiadu wojskowego a tymi ze służby prewencyjnej? - spytał Wallender, drapiąc się po brodzie.

Chamis Zejdan zaciągnął się głęboko papierosem.

- Wyobraź sobie, Magnusie, że chcesz założyć państwo policyjne. Potrzebujesz sił umundurowanych do codziennych brutalnych działań i zastraszania. Tym zajmuje się wywiad wojskowy. Ale musisz też mieć tajną policję, ludzi w cywilu, którzy angażowaliby się w podejrzaną, tajną operację. To właśnie robota dla sił bezpieczeństwa.

- Gaza to państwo policyjne? - zdziwił się Wallender.

- Takim była w zamierzeniu, ale skończyło się raczej na bananowej republice. - Chamis Zejdan wybuchnął śmiechem i chrapliwie zakaszłał. Zniżył głos i przysunął się do Wallendera. - Wywiad wojskowy to prywatna armia generała Hussajniego. Jego rywal, pułkownik Al-Fara, szef sił bezpieczeństwa, ma większe ambicje niż Hussajni. Jest bardzo blisko CIA.

- Do diabła - mruknął Wallender i zerknął na Omara Jussefa.

Chodzi mu o męża Salwy w więzieniu Al-Fary, pomyślał Omar.

- Nie zawracaj sobie głowy różnymi nazwami tych służb, Magnusie - ciągnął Chamis Zejdan. - Taki cudzoziemiec jak ty musi zapamiętać tylko to, że wszyscy oni są draniami i że nie robią nic w interesie zwykłych Palestyńczyków.

- Będę miał to na uwadze.

Zostawili Szweda przy kontuarze recepcji, gdzie zajmował się wypełnianiem dodatkowych formularzy, a sami przenieśli się do sali jadalnej.

Chamis Zejdan udał się do stolika przy długim oknie, które wychodziło na plażę. Skinął otwartą dłonią, by przywołać kelnera.

Omar Jussef stał przy oknie i patrzył na fale przybijające do wąskiej plaży. Upłynęło dużo czasu od chwili, gdy oglądał Morze Śródziemne z palestyńskiego brzegu. Pofalowana woda miała odcień ciemnego turkusu i przypominała ocean kamieni szlachetnych. Jej ruch był tak piękny i swobodny, że w oczach Omara pojawiły się łzy.

Powiódł wzrokiem wzdłuż piasku. Na plaży zalegały śmieci, spalone beczki po ropie i plastikowe butelki, które sterczały z lśniących czarnych kęp krasnorostów. Dwaj chłopcy rzucali kamieniami w inne dziecko, które rozplątywało sieci rybackie.

Chamis Zejdan zamówił dwie kawy, słodką dla siebie i gorzką dla Omara, i rzucił na biały obrus paczkę rothmansów.

- Co tu robisz, Abu Ramizie? - spytał, biorąc papierosa do ust.

Omar znów spojrzał w stronę morza. Chłopiec z siecią zarzucił ją gniewnie na jednego z napastników i przewrócił go na piasek.

- Ten gość ze Szwecji to mój szef - odparł. - Mielіśmy tu przeprowadzić inspekcję szkół podlegających ONZ-etowi.

Chamis Zejdan uniósł brew.

- Mielіście?



- Aresztowano jednego z naszych nauczycieli. Magnus chce pomóc w jego uwolnieniu.

- Znasz przysłowie: „To zadanie muezzina wzywać na modlitwy”. W Gazie najbezpieczniej zajmować się swoimi sprawami i nie działać na własną rękę.

- Ach, więc czas teraz na przysłowia, Abu Adelu? A to znasz: „Każdy węzeł znajdzie kogoś, kto go rozsupła”? Może to właśnie los sprowadził nas do Gazy, żebyśmy pomogli temu biednemu człowiekowi.

- Nie rozsypasz żadnego węzła. Sam się nim zwiążesz.

Kelner przyniósł kawę. Chamis Zejdan zapalił papierosa.

- Powiem ci coś jako osoba, która troszczy się o swego starego przyjaciela z czasów uniwersyteckich, Abu Ramizie. Nie mieszaj się w sprawę tego nauczyciela.

- Nie wiesz nawet, dlaczego go aresztowano.

- Mogę się założyć, że ty też nie. A przynajmniej nie do końca. W Gazie nic nie jest takie, jakie się z pozoru wydaje. Prawda chowa się gdzieś pod powierzchnią. Nie jesteś w stanie przewidzieć, jak głęboko sięgnie, ale możesz być pewien, że dotrze do innych ofiar i doprowadzi do innych zbrodni. Nie rozwiążesz wszystkich zagadek kryminalnych w Gazie.

- Może uda mi się odkryć tę jedną.

- W Gazie nie zdarza się jedna, konkretna zbrodnia. Każda jest związana z wieloma innymi, sam się o tym przekonasz. Jeśli dotkniesz którejs z nich, wywoła to echo, które usłyszą potężni i bezwzględni ludzie. - Chamis Zejdan zacisnął w zamyśleniu zdrową dłoń na protezie. - Na Allaha, tu jest niebezpiecznie, Abu Ramizie. Myślisz może, że sam poruszam się bez ochrony?

Szef policji wskazał na stół w rogu sali. Siedział przy nim jakiś młody człowiek, który palił papierosa i bawił się szklanką herbaty z miętą. Skinął Omarowi głową. Miał około dwudziestu pięciu lat, był szczupły i wyglądał groźnie. Krótko przycięte włosy układały się w fale. Odnaczał się wysokimi kośćmi policzkowymi i pociągłą, śniadą, gładko ogoloną twarzą. Siedział całkiem nieruchomo, pełen wewnętrznego spokoju, co Omar

Jussef dostrzegał w ludziach, którzy spędzili dużo czasu w izraelskich celach więziennych.

- Wiesz, kto to jest?

- Czyżby Sami Dżaffari? - spytał Omar. - Z Dehajsy?

- Izraelczycy deportowali go do Strefy Gazy, ponieważ był bandytą w Betlejem. Nawet oni uznają Gazę za odpowiednią karę dla złych facetów.

- Jego ojciec jest moim sąsiadem. Sami to naprawdę zły facet?

- Sami był moim najlepszym funkcjonariuszem. Związał się z przestępcami tylko dlatego, że posłałem go jako tajnego agenta, żeby ich śledził. Teraz pracuje dla mnie w Gazie.

- Jako ochroniarz?

- Tak, podczas moich pobytów. Kiedy przebywam poza Gazą, jest tutaj moimi oczami i uszami. Jako deportowany cieszy się zaufaniem miejscowych gangów i dzięki temu zdobywa mnóstwo informacji. Ma także znajomych w służbach bezpieczeństwa. - Chamis Zejdan nachylił się do Omara Jussefa. - Posłuchaj, mówiłem ci już kiedyś, żebyś trzymał się z dala od brudnych spraw - nie nadajesz się do tego. Nie posłuchałeś mnie wtedy, choć muszę przyznać, że miałeś wówczas rację.

Omar Jussef skrzywił się i machnął ręką.

- Tak, to prawda - powiedział Chamis Zejdan. - Mogę tylko podejrzewać, że i tym razem mnie nie posłuchasz. Jeśli znów zamierzasz grzebać się w sprawach, których lepiej nie ruszać, to powinieneś robić to z pomocą Samiego. Gaza to pole minowe, a Sami wie, gdzie postawić bezpiecznie stopę.

Omar Jussef pomyślał, że Wallenderowi nie spodoba się pomysł współpracy z człowiekiem deportowanym przez Izraelczyków jako terrorystę, nawet jeśli Chamis Zejdan ręczył za jego niewinność.

- Dziękuję, ale sędzę, że dam sobie radę. Nie jestem tu sam. Mam zapewnioną pomoc ONZ-u.

Chamis Zejdan wciągnął dym w nozdrza i wlepił wzrok w Omara Jussefa, kręcąc przy tym głową. Jego bladoniebieskie oczy były smutne i pełne niedowierzania.

- Nie spierajmy się, Abu Adelu. - Omar zdobył się na lekki, gardłowy śmiech. - Powiedz mi, w jakiej sprawie spotyka się wielka rada rewolucyjna.

Chamis Zejdan cmoknął ironicznie. Zgasił papierosa i zaczął ogrzewać sobie koniuszki palców o filiżankę z kawą.

- Nie znoszę tej klimatyzacji. Cholernie tu zimno.

- To przez tę twoją cukrzycę. Zakłóca ci krążenie. Powinieneś skończyć z paleniem i sprawdzać sobie poziom cukru.

- Teraz to ty wiesz, co dla mnie dobre?

Omar Jussef poczuł, jak sztywnieje mu szczęka. Ponownie spytał podniesionym głosem:

- Po co spotyka się rada? Żeby zdecydować, kto ma zginąć w następnej kolejności?

- Powinieneś raczej spytać, kto ma nie zginąć. - Chamis Zejdan zatoczył ramieniem szeroki krąg, którym objął Gazę za murami hotelu. - W tym miejscu toczy się wojna. Nie z Izraelczykami - z nimi walczą już tylko ekstremiści. Toczemy wojnę między sobą. To spotkanie jest beznadziejną próbą powstrzymania nas samych przed tym, żebyśmy się nawzajem pozabijali.

- Dlaczego się zabijacie?

- Pułkownik Al-Fara chce być następnym prezydentem i ma za sobą CIA. Generał Hussajni chce zdobyć jego kosztem większe poparcie Amerykanów. Jak dotąd, Hussajni i Al-Fara próbują zapędzić jeden drugiego w kozi róg i pozbawić przeciwnika źródeł siły w partii. Kiedy tylko do tego dojdzie, zwycięzca uderzy, a przegrany i jego zwolennicy zostaną usunięci.

- Więc po to jest to spotkanie? Chodzi o decyzję, który z nich wygra?

- Być może. - Chamis Zejdan przetarł oczy. - Nikt nie wie, kogo poprzeć. Bądź co bądź, lepiej nie przegrać takiego zakładu.

- Kogo popierasz?

Szef policji spojrział na Omara spod przymkniętych powiek. Zapalił następnego papierosa i skierował wzrok w stronę morza.

- Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? Nie ufasz mi? - spytał Omar.

- Im mniej o tym wiesz, tym jesteś bezpieczniejszy. Znosi się na coś paskudnego, wierz mi.

- Jesteś w niebezpieczeństwie?

- Wszyscy są w niebezpieczeństwie - odparł Chamis Zejdan.

- To jest Gaza.

Omar Jussef dotknął dłoni przyjaciela i się uśmiechnął.

- Idę do swojego pokoju. Muszę się rozpakować.

Chamis Zejdan nachylił się nad stołem i przytrzymał palce Omara między swoimi dłońmi. Omar Jussef poczuł na kostkach dotyk zimnej skóry rękawiczki okrywającej protezę.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem o pomocy Samiego. Niech Allah cię strzeże.

- Niech Bóg da ci długie życie.

Omar Jussef pomachał do Samiego Dżaffariego, wychodząc z sali. Młody człowiek uśmiechnął się i zsalutował niespiesznie.

Omar Jussef wspiął się po schodach na pierwsze piętro hotelu. Bolały go kolana. Być może Chamis Zejdan miał rację, że Gaza była zbyt niebezpiecznym miejscem dla niego. Bez względu na ludzi, tacy jak Al-Fara, walczyli tu o najwyższe stanowisko i absolutną władzę. A pełni życia, młodzi, tacy jak Sami Dżaffari, potrafili przenikać ich sieci i kontrolować mroczne powiązania. Czy nauczyciel historii po pięćdziesiątce, odczuwający fizyczne skutki młodzieńczych błędów, mógł mieć nadzieję, że uda mu się wkroczyć w ten brudny świat i zachować przyzwoitość, a może przede wszystkim życie?

Wszedł do swojego pokoju. Zauważył, że pracownik hotelu położył jego torbę podróżną na łóżku. Omar Jussef zaciągnął jedną z zasłon. Podobnie jak drzwi wejściowe hotelu, okno było brudne od śladów deszczu, który stłumił ostatnią burzę piaskową.

Omar Jussef poczuł się w pustym pokoju samotnie. Podniósł słuchawkę telefonu. Po kilku próbach udało mu się uzyskać połączenie zamiejscowe. Potem wykręcił numer do domu.

- Mariam, to ja - powiedział.
- Omar, kochanie, jak się masz?
- Świetnie, Bogu niech będą dzięki.
- Jak w Gazie?
- Chyba nadchodzi burza piaskowa.
- Nie wychodź z hotelu i pij dużo herbaty z miętą. I nie zapomnij wkładać kurtki, bo piasek dostanie ci się do piersi.
- Będę pamiętał. Jak dzieci?
- Nadia jest tutaj. Czyta opowiadania Dahudowi i Mirai.

Omar się uśmiechnął. Jego najstarsza wnuczka miała dwanaście lat i była tak bardzo podobna do jego matki, że chcąc nie chcąc faworyzował ją kosztem pozostałych wnuków. Widział teraz w wyobraźni, jak siedzi z Dahudem i Mirai. W zeszłym roku, za sugestią Nadii, przyjeźli do swojego domu dwójkę tych dzieci po śmierci ich rodziców, którzy byli jego przyjaciółmi. Słyszał w tle jej głos, modulowany i pełen wyrazu. Nie przypominał w niczym znudzonych i monotonnych głosów dziewczynek z jego klasy w ONZ-owskiej szkole w Dehajszy, kiedy głośno czytały.

- Pozwól mi z nią porozmawiać, Mariam.

Wysłuchując się w chwilową ciszę po drugiej stronie słuchawki, Omar pomyślał o Salwie i Ejadzie Maszarawich, rozdzielonych przez nagłe aresztowanie. Zastanawiał się, co czułaby jego żona, gdyby nie wiedziała, kiedy jej mąż wróci do ich starego, kamiennego domu na obrzeżach Betlejem. Albo on sam, gdyby nie był pewien, kiedy zje następnym razem przygotowany przez nią posiłek i usłyszy jej dobrotliwe narzekanie. Poczul się samotny i przemarznięty. Rozejrzał się w poszukiwaniu wyłącznika klimatyzacji, ale nigdzie go nie znalazł.

Usłyszał po drugiej stronie Nadię.

- Dziadek? To ja.

Wydawało mu się, że jest tak daleko. Przełknął gorycz swojej samotności.

- Nie, to ja - powiedział.

Nadia wybuchnęła śmiechem.

- Możesz tak sobie żartować z moim małym bratem, ale ja wiem, jak posługiwać się telefonem, dziadku.

- Bez wątpienia.

- Wiem nawet, jak posługiwać się komputerem.

- Komputerem taty?

- Tamtym się tylko bawiłam. A teraz mam w szkole nowe zajęcia z informatyki. Postanowiłam stworzyć ci stronę internetową.

- Stronę? Aha, już wiem. Po co?

- Tata ma już swoją, więc nie mogę zrobić dla niego drugiej.

Omar Jussef nie znał się na komputerach, ale chciał zachęcić wnuczkę.

- Doskonale. Jestem pewien, że będzie to najlepsza strona w Betlejem.

- Najlepsza strona w sieci.

- Gdzie?

- Dziadku, nawet babcia wie, co to jest sieć.

Naprawdę wiedziała? Omar Jussef często odczuwał niezadowolnienie, widząc, jak jego żona postrzega świat. Uważał ją za osobę prostą i skłonną do konwencjonalnego myślenia, choć cenił sobie niezwykle więź, jaka zrodziła się między nimi w ciągu tych lat. Czy Mariam naprawdę mogła orientować się w sprawach, które były poza jego zasięgiem? Prawda, zdawało mu się czasem, że zna jego myśli, nawet gdy pragnął je przed nią ukryć. Przypomnił sobie przyjaciółkę Salwy Maszarawi, sekretarkę na uniwersytecie, Umm Rateb, i zaczął się zastanawiać, czy Mariam wyczułaby w jego głosie cień erotycznej fascynacji, jaką wzbudzała w nim ta kobieta.

Sluchawkę znowu wzięła Mariam.

- Omar, jadłeś obiad? Nie pozwól, żeby Magnus zmuszał cię do harówki bez jedzenia.

Omar Jussef odprężył się i odczuł z całą siłą miłość do swej żony. Miał wrażenie, że jej głos był jak dłoń głaszcząca jego skórę.

- Zadbam o siebie, Mariam.

## ROZDZIAŁ 4

Niebo było nieskazitelnie błękitne, ale Omar wiedział, że wypełnia się ziarenkami piasku. Czuł na języku drobinki pyłu, które pozbawiały go tchu. Przystanął, żeby wydmuchać nos, potem ruszył ciężkim krokiem za Magnusem Wallenderem i Jamesem Cree przez gorący dziedziniec uniwersytetu Al-Azhar. Kampus wyglądał jak kręty labirynt składający się z dwupiętrowych prostokątów, niczym gigantyczna plansza z kostkami domina o barwie kawy z mlekiem. Na budynku administracji drżały w krótkich podmuchach wiatru palestyńskie flagi.

Cree otworzył drzwi przed Wallenderem, który zaczekał, aż Omar ich dogoni. Drzwi były od góry do dołu zalepione plakataami. Większość przedstawiała rozgorączkowane, zaniepokojone twarze zamachowców-samobójców, gotowych do wyruszenia w swą ostatnią misję.

Dotarli na koniec holu i weszli do pomieszczenia z dwoma biurkami; przy każdym z nich siedziała sekretarka. Umm Rateb, przyjaciółka Salwy Maszarawi, wstała i przywitała się z nimi.

- Pokój z tobą, *ustaz*.
- I z tobą - odrzekł Omar Jussef.
- Profesor Maki wrócił właśnie z obiadu - wyjaśniła po angielsku.

Omar Jussef dostrzegł, że Wallender spojrział na zegar wiszący na ścianie. Była 16.30.

- Powiem mu, że jesteście - dodała Umm Rateb. - Proszę, usiądźcie.

Wallender i Cree usiedli. Omar Jussef oparł się o szafkę z dokumentami. Spojrział na naklejkę na górnej szufladzie: „Stopnie naukowe: Alif\*-Ha”. Pomyślał o Nadii i jej komputerze. „Palestyńczycy zawsze chcą mieć wszystko na papierze. Komputery nigdy się tu nie przyjmą”. Druga sekretarka stuknęła w klawiaturę i po chwili zaszumiała drukarka.

\* Alif - pierwsza litera alfabetu arabskiego.

Z gabinetu wyszła Umm Rateb. - Proszę, wejdźcie - powiedziała.

Omar Jussef wszedł za cudzoziemcami do gabinetu. Rolety były opuszczone, ale lampa pod sufitem świeciła jasno. Bezgłośna wentylacja działała skutecznie. Profesor Maki stał za biurkiem zaprojektowanym tak, by sprawiało wrażenie stylowego i kosztownego. Pokryte lakierem o barwie mocnej herbaty miało kształt podkowy zakrzywionej pod kątem dziewięćdziesięciu stopni: od lśniącego czarnego telefonu na jednym końcu, do komputera na drugim. Jego nieskazitelnej powierzchni nie zakłócały papiery ani jakikolwiek ślad pracy. Za biurkiem, na pionowym drzewcu, zwieszała się palestyńska flaga. Obok niej Maki powiesił fotografię, na której stał uśmiechnięty w towarzystwie obecnego prezydenta, mając go z lewej strony, z prawej zaś obejmując byłego.

Maki miał charakterystyczną wystającą górną wargę i jednocześnie cofniętą brodę, co nadawało jego rysom koński wygląd, choć nie szlachtetnej krwi. Był mniej więcej w tym samym wieku co Omar Jussef, nie miał jednak brzuszka i poruszał się szybko. Jego małe, chciwe oczy były tak czarne i wilgotne, że przypominały wykluwające się ze skrzeku kijanki.

- Witam, witam - oznajmił z przejęciem po angielsku.

Pochylił się niemal płasko nad biurkiem, by uścisnąć gościom dłonie, kiedy się przedstawiali. Roztaczał silną woń



drogiej wody kolońskiej. Prosząc Umm Rateb, żeby przygotowała coś do picia, nachylił się jeszcze bardziej i wyciągnął rękę z otwartą pytająco dłonią.

- Herbata czy kawa? - Spojrzał na zegarek. - A może jest już odpowiednia pora na coś mocniejszego?

Zachichotał i zakrył sobie usta dłonią; jego rozbawienie przypominało zachowanie klauna. Umm Rateb pogroziła mu palcem.

- Zjawi się tu Hamas i spali panu gabinet za niemoralne zachowanie, Abu Nabilu.

Maki roześmiał się donośnym głosem.

- Umm Rateb, pan Cree jest Anglikiem...

- Szkotem - sprostował Cree.

- Jeszcze lepiej. Szkocja to ojczyzna whisky. Jestem pewien, Umm Rateb, że pozwolisz mi powitać mych gości zgodnie z ich obyczajem. Skąd pan pochodzi, panie...

- Wallender. Jestem ze Szwecji.

- Szwecja? Przecież wszyscy są tam ciągle pijani.

Wallender drgnął nieznacznie.

- Widzisz, Umm Rateb? Wiem, na co mają ochotę nasi przyjaciele. Jestem też przekonany, że nasz obecny tu brat - wskazał na Omara Jussefa - nie jest radykalnym wyznawcą islamu.

- Nie piję już alkoholu - wyznał Omar Jussef.

- Ale w czasach młodości lubiłeś sobie poszaleć, prawda, Abu Ramizie?

- Z umiarem - zapewnił Omar.

- Dla mnie herbata - poprosił Wallender.

- Doskonale, Umm Rateb, herbata dla wszystkich, a dla mnie kawa.

Wallender odprowadził sekretarkę wzrokiem.

- To rzecz przyjęta pić alkohol w Gazie?

- Nie publicznie. Ekstremiści puszczają z dymem miejsca, gdzie podaje się alkohol - stary Windmill Hotel, wasz klub ONZ-u. Ale ja tylko droczę się z Umm Rateb. Jest religijna, jak widzicie, nosi chustkę. Zdaje sobie doskonale sprawę, że dopóki

nie pójdzie do domu, nie wysunę dolnej szuflady tego biurka. - Maki poklepał żartobliwie drewniany blat. - W zeszłym roku pojechałem do Szkocji, panie Cree, na zaproszenie pewnego starego profesora z Uniwersytetu św. Andrzeja. Miałem wygłosić kilka wykładów o Żydach, okupacji i cierpieniach ludności w Gazie. Był to bardzo życzliwy starszy dżentelmen. Pczęsto-  
wał mnie w swoim gabinecie doskonałą whisky. Teraz, kiedy moja sekretarka idzie pod koniec dnia do domu, wyobrażam sobie, że przenoszę się z Gazy do gabinetu tego jowialnego profesora w Szkocji.

- Osobiście wołałbym być w Gazie - oświadczył zdecydowanie Cree.

Zdziwiło to Omara Jussefa. Obrócił szybkim ruchem głowę i zerknął na Szkota.

- W takim razie zechce się pan ze mną zamienić paszportami, panie Cree - powiedział profesor.

Na twarzy Cree pojawił się uśmiech, choć równie dobrze mógł to być grymas bólu.

- Tylko pod warunkiem że dostanę pańską kartę VIP-a.

- Nie mam takiej. Izraelczycy odmówili mi jej wydania. Mnie, członkowi rady rewolucyjnej i rektorowi państwowego uniwersytetu. Nie mam karty. - Maki rozłożył szeroko ręce, wyrażając tym samym oburzenie wobec tego zadziwiającego i niezrozumiałego faktu. - Oczywiście, powinienem należeć do grona VIP-ów. Wszyscy urzędnicy wyższego szczebla otrzymują od Izraelczyków tę kartę na mocy porozumienia pokojowego. Dzięki niej VIP-y przejeżdżają bez problemu swoimi samochodami przez punkty kontrolne i nie muszą czekać w długich kolejkach ze zwykłymi robotnikami.

- Nie wydaje się to sprawiedliwe wobec robotników - zauważył Wallender.

Umm Rateb przyniosła herbatę i ustawiła szklanki wzdłuż zakrzywionej krawędzi biurka.

- Pan mówi o sprawiedliwości, panie Wallender? - Maki jeszcze szerzej rozpostarł ramiona, a jego głos wpadał w falset.  
- A czy jest sprawiedliwe, że ktoś taki jak ja, o tak wysokiej

pozycji i ograniczonym czasie, musi czekać w zagrodzie dla bydła ze zwykłymi robotnikami?

- Zagrodzie dla bydła?

- Nie wątpię, że po przyjeździe do Gazy przechodził pan przez metalowe barierki i klatki? Są zatłoczone, ludzie popychają się i potracają. Zapach jest odrażający. - Maki roześmiał się i uderzył dłonią w blat biurka. - W zeszłym tygodniu przejeżdżałem przez punkt kontrolny. Jeden z żołnierzy izraelskich zauważył moje ubranie. - Maki uchwycił klapę swojej sportowej marynarki dwoma palcami i pocierał ją, by pokazać, jak doskonale jest skrojona. - Robotnicy mieli brudne podkoszulki i spodnie poplamione farbą i błotem, ponieważ wracali z prac budowlanych w Izraelu. Żołnierz spytał mnie, kim jestem. Kiedy mu powiedziałem, uniósł swój karabin i przepchnął się przez tłum, umożliwiając mi przejście. - Maki zaczął naśladować ruchy żołnierza odsuwającego na bok robotników kolbą broni, żeby zrobić wolne miejsce. Roześmiał się i klasnął w dłoń.

Wallender i Cree obserwowali profesora z niepewnym uśmiechem. Omar Jussef patrzył na swoje dłonie.

- Obsłużono nas dzisiaj rano w pomieszczeniu dla VIP-ów, Abu Ramizie? - spytał Wallender.

- Tak, zgadza się.

- Ach - powiedział Maki, celując palcem w Omara Jussefa. - Ale ty nie jesteś VIP-em.

Omar Jussef spojrział w jego małe, wilgotne oczy. Nie była to odpowiednia chwila, by zdradzać swoje myśli. Ujął klapę swojej marynarki i pocierał ją między kciukiem a palcem wskazującym, tak jak wcześniej to zrobił Maki.

Profesor roześmiał się i podniósł dłoń. Omar Jussef podniósł swoją i Maki z uznaniem przybił mu piątkę, a potem powtórzył gest z pocieraniem materiału i klasnął zadowolony.

- Doskonale, doskonale - oznajmił.

Omar Jussef skinął Wallenderowi głową. Mogli teraz przejść do sprawy.

- Dziękujemy, że pan nas przyjął, profesorze - zaczął Szwed.

- Abu Ramiz i ja przybyliśmy do Gazy na inspekcję szkół ONZ-u w obozach dla uchodźców.

- To chwalebne.

- Nasza inspekcja jednak zaczęła się od przykrego incydentu - ciągnął Wallender.

- Trudności z Izraelczykami na punktach kontrolnych? - spytał Maki, wskazując szybkim ruchem na Omara Jussefa; najwidoczniej zakładał, że to jego osoba musiała być źródłem wszelkich kłopotów.

- Nie. Chodzi o to, że aresztowano jednego z naszych nauczycieli. Pracuje na pół etatu na pańskim uniwersytecie i...

- To aresztowanie nie miało nic wspólnego z pracą na uczelni.

- Wie pan, kogo mam na myśli? - Wallender wyprostował się znacząco.

- Tak, tak. Tego okropnego człowieka, Maszarawiego. - Maki znów machnął ręką, tym razem okazując lekceważenie uwięzionemu mężowi Salwy.

- Ejad Maszarawi został aresztowany dziś rano - oświadczył Wallender.

- To nie ma nic wspólnego z uniwersytetem, jak już powiedziałem.

- Ale kiedy go zatrzymywano, policja zabrała arkusze egzaminacyjne, które przygotował dla swoich studentów.

- Skąd to wiecie? - Uśmiechnięty i rozbawiony, Maki przenosił spojrzenie z Cree na Wallendera. - Policja wam powiedziała?

- Widzieliśmy się z żoną Maszarawiego - wyjaśnił Wallender.

- Jak możecie wierzyć chociażby w jedno jej słowo? Jest wiochrzycielką, taką samą jak jej mąż.

Nozdrza profesora poruszały się niespokojnie, jakby zapach, który wyczuwał, był tak odrażający, że przeniknął nawet jego ochronną warstwę wody kolońskiej.

- Pokazała nam miejsce, gdzie leżały te papiery. Teraz ich tam nie ma.

- Jakie papiery? Arkusze egzaminacyjne z uniwersytetu? Skąd to wiadomo? Przypuszczam, że służbie bezpieczeństwa chodzi o coś poważniejszego niż jakieś pytania egzaminacyjne.

Wallender spojrział na Cree. Szkot przytaknął.

- Maszarawi oskarżył uniwersytet o sprzedaż dyplomów policjantom - wyjaśnił Wallender.

- Nie brakuje mi studentów, którzy chcą płacić za naukę. Po co miałbym sprzedawać sfałszowane dyplomy?

- Powiedziałem, że to uniwersytet jest oskarżony o sprzedaż dyplomów, nie pan - przypomniał Wallender.

- To ja jestem uniwersytetem, sir. Zbudowałem go od podstaw w dziewięćdziesiątym pierwszym, kiedy Stary, to znaczy prezydent, powiedział mi, żebym stworzył uczelnię, która mogłaby rywalizować z Uniwersytetem Muzułmańskim. - Wskazał zdjęcie na ścianie, gdzie obejmował się ze zmarłym prezydentem. - Mamy dwustu wykładowców. Jeden z nich zgłasza pretensje... to Maszarawi. Stu dziewięćdziesięciu dziewięciu nie zgłasza pretensji. Do tego mamy tysiące studentów. Czy wszyscy oni mają rozumieć, że wartość ich dyplomów podważają oskarżenia jednego człowieka? To skandaliczna sytuacja i bezpodstawny atak.

Omar Jussef dopił swoją herbatę i odstawił szklanekę na biurko Makiego.

- Czy są na uniwersytecie studenci, którzy należą do służby bezpieczeństwa? - spytał.

- Tak, i do wszystkich walczących ugrupowań.

- Walczących ugrupowań? - nie zrozumiał Wallender.

- Profesor ma na myśli ugrupowania, które walczą z Izraelczykami - wyjaśnił Omar Jussef.

- Być może zna ich pan jako terrorystów - roześmiał się Maki i wzruszył ramionami.

- Czy są wśród pańskich studentów funkcjonariusze służby prewencyjnej? - spytał Omar.

- Jeśli podacie mi nazwisko, to wyciągnę odpowiednią teczkę z sekretariatu, gdzie siedzi Umm Rateb. W dokumentacji znajdziecie świadectwo ukończenia szkoły średniej, które

daje prawo do studiowania na tej uczelni. Jeśli ktoś ukończył studia, to znajdziecie tam także listę wszystkich zaliczonych zajęć wymaganych do zdobycia kwalifikacji, a także dowody wszelkich opłat za naukę.

- Czy służba bezpieczeństwa kontaktowała się z panem w sprawie profesora Maszarawiego? - spytał Omar Jussef.

- To nie jest żaden profesor, tylko wykładowca na niepełnym etacie.

Nie jest także VIP-em, pomyślał Omar Jussef.

- Skontaktowali się z panem? - spytał ponownie.

- Sam do nich poszedłem. Maszarawi wysuwał niebezpieczne oskarżenia przeciwko uniwersytetowi i mnie osobiście, a nawet samemu rządowi. Odmówił ich odwołania. Poszedłem więc w tej sprawie do służby bezpieczeństwa.

- Poprosił ich pan, żeby aresztowali Maszarawiego? - Wallender wyprostował się na swoim krześle.

- Nie, nie aresztowano go za to, jak już wam mówiłem. Choć uważam, że i za to powinien odpowiedzieć.

- Więc dlaczego został aresztowany? - zainteresował się Wallender.

- Spytałem dziś rano o Maszarawiego pułkownika Al-Farę, a on mi powiedział, że wysuwa się przeciwko niemu znacznie poważniejsze zarzuty niż przeprowadzanie skandalicznego egzaminu. - Maki zniżył głos do szeptu. - Istnieją dowody wskazujące na powiązania Maszarawiego z CIA. Jestem równie zaskoczony jak wy. Tak, tak, możliwe, że ma powiązania nawet z CIA.

Cree wydał wargi i wypuścił głośno powietrze, cmokając przy tym. Omar Jussef zacisnął dłoń na oparciu fotela. Wallender odchrząknął.

- Rozumie pan, profesorze Maki, że musimy zbadać tę sprawę, ponieważ Maszarawi jest także pracownikiem ONZ-u - powiedział Wallender. - Jesteśmy za niego odpowiedzialni.

- Nie ulega wątpliwości, że jest to wewnętrzna sprawa palestyńska. Nie musicie się w to mieszać.

- Społeczność międzynarodowa potraktuje to bardzo poważnie. - Głos Wallendera zdradzał pewne zniecierpliwienie. - Sytuacja, gdy szef uniwersytetu prosi policję o interwencję w kwestii niezależności uczelni, to rzecz szokująca.

- Niezależność uczelni? To było oczernianie.

- Uważa pan, że te oskarżenia były pomówieniem wymierzonym osobiście w pana? - spytał Wallender.

- We mnie i w uniwersytet. To jedno i to samo. - Maki spuścił trochę z tonu i się uspokoił. Przyłożył dłoń do czoła i zniżył głos. - Dla mnie to także przykre, panowie. Pozwólcie, że zaproponuję coś w geście dobrej woli. Skontaktuję się z ludźmi prowadzącymi śledztwo i przekażę wam wszystko w dniu jutrzejszym. Jeśli brat Abu Ramiz zechce przyjść jutro wieczorem do mojego domu na kolację, to podzielę się z nim informacjami na temat tej sprawy, a przynajmniej będę w stanie przedstawić pewne szczegóły, których nie znacie, a które dotyczą powagi przestępstw dokonanych przez Maszarawiego.

Omar Jussef wiedział doskonale, że Maki pragnie odseparować go od towarzyszy z zagranicy. Zdawał sobie sprawę, że będzie do niego apelował w imię walki palestyńskiej. Być może nawet skończy się propozycją zapłaty i perswazją, by zbić ludzi z ONZ-u z tropu. Jednocześnie Omar Jussef zastanawiał się, czy nie wykorzystać nadarzającej się możliwości, jaką było spotkanie dwóch Palestyńczyków sam na sam, i nie podjąć próby osiągnięcia czegoś dzięki niuansom rodzimego języka.

- Przyjdę do ciebie z przyjemnością, Abu Nabilu.

- Zapraszam, zapraszam - zapewnił Maki, ponownie podnosząc głos.

## ROZDZIAŁ 5

Strumień zimnego powietrza wydawał pojedynczy, przeciągły, chrapliwy dźwięk. Omar Jussef leżał rozbudzony, marznąc w hotelowym łóżku, ponieważ nie mógł rozgryźć mechanizmu wyłączenia klimatyzacji. Żałował, że zamiast tego monotonnego zawodzenia nie słyszy w tej chwili cichego, grzechoczącego pochrapywania swojej żony. Ilekroć zapadał w sen, z korytarza dobiegał zgrzyt klucza przekręcanego w zamku albo głos kogoś, kto żegnał znajomego. Hałasy wydawały się docierać z bliska i w pewnym momencie miał wrażenie, że do jego pokoju wszedł jakiś obcy człowiek. Omar usiadł na wpół rozbudzony; serce mu waliło, a piżamę miał przepoconą pomimo chłodu. Tuż przed świtem poszedł do łazienki po szklanek wody, owinął się cienkimi ręcznikami, żeby się ogrzać, i wypił wodę, stojąc przy oknie. Wyglądając przez szczelinę między zasłonami, obserwował oddział żołnierzy ustawiony pod domem szefa wywiadu wojskowego po drugiej stronie ulicy. Przenikając wzrokiem mgłę burzy piaskowej, która narastała w nocy, liczył końce papierosów, które jarzyły się na pomarańczowo, gdy żołnierze się zaciągali, aż w końcu poczuł się senny.

Kiedy zszedł rano na dół, zastał Magnusa Wallendera przy kontuarze recepcji. Szwed śmiał się i żartował z młodą i ładną dziewczyną.



- Miłego poranka, Abu Ramizie - powiedział na przywitaniu.

- Witaj, Magnusie.

- Mejsun powiedziała mi właśnie, że w Gazie nie wychodzą gazety po angielsku, jak w Jerozolimie.

- Chcesz, żebym ci przetłumaczył nagłówki arabskich gazet? Dam ci znać, jeśli ukaże się artykuł o naszym przyjacielu Maszarawim albo jeśli Szwecja zaatakuje Norwegię. Jeśli chodzi o pozostałe wiadomości, to możesz się bez nich obejść przez parę dni, wierz mi.

Wallender wybuchnął śmiechem.

- Masz rację. Głodny?

Omar Jussef wziął z kontuaru jedną z arabskich gazet. Główne zdjęcie przedstawiało pogrzeb oficera wywiadu wojskowego. U dołu strony dostrzegł małą notatkę. Postukał w nią palcem i pomachał gazetą przed oczami Wallendera.

- Gaza jest pełna radosnych wieści, Magnusie. Posłuchaj: „Ekshumowane ciało z grobu porzucone niedaleko Dejr al-Balah” - przeczytał. - To nagłówek. A oto historia: „Pewien rolnik odkrył w dniu wczorajszym szczątki ludzkie niedaleko miasta Dejr al-Balah. Zeznał na policji, że znalazł kości na swoim polu kapusty obok drogi Saladyna”.

- Gdzie jest Dejr al-Balah?

- Na południe od Gazy, w połowie drogi do granicy z Egiptem. - Omar Jussef czytał dalej: - „Z początku rolnik sądził, że znalazł kości zwierzęce, ale potem odkrył czaszkę, bez wątpienia ludzką. Policja przewiozła szczątki do szpitala Asz-Szifa w Gazie, gdzie lekarzy zastanowił wiek kości. Doktor Maher Nadżdżar, anatomopatolog, oświadczył, że trudno go precyzyjnie określić, dodał jednak, że mogło upłynąć nawet sto lat od pochówku ciała. Nie zgłoszono wprawdzie naruszenia żadnego grobu, policja jednak prowadzi śledztwo w nadziei, że uda się ustalić pierwotne miejsce spoczynku zwłok i przenieść tam szczątki”. Wciąż masz ochotę na śniadanie? - spytał ze śmiechem Omar, składając gazetę.

Weszli do jadalni, usiedli przy oknie wychodzącym na morze i zamówili po grzance i koszyk rogalików.

Wallender spojrział przez okno na nieprzeniknione chmury burzy piaskowej.

- Piekło - zauważył.

- Mówimy na to *chamsin*, co znaczy po arabsku „pięćdziesiąt” - wyjaśnił Omar Jussef. - Przez tyle dni w ciągu roku takie chmury pyłu docierają do nas z pustyni. Nie wiem tylko, kto to liczy.

- Ile potrwa ta burza?

- Kilka dni, może tydzień. Dopóki nie zacznie choć trochę padać albo wiatr nie ustanie. Dobrze spałeś?

- Nie zmrużyłem oka. Miałem wrażenie, że ktoś mnie dusi.

- To przez ciśnienie powietrza wywołane burzą. Mnie sprawia o ból głowy. O, tutaj. - Omar nakreślił palcem linię od prawej brwi do ucha.

- Mam buteleczkę aspiryny. Chcesz trochę?

- Nie, dołączę ten ból do kolekcji pozostałych - tutaj, tutaj i tutaj - oznajmił z uśmiechem, klepiąc się po głowie.

James Cree zjawił się równo z ich śniadaniem.

- Co dla mnie masz, synu? - zawołał do kelnera.

- Kawa, sir?

- Słusznie - oświadczył Cree, biorąc sobie rogalika. - Kawa, chłopcze.

- Amerykańska czy arabska, sir?

Cree uśmiechnął się szeroko do Omara Jussef a, nie kryjąc złośliwości.

- Ale to spolaryzowany świat, co, panie Jussef? Amerykańska albo arabska, jedyny wybór, jaki tu proponują. Wschód albo zachód. Kapitalizm albo fundamentalizm. - Nachylił się do kelnera. - Napiję się kawy europejskiej, synu. Zaparz ją, jak chcesz. Biegiem.

Kelner uśmiechnął się i ruszył w stronę kuchni. Cree zjadł całego rogalika naraz.

- Ta cholerna pogoda sprawia, że mam wilczy apetyt.

- Proszę, niech pan weźmie także mojego - zaproponował Omar.

- Jest pan pewien? Chętnie. - Cree wziął drugiego rogalika i ugryzł kawałek, jeszcze nim zdołał uporać się z pierwszym. Otarł wąsy z maślanego kremu i zniżył głos: - Wydaje mi się, że aresztowanie Maszarawiego może być prawdziwym problemem dla ONZ-u.

- Większym jednak dla samego Maszarawiego - zauważył Omar Jussef.

Wrócił kelner z filiżanką zalewanej kawy.

- Kawa po europejsku, sir.

Cree pociągnął nosem.

- Czy to jest to, co myślę, synu?

- Zdrowia i wszystkiego najlepszego - uśmiechnął się kelner i ruszył w kierunku swojego stanowiska przy drzwiach obrotowych.

Cree wlepił wzrok w plecy jego białej marynarki, potem pociągnął łyk kawy.

- Cholera, mają tu niezły towar.

Wallender nachylił się nad filiżanką i wciągnął powietrze.

- To nie jest europejska kawa. Nazwałbym ją raczej szkocką.

Cree klasnął w dłonie i pokazał kelnerowi podniesiony kciuk.

- Widzę, że zaczynam uzależniać się od kofeiny - oświadczył, po czym napił się z westchnieniem.

Omar Jussef wyczuł zapach alkoholu. Niezmacona woń czegoś, czego już dawno sobie zakazał, wzbudziła w nim urazę do Szkota.

- Musimy jak najszybciej spotkać się z Maszarawim. Im dłużej siedzi w więzieniu, tym trudniej będzie nam przekonać ludzi ze służby bezpieczeństwa, że to wszystko jest nieporozumieniem - powiedział.

- Musimy? - Cree przechylił głowę. - Jest pan tu po to, by przeprowadzić inspekcję szkół, panie Jussef. Nie chciałem angażować w tę sprawę Magnusa i zamierzam porozmawiać z nim

jeszcze dziś rano, czy nie powinien od razu się z tego wycofać. Niech pan to pozostawi nam, zawodowcom wyszkolonym w postępowaniu ze służbami bezpieczeństwa. Nie ukrywam, że byłoby niewskazane, by uczestniczył pan nadal w naszych działaniach.

- Wierzę, że jestem w stanie pomóc. Pewne niuanse mogą wam umknąć, ponieważ jesteście cudzoziemcami.

- Widzi pan, mówię trochę po arabsku i jestem tu dostatecznie długo, by wiedzieć, jak się rozmawia z tymi draniami.

- Może pan zna tych ludzi z bezpieczeństwa - przyznał Omar Jussef. - Ale Maszarawiego? Wydaje mi się, że byłby pan skłonny traktować go jak wichrzyciela, gdyby pozwolono panu z nim porozmawiać.

- Wydaje się, że narobił jednak trochę kłopotów.

- Mówił po prostu, co myśli.

- Dlatego właśnie twierdzę, że to wichrzyciel.

Omar Jussef zauważył podniesionym głosem:

- Wobec tego potrzebujemy w Palestynie więcej takich wichrzycieli.

Cree odstawił swoją filiżankę.

- Proszę nie zapominać, panie Jussef, że Magnus jest odpowiedzialny zarówno za dzieci z obozów dla uchodźców, jak i za działania ONZ-u. On i ja musimy rozpatrywać sytuację Maszarawiego nie tylko z perspektywy humanitarnej. Pozostaje jeszcze kwestia polityki ONZ-u w negocjacjach pokojowych między Palestyńczykami a Izraelczykami.

- Co sprawa Maszarawiego ma z tym wspólnego?

- Powinniśmy oceniać tę sytuację w kontekście interesów dyplomatycznych.

- Nie ulega wątpliwości, że Palestyńczycy pragną utrzymać ONZ po swojej stronie, jeśli już mówimy o dyplomacji - zauważył Omar Jussef. - A to oznacza, że jeśli ONZ będzie się domagał uwolnienia Maszarawiego, to będą musieli na to przystać.

- Dysponujemy w takich przypadkach ograniczonymi środkami.

- Co za pożytek ze środków, jeśli nie są warte ludzkiego życia? - spytał Omar Jussef, uderzając pięścią w stół.

- Nikt nie sugeruje, że Maszarawiego mają zabić - oświadczył Cree.

- Oskarżają go o kolaborację. Jak pan myśli, co dzieje się z kolaborantami? - Omar Jussef wykonał gwałtowny gest dłonią, który miał oznaczać śmierć przez powieszenie.

- Wszyscy doskonale wiemy, że to tylko przykrywka. Aresztowali go z powodu pytań dotyczących korupcji, jakie zadawał swoim studentom. To ostrzeżenie pod adresem innych wykładowców, żeby się nie wychylali.

- Także temu ONZ powinien się sprzeciwić. Powinien domagać się wolności słowa. - Omar Jussef zwrócił się do Wallendera. - Czy taka byłaby reakcja ONZ-u, gdybym to ja został aresztowany w Dehajszy? Powiedziałbyś mojej żonie Mariam, że w grę wchodzi poważne kwestie natury dyplomatycznej i że jestem płótką, która nie zasługuje na uwagę potężnego ONZ-u?

Wallender zmarszczył czoło.

- Wydaje mi się, James, że jeśli szybko udamy się do służby bezpieczeństwa, to wszystko da się wyjaśnić bez konieczności powiadamiania o czymkolwiek dyplomatów.

- To jest właśnie problem - służba bezpieczeństwa - oświadczył Cree. - Gdyby Maszarawiego aresztował kto inny, mielibyśmy większe pole manewru. Działa tu z tuzin służb policyjnych i zasadniczo możemy zignorować jedenaście z nich. Ale pułkownik Al-Fara to najważniejszy kontakt, jakim nasi dyplomaci dysponują w siłach bezpieczeństwa.

Omar Jussef zachnął się i znów walnął pięścią w stolik, wprawiając w drżenie filiżanki.

Cree położył dłonie płasko obok swojego talerza i odetchnął przeciągle.

- Sprawa wygląda tak: chcemy, by między Izraelem i Palestyńczykami toczyły się rozmowy pokojowe, ale Izrael nie będzie rozmawiał w przypadku stosowania terroryzmu. Jeśli Al-Fara uciszy terrorystów na swój paskudny sposób, to wszyscy

będą szczęśliwi. Ale jeśli pułkownik nam nie pomoże, to w Izraelu wciąż będzie dochodziło do zamachów i wszystko diabli wezmą. Ergo, musimy go zadowalać.

- A więc ten drań Al-Fara może robić sobie z ludźmi w Gazie, co mu się żywnie podoba, dopóki nie pozwala im zabijać Izraelczyków? - spytał Omar Jussef, czując drżenie dłoni. Ukrył je pod blatem na swoich kolanach.

- Panie Jussef, to nie jest takie proste. Jeśli Al-Fara postanowi, że nie będzie działał przeciwko grupom terrorystycznym, Izraelczycy wtargną do Gazy, żeby zrobić to za niego. Al-Fara jest przygotowany na taką ewentualność, ponieważ dowiedzie ona, że bez niego Gaza jest bezradna. Nasza alternatywa: czółgi izraelskie na ulicach albo carte blanche dla Al-Fary - powiedzial Cree i rozsiadł się, wzruszając ramionami.

- Dlaczego nie wyjaśnił pan tego wczoraj? - spytał Omar Jussef. - Podsunął to panu ktoś z Nowego Jorku, kto nie ma pojęcia, jak wygląda palestyński obóz dla uchodźców ani jak cuchnie, prawda? Rozmawiał pan z kimś wysoko postawionym i ten ktoś kazał panu pogrzebać sprawę Maszarawiego.

- Panie Jussef...

- Nie jestem „panem Jussefem”. Moje nazwisko rodowe to Sirhan. Omar i Jussef to moje imiona. - Uniósł palec i wycelował nim w Szkota, wiedząc doskonale, że drży mu ręka. - Nie rozumie pan nawet imion arabskich, a mimo to sądzi pan, że rozumie obłudne umysły ludzi pokroju Al-Fary.

Cree wpatrywał się z powątpiewaniem w wymierzony w siebie palec.

- Mam pana nazywać panem Sirhan?

- Nie, powinien się pan do mnie zwracać Abu Ramizie, ojciec Ramiza. Ale wolałbym, żeby w ogóle się pan do mnie nie odzywał.

Wallender ujął dłoń Omara Jussefa.

- Abu Ramizie, proszę cię, uspokój się. Nie zapominaj, że wszystkim nam zależy na uwolnieniu Maszarawiego. Musimy tego dokonać, nie wzbudzając gniewu naszych dyplomatów

w Nowym Jorku i nie stając po niewłaściwej dla Al-Fary stronie. Wszyscy trzej powinniśmy wyżyć umysły i zastanowić się nad odpowiednią taktyką. Musimy działać razem. Więc proszę...

Omar Jussef wpatrywał się w swój talerz. Postukał palcem w grzanekę.

- Przepraszam, James...

Cree przyglądał mu się z uwagą. Po chwili odsunął krzesło od stolika.

- Na zewnątrz czeka samochód. Jedźmy do więzienia. Może pozwolą nam pomówić z Maszarawim.

Omar Jussef podniósł na niego wzrok. Cree uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Dzięki europejskiej kawie stałem się zuchwały - oznajmił.

## ROZDZIAŁ 6

ONZ-owski Chevrolet wjechał na szerokie ulice Tall al-Hawy, dzielnicy, gdzie czołowi działacze OWP pobudowali swoje krzykliwe rezydencje. W cieniu kolumn imitujących greckie przycupnęli umundurowani mężczyźni, kasłający pyłem, który unosił się w powietrzu. Nasser pędził po długiej, prostej jezdni. Dotarli do podłużnego, dwukondygnacyjnego białego budynku, za którym droga ginęła w pofałdowanych polach kapusty i wydmach. Był otoczony pobielonym murem o wysokości dwu i pół metra. Przy bramie dostrzegli grupę mężczyzn w skórzanych kurtkach. Stali na szeroko rozstawionych nogach i trzymali na piersiach kałasznikowy. Była to kwatera główna służby prewencyjnej.

Nasser podjechał pod bramę. Jeden ze strażników podszedł do okna wozu i wydał rozkaz poważnym tonem:

- Zostawcie samochód tutaj i weźcie ze sobą paszporty.

Po wyjściu z chevroleta Omar Jussef zakrztusił się pyłem i pochylił, chroniąc się przed powiewem gorącego wiatru. Strażnik w budce wartowniczej sprawdził paszporty cudzoziemców. Ubrany był w luźną skórzaną kurtkę z szarym, sztucznym futrzanym kołnierzem i czarny podkoszulek. Twarz miał puciołowatą, a ręce i brzuch pokaźnych rozmiarów. Był to ten rodzaj tuszy, który zazwyczaj oznacza ogromną siłę, jak w przypadku tureckich zapaśników. Odchrząknął pyłem, który zebrał mu się



w gardle, i otarł wierzchem dłoni długie czarne wąsy. Wziął zielony dowód tożsamości Omara Jussefa i spojrzął na właściciela obojętnym wzrokiem.

- Czego chcecie?

- Jesteśmy z ONZ-u - wyjaśnił Omar Jussef. - Ci dżentelmeni chcieliby rozmawiać z pułkownikiem Al-Farą w bardzo ważnej sprawie.

- Człowieku, ty nie wyglądasz mi na kogoś ważnego.

Omar Jussef dotknął koniuszka wąsów i odetchnął zniecierpliwiony.

- Chodzi o wykładowcę uniwersyteckiego, Ejada Maszarawiego. Musimy się w tej sprawie spotkać z pułkownikiem Al-Farą.

- Nie ma go tutaj.

- Wróci niedługo?

Wartownik wzruszył ramionami i rzucił dowód tożsamości i paszporty na biurko dostatecznie mocno, by wydały cichy plask.

- Czy moglibyśmy spotkać się z nim gdzie indziej? - spytał Omar Jussef. - Albo umówić się na konkretną godzinę?

- Popelniecie błąd, jeśli sądzicie, że mogę wam w tym pomóc. Jego sekretarka jest znacznie ładniejsza ode mnie.

- To ty popelniasz błąd. Jeśli go nie naprawisz, pułkownik wypieprzy cię, zamiast swojej ładnej sekretarki.

Wielkie pięści wartownika zacisnęły się odruchowo. Omar Jussef ocenił, że mają wielkość niemal jego głowy. Mężczyzna podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer. Wymamrotał coś, odczekał chwilę i odłożył ostrożnie słuchawkę.

- Idźcie na dziedziniec, potem schodami na górę i w lewo do końca.

- Czyżby nagle zjawił się pułkownik?

Strażnik wziął paszporty i dokumenty Omara Jussefa, po czym schował je do szuflady biurka.

- Zabierzcie je, jak będziecie wychodzić.

- Dziękuję.

Strażnik mruknął coś w odpowiedzi.

- Uśmiechnij się. Będziesz wyglądał znacznie ładniej - poradził mu Omar Jussef.

Ruszył za Cree i Wallenderem przez szeroki dziedziniec. Obok schodów parkowało kilka niskich czarnych limuzyn audi, a na ich tablicach rejestracyjnych widniały pojedyncze cyfry. Kawalkada Al-Fary, przemknęło przez myśl Omarowi. Samochody były nowe i lśniące pomimo pyłu, który spadł wraz z burzą piaskową na Gazę.

Cree nie krył zadowolenia.

- Wygląda na to, że potrafisz otwierać różne drzwi, Abu Ramizie - zauważył.

- Jak już zatrząskują mi je przed nosem - odparł Omar Jussef.

Kierując się wskazówkami wartownika, dotarli do końca korytarza, gdzie obok podwójnych drzwi z ciemnego drewna widniała tabliczka z wizerunkiem orła - symbolem rządu, i napisem: „Pułkownik Al-Fara, Komendant Palestyńskiej Służby Prewencyjnej (Gaza)”.

Cree postukał w tabliczkę palcem wskazującym i się uśmiechnął.

- Dorwijmy go - powiedział szeptem.

Omar Jussef uznał, że Szkot wciąż odczuwa działanie europejskiej kawy.

Za drzwiami, wsparci o puste biurko, stali trzej mężczyźni w skórzanych kurtkach. Najmniejszy poprowadził ich wzdłuż szeregu gabinetów, przy każdym kroku stukając hałaśliwie plastikową podeszwą o podłogę. Wskazał im głową pustą poczekalnię i stanął w drzwiach na szeroko rozstawionych nogach, uważnie ich obserwując. Po kilku minutach zjawiała się szczupła sekretarka i wprowadziła ich do gabinetu Al-Fary. Okna były zasłonięte, by nikt nie mógł zająrzeć z zewnątrz, a sprawna klimatyzacja nie dopuszczała do środka upału dnia. Ściany miały wyblakły kremowy kolor, a jedyny akcent kolorystyczny stanowił oprawiony w czarną ramkę dokument wiszący naprzeciwko drzwi. Ani śladu zdjęcia z prezydentem, zauważył Omar Jussef. Ten człowiek nie udaje, że jest wobec kogokolwiek lojalny. Na

regale obok drzwi stały nieuporządkowane segregatory, a przyciszony telewizor był nastawiony na arabską stację informacyjną. Środek pomieszczenia zajmował długi stół konferencyjny. U jego szczytu, w wysokim czarnym fotelu ze skóry, siedział pułkownik Al-Fara.

Włosy miał ciemne i rzadkie, z przedziałkiem z boku głowy, które opadały na oko. Wąsy zakrywały usta. Czoło sprawiało wrażenie wilgotnego i rozgorączkowanego. Był mężczyzną średniego wzrostu, chudym, przygarbionym. Zaciągnął się papierosem Marlboro trzymanym w lewej dłoni, odkaslnął w chusteczkę w drugiej ręce i wyrzucił ją do kosza na śmieci. Odznaczał się typową dla byłych więźniów oszczędnością ruchów, jaką Omar Jussef dostrzegł u ochroniarza Chamisa Zejdana w hotelu.

Cree przywitał się z Al-Farą i przypomniał mu, że spotkali się podczas ostatniej wizyty delegacji ONZ-u z Nowego Jorku. Al-Fara niczym nie dat po sobie poznać, że go pamięta. Cree przedstawił Wallendera i Omara Jussefa. Wallender, uściskawszy zwiotczalą dłoń pułkownika, przyłożył sobie rękę do serca. Był to arabski gest szczerości, na którego widok Omar Jussef się uśmiechnął.

Al-Fara polecił sekretarce przygotować herbatę. Zakrył usta chusteczką, chcąc ponownie spluć. Oczy, które się przyglądały bacznie Omarowi Jussefowi, były czerwone od krążącego w powietrzu pyłu, mimo to jednak wydawały się bystre i niebezpieczne. Omar Jussef spojrzał spod przymkniętych powiek na dokument na ścianie. Był to dyplom wydziału prawa uniwersytetu Al-Azhar. Może to właśnie wyjaśnia, dlaczego kazał aresztować człowieka, który oskarżył uczelnię o sprzedawanie dyplomów funkcjonariuszom służby bezpieczeństwa, pomyślał. Kiedy znów skierował wzrok na Al-Farę, zauważył, że pułkownik uchwycił jego spojrzenie. Nie odrywając oczu od Omara Jussefa, splunął w chusteczkę.

- Pułkowniku, chcielibyśmy porozmawiać o sytuacji naszego nauczyciela Ejada Maszarawiego - oświadczył Wallender.

Al-Fara wydal z głębi gardła charkot i splunął ponownie. Wallender kontynuował:

- Przypuszczamy, że doszło do zwykłego nieporozumienia. Chcielibyśmy się upewnić, że *ustaz* Maszarawi zostanie uwolniony. Rozumiemy, że przebywa tutaj.

- W tej sprawie toczy się śledztwo - poinformował Al-Fara i zapalił następnego papierosa. - Musi być zakończone, nim zostanie uwolniony.

- Czy mogę spytać, co jest przedmiotem tego śledztwa?

Al-Fara cmoknął i uniósł brodę, co oznaczało odpowiedź negatywną.

- Wydaje się, że *ustaz* Maszarawi został aresztowany z powodu oskarżeń o korupcję, jakie wysuwał - oznajmił Wallender. - Twierdził, że uniwersytet sprzedaje dyplomy funkcjonariuszom służby bezpieczeństwa.

- Jesteśmy świadomi tego oskarżenia - odpowiedział pułkownik.

- Można to jednak z pewnością wyjaśnić. Profesor uniwersytetu ma prawo do swobody wypowiedzi. Musi mieć prawo do krytykowania instytucji państwowych, by zapobiegać korupcji. Wykładowcy wyższych uczelni to niejednokrotnie eksperci w kwestii przestrzegania prawa. Działają w imieniu społeczeństwa.

- Jest pan.. z jakiego kraju?

- Ze Szwecji.

Al-Fara zaciągnął się papierosem i zasmarkał głośno w chusteczkę.

- W Szwecji panuje niezmałony niczym spokój, możecie więc pozwolić sobie na przestrzeganie wszelkiego rodzaju praw. Gdyby pański kraj był zagrożony brutalną okupacją, sam by się pan przekonał, że te wszystkie swobody, o których pan mówi, okazałyby się znacznie mniej przydatne. Później, kiedy już uzyskamy własne państwo, ustanowimy oczywiście te swobody i prawa. Naród palestyński zasługuje na nie.

- Według ONZ-u te swobody to warunek wstępny powstania prawdziwego państwa palestyńskiego. Może pan dopomóc

w tym trudnym procesie, uwalniając *ustaza* Maszarawiego.

- Rzeczą o wiele ważniejszą jest umożliwienie siłom bezpieczeństwa działań przeciwko kolaborantom w związku z zagrożeniem, jakie stanowi dla naszego narodu Izrael.

- Nikt nie wspominał o kolaborantach - wtrącił Omar Jussef. - Mówiliśmy o korupcji na uniwersytecie.

Al-Fara splunął w chusteczkę i spojrzał na nią z wyraźnym obrzydzeniem.

- Mógłby pan przynajmniej wyjaśnić istotę zarzutów przeciwko Maszarawiemu, żebyśmy mogli zastanowić się nad jego obroną - spytał Wallender. - Niewykluczone, że to wszystko jest wynikiem pomyłki.

Sekretarka przyniosła małe filiżanki herbaty na spodkach z kwiecistym wzorem. Omar Jussef czekał, aż Al-Fara wsypie do napoju cukier z trzeciej saszetki. Paznokieć na małym palcu prawej dłoni pułkownika miał długość prawie dwa centymetry - powszechny obyczaj pośród tych, którzy chcą dać do zrozumienia, że nie muszą pracować własnymi rękami. Długi paznokieć był ciemnożółty, jak mocz odwodnionego człowieka.

- Jak pan odpowie na zarzuty o korupcję? - spytał Omar Jussef.

- Korupcję? Ten kolaborant broni się, wysuwając oskarżenia pod adresem ludzi, którzy strzegą Palestyńczyków przed takimi jak on - oświadczył Al-Fara, patrząc w herbatę, którą mieszał. - Nie ma żadnej korupcji. Dochodzi do pomyłek, to prawda. Gdyby nikt ich nie popełniał, Allah nie musiałby zsyłać nam proroków, by pokazali właściwą drogę.

- A więc ktoś sprzedawał dyplomy przez pomyłkę? Nie była to zatem korupcja, tylko coś w rodzaju potknięcia? - spytał Omar Jussef.

- Nie wiem, czy dyplomy były sprzedawane. Zresztą, tak czy inaczej, ten budynek to nie uniwersytet. Trafiliście pod niewłaściwy adres.

- Miałoby jednak znaczenie dla podległej panu służby, gdyby

pańscy agenci kupowali sobie dyplomy, by uzyskać awans i wyższe wynagrodzenie od rządu.

- Nie brakuje nam pieniędzy. Moglibyśmy płacić więcej, gdybyśmy chcieli. Mamy dwa tysiące funkcjonariuszy, to niewielka liczba. Podniesienie im pensji nie kosztowałoby znowu tak dużo. - Al-Fara siorbnał herbaty i otarł chusteczką wąsy. - Mamy do czynienia w Gazie z obcymi wpływami. Ze szpiegami. Tym się zajmujemy.

Pułkownik powiódł spojrzeniem wzdłuż długiego stołu i wlepił wzrok w telewizor na końcu pokoju. Stacja informacyjna ponownie pokazywała materiał z pogrzebu wojskowego, jaki miał miejsce poprzedniego dnia. Z ledwie dostrzegalnym uśmiechem szyderstwa Al-Fara obserwował tłum wokół trumny owiniętej palestyńską flagą. Podniósł do ust mały palec i zaczął sobie grzebać w zębach długim poźółkłym paznokciem.

- Prowadzicie przeciwko Maszarawiemu śledztwo w sprawie szpiegowania dla CIA? - spytał Omar Jussef.

- Możliwe. - Al-Fara nie odrywał wzroku od telewizora. Omar Jussef przeszedł na arabski.

- Pan także pracuje dla CIA.

Pułkownik się nie poruszył, ale z jego krtani dobył się przeciągły oddech przypominający oddalony dźwięk odrzutowca.

- Co konkretnie miałby Maszarawi szpiegować? - ciągnął Omar Jussef. - Reaktor atomowy w Gazie? Taktykę palestyńskiej drużyny piłkarskiej?

Al-Fara obrócił z wolna spojrzenie na Omara.

- Sądzi pan, że nie ma szpiegów w Gazie?

- Myślę, że łatwo w dzisiejszych czasach przykleić komuś etykietkę szpiega.

- Dlatego właśnie, że jest ich tak wielu.

- Podziwiam pańską logikę - odrzekł powoli Omar Jussef.

Po chwili milczenia dodał: - Pan Wallender i pan Cree chcieliby odwiedzić Maszarawiego jako przedstawiciele ONZ-u, organizacji, która zatrudnia go wówczas, gdy nie pracuje na uniwersytecie.

Al-Fara odwrócił się na dobre od telewizora i wlepił wzrok w Omara Jussefa. Żrenice mu się zwięzły. Kiedy aresztowali Maszarawiego, ten facet nie miał pojęcia, że nauczyciel pracował także dla ONZ-u, pomyślał Omar Jussef. Profesor Maki mu nie powiedział, więc teraz jest wściekły, bo cudzoziemcy będą go za tę sytuację obwiniać. Wewnętrzna sprawa zamieniła się nagle w incydent międzynarodowy, a na tym mu przecież nie zależy.

- Nie możecie się z nim widzieć - oświadczył Al-Fara.

- ONZ będzie nalegał, żeby jego przedstawicielom zezwolono na widzenie się z Maszarawim - powiedział podniesionym głosem Omar Jussef. - Chodzi o to, by sprawdzić, w jakim jest stanie, i omówić z nim sytuację.

Zauważył, że Wallender obrócił się ku niemu nieznacznie, pragnąc się dowiedzieć, co mówią po arabsku. Wyczuwał narastające napięcie, nie chciał jednak przerywać rozmowy.

Al-Fara przyglądał się rozżarzonej końcówce swojego papierosa.

- W humanitarnym geście pozwolę na widzenie jego żonie. Nie mogę jednak wydać takiego pozwolenia nikomu innemu, dopóki śledztwo się nie zakończy.

- Kiedy będzie mogła się z nim zobaczyć? - spytał Omar Jussef.

Al-Fara rzucił niedopałek do szklanej popielniczki i rozłożył szeroko ręce.

- Dzisiaj, oczywiście.

- Dziękuję. Czy będziemy mogli bardziej szczegółowo porozmawiać z panem o tej sprawie, jak już pani Maszarawi przekaze nam uwagi o stanie męża?

- Nie będzie mnie tutaj.

- Może w takim razie wieczorem?

- To niemożliwe. Nie będzie mnie w Gazie.

- A gdzie pan będzie?

Al-Fara uśmiechnął się i spojrzął surowo na Omara Jussefa.

- W Tel Awiwie. Mam spotkanie z ambasadorem Stanów Zjednoczonych.

- Spotkanie zajmie panu całe popołudnie i wieczór?
- Całą noc. Nie idę tam po to, żeby się tylko przywitać. Spotykam się z ambasadorem, a nie ze swoją ciotką. Będę omawiał ważne kwestie; rozmowy z pewnością przeciągną się do późna.
- Po chwili przeszedł na angielski i spojrzał na Cree. - Jestem pewien, że ONZ wie o tych rozmowach, których tematem będzie bezpieczeństwo.

Omar Jussef zerknął na Szkota. Wie o tym? - zastanawiał się.

- Oczywiście, to są kontakty na wysokim szczeblu, nie waznym - zauważył Al-Fara, przenosząc z wolna wzrok z Omara Jussefa na Wallendera.

Już na dziedzińcu, Omar Jussef przystanął, żeby wydmuhać z nosa pył. Ponad rzędem samochodów dostrzegł małe, zakratowane okna w murze. Cele więzienne. Ogarnęło go zniechęcenie, a pierś przeszył chłód. Wiedział, co musi czuć Maszarawi zamknięty w jednym z tych pomieszczeń. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zawołać go po imieniu, ale Wallender i Cree już zbliżali się do bramy, zadowoleni, że udało im się załatwić spotkanie Maszarawiego z żoną.

Omar Jussef znów spojrzał na okna. Nie dostrzegł szyb za kratami we framugach. Pył, który wisiał w powietrzu, musiał wypełniać cele jak wszystko inne.



## ROZDZIAŁ 7

Pod powiekami Omar a Jussefa wibrowały jaskrawopomarańczowe kropki, które przechodziły w czerwień i fiolet. Bolała go głowa, oddech miał płytki, bo powietrze było gorące, ciężkie i wilgotne.

- Nie można chyba czekać w gorszym miejscu - westchnął Cree.

Omar Jussef otworzył oczy i od razu poczuł, jak jaskrawy blask słońca wwierca mu się w mózg. Szkot siedział po drugiej stronie pustego pokoju na plastikowym ogrodowym krześle, jego wysoka postać była niezgrabnie zgięta. Ujmował palcami materiał koszuli na ramionach i odlepił go od przepoconej skóry. Wallender miał zamknięte oczy. Ręce wspierał o kolana i oddychał przez nos, wolno i głęboko. Okna były tak zamalowane, że nie dało się ich uchylić, nie miały też rolet. Cree zablokował wcześniej otwarte drzwi krzesłem, żeby zapewnić jako taką cyrkulację powietrza, ale korytarz cuchnął nieczystościami w zapchanej toalecie. Nie ulegało wątpliwości, że celowo wybrano ten pokój na poczekalnię; czas włókł się tu niemiłosiernie, a każdy oddech wymagał ogromnego wysiłku, w dodatku śmierdzące powietrze było niemal całkowicie pozbawione tlenu.

Zbliżała się już czternasta. Przywieziono Salwę Maszarawi do komendy służby prewencyjnej w południe. Przysadzisty

wartownik, z którym Omar Jussef wdał się w utarczkę słowną podczas pierwszej wizyty, przyprowadził ich do tego pokoju na parterze, podczas gdy inny ruszył wraz z Salwą przez dziedzińiec w stronę cel więziennych. Strażnik zamknął drzwi na końcu korytarza, by nie mogli chodzić po budynku. Pozostałe, które były otwarte, prowadziły do pomieszczeń równie pustych i dusznych jak to.

Omar Jussef czuł ucisk w piersi. Martwa atmosfera pokoju była mu znajoma, choć przywoływała wspomnienie, które wolałby wymazać z pamięci. W jednej chwili przypomniał sobie głuchy odgłos przekręcanych zamków, wstrętne jedzenie i gorące, nieruchome powietrze. Czuł chęć, by powiedzieć o tym cudzoziemcom, ale zaczął się zastanawiać, co by sobie o nim pomyśleli. Wiecie, dawno temu też siedziałem w więzieniu - powiedziałaby. To była jawna niesprawiedliwość, kwestia zemsty politycznej. Nie uwierzyliby mu. Uznaliby, że był winien, ponieważ pochodzili z krajów, gdzie panowały prawo i sprawiedliwość. Może to wstyd każe mi milczeć, przyszło mu do głowy. Wstyd nie dlatego, że siedziałem w więzieniu, tylko dlatego, że zmusili mnie do rezygnacji z polityki groźbą dłuższego wyroku. Wstyd że wybrałem spokojne i łatwe życie, podczas gdy wkoło było tyle cierpienia i śmierci. Spojrzał na słońce za oknem i zacisnął szczęki, by powstrzymać się od mówienia.

Na końcu korytarza ktoś przekręcił klucz w zamku i drzwi się otworzyły. Usłyszeli ciężkie kroki, które po chwili ustały.

- Chodźcie tutaj! - zawołał strażnik. Jego głos odbił się echem w długim holu.

Wallender otworzył oczy i przeciągnął się, kręcąc głową.

- Cudowny odpoczynek - oznajmił z westchnieniem zadowolenia.

Cree popatrzył na niego z otwartymi ze zdziwienia ustami.

Omar Jussef szedł ciemnym korytarzem za cudzoziemcami. Czuł się zeszytywniały, ale próbował iść jak najszybciej. Strażnik obserwował go cały czas, a Omar mimowolnie obawiał się, że zostanie w tyle i zamkną go tutaj, pozbawionego opieki ONZ-u,

razem z odorem odchodów, doprowadzającym do szaleństwa upałem i strasliwą bezradnością.

Salwa Maszarawi czekała na nich przy bramie, ubrana w luźną czarną suknię i kwiecistą chustę. Kiedy się zbliżyli, poprawiła nakrycie głowy i wytarła nos różową chusteczką.

- Jak się czujesz? - spytał Omar Jussef.

Salwa uśmiechnęła się i zaczęła obracać w palcach jeden ze złotych guzików sukni. Czy miała zaczerwienione. Płakała.

- Dobrze, niech Allahowi będą dzięki, *ustaz*.

- Zawieziemy cię do domu. Przekażesz nam wiadomości od Ejada.

Kiedy znaleźli się pod jej domem w At-Tuffah i wchodzili na podwórze, Salwa obrzuciła długim spojrzeniem rysunek Kopuły na Skale otoczonej drutem kolczastym. Nadzi czekał w drzwiach, bawiąc się odruchowo swoim odstającym uchem. Salwa szepnęła coś do niego i zaprowadziła gości do salonu, gdzie przyjęła ich podczas pierwszej wizyty. Omar Jussef zerknął na zdjęcie jej męża, powściągliwego i jakby spiętego, z przekrzywioną głową, by ukryć odstające ucho. Omar Jussef zastanawiał się, czy Maszarawi przejmuje się takimi drobnostkami po nocy spędzonej w więzieniu.

Salwa usiadła z dłońmi złożonymi na kolanach. Spojrzała na zdjęcie męża, jakby pragnęła poczuć jego obecność przed zrelacjonowaniem ich niedawnego spotkania.

- Mąż prosił mnie, bym przekazała wam pozdrowienia i podziękowała za zaangażowanie - powiedziała.

- Jak się czuje? - spytał Omar Jussef.

- Z przykrością muszę powiedzieć, że był torturowany, *ustaz*.

Omar Jussef zdawał sobie sprawę z upału, pyłu i smrodu w areście, ale nie przyszło mu do głowy, że mogliby torturować tego człowieka. Wallender jęknął i podrapał się po brodzie.

- Ponieważ odwiedziliście rano pułkownika Al-Farę, nakarmiono Ejada, ale przedtem trzymano go bez wody i jedzenia ponad dwadzieścia cztery godziny - wyjaśniła. - Trzymali go w pozycji *szabbah*. Wiecie, jak ona wygląda.

- Czytałem o tym - wyznał Cree. - Niski przysiad, tułów zgięty do przodu, ręce skrepowane z tyłu, pięty nad ziemią. Po kilku minutach człowiek czuje się tak, jakby nogi i plecy paliły go żywym ogniem.

Salwa zakryła sobie dłonią nos i usta. Zaszlochała i zwiesiła głowę, potem wyprostowała się i odetchnęła głęboko.

- Bili go w podeszwy stóp i nakładali mu na głowę worek cuchnący wymiocinami. Związali mu dłonie na plecach i powiesili za ręce. Zemdlął kilka razy.

- Jak mogli? - Omar Jussef przesunął palcami po brwiach. Pomyślał o niepokoju, jaki odczuwał, gdy czekali na Salwę. Wstydził się teraz tego, że się nad sobą uzał, gdy tuż obok Maszarawi doznawał prawdziwych cierpień.

Do pokoju wszedł najstarszy syn Salwy, niosąc tacę z herbatą. Omar Jussef dostrzegł z ulgą, że chłopiec pochyła głowę i ramiona z typową młodzieńczą niezgrabnością. Nie chciał, by Nadzi zauważył żal i przerażenie w oczach gości, gdy na niego patrzyli. Chłopiec ustawił filiżanki na stole i wyszedł z pokoju.

- Ejad z początku rozmawiał ze mną w miarę normalnie. Ale kiedy zaczął opowiadać o torturach, załamał się. - Pod wpływem wspomnienia tej chwili Salwa umilkła na chwilę i sięgnęła po chusteczkę leżącą na stoliku. - Mogłam z nim rozmawiać tylko przez stalową kratę. Wszedł do pomieszczenia przygarbiony i powłóczył nogami, jakby każdy ruch sprawiał mu niewyraźalny ból. Uśmiechnął się i spytał mnie o dzieci. Powiedziałam mu o waszej pomocy, Abu Ramizie. Był bardzo wdzięczny i przesyłał wam pozdrowienia.

- O co pytano go w czasie przesłuchania? - spytał ją Omar Jussef.

- Nie zadawali mu pytań. Kazali tylko podpisać oświadczenie.

- Jakie oświadczenie?

- Że jest szpiegiem CIA i że jego celem było rozsiewanie plotek wymierzonych w rząd. Powiedzieli, że w przeciwnym razie uniwersytet przestanie wypłacać mu wynagrodzenie i że nie będzie miał pieniędzy na utrzymanie mnie i dzieci.

- Dostanie wynagrodzenie od ONZ-u - wtrącił Wallender.  
Salwa przytaknęła z wdzięcznością.

- Spytał przesłuchującego, kiedy zostanie zawieszony na rozprawę. A ten roześmiał się i odparł: „Kiedy powstanie państwo palestyńskie”. Rozumiecie - zwróciła się do Wallendera i Cree - tak ludzie tutaj mówią, kiedy chcą dać do zrozumienia, że coś się nigdy nie zdarzy. To taki żart. Potem mój mąż się rozplakał i powiedział, że ma wrażenie, jakby już zdążył umrzeć pięćset razy. Tak bardzo się martwię, Abu Ramizie. Jeśli Ejad jest w takim stanie po jednym dniu, to być może naprawdę zamierzają go zabić.

- Wątpię w to - pokręcił głową Omar Jussef. - Powiedziałaś, że go nakarmili, kiedy zdali sobie sprawę, że jego sprawą zajmuje się ONZ. Przesną go także torturować. Wczoraj był tylko Palestyńczykiem, a wszyscy wiemy, jak służba bezpieczeństwa traktuje swoich rodaków. Teraz stał się obiektem międzynarodowego zainteresowania. Wiedzą, że gdyby musieli pokazać go śledczym z ONZ-u, lepiej żeby nie wyglądał na torturowanego. Będą chcieli wszystkiemu zaprzeczyć, powiedziec, że ich niesłusznie oczernia, bo przecież dobrze go traktowali.

Wallender wstał.

- Umm Nadzi, będziemy w kontakcie z naszym biurem w Nowym Jorku. Prześlemy natychmiast raport o torturach, żeby wywrzeć nacisk na rząd i zmusić go do bezzwłocznego rozwiązania tej sytuacji.

- Magnusie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zostać przez chwilę sam z Umm Nadzi - powiedział Omar Jussef.

- Dobry pomysł, Abu Ramizie. Pojedziemy do hotelu i przesłaliśmy wiadomość do biura.

- Doskonale. Wrócę pewnie późnym popołudniem. Muszę mieć trochę czasu, żeby przygotować się do spotkania z profesorem Makim. Zjecie kolację w hotelu?

- Nie martw się o starego Magnusa - powiedział uspokajającym tonem Cree. - Zabiorę go do najlepszej restauracji rybnej w Gazie.

Wallender i Szkot wyszli. Salwa i Omar Jussef siedzieli w milczeniu, kiedy wóz ONZ-u zmagął się na tylnym biegu z piaszczystą alejką.

- Zapraszam cię na obiad, Abu Ramizie.

- Niech Bóg cię błogosławi.

Spuściła głowę, a jej chusta zadrżała. Omar Jussef wyjął chusteczkę z pudełka na stoliku i podał Salwie. Otarła oczy, ale łzy nie przestały płynąć.

- Boję się, Abu Ramizie.

- To okropna, przerażająca sytuacja, moja córko. Ale nie jesteś sama.

- Boję się o mojego syna, Nadziego. Wiesz, co się dzieje z synami kolaborantów... tak bardzo pragną naprawić zszarganą reputację rodziny, że zgłaszają się do samobójczych akcji przeciwko Izraelczykom. To taki spokojny chłopak. Mógłby zaplanować coś strasznego, a ja bym nic o tym nie wiedziała, dopóki nie podaliby tego w wiadomościach.

- Nie wydaje mi się - pokręcił głową Omar Jussef. - Zresztą jego ojciec jest na razie tylko oskarżony o kolaborację. Zrobimy wszystko, by sprawa nie zaszła dalej.

Salwa pociągnęła nosem.

- Dziękuję ci, *ustaz*. Pójdę teraz przygotować obiad.

Wyszła z pokoju.

Omar Jussef usłyszał dobiegający z kuchni brzęk talerzy wyjmowanych z szafek. Ten odgłos wydał mu się kojący i swojski, zwłaszcza gdy przypomniał sobie wielką i pustą salę jadalną w Sands Hotel.

W drzwiach stanął chłopiec. Splótł palce i wlepił wzrok w dłonie.

- Tak, Nadzi?

- *Ustaz*, chciałbyś zobaczyć moje ptaki?

- Z przyjemnością.

Chłopiec zaprowadził Omara Jussefa na górę, do dużego jasnego pokoju na tyłach domu. Omar usłyszał gołębie, których gardłowe gruchanie zwróciło jego uwagę w ogrodzie oliwnym,

kiedy po raz pierwszy odwiedził ten dom. Pokój był urządony po spartańsku. Na łóżku leżał kolorowy, mechaty koc ze sztucznego, taniego materiału. Pod ścianą stało niewielkie biurko, a na nim piętrzył się stos zeszytów i książek. Nadzi otworzył szklane drzwi prowadzące na balkon. W przeciwległym kącie stała klatka ze sklejki i drucianej siatki, o bokach sto osiemdziesiąt na sto osiemdziesiąt centymetrów. W środku, na gałęzi drzewa oliwnego, przycupnęła para gołębi. Wokół nich zataczały koła dwa kanarki. Nadzi nachylił się nad tacą z ziarnami i wysypał z niewielkiego woreczka trochę karmy. Podniósł wzrok na ptaki, a na jego smutnej twarzy pojawił się na chwilę uśmiech. Omar Jussef poczuł, jak z żalu drżą mu wargi.

- Słyszysz, co one mówią, *ustaz*? Posłuchaj, mówią *uzkuru Allah*. Słyszysz to?

„Pamiętaj o Allahu”. Dzieci zazwyczaj w ten sposób wsłuchują się w gruchanie gołębi, żeby usłyszeć te słowa. Omar Jussef zaczął słuchać monotonnych głosów białych ptaków i obserwował dyskretnie łagodny wyraz twarzy chłopca.

Nadzi wyprostował się i zaczął palić o stalową siatkę. Jeden z kanarków przysiadł mu na kciuku.

- Czy mojemu ojcu nic się nie stanie, *ustaz*?

Omar Jussef pociągnął nosem i odchrząknął.

- Oczywiście, że nie.

- Zrobił coś złego?

- Wręcz przeciwnie. Twój ojciec wystąpił w obronie tego, co słuszne. W miejscu pełnym złych uczynków jest to ryzykowne zachowanie.

Z dołu schodów dobiegł głos Salwy wołającej syna. Ostrożnie opuszczając rękę, chłopiec pozwolił, by kanarek sfrunął, a potem przyglądał się, jak ptak siada przy tacy z ziarnami.

- Mama chyba przygotowała jedzenie - powiedział Nadzi.

Stół do posiłków znajdował się w małej jadalni we frontowej części domu. Kiedy Omar Jussef tam wszedł, Salwa stawiała właśnie na blacie ostatnią miseczkę z sałatką z bakłażana.

- *Baba ghanudż*\* to ulubiony przysmak Ejada - wyznała. - Proszę, Abu Ramizie, usiądź tutaj.

\* *Baba ghanudż* - tradycyjna przekąska arabska przygotowana z purée z bakłażanów, pomidorów i cebuli przyprawionych czosnkiem i oliwą.

Omar Jussef zajął miejsce u szczytu stołu. Salwa przedstawiła go czterem pozostałym chłopcom. Starsi przyglądali mu się z zainteresowaniem. Młodszy mieli po sześć i siedem lat i rozdzielali chleb na wąskie paski, jakby nie dostrzegając gościa.

Stół był zastawiony hummusem\*\* i innymi przekąskami - ostrą paprykową pastą *turkije* i łagodną jogurtową *labne*. Wydawało się, że chłopcy najbardziej lubią marynowaną rzodkiew: każdy miał ją na talerzu, pokrojoną w plastry, z kilkoma oliwkami z boku. Omar Jussef otworzył przypominający pierożek *kubbe*. Z wnętrza pszennej skorupki dobył się słodki zapach cynamonu i nasion pinii, którymi było przyprawione mielone jagnięce mięso. Uśmiechnął się do Salwy.

\*\* Hummus - tradycyjna przekąska arabska przygotowana z purée z gotowanej ciecierzycy przyprawionej czosnkiem, pieprzem, pastą z nasion sezamu, sokiem z cytryny oraz oliwą.

- Umm Nadzi, rzadko jadam coś, czego nie przygotowuje mi moja droga żona Mariam, a jest wspaiałą kucharką. Dlatego nie lubię podróżować. Jednak twoje umiejętności kulinarne sprawiły, że moja nieobecność w Betlejem jest dzisiaj mniej bolesna.

Salwa się uśmiechnęła.

- Bardzo się cieszę. Na zdrowie - powiedziała. - Twoja rodzina pochodzi z Betlejem, Abu Ramizie?

- Nie, jesteśmy uchodźcami z wioski położonej na obrzeżach Jerozolimy. Mój drogi ojciec przybył do Dehajszy w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, kiedy byłem dzieckiem. Ale wrosłem w Betlejem. Nie chcę wracać do rodzinnej wioski.

- Wciąż tam jest?

- Na otaczających ją polach stoi teraz izraelskie centrum handlowe, możesz zobaczyć takie w telewizji nadawanej z krajów



zatoki. Nie widziałem niczego podobnego w żadnym z naszych miast, choć słyszałem, że budują coś takiego w Ram Allah.

- Odwiedziłeś kiedykolwiek rodzinne strony?

- Raz tam pojechałem, kiedy jeszcze można było dostać bez trudu pozwolenie. Prawdę mówiąc, niewiele tam pozostało, z wyjątkiem meczetu, który już nie funkcjonuje. Byłem mały, kiedy wyjechaliśmy, więc znam wszystko tylko z opowieści ojca. Teraz jednak wydają się tak realne, że zamieniły się we wspomnienia. - Omar Jussef zerknął na dzieci i pomyślał o ich ojcu. - Posłuchajcie chłopcy, wszystko, co wydaje się złe, przemija. Życie jest bardzo długie. Kiedy jest się młodym, złe wydarzenia wydają się większe, niż są w rzeczywistości. Spójrzcie, przeżyłem klęskę naszego narodu, ale mimo wszystko jestem szczęśliwym człowiekiem. Uczyłem się pilnie w szkole, a teraz pracuję ciężko i mam udaną rodzinę.

- Zdawałeś egzaminy w szkole? - spytał siedmiolatek, przyglądając się uważnie Omarowi Jussefowi i wkładając do ust porcję hummusu.

- Tak, zdawałem mnóstwo egzaminów. Studiowałem na uniwersytecie w Damaszku.

- Dlaczego cię nie aresztowali?

- Nikt nie aresztuje za zdawanie egzaminu, Safjanie - wyjaśniła mu matka.

Chłopiec nie wyglądał na przekonanego. Patrzył na Omara Jussefa ze zmarszczonym czołem, jakby uniknięcie aresztowania za zdawanie egzaminów czyniło z tego starszego człowieka uczestnika spisku, który pozbawił go ojca.

- Dlaczego nie aresztowali ciebie zamiast taty?

Omar Jussef miał w ustach *kubbe*, ale zdawało mu się, że go nie przelknie.

- Jesteś policjantem? - spytał chłopiec.

- Zamknij się, Safjan. - Nadzi potrząsnął brata za ramię.

- Jestem nauczycielem, jak twój tata - sprostował Omar Jussef.

- Tata mówi, że nauczyciele muszą być jak policjanci - oznajmił Safjan. - Muszą ustalić prawdę, a potem zrobić wszystko, by przekazać ją dzieciom.

- Bardzo chciałbym poznać twojego ojca. Myślę, że bym go polubił.

Kiedy policja nie docieka prawdy, dorośli siedzą cicho, pomyślał Omar Jussef. - Kiedy robi się niebezpiecznie, tylko dzieci zadają pytania. I może jeszcze ich nauczyciele, ponieważ martwią się o umysły swoich podopiecznych i o przyszłość, w jakiej będą dorastać. Dlatego Maszarawi nie chciał milczeć pomimo niebezpieczeństwa. Może dlatego i ja tu jestem.

## ROZDZIAŁ 8

Delegaci rady rewolucyjnej tłoczyli się przy kontuarze recepcji Sands Hotel, kiedy Omar Jussef wrócił z obiadu w domu Maszarawich. Dwie wizyty w kwaterze pułkownika Al-Fary tego ranka zupełnie go wyczerpały. Koszulę miał mokrą, prze pocone i potargane włosy opadały na kołnierz, a oczy piekły go od pyłu. Chciał się napić kawy, ale sala jadalna wypełniona była przez polityków i ich doradców, którzy prowadzili głośne rozmowy.

Chamis Zejdan siedział przy stoliku obok drzwi, a wraz z nim sześciu innych ludzi, wszyscy w garniturach. Podobnie jak Sami Dżaffari, ubrany był w czarny podkoszulek, który podkreślał kształtną muskulaturę jego ramion i piersi. Wszyscy palili papierosy albo fajki wodne. Ci w garniturach słuchali z uwagą tego, co mówił Chamis Zejdan. Omar Jussef nie mógł dosłyszeć słów przyjaciela, ale wyczuwał zbliżającą się puentę. Chamis odchylił się na krześle i z każdym słowem unosił ramiona coraz wyżej. Kiedy znalazły się nad jego głową, zebrani wokół stołu wybuchnęli śmiechem.

Sami dostrzegł Omara Jussefa przez szklane drzwi. Mrugnął i wymownie przewrócił oczami, dając znak, że sprawia mu to cierpienie.

Omar Jussef poszedł do swojego pokoju. Usiadł na łóżku. Ktoś zamknął obok drzwi i ruszył korytarzem, spierając się

przez telefon komórkowy. Potem zapadła cisza. Omar Jussef słuchał własnego oddechu. Pomyślał o Ejadzie Maszarawim, bitym i cierpiącym, i o jego dzieciach, które tęskniły za nim w domu. Wiedział, że to, czy wykładowcy uda się uniknąć dalszych tortur, może zależeć od jego rozmowy z profesorem Makim. Poczł tak niespodziewaną i rozpaczliwą samotność, że szczeka wydała mu się ciężka, a skóra na twarzy obwisła. Podniósł słuchawkę telefonu, starając sobie przypomnieć, jak uzyskać połączenie zamiejscowe. Potem zadzwonił do domu. Odebrała Nadia.

- Witam cię, kochanie - powiedział Omar Jussef. - Jak się masz?

- Dobrze, niech Bogu będą dzięki, dziadku. Co słyhać w Gazie?

- U nas burza piaskowa - odparł. - A jak pogoda w Betlejem?

- Bardzo gorąco, ale burzy nie ma.

- Macie szczęście. Co robisz?

- Czytałam dziś po południu jedną z twoich książek, dziadku. Tę dużą, o Egipcach, z obrazkami piramid i egipskich bogów.

- Jestem pewien, że nie pozwoliliby mi wwieźć takiej książki do Gazy. Hamas miałby zastrzeżenia do jej pogańskiego charakteru.

- Właśnie. Wstydz się, dziadku.

Omar Jussef próbował sobie przypomnieć, ile lat mieli jego synowie, kiedy zaczęło się u nich pojawiać poczucie ironii. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Nadia, w wieku dwunastu lat, była pod tym względem niezwykle dojrzała.

- No więc przeczytałam w tej książce, że Set, który ma głowę szakala, był bogiem pustyni i że wywoływał burze piaskowe - oświadczyła dziewczynka.

- W takim razie ten bóg z głową szakala jest tu wyjątkowo aktywny. Pechowo dla mieszkańców Gazy.

- Czytałam także o ludziach. O tym, skąd pochodzili według Egipcjan.

- Więc skąd pochodzili?

- Bóg stworzenia nazywał się Atum. To za jego sprawą wszystko się pojawiło. Najpierw z nosa wydmuchał boga powietrza. Potem wypluł z ust boginię wody. Następnie stworzył pozostałych, których dokładnie nie pamiętam, ale wszyscy wyszli z jego ciała. Kiedy Atum ujrzał rezultat swojego działania, zapłakał, a każda łza stała się człowiekiem. Widzisz więc, że wszyscy pochodzimy od płaczącego boga.

Omar Jussef przypomniał sobie ten mit. I to, że wszystko zaczęło się od pobudzonego Atuma, który powołał bogów do życia swoim orgazmem. Miał nadzieję, że tego akurat nie było w książce, którą czytała Nadia.

- Co myślisz o tym micie? - spytał.

- Myślę, że ma sens. Wyjaśnia, dlaczego życie często jest takie smutne i dlaczego spotykamy się z taką niegodziwością, bez względu na to, jak jesteśmy dobrzy.

- Może Atum płakał łzami szczęścia.

- Nie wpadłam na to, dziadku. Ale wątpię, by tak było.

- Cieszę się, że czytasz o historii i o tym, jak starożytni rozumieeli świat. Życie to coś więcej niż poglądy ludzi z naszego miasta czy naszej epoki. Mam jeszcze wiele ciekawych książek. Pokażę ci, kiedy wrócę do Betlejem.

- Dziadku, przygotowałam ci stronę główną - poinformowała go Nadia, nagle podekscytowana.

- Narysowałaś coś dla mnie?

- Że co? Nie. Mam na myśli twoją stronę internetową. Zaczęłam wczoraj po naszej rozmowie. Zarejestrowałam twoją domenę i napisałam tekst do strony głównej, zamieściłam także twoje zdjęcie i wykonałam trochę grafiki.

- Co to takiego strona główna?

- Kiedy ludzie wystukają adres twojej strony internetowej, to najpierw pojawi się właśnie ta strona. Oczywiście, muszę zrobić także inne strony, żeby można było po nich surfować.

Dorosła szybciej, niż to sobie uświadamiałem, pomyślał Omar Jussef. Rozumie smutek tkwiący u podstaw świata w tej

historii o łzach egipskiego boga. Ale odznacza się także technicznym entuzjazmem, co oznacza, że wierzy w przyszłość. Zastanawiał się, jakim cudem nie dostrzegł tej zmiany w swojej ukochanej wnuczce. Być może nie zauważył też innych zmian w otaczającym go świecie, ponieważ bezpośrednio go nie dotyczyły. Przypomniał sobie swoje zaskoczenie, kiedy Salwa powiedziała mu, że torturowano jej męża. Teraz to zdziwienie wydało mu się obce, jakby przyjmował za rzecz oczywistą, że człowieka aresztowanego za krytykowanie władz bije się w podeszwy stóp. Od czasu pobytu w więzieniu, dawno temu, przez dziesiątki lat wznosił wokół siebie mur niewinności, ale stracił jej trochę w Gazie. Być może nie była to niewinność, tylko ślepotą. Rozumiał, dlaczego bóg Atum płakał, spojrzawszy na świat, który sam stworzył.

- Dziadku, jest w tym twoim hotelu komputer?
- Tak, w recepcji.
- Mają dostęp do Internetu?
- Mogę spytać. Recepcjonistka to bardzo miła pani.
- Zapisz sobie adres swojej strony. To [www.pa4d.ps](http://www.pa4d.ps).

Omar Jussef zapisał adres strony na kartce z hotelowego bloczku.

- Co to znaczy?

Nadia wybuchnęła śmiechem.

- Zobaczysz. Będziesz musiał otworzyć ją w Internecie.

Chcesz rozmawiać z babcią?

- Tak, kochanie, poproś ją.

Złożył karteczkę z adresem i schował do kieszeni na piersi. Zasuwał z powrotem zasłony w oknach. Podjazd pod hotelem miał długość około osiemnastu metrów i dochodził do głównej drogi biegnącej wzdłuż plaży. Pył krążący w powietrzu gęstniał w mroku. Drogą truchtał osioł ciągnący wózek załadowany skrzynkami pomidorów. Jechał za nim sznur żółtych taksówek, a ich kierowcy trąbili wściekle i przepychali się, by wyprzedzić zawalidrogę. Grupa żołnierzy w czerwonych beretach opierała się o budkę wartowniczą przed domem szefa wywiadu wojskowego. Był to zwykły sześciokondygnacyjny blok. Tylko na

jednym piętze paliło się światło, które dawało chorobliwy blask przenikający chmurę pyłu. Do telefonu podeszła Mariam.

- Omar, najdroższy, co jadłeś na obiad?

Znowu poczuł dojmującą samotność.

- Mariam, jesteś moim życiem, kocham cię.

- Omar?

- Przyjadę niedługo, obiecuję.

- Coś się stało?

Poczuł, jak pieką go oczy. Pomyślał, że byłoby dobrze wypłakać cały ten pył. Był gotów to zrobić. W pokoju panował chłód, a on wyobrażał sobie, że jest w nim uwięziony, z dala od domu. Wiesz, jak to jest - być zamkniętym, przerażonym i samotnym, pomyślał. Miał mdłości i bał się, że zniszczy wszystko tego wieczoru, zwracając posiłek przy stole profesora Makiego. Odetchnął głęboko i spróbował przywołać w pamięci twarz żony.

- Zjadłem przyzwoity obiad w domu przyjaciela.

- To dobrze. Nie pozwalaj się prowadzić Magnusowi do restauracji. Oszczędzają tam na gościach.

- Dzisiaj też będę jadł obiad w domu pewnego... przyjaciela.

- Nadia mówiła ci o twojej stronie?

- Tak, widziałas ją?

- Nie, nie pokaże jej nikomu, dopóki jej nie zaakceptujesz.

- Jest bardzo bystra.

- Zaskoczony?

- Nie, dumny. Muszę przygotować się do kolacji, Mariam.

- Oczywiście. U nas wszystko dobrze, Bogu niech będą dzięki.

Zawahał się.

- Jesteś moim życiem.

Mariam się roześmiała.

- Omar, zamierzasz śpiewać moje ulubione pieśni? Niech Allah cię błogosławi, kochanie.

Omar Jussef odłożył słuchawkę. Pod domem generała Musy Hussajniego po drugiej stronie ulicy zatrzymały się z piskiem opon trzy dżipy. Przypuszczał, że to zmiana warty, ale żołnierze przy bramie pozostali na swoich stanowiskach, a wozy nie odjechały. Otoczyli kordonem wejście. Żołnierze wyskoczyli z pojazdów i wbiegli do budynku. Na wszystkich piętrach zapaliły się światła, potem jednocześnie zgasły.

Omar Jussef wyłączył lampę w pokoju i obserwował siedzibę Hussajniego. Nic się nie działo. Czekał. Być może chodziło tylko o wzmocnienie warty. Może zawsze tak się przygotowywali do nocy. Tyle że jest burza piaskowa, pomyślał. Ciemność będzie wyjątkowo nieprzejrzana.



## ROZDZIAŁ 9

Omar Jussef wysiadł z taksówki przy ulicy Emila Zoli o wpół do ósmej. Oparł się o gładką korę wysokiej sykomory i odkaslnął. Przez powietrze przepływały fale pyłu. Wraz z zapadającym mrokiem burza piaskowa przemieniała się w oczach Omara Jussefa w monochromatyczną plamę. Konary drzewa kołysały się nad jego głową, ścierając się z trójkolorową flagą za murem Francuskiego Centrum Kultury. Metalowe kółka uderzały rytmicznie o maszt.

Nagły podmuch wiatru od tyłu rozwiął mu białe włosy i cisnął w oczy. Omar poruszał się ostrożnie, ponieważ nawet tutaj, w najbardziej luksusowej dzielnicy Gazy, chodniki były nierówne. Zaczepił palcem stopy o wystającą płytę, wypchniętą ze swojego miejsca przez korzenie innej starej sykomory, i się potknął. Z ulgą dotarł do bramy i odszukał dzwonek. Obok, na białej ścianie, widniało nazwisko Makiego.

Za wysokim murem wiatr był łagodniejszy. Omar Jussef przyczesał włosy plastikowym grzebykiem, który wyjął z kieszeni na piersi, a buty otarł o spodnie, by oczyścić je z pyłu. Ogród, w którym się znalazł, był bujny i tropikalny. Omar Jussef zastanawiał się, czy Makiego można winić za niedobór wody w Gazie, ponieważ trawa wyglądała na niezwykle gęstą, a podnóża palm daktylowych niknęły w niskich krzewach paproci. Ścieżka prowadząca do domu była krótka, ale zakrecała wokół

fontanny z marmuru pokrytej turkusowymi płytkami. Z krzewu obok szemrzącej wody wychylała głowę plastikowa lania. Omar Jussef przycisnął dłoń do jej nosa i pogłaskał ją po głowie.

Kiedy wszedł po schodach na ganek, otworzyły się proste mahoniowe drzwi. Ujrzał w nich drobną służącą ze Sri Lanki w brązowej nylonowej podomce. Zaprosiła go do środka i przywitała po angielsku pozbawionym intonacji szeptem. Była szczupła, wyprostowana i koścista, przez co wyglądała jak mała dziewczynka. Omar Jussef podziękował jej i rozejrzał się wokół. Nigdy jeszcze nie widział takiego luksusu w domu jakiegokolwiek Palestyńczyka. Podłogi pokrywał mlecznobrązowy marmur, lśniący niczym tafla letniego jeziora. Żyrandol był tak wspaniały i wielki, że nawet ostatni szach mógłby go uznać za zbyt ostentacyjny, stół zaś i krzesła wydawały się równie błyszczące jak podłogi. Pomyślał, że ta drobna służąca ze Sri Lanki musiała wkładać mnóstwo wysiłku w utrzymanie porządku.

- Profesor Adnan za chwilę przyjdzie, sir - powiedziała. - Czy przynieść panu drinka?

- Dziękuję. Poproszę wodę sodową.

Stół był zastawiony dwoma nakryciami z połyskliwego drogiego srebra i kryształu. Omar Jussef pomyślał o miejscu, w którym znajdował się Ejad Maszarawi i upomniał się w duchu, by czuwać nad każdym etapem rozmowy. Od tego zależała wolność nauczyciela.

Służąca przyniosła wodę sodową i zniknęła. Szklanka drżała mu w dłoni.

Przez pokój popłynęły ciche dźwięki miłosnej pieśni Fejruz\*. Znalazłszy się w takim przepychu, Omar Jussef niemal oczekiwał, że zza kotary wyjdzie ta libańska diwa w towarzystwie kwartetu smyczkowego.

\* Fejruz - libańska piosenkarka popularna w całym świecie arabskim.

Pojawił się jednak tylko profesor Adnan Maki. Wyłonił się z korytarza, którego drzwi były zamaskowane przez czarny emaliowany chiński parawan ozdobiony wizerunkami niebieskich

i czerwonych ptaków. Miał na sobie luźną błękitną koszulę i ciemne płócienne spodnie. Strój ten upodabniał go do pirata z jakiegoś filmu. Rozłożył szeroko ramiona.

- Mój drogi *ustaz* Abu Ramiz - oświadczył.

Omar Jussef zbliżył się do niego ostrożnie, na wypadek gdyby marmurowa posadzka była tak śliska, na jaką wyglądała.

Maki ucałował go trzykrotnie w policzki. Tak jak uprzednio, roztaczał wokół siebie silny aromat wody kolońskiej.

- Czuj się jak u siebie w domu - powiedział na powitanie.

- Jestem szczęśliwy, mogąc gościć u ciebie - odparł Omar Jussef.

- Witaj, witaj, witaj, Abu Ramizie. Niech miłosierny Bóg cię błogosławi.

- I ciebie również.

Maki wziął Omara Jussefa za rękę i zaprowadził do stołu. Podsunął mu krzesło, czekając, aż gość usiądzie. Zerknął na szklanekę z wodą sodową.

- Abu Ramizie, nie jesteś już w Hamastanie\*. Wnętrze tego domu nie należy nawet do Gazy, jeśli o mnie chodzi. Znajduje się tam, gdzie akurat chcę, i może być miejscem każdej przyjemności, jakiej zapagnę.

\* Hamastan - tu żartobliwe określenie terytoriów palestyńskich objętych kontrolą radykalnego ugrupowania Hamas.

Nie wątpię, pomyślał Omar Jussef. Maki miał bez wątpienia rację, mówiąc, że jego salon nie przypominał pomieszczenia typowego dla Gazy.

- Jak już wspominałem wcześniej, nie piję alkoholu, Abu Nabilu - powiedział Omar.

- Jeden kieliszek z pewnością nie zaszkodzi - upierał się Maki. - Twój imiennik, wybitny poeta perski, nazywał wino boskim napojem. Czyż nie miał słuszności? Wznieśmy toast na jego cześć.

- Choć uwielbiam poezję Omara Chajjama, zdrowie nie pozwala mi przyłączyć się do tego toastu, Abu Nabilu - wyjaśnił, wskazując odruchowo brzuch.

Maki uniósł brwi ze zdziwienia.

- Ale nie mam nic przeciwko temu, żebyś ty się napił - zapewnił Omar.

Maki pstryknął palcami i chwilę później pojawiła się służąca ze Sri Lanki ze srebrną tacą, na której stała kryształowa szklaneczka z naparstkiem whisky. Maki wypił trunek jednym haustem i odstawił naczynie. Wciąż przelękając, wyciągnął palec na znak, że chce jeszcze jednego drinka, i usiadł. Popatrzył nagle z powagą i pochylił się ku gościowi.

- Abu Ramizie, to taka przyjemność przebywać w kulturalnym towarzystwie. - Powiedział to z jękiem jak człowiek, który od dawna musi znosić obecność ignorantów i głupców. - Nie masz pojęcia, jak przytłacza mnie Gaza i jej prowincjonalizm. Moja żona nie może wytrzymać tu dłużej niż kilka tygodni. Jak zapewne wywnioskowałeś z liczby nakryć, nie będzie z nami jadła. O nie, będzie się dziś wieczorem posilała w znacznie bardziej eleganckim otoczeniu. Jest w Paryżu.

Służąca ponownie naląła mu whisky, a Maki pił łączywie. Kiedy przełknął alkohol, wzdrygnął się i spojrzał na Omara szeroko otwartymi oczami, jak człowiek, który płynie pod wodą.

- Mamy apartament w Paryżu. *Pied à terre*, jak to się mówi. Niewielka siedziba wzniesiona w siedemnastym wieku. W Marais. Znasz tę część Paryża? Kiedyś była to dzielnica żydowska, ale teraz zalicza się raczej do tych ekskluzywnych. - Maki wybuchnął śmiechem. - Bardzo mi się podoba, że jestem mieszkańcem dzielnicy żydowskiej. Tak, to mała zemsta za okupację naszej ziemi w Palestynie.

Dochodząc do siebie po drugiej szklance whisky, pokiwał placem, by dać do zrozumienia, że ma coś do powiedzenia.

- W naszym budynku w Marais wciąż mieszka kilku starych Żydów. Uwielbiam patrzeć, jak dostają zawału, kiedy im mówię, że dzielą klatkę schodową z działaczem wyższego szczebla OWP. Nie chcą uznać mojej obecności, więc tylko szepczą *Al-lahu akbar*, mijając ich na schodach. Moja żona przebywa tam teraz jako uchodźca przed pyłem i upałem Gazy. Jedyłą

negatywną stroną jej nieobecności, co sama sobie uświadamia, jest to, że nie może się spotkać z tobą, drogi bracie Abu Ramizie.

Omar Jussef poczuł, że oczekuje się od niego uśmiechu. Wykrzywił policzki i zamrugał.

- Twoje dzieci też są w Paryżu?

- Tak, syn i córka, niech Allahowi będą dzięki. Oboje kończą studia podyplomowe na Sorbonie.

- Studiowali wcześniej tutaj, na uniwersytecie Al-Azhar?

Maki roześmiał się i poklepał Omara Jussefa po dłoni, jakby miał do czynienia z rozkosznie niegrzecznym chłopcem.

- To wstyd, że nie pijesz, Abu Ramizie. Jesteś taki dowcipny, nawet na trzeźwo. Byłbyś przezabawny, gdybyś zechciał napić się ze mną. Oczywiście, że nie studiowali tutaj.

Służąca przyniosła butelkę czerwonego wina i naląła Makiemu. Omar Jussef zakrył swój kieliszek dłonią, żeby nie dała mu nawet kropli. Kryształ wydał lekki, choć głęboki, dźwięk, kiedy palce musnęły szklaną krawędź.

- A więc jesteś inspektorem szkolnym z ramienia ONZ-u, Abu Ramizie?

- Zajmuję się tym tylko chwilowo. Na co dzień jestem dyrektorem szkoły dla dziewcząt w Dehajszy, działającej pod auspicjami Agencji do spraw Pomocy Uchodźcom Palestyńskim.

- Ach, ci z Dehajszy to naprawdę wspaniali ludzie. Postępowi, o lewicowych poglądach, nie fundamentalści jak ci w Gazie.

- Choć jestem dyrektorem, zajmuję się głównie uczeniem. Od trzydziestu lat jestem nauczycielem historii.

Maki rozłożył szeroko ramiona.

- To także moja pasja. Abu Ramizie, obaj reprezentujemy tę samą dziedzinę. Cóż za wspaniałe spotkanie. Jestem zachwycony. Przegadamy cały wieczór o historii i zapomnimy o obecnych kłopotach w Gazie.

Omar Jussef uśmiechnął się przez grzeczność. Marokańskie opery mydlane czy futbol egipski byłyby zdecydowanie bardziej

neutralnymi tematami. Ale gdyby Maki się odprężył, może byłby bardziej skłonny pomóc mu w sprawie Maszarawiego.

Służąca wniosła tacę z *mezze*\* i zaczęła rozstawiać na stole małe talerzyki z sałatkami. Maki podał Omarowi Jussefowi szeroki, płaski placek chleba i podsunął mu troskliwie talerzyki.

\* *Mezze* - zestaw przystawek składających się z sałatek, hummusu, oliwek, marynowanych warzyw, a czasem także grillowanego mięsa.

- Na zdrowie - powiedział.

Omar Jussef zanurzył chleb głęboko w czerwonej paście z mielonych orzechów, kminku i chili, po czym i spróbował.

- To naprawdę najlepsza muhammara, jaką jadłem od dłuższego czasu - wyznał.

- Ci mieszkańcy Sri Lanki znają się na arabskiej kuchni lepiej od samych Arabów. Obawiam się jednak, że twoi koledzy, ten Szwed i Szkot, nie odznaczają się podobnym wyczuciem kultury arabskiej. Nie potrafią tak naprawdę zrozumieć naszej sytuacji, tutaj, w Gazie - zauważył Maki. - A dlaczego nie? Ponieważ nie znają historii. Jeśli ktoś orientuje się wyłącznie w polityce, to wszyscy w jego oczach są źli - nacjonaści, fundamentaliści, uchodźcy, bojownicy. Nie zrozumie, dlaczego Palestyńczycy tak się zachowują, jeśli najpierw nie sięgnie do mrocznych zakątków naszej historii.

- Myślisz, że bojownicy znają naszą historię?

- Może nie robili doktoratów, ale wierzę, że walczą w imię proroka Mahometa, który był prawdziwą postacią historyczną, albo Saladyna, który osobiście walczył o Gazę z krzyżowcami.

- Jaką naukę powinni z tego wyciągnąć moi zagraniczni przyjaciele?

- Taką, że nasz naród walczył z najeźdźcami na długo przed nadejściem Żydów. Była to bezustanna bitwa w naszych dziejach. - Maki wziął do ręki roladkę z zawijanych liści winnych, odgryzł kęs ryżu znajdującego się w środku i popił sporą porcją bordo. - Dwa tysiące lat przed tym, jak zaczęliśmy liczyć czas od powstania islamu, naszym pierwszym najeźdźcą był faraon

Tutmosis. Gazę Egipcjanom odebrali Kananejczycy, którzy wkrótce utracili ją na rzecz Filistynów. Wciąż możesz zobaczyć w najstarszej części naszego miasta ruiny kamiennego budynku, znanego powszechnie jako świątynia, którą Samson zwałił na głowy Filistynów. To oczywiście nonsens - pozostałości tej budowli liczą niespełna pięćset lat, ale zajmują ważne miejsce w naszej pamięci historycznej.

- Biblia żydowska mówi, że Gazę oddano we władanie plemieniu Judy - zauważył Omar Jussef.

- Oczywiście, ale nie wspominaj o tym, bo może uderzyć w nas grom z jasnego nieba. - Maki spojrział z udawanym przerażeniem na sufit. - Albo jedna z tych rakiet domowej roboty, które nasi bojownicy wystrzelują w kierunku Izraela.

- Wyliczyłeś te najazdy z dawnych czasów. Ale jakie mają znaczenie dla obecnego konfliktu?

- Doprawdy wielkie. Stanowią korzenie dzisiejszej sytuacji. Twoi przyjaciele z zagranicy patrzą na Gazę i co widzą? - Maki znowu rozłożył ramiona. - Zapadła dziura, oczywiście. Czy można ich za to winić? Szkot pochodzi prawdopodobnie z Edynburga, Aten północy, jak się mawia. Cywilizowany człowiek. Ten drugi mieszka może w doskonale zorganizowanym Sztokholmie, gdzie nikt nie puści bąka, idąc ulicą. W ich oczach Gaza to uosobienie absolutnego, bezsensownego chaosu. Ale Gaza leżała na skrzyżowaniu szlaków handlowych, kiedy oni jeszcze malowali się na niebiesko, by najechać sąsiednią wioskę i ukraść stamtąd świnie.

Maki wziął tak potężny łyk bordo, że przez chwilę nie mógł złapać tchu.

- Słuchaj, jeśli spojrzysz na sondáže, to się dowiesz, że Szwedki mają statystycznie najmniejsze piersi na świecie. - Maki potarł się wymownie po jedwabnej koszuli. - Dlaczego? Bo nie wiedzą, jak dzielić się życiem i jego bogactwem. Są indywidualistkami. A teraz weź kobiety z Gazy: pod swoimi szatami skrywają ogromne piersi - duże, ciężkie i pełne jak garb wielbłąda. - Wysunął wargi, zmrużył oczy i obrócił dłonie wewnętrzną stroną do góry, jakby miały podtrzymać jakiś wielki

i zmysłowy ciężar. - Jesteśmy otoczeni przez pustynię, rozumiemy więc wartość życia, pożywienia i społeczności. Otaczająca nas przyroda jest bezlitosna. Nie możemy się do niej zwrócić w poszukiwaniu łatwego pożywienia, jak w Szwecji, gdzie mają jeziora i lasy. Musimy szukać go u siebie nawzajem, w obfitych ciałach swych żon i w poczuciu przynależności klanowej, a także we wspólnej walce przeciwko Żydom. Oto dzieje Gazy.

Omar Jussef przytaknął i rozciągnął wargi, co miało oznaczać uśmiech. Cieszył się, że Maki jest zadowolony ze swej wieczornej przemowy.

Służąca wniosła półmisek pieczonych tłustych kotletów jagnięcych, kebabów na stalowych szpikulcach i pieczonych kurczaków obsypanych czerwonymi ziarenkami sumaka\*. Maki zsunął kebab ze szpikulca złożonym kawałkiem chleba i położył na talerzu Omara Jussefa. Wziął pieczoną cebulę i obrał palcami.

\* Sumak - popularna na Bliskim Wschodzie przyprawa o cierpkim, kwasowatym smaku stosowana do dań mięsnych oraz do sałatek.

- Najeźdźców nie brakowało. Saladyn pokonał tutaj krzyżowców, a potem zjawili się Turcy. - Zataczał w powietrzu kółka kawałkami cebuli z wprawą dyrygenta wymachującego batutą. - Brytyjczycy stoczyli trzy bitwy, nim w tysiąc dziewięćset siedemnastym przejęli Gazę. Możesz to sobie wyobrazić? Przypuszczasz, że Brytyjczycy wiedzą o tym, jeżdżąc londyńskim metrem i kręcąc głowami podczas lektury artykułów „Daily Telegraph” na temat rozruchów w Gazie? - Pomachał lekceważąco kawałkiem cebuli. - Według nich, cała ta przemoc dotyczy naszego obecnego konfliktu z Żydami. Uważają, że mielibyśmy pokój, gdybyśmy tylko zachowywali się rozsądnie, jak Brytyjczycy. Zupełnie nie rozumieją naszych trzech tysięcy lat przesładowań.

- Problem nie polega na tym, że czytelnicy „Daily Telegraph” nie znają naszej historii, Abu Nabilu - powiedział Omar Jussef. - Nasi rodacy też jej nie znają. Uczą się jej tylko w



prymitywnej postaci komiksów albo z ust polityków. Ilu ludzi twierdzących, że walczą w imieniu Saladyna, wie o nim cokolwiek, prócz tego, że był bohaterem, który pokonał chrześcijan? A do tego uważają pewnie, że był Palestyńczykiem, a nie Kurdem.

Maki spojrział na niego ponad brzegiem swojego kieliszka. Kiedy się odezwał, jego głos był poważny i spokojny:

- Jako historyk z chęcią słuchałbym twoich lekcji, Abu Ramizie. Ale jestem także politykiem. Dlatego teraz chciałbym porozmawiać z tobą o polityce.

- Cieszę się, że mam okazję być twoim uczniem.

- Sytuacja z Maszarawim jest bardzo delikatna - oświadczył Maki. Poruszał kieliszkiem wina i przyglądał się, jak światło przenika kryształowe szkło żyrandola. - Muszę zaapelować do ciebie jako mojego palestyńskiego rodaka, by sprawa ta nie zaszła dalej.

- To nie zależy ode mnie.

- Myślę, że jednak zależy.

- Czy to ja go aresztowałem? Nie ja doniosłem na niego pułkownikowi Al-Farze. Och, zapomniałem przynieść ze sobą klucze od celi Maszarawiego.

Maki wpatrywał się w swoje wino.

Omar Jussef upomniał się w duchu, nakazując sobie spokój. Potrzebował przychylności profesora, jeśli pragnął doprowadzić do uwolnienia Maszarawiego. Nadał swojemu głosowi uprzejmy ton.

- Wybacz mi. Masz jakieś nowe informacje dotyczące śledztwa w sprawie Maszarawiego, Abu Nabilu?

- To bardzo poważna sprawa, Abu Ramizie. Istnieją dowody na jego szpiegostwo.

- W jaki sposób nauczyciel mógł się przydać jakiejś agencji szpiegowskiej?

- Zakłócając działalność uniwersytetu i zatruwając umysły naszych najzdolniejszych studentów kłamstwami o rządzie i służbach bezpieczeństwa.

- Co to za dowody?

- Podpisał zeznanie.
- Podpisał?

Maki uniósł brodę i wysunął przed siebie dłonie w geście bezradności.

- Przyznał się do wszystkiego.
- Wymuszono to na nim torturami.
- Nie torturujemy więźniów.
- My? Nie mam tu na myśli uniwersytetu, Abu Nabilu.
- Ani ja. Chodziło mi o to, że my Palestyńczycy tego nie robimy.

Omar Jussef poczekał, aż służąca ustawi na stole półmisek z owocami. Profesor wziął do ręki nóż i pokroił pomarańczę na ćwiartki.

- A więc stanie przed sądem - zawyrokował Omar Jussef.
- Jeśli służba bezpieczeństwa zezwoli na to, będzie miał jeszcze raz okazję przedstawić swoją fałszywą propagandę.

- Co w takim razie zamierzacie z nim zrobić?

- To zależy od tego, czy ONZ to rozdmucha. Jeśli organizacja nie będzie tej sprawy nagłaśniać, to możliwe, że uwolnimy Maszarawiego.

- Uwolnicie szpiega?

- Kiedy spędzi określony czas w więzieniu i podda się karze za swoje przestępstwa.

- Torturom.

- Karze. - Maki uniósł brwi i pomachał wymownie na Omara Jussefa ćwiartką pomarańczy. - Należy jednak przekonać ONZ, żeby zachował milczenie. Jeśli sprawa stanie się kwestią dyplomatyczną, pułkownikowi trudno się będzie wycofać. Może wówczas dojść do tego, że Maszarawi zostanie stracony jako szpieg.

- Wallender już się dowiedział, że Maszarawiego torturowano. Nie odpuści tego.

- Szwed jest na twojej łasce, Abu Ramizie. Nie mówi po arabsku, prawda? Nie rozumie naszej kultury ani uczestników rozgrywki. Wie tylko to, co pozwalasz mu wiedzieć. - Maki

uśmiechnął się z zadowoleniem jak człowiek zanurzający się w ciepłej kąpieli. - Nie oczekuję, że będziesz ze mną współpracował za moje piękne oczy, Abu Ramizie. Mogę zaproponować ci pewną gratyfikację.

Omar Jussef rozejrzył się po pokoju. Przypomnił sobie umeblowanie własnego domu. Żyło mu się w nim wygodnie, tak jak i Mariam, ale ten przepych miał w sobie coś kuszącego.

Służąca przyniosła kawę i postawiła przed nim. Pachniała przyprawami i kuchenną duchotą.

Maki uśmiechnął się szeroko i skinął głową w stronę kobiety, gdy wychodziła z pokoju.

- Gratyfikację odpowiadającą twoim upodobaniom.

- Dla mnie jest za chuda - oświadczył Omar Jussef. Nie daj się ponieść emocjom, upomniał się. Nie daj po sobie poznać, że mu nie pomożesz. - Zrobię, co w mojej mocy, Abu Nabilu. Ale musisz dać mi coś, co będę mógł podsunąć Szwedowi. Coś, co pozwoli mu sądzić, że ocalił Maszarawiego. Gdyby na przykład zawieszono go na jeden semestr...

- Powinno się go zawiesić, jeśli chodzi o otwieranie ust. Ten głupiec rzuca brudne oskarżenia, ilekroć się odzywa.

- Gdyby pułkownik Al-Fara się zgodził, żebyśmy z Wallenderem odwiedzili Maszarawiego, może udałoby się nam go przekonać do jakiegoś porozumienia. Do milczenia.

- Chciałbym jednak uszczęśliwić cię w jakiś sposób.

- Porozmawiamy o tym, oczywiście, ale musisz zaoferować mi swoją pomoc, żebym miał coś dla Wallendera. Rozumiemy się?

Omar Jussef przytaknął. Spojrzał na zegarek i wstał, żeby się pożegnać.

- Mam ci wezwać taksówkę? - spytał Maki.

- Nie, dziękuję. Muszę się przejść po tej wspaniałej kolacji, jaką mnie dzisiaj uraczyłeś. Nie jest stąd daleko do hotelu.

Maki odprowadził Omara Jussefa do drzwi, potem przytrzymał mu dłoń i go ucałował. Do domu wdarł się pył i Omar stłumił kaszel. Maki przyjrzał mu się z bliska; łagodność, jaką

emanował przez cały wieczór, zniknęła z jego twarzy. Oczy w półmroku spoglądały twardo. Nie wierzy mi, przemknęło przez myśl Omarowi.

Zszedł po schodach ganku. Plastikowa łańcuch przy fontannie znów przyciągnęła jego dłoń. Zbliżył się do bramy. Maki stał w drzwiach, jego sylwetkę otaczał blask wielkiego żyrandola. Profesor nacisnął domofon od bramy, która otworzyła się gwałtownie w podmuchu wiatru, szybciej niż Omar Jussef się spodziewał. Kiedy sięgnął do niej, uderzyła go boleśnie w nadgarstek. Burza wzmagą się na zewnątrz z każdą chwilą.

## ROZDZIAŁ 10

Ciemność, czujna i podstępna, prześladowała Omara Jussefa. Ilekroć dostrzegał w otaczającej go czerni jakiś niewyraźny ruch, przystawał i wlepił wzrok w zasłonę pyłu, dopóki się nie upewnił, że jest sam. I był sam. Ulice świeciły pustkami jak o najpóźniejszej godzinie nocy, choć nie było jeszcze jedenastej. Stojąc na rogu przecznicy, przy której mieszkał Maki, spojrział w stronę hotelu położonego wzdłuż drogi biegnącej przy plaży. W blasku latarni o barwie ochry drgała chmura pyłu, jakby wszyscy, którzy przechodzili tędy w ciągu dnia, otaczali go teraz, wzbijając w górę pył swoimi bezgłośnymi krokami. Wiatr brzmiał w uszach Omara Jussefa tym samym ciężkim brzmieniem co fale Morza Śródziemnego, jakieś dziewięćdziesiąt metrów od drogi. Było wilgotno i koszula kleiła mu się do pleców. Zastanawiał się, czy spocił się podczas kolacji, czy dopiero gdy wyszedł na ulicę. Napięcie, jakie towarzyszyło rozmowie z Makim, wyczerpało go. Wydawało mu się, że kolana ma jak z waty, i chwiało się niczym dziecko, które po raz pierwszy staje na nogi. Ale musiał iść dalej.

Ruszył w stronę hotelu. Szedł jezdnią, nie chodnikiem, ponieważ tylko na środku ulicy było trochę światła. Gaza spała już od godziny i przy większości ulic, z wyjątkiem tych najważniejszych, pogaszono latarnie, by uniemożliwić lokalizację punktów orientacyjnych izraelskim napastnikom - tym, którzy kryli

się gdzieś wysoko w helikopterach albo pędzili przez miasto samochodami tajnych służb. Tylko w nielicznych domach jarzyły się świetlówki, pozostałe zaś były ciemne, a ich okiennice pozamykane przed gorącym wiatrem.

Doszedł do pierwszej latarni i poczuł, że brak mu tchu. Usiadł na wysokim krawężniku i odkaslnął w chusteczkę. Wiedział, że ta burza może potrwać jeszcze dzień albo dwa. Przeklął ją i zapragnął, by wreszcie się skończyła. Chciał oddychać normalnie i widzieć wyraźnie. Chciał, by ustąpiło męczące ciśnienie, a wraz z nim ból w skroniach. Chciał wsłuchiwać się w ciszę i spokój, a nie w gorący głuchy oddech chamsinu. Splunął na jezdnię zapiaszczoną flegmą.

Przez odgłosy burzy przebił się warkot jakiegoś pojazdu. Zza rogu ulicy Emila Zoli wyłoniły się dwa dżipy. Ich silniki wyły tak głośno, że wydawało się, że to właśnie one są źródłem zawodzącego wiatru. Omar Jussef zastanawiał się, czy oko cyklonu porwie go i uniesie w niebo ponad dachami Gazy. Pewnie by go wytrzęsło, ale nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby wylądował gdzieś poza granicami tego miasta.

Oba dżipy zatrzymały się tuż przed nim. Były ciemnozielone, nieoznakowane, światła miały zgaszzone. W każdym dojrzał zarys czterech sylwetek uzbrojonych ludzi, którym spomiędzy kolan sterczały lufy automatów.

Przednia szyba pierwszego wozu opuściła się, ukazując zamaskowaną twarz. Widać było tylko oczy i usta mężczyzny. Miał na czole czarną opaskę z białym napisem: Brygady Salady, i był ubrany w wojskową kurtkę o barwach ochronnych. Z jej rękawa wysuwała się duża dłoń uzbrojona w pistolet automatyczny wycelowany w Omara Jussefa. Nauczyciel podniósł się, stanął na baczność i odsunął chusteczkę od twarzy. Chciał, żeby go dokładnie widzieli.

- Pokój z wami - powiedział.
- I z tobą - odparł mężczyzna z pistoletem. - Skąd jesteś, wujku?
- Z Betlejem.
- Znajdujesz się daleko od domu.

- Jestem tu w odwiedzinach. Idę do hotelu. Nie sądziłem, że ta pogoda mnie zatrzyma. Ale musiałem usiąść, bo zabrakło mi tchu.

- W jakim hotelu mieszkasz?

- W Sands. Możesz odłożyć tę broń? Nie pomaga mi oddychać.

Uzbrojony mężczyzna schował pistolet.

- Przepraszam, wujku. Po ulicach kręcą się ludzie z tajnych oddziałów izraelskich.

- Jestem jednym z nich - przyznał Omar, siląc się na dowcip. - Moi towarzysze zostawili mnie w tyle, ponieważ opóźniałem ich marsz. Nie martw się, jestem chyba mniej groźny od nich.

Mężczyzna popatrzył na swojego sąsiada, który także nosił maskę na twarzy i opaskę Brygad Saladyna, i powiedział mu coś szeptem. Po chwili znów obrócił się w stronę Omara Jussefa.

- Podwieźlibyśmy cię do hotelu, wujku, ale mamy zadanie do wykonania.

- W porządku. Wrócę na piechotę. Przyzwyczailem się już do tego pyłu, więc nic mi nie będzie.

- To tylko pięć minut drogi stąd, wujku. Ale lepiej, żebyś się nie spieszył. Niech ci to zajmie trochę czasu.

- Co przez to rozumiesz?

- Cel naszej misji znajduje się niedaleko hotelu. Nie chcę, żebyś się w coś wpakował, dlatego się nie spiesz.

- Co to za misja?

- Niech Allah obdarzy cię łaską, wujku.

Dżipy ruszyły z wyciem silników.

Omar Jussef patrzył, jak znikają w chmurze piasku. Cel misji znajdował się niedaleko hotelu? Musiał mieć jakiś związek z generałem Hussajnim. Może wzmocnił swoją nocną ochronę, ponieważ wiedział, że ci uzbrojeni ludzie zjawią się po niego. Ale po co? I co to w ogóle były Brygady Saladyna\*?

\* Brygady Saladyna - jedna z bojówek palestyńskich, powiązana z Hamasem.

Czekał w pomarańczowym blasku latarni. Przed hotelem mogło dojść do wymiany ognia. Wiedział, że powinien się trzymać z daleka, chciał jednak zobaczyć, co się wydarzy. Stwierdził przy okazji, że stoi pewnie na nogach i że adrenalina skutecznie stłumiła zmęczenie. Ruszył wzdłuż nadbrzeżnej drogi w stronę hotelu.

Z każdym kolejnym krokiem nasłuchiwał odgłosów broni palnej. W dżipach siedziało tylko ośmiu ludzi. Było ich znacznie mniej niż wartowników przed domem generała Hussajniego, jednak nie tylko oni mogli się szykować do bitwy, jeśli naprawdę miało do niej dojść. Rozbawiła go myśl, że gdyby nie brali udziału w tej operacji, rzeczywiście mogliby podwieźć go do hotelu. „Nie mam drobnych”, przemknęło mu przez myśl.

Dotarł do końca długiego szeregu hoteli stojących wzdłuż plaży. Być może najbezpieczniej byłoby pozostać właśnie tutaj. Gdyby doszło do strzelaniny, wolałby nie przebywać na otwartej przestrzeni. Powiódł wzrokiem wzdłuż szeregu budynków. Każdy stał w pewnej odległości od ulicy, oddzielony od niej własnym pojazdem oświetlonym przez migoczące, jaskrawe neony, które rzucały w zapyłonym powietrzu paskudny blask o różowo-zielonej barwie. Gdzie się podzieli zamachowcy i ich wozy? Może ta operacja miała przebiegać wewnątrz jego hotelu? Mogli być już w środku. Spotykała się tam rada rewolucyjna i niewykluczone, że to jej delegaci stanowili cel tych ludzi, a nie generał Hussajni. Omar Jussef ruszył przed siebie.

Dzieliło go od hotelu niespełna dwieście metrów, gdy w końcu w zasłonie z piasku dostrzegł zasadzkę. Oba dżipy stały przed wjazdem do Sands Hotel. Jeden usadowił się przy bramie, drugi na środku ulicy. Kiedy Omar Jussef podszedł bliżej, dostrzegł wartowników przed domem generała Hussajniego, spokojnych i milczących. Przyspieszył kroku. Pomyślał, że być może uda mu się ich minąć, nim się coś zacznie dziać, cokolwiek mogłoby to być. Gdyby stanął w miejscu, wzbudziłby podejrzenia. Nie chciał, by celowano do niego tej nocy po raz kolejny.



Kiedy zbliżył się do wozów, jeden z uzbrojonych mężczyzn spojrzął w jego kierunku i chyba go rozpoznał. Mając nadzieję, że to ten sam, z którym wcześniej rozmawiał, wskazał wejście do hotelu, by przypomnieć, dokąd idzie. Mężczyzna zawahał się i wtedy przez szum wiatru przebił się dźwięk silnika. Zamachowiec odwrócił się w tamtą stronę.

Na końcu ulicy pojawił się wóz ONZ-u. Jego biały kształt był dobrze widoczny w ciemności. Naiwnością i głupotą ze strony pasażerów było jechać w ten sposób, z włączonymi światłami, zamiast przemykać chyłkiem po tych niebezpiecznych ulicach. Samochód jechał wprost na dżipy. Omar Jussef patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Jeśli siedzieli w nim Wallender i Cree, to pakowali się w sam środek potyczki. W najlepszym razie zamachowcy zatrzymaliby ich i porządnie wystraszyli.

Chevrolet ze znakami ONZ-u zwolnił. Przejechał na drugim biegu obok dżipa, który stał dalej od hotelu. Omar Jussef zszedł z chodnika i zamachał wysoko uniesionymi dłońmi. Był przekonany, że to właśnie Wallender i Cree siedzą w wozie i wracają do hotelu. Musiał ich ostrzec.

Pierwszy dżip wydał z siebie ryk silnika niczym nisko lecący odrzutowiec. Przeciął wjazd do hotelu i zablokował ulicę. Jednocześnie drugi dżip podjechał do chevroleta i zagroził mu drogę od tyłu. Z pojazdów wyskoczyli uzbrojeni ludzie i skierowali broń na samochód ONZ-u. Omar Jussef spojrzął na dom szefa wywiadu wojskowego. Wartownicy zniknęli.

Ruszył przed siebie biegiem, kaszląc w tumanach pyłu i wymachując rękami. Zdawało się, że ciepły wiatr wpada prosto na niego, że powstrzymuje go i dławi. Omar Jussef wiedział, że musi jak najszybciej dotrzeć do swoich towarzyszy.

Zamachowcy wyciągnęli obu cudzoziemców z auta, każąc im podnieść ręce do góry. Omar Jussef nie rozumiał krzyków zagłuszonych przez wiatr. Wallender wyglądał na przerażonego. Leżał plecami na masce wozu, z kałasznikowem wepchniętym w zębra.

Cree nie chciał się schylić. Wydawał się jeszcze wyższy niż

wtedy, gdy Omar Jussef zobaczył go po raz pierwszy. Trzymał ręce w górze, ale mówił spokojnie, bez zacinania się, skupiając na sobie uwagę dwóch mężczyzn, którzy przed nim stali.

Omar Jussef dobiegł do pierwszego dżipa i położył dłoń na otwartych drzwiach po stronie kierowcy, żeby odzyskać równowagę. Wciągnął głęboko powietrze, gotów coś zawołać, ale zaniósł się tylko kaszlem wywołanym przez pył krążący w powietrzu. Poczul, że gotuje się z frustracji i bezradności. Wypluł gęstą żółć i otarł usta chusteczką.

- Przestańcie! - krzyknął. - Co wy robicie?

Zamachowiec, który go rozpoznał, odwrócił się, cały czas celując do Szkota. Zawołał podniesionym głosem do Omara Jussefa, żeby przekrzyczeć nerwowe wrzaski swoich towarzyszy:

- Idź do hotelu, wujku!

- To moi koledzy. Są niewinni. Przyjechali tutaj, żeby działać na rzecz Palestyny.

- Idź do hotelu.

Omar Jussef zbliżył się do mężczyzny. Z wielkim trudem zdobył się na uśmiech i patrząc na Szkota, rzekł pocieszającym tonem:

- Wszystko będzie dobrze, James.

- Nie narażaj się, Abu Ramizie - ostrzegł go Cree. - Nam, cudzoziemcom, nie zrobią krzywdy, ale na ciebie mogą się wkurzyć.

Zamachowiec położył dłoń na piersi Omara Jussefa.

- To nie twoja sprawa, wujku.

- Mówiłem wam, to moi przyjaciele.

- Odejdź stąd.

- To porwanie? Zabieracie ich dokądś? Weźcie więc i mnie.

Omar Jussef starał się słyszeć samego siebie, panować nad głosem, ale zdawało mu się, że to ktoś inny wypowiada te słowa. Ktoś zdesperowany i wystraszony.

Cree cały czas mówił, wyjaśniał swoją rolę jako przedstawiciela ONZ-u, tymczasem zamachowiec wrzeszczał i popychał Omara Jussefa. Broń, która jeszcze przed chwilą była

wycelowana w Szkota, teraz mierzyła w Omara Jussefa. Spojrzał na nią i wystąpił odważnie do przodu, by poczuć, jak jej lufa dotyka go poniżej obojczyka.

- Są z ONZ-u! - krzyknął.
- Dlatego ich zabieramy, wujku.
- Weźcie mnie. Ja też jestem z ONZ-u.
- Potrzebujemy cudzoziemca.
- Jestem o wiele ważniejszy niż oni! Jestem ważny dla całej działalności ONZ-u w Palestynie. Weźcie mnie.

- Nie, wujku - warknął zamachowiec, akcentując słowa ruchem broni. Jego oczy pod maską były żółte.

- Wszystko w porządku, Abu Ramizie. Wracaj do hotelu...

Ledwie Cree to powiedział, kiedy uzbrojony mężczyzna obrócił się na pięcie i wpakował mu lufę automatu w zęby. Gdy Cree osunął się na kolana, zamachowiec wyciągnął pistolet.

Chce go zastrzelić, przemknęło Omarowi Jussefowi przez myśl. Chwycił rozpaczliwie tamtego za ramię, ale dobrze zbudowany mężczyzna uwolnił się bez trudu.

Zamachowiec uniósł ramię i uderzył Szkota bokiem pistoletu w tył głowy. Cree zwałił się twarzą na zapiaszczony asfalt, nie dając znaku życia.

Omar Jussef próbował podtrzymać padającego Jamesa. Nie udało mu się, ale zdołał ułożyć go delikatnie na ziemi. Wstał i krzyknął do zamachowca:

- Dureń!

Wiedział, że w ten sposób nikt jeszcze niczego nie wskórał u żadnego porywacza, tak jak on u Makiego przez cały wieczór, starając się o uwolnienie Maszarawiego, sugerował nawet wtedy, że jest tak skorumpowany, jak podejrzewał profesor. Miał dosyć zabawy w dyplomację.

- Zabiłeś go. Zabiłeś przedstawiciela ONZ-u.

Gdy pozostali zamachowcy zobaczyli, że wysoki cudzoziemiec osunął się na ziemię, w ich krzykach pojawił się wyraźny ton paniki. Dwaj chwycili Wallendera i wepchnęli go na tylne siedzenie drugiego dżipa. Jeden z nich trzepnął Szweda po

twarży i wskoczył do wozu, który po chwili ruszył z rykiem silnika w ciemność wraz z czterema zamachowcami. W oknie mignęła jak zjawia przerażona twarz Wallendera, po czym zniknęła.

Mężczyzna, który uderzył Szkota, stał nad jego ciałem. Rozkazał pozostałym, by się zbierali.

Omar Jussef chwycił go za ramię.

- Powiedziałem, że go zabiłeś. Dokąd zabraliście tego drugiego?

- Dowiesz się wkrótce. Ten nie jest martwy, a nie musiałbym go uderzyć, gdybyś zrobił to, co ci mówiono, wujku.

- Nie nazywaj mnie wujkiem, ty bękarcie. Nie należysz do mojego narodu. Jesteś niszczycielem Palestyny. Ja i każdy przyzwoity Palestyńczyk brzydzi się takim psem jak ty. Nikt nie powie ci prosto w twarz, jak bardzo cię nienawidzi, bo każdy się boi. Ale cię nienawidzą, ja zaś się nie boję. Nie obchodzi mnie, co...

W tej ciemności przesyconej pyłem, ze łzami napływającymi do oczu, Omar Jussef nie dojrzał pistoletu w dłoni zamachowca. Zauważył nagle biały błysk, a po chwili strzał z lewej strony jego głowy, który przeszył całe ciało i eksplodował w żenicach. Wybuch oświetlił Gazę, zrobiło się jasno jak w dzień i Omar Jussef zobaczył dokładnie wszystko, co go otaczało. Usłyszał też słowa, które Chamis Zejdan wypowiedział do niego w sali restauracyjnej hotelu: „Nie ma pojedynczej, odrębnej zbrodni w Gazie. Każda jest powiązana z wieloma innymi, sam się o tym przekonasz. Kiedy dotkniesz którejs z nich, odbije się echem u potężnych i bezwzględnych ludzi”. Jaką to niegodziwość odkrył, że ci ludzie zdecydowali się tak zareagować? W tym ułamku sekundy, kiedy światłość rozbłysła wokół jego głowy, ujrzał wszystkie zbrodnie popełnione kiedykolwiek w Gazie i postanowił, że odkryje tę jedną, kiedy odzyska przytomność. Zastanawiał się, czy w ogóle się to stanie.

Biały błysk zniknął, a burza piaskowa ucichła. Omar Jussef poczuł głęboki spokój. Przypuszczał, że jest gdzieś daleko od Gazy.

## ROZDZIAŁ 11

Było zimno i ciemno, kiedy Omar Jussef się ocknął. Zadrzał skulony i objął się ramionami, po czym usłyszał jakiś głos, który skomentował jego ruch. Gdzie jest Magnus? - zastanawiał się. Trzymają nas w tym samym pomieszczeniu? Nasłuchiwał sygnałów świadczących o obecności Szweda.

Znowu zadrzał. Jakaś dłoń uniosła mu głowę i napoiła go wodą. Poczuł w szyi przeszywający ból, jakby ktoś wbijał mu szpikulec w mózg. Omar aż krzyknął. Po jego brodzie i piersi rozlała się woda, ale połknął tyle, ile zdołał. Smakowała jak z alpejskiego źródła. Zastanawiał się, czy leży gdzieś na dworze, w chłodzie nocy. Miał nadzieję, że tak, ponieważ w Gazie nie było Alp, była więc szansa, że znajdował się gdzie indziej. Zakrztusił się i przewrócił na bok. Ten ruch przyprawił go znów o potworny ból i zajęczał. Na jego ramieniu spoczęła dłoń, poklepując go. Przyjacielscy porywacze, pomyślał. Dranie. Odsunął dłoń.

- Odpieprzcie się - powiedział.

Rozległ się śmiech.

- Przysięgam na Allaha, odzyskuje dobry humor - odezwał się jakiś głos, któremu towarzyszył kolejny wybuch śmiechu.

Omar Jussef rozpoznał ten głos, ale jego właściciel przebywał w Gazie, więc Omar wmówił sobie, że został uderzony przez

zamachowca tak mocno, iż przeleciał przez mur graniczny i wylądował z dala od cuchnącej Strefy Gazy.

- Sami, pomóż mi go posadzić.

Znów ten sam głos. Omar Jussef znał imię tego człowieka. Poczul w mózgu wstrząs, kiedy oparli go o miękkie wezglowie łóżka. Przyjacielscy porywacze podłożyli mu poduszki i - teraz czuł go pod sobą - materac. Ból opuścił jego głowę i zsunął się do szyi i ramion, a stamtąd do żołądka, gdzie zaczął szaleć jak ci rozbrykani chłopcy, których Omar widział na plaży przy rybackich sieciach. Ten ból przyćmił cudowny widok alpejskich gór, jaki Omar Jussef sobie wyobraził, pijąc wodę, i uświadomił mu brutalnie, że znajduje się w Gazie. Był w tej cholerniej Gazie, wiedział o tym, i ponownie zaklął.

- Wstydz się - powiedział z wyrzutem Chamis Zejdan.

Omar Jussef oddychał ciężko. Podniósł dłoń do twarzy po lewej stronie, gdzie czuł najgorszy ból. Oczy miał zakryte szmatką. Wsunął pod nią palec, żeby ją unieść, i wtedy błyskawica światła przeszła mu źrenice. Podciągnął powoli opaskę na czoło i wystawił oczy na jasność.

- Próbowaliśmy naprawić twoje okulary - wyjaśnił Chamis Zejdan. - Szkła nie są stłuczone, ale oprawki trochę się skrzywiły.

Omar Jussef wziął do ręki okulary i ostrożnie je założył. Tkwiły niezgrabnie na jego nosie, prawe szkło o centymetr wyżej od lewego. Pokój hotelowy nabierał powoli ostrości. Po obu stronach łóżka dostrzegł Chamisa Zejdana i Samiego. Uśmiechali się, ale twarze mieli blade, świadomi bólu, jaki sprawił mu cios, który pozbawił go przytomności. Omar spoglądając przed siebie, ujrzał Jamesa Cree. Szkot siedział w pozłacanym fotelu w stylu rokoko i opierał łokieć o mały stolik. Głowę miał zabandażowaną, a oczy szeroko otwarte - czujne, choć zmrużone i zmęczone brakiem snu.

- Sami znalazł was przed hotelem - powiedział Chamis Zejdan. - Siedział akurat w holu, gdy usłyszał krzyki, wyszedł więc zobaczyć, co się dzieje. Znalazł was obu, nieprzytomnych. Wygląda na to, że obaj oberwaliście po głowie pistoletem. James

doszedł do siebie jakąś godzinę temu. Byłeś przez chwilę przytomny, ale gadałeś bez sensu.

- Co z Magnusem?

- Porwany przez Brygady Saladyna. Jak się czujesz?

Omar Jussef jęknął.

- Możecie wyłączyć klimatyzację? Jest mi bardzo zimno.

Sami ruszył w stronę drzwi w rogu pokoju i znalazł się poza zasięgiem wzroku Omara Jussefa. Doprowadzający do szafu warkot ustał i zrobiło się cieplej. Omar zamknął oczy i zaczął wsłuchiwać się w ciszę, ale nie mógł już powrócić myślami do wymarzonych gór, uniósł więc powieki i wyprostował plecy.

- W porządku, James? - zwrócił się do Szkota.

Cree uniósł szklankę whisky.

- Zadbano o mnie odpowiednio - odparł. Na stoliku obok jego dłoni stała butelka.

Chamis Zejdan wybuchnął śmiechem.

- Jak tylko James oprzytomniał w holu, od razu poprosił o scotcha. Na szczęście w pobliżu nie było żadnych radykałów. Stali wokół niego delegaci rady rewolucyjnej, którzy, jak sam wiesz, nie przestrzegają zbyt surowo zaleceń Proroka. Kilku od razu podsunęło naszemu szkockiemu przyjacielowi swoje pierśiówki, choć jeden z nich, podający się za lekarza, chciał dać mu sole trzeźwiące.

Omar Jussef popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Zwróciłem się do niego: „Czy mój przyjaciel wygląda tak, jakby po prostu zemdlał? Odlóż te głupie sole”. W naszej partii jest mnóstwo ludzi, którzy skończyli studia medyczne jeszcze za żelazną kurtyną. - Chamis Zejdan się uśmiechnął. - W celach leczniczych dałem jednak Jamesowi butelkę ze swoich zapasów schowanych w walizce.

- Skąd się wzięły Brygady Saladyna? Co to za ludzie? Taki napis mieli na opaskach nasuniętych na czoło. I skąd wiesz, że wprowadzili Magnusa?

Chamis Zejdan wyciągnął z kieszeni na piersi kartkę papieru. Rozłożył ją i dał Omarowi Jussefowi.

U góry widniał znak orła i dwie szable. Kiedy Omar Jussef próbował odczytać tekst, jego umysł zbuntował się, a w żołądku znów wszystko zaczęło się przewracać. Podał kartkę Chamisowi.

- Nie mogę. Przeczytaj to, proszę.

- „Brygady Saladyna żądają uwolnienia brata bojownika Bassama Odwana z Rafah. Brygady domagają się jego uwolnienia w zamian za wolność domniemanego przedstawiciela ONZ-u, znajdującego się obecnie w rękach Brygad. Przedstawiciel ONZ-u, oskarżony o działalność szpiegowską zostanie przekazany władzom w zamian za Odwana. Odwan musi powrócić do swoich towarzyszy w Rafah, by kontynuować walkę z okupantem”. - Chamis Zejdan położył kartkę na stoliku. - Ciąg dalszy jest w podobnym stylu, ale taki jest sens przesłania.

Omar Jussef wydał z siebie pełne gniewu westchnienie.

- O co tu chodzi? Kim jest u diabła Bassam Odwan?

- Bassam Odwan został aresztowany za zabójstwo żołnierza. Słyszałeś wczoraj, jak koledzy zabitego oddają salwę honorową nad jego grobem, kiedy jechałeś do hotelu.

Omar Jussef przypomniał sobie ciężarówkę i trumnę owiniętą palestyńską flagą, które widział w drodze do Gazy.

- Dlaczego Odwan zabił żołnierza?

- Odwan to członek Brygad Saladyna. - Chamis Zejdan zerknął na Samiego. - Policja zazwyczaj nie rusza tych z Brygad. To najpotężniejszy gang w Strefie Gazy. Tym razem jednak funkcjonariusz wywiadu wojskowego próbował aresztować Odwana. Najwidoczniej Odwan nie chciał być aresztowany, dlatego zabił funkcjonariusza.

- Co to ma wspólnego z Magnusem? Tym bardziej że nie jest przecież szpiegiem.

- Nie przejmuj się tym oskarżeniem - powiedział Zejdan, kładąc dłoń na nodze Omara. - Nie mogą ogłosić, że uprowadzili cudzoziemca tylko po to, żeby użyć go jako zakładnika. Wszystko musi wyglądać tak, jakby występowali w obronie narodu palestyńskiego.



- Musimy znaleźć Magnusa.
- Nie sądzę, żeby było to takie proste.
- O czym ty mówisz? - Omar Jussef chwycił Chamisa za ramię.

- Trzeba to załatwić na wyższym szczeblu. Nawet gdybyśmy się dowiedzieli, gdzie trzymają Magnusa, nie wydadzą go, kiedy grzecznie zapukamy do drzwi. Jeśli zaś zaangażujemy w to siły bezpieczeństwa, zacznie się cholerna strzelanina. Byłoby to o wiele groźniejsze dla Magnusa i mogłoby mu poważnie zaszkodzić. Choć to nie Irak - nie odrąbią mu przecież głowy.

- W takim razie trzeba przekonać tego, kto przetrzymuje Odwana, żeby go wypuścił. Wtedy i Magnus będzie wolny.

- Szef wywiadu wojskowego, generał Hussajni, udał się do Rafah, by osobiście nadzorować aresztowanie Odwana. Myślisz, że tak po prostu go wypuści? - skrzywił się Chamis Zejdan. - Posłuchaj, Brygady Saladyna kopią tunele pod granicą egipską, żeby przemycać broń do Strefy Gazy. Pewien funkcjonariusz wywiadu wojskowego, porucznik Fadi Salah, próbował aresztować Odwana i powstrzymać przemyt. Potem Hussajni obwoził trumnę po całej Gazie i urządził Salahowi pogrzeb godny bohatera, żeby dać wszystkim do zrozumienia, że jego ludzie poświęcają życie w obronie prawa i porządku. Nie wypuści dzień później Odwana. To niemożliwe.

Omar Jussef uniósł się na łokciach. Zawrót głowy sprawił, że przed oczami pojawiły mu się kolorowe plamy.

- Jeśli Odwan zabił porucznika Salaha, to powinniśmy dowieść Brygadom Saladyna, że zawinił. A jeśli to ktoś inny zabił porucznika Salaha, to możemy udowodnić generałowi Hussajniemu, że Odwan nie jest winien. Ale musimy wszcząć śledztwo, żeby ustalić prawdę.

- Naprawdę porządnie cię walnęli. Całkowicie straciłeś poczucie rzeczywistości.

Kolorowe plamy zniknęły sprzed oczu Omara Jussefa, który usiadł wyprostowany.

- Wybili mi z mózgu Gazę - powiedział. - Myślę tak, jak

myślą ludzie w normalnym świecie, a nie jak w tym domu wariatów.

Chamis Zejdan pokręcił głową i zapalił rothmansa.

- Nie pal tutaj - poprosił Omar Jussef. - Mam mdłości.

Chamis Zejdan zawahał się, popatrzył rozczarowany na papierosa, żalując, że nie zasmakuje nikotyny, po czym zgasił go w popielniczce przy łóżku. Zaczął bębnić palcami w stolik nocny i poruszać rytmicznie kolanem. Omar Jussef pomyślał, że lepiej było mu jednak pozwolić na tego papierosa. Cree pociągnął łyk whisky.

- Chyba masz rację, Abu Ramizie. Liczba możliwych opcji, które podałeś, jest precyzyjna.

Chamis Zejdan popatrzył z niedowierzaniem na Szkota.

- Nie wiem, który z was doznał poważniejszych obrażeń.

- Uderzyli mnie co najmniej dwa razy, ale jestem się gotów założyć, że mam twardszą czaszkę od Abu Ramiza. - Cree roześmiał się i poczęstował Chamisa Zejdana whisky.

Szef policji w Betlejem nalał sobie drinka.

- Posłuchajcie, kiedy leżeliście jak martwi, to przyznam, że pomyślałem sobie to samo co ty, Abu Ramizie. Ale przedyskutowałem całą rzecz z Samim. On ma najlepsze rozeznanie w Gazie. Dlatego wiem, że twój pomysł jest szalony.

Omar Jussef położył dłoń na szczupłym ramieniu młodego mężczyzny.

- O czym on mówi?

Sami uśmiechnął się szeroko, pokazując poźółkłe, ale zdrowe, zęby. Był to uśmiech pełen sympatii i współczucia.

- Słyszałem od chłopaków z Brygad Saladyna, że porucznik Fadi Salah udał się na spotkanie z Odwanem późnym wieczorem w dniu, kiedy został zabity.

- Spotkanie? Chciał go przecież aresztować.

- Spotkanie. Ludzie z Brygad Saladyna w Rafah nie chcieli mi powiedzieć zbyt wiele, ponieważ jestem związany z ich odłamek w Gazie, z którym rywalizują - wyjaśnił Sami. - Udało mi się jednak co nieco od nich wyciągnąć. Twierdzą uparcie, że Odwan nie zabił Salaha.

- Ktoś go wrobił? Kto?

Sami wzruszył ramionami i spojrzął na Chamisa Zejdana. Szef policji przytaknął.

- Znalazłoby się paru podejrzanych. Człowiek pokroju Odwana może mieć wielu wrogów. Chociażby konkurencyjnych przemytników z Rafah czy siły bezpieczeństwa, które chcą siać niepokój, by dzięki temu podnieść swój budżet. Gaza jest w stanie anarchii. Możesz to zobaczyć z okna swojego pokoju, licząc wartowników przed domem generała Hussajniego.

- Ma tam dzisiaj dodatkowych żołnierzy. Widziałem, jak przyjechali.

Chamis Zejdan spojrzął na Samiego.

- Wszyscy ci wojskowi walczą o władzę - wyjaśnił Sami. - Zwłaszcza generał Hussajni i pułkownik Al-Fara.

- Posłuchaj, Sami, mówiłeś, że Brygady Saladyna w Rafah i Gazie rywalizują ze sobą. - Omar Jussef zmarszczył brwi. - Nie rozumiem tego.

- To ta sama organizacja, ale właściwie tylko ze względu na nazwę, Abu Ramizie - odparł Sami. - Frakcje kłócą się o zyski z przemytu broni przez egipską granicę. W tej chwili prawdziwym hitem są części do pocisków rakietowych. Przywódcy Brygad w Rafah twierdzą, że to oni ściągają broń, więc powinni też zarabiać na tym więcej. Gang z Gazy utrzymuje zaś, że ponosi większe ryzyko izraelskiego ataku, więc to jemu należy się większość pieniędzy.

Omar Jussef napił się jeszcze wody. Nie czuł już tego górskiego chłodu. Woda była ciepła i pozostawiała po sobie gorzki posmak. Położył dłoń na przedramieniu Chamisa Zejdana.

- To dziwne. Kiedy ten zamachowiec uderzył mnie w głowę, przypomniałem sobie, jak mówiłeś mi w sali restauracyjnej hotelu, że każda zbrodnia w Gazie jest powiązana z innymi przestępstwami, które z pozoru nie mają z nią żadnego związku. Czy może istnieć jakikolwiek związek między sprawą Ejada Maszarawiego a porwaniem Magnusa?

Chamis Zejdan prychnął drwiąco i napił się whisky.

- Szedłem właśnie od domu profesora Makiego - ciągnął Omar Jussef. - Ludzie, którzy dokonali porwania, przyjechali za mną tą samą ulicą.

- Chcesz powiedzieć, że to Maki zorganizował porwanie? Daj spokój. Ci zamachowcy przebywali w hotelu, kiedy cię nie było - wyznał Chamis Zejdan.

- Tutaj?

- Weszli do holu, kiedy jadłeś kolację z profesorem Makim. Sami akurat tam siedział, flirtując z recepcjonistką, i widział, jak się zjawili tuż po dziewiątej. Kilku mężczyzn porozmawiało z dziewczyną i poszli na górę. Wkrótce wyszli. Sami sprawdził, czego chcieli. Okazuje się, że pytali recepcjonistkę, w którym pokoju mieszka Szwed i drugi inspektor szkolny ONZ.

- Musimy spotkać się z Odwanem - oświadczył Omar Jussef.

- Chcesz się włamać do więzienia? - spytał Chamis Zejdan, nalewając sobie drugą szklankę whisky.

- Poprosimy generała Hussajniego, żeby pozwolił nam z nim porozmawiać.

- Jeśli poprosisz grzecznie, to dlaczego nie?

Omar Jussef czuł irytację z powodu sarkastycznego humoru przyjaciela i woni whisky, która budziła w nim pragnienie zakazanego trunku.

- Jego dom jest po drugiej stronie ulicy. Dlaczego nie miałbyś się tam przejść i spytać go? Znasz tych wszystkich drani. Hussajni należy do rady rewolucyjnej, tak jak ty. Uściśnij mu dłoń gdzieś na boku.

Chamis Zejdan popatrzył twardym wzrokiem na swoją whisky.

- Trzeba mieć wtedy w rękę co najmniej dziesięć tysięcy dolarów.

- Mógłbym spróbować zorganizować spotkanie z generałem Hussajnim - odezwał się Sami i zwrócił się do Chamisa Zejdana. - Lepiej, żebyś nie angażował się w tę sprawę, Abu Adelu.

Byłoby to dla ciebie niebezpieczne. Z politycznego punktu widzenia.

Chamis Zejdan wychylił swoją whisky. Postukał się szklanką w protezę i wzruszył ramionami.

- Znam kilku ludzi z otoczenia generała - ciągnął Sami.

Położył dłoń na nodze Omara Jussefa. - Muszę cię ostrzec, że generał Hussajni to naprawdę zły człowiek. Nie ulega wątpliwości, że jest kłamcą i złodziejem. Ale to także sadysta. Sam torturuje niektórych więźniów dla zabawy. Lubi obcinać im koniuszki palców i wrywać paznokcie. W więzieniu nazywają to „manikiurem Hussajniego”.

Omar Jussef splótł palce i położył dłonie na brzuchu. Zaciśnął je mocno, żeby nikt nie dostrzegł ich drżenia. To już nie była wyłącznie sprawa nieporozumienia na uniwersytecie czy nawet przypadek mściwego, skorumpowanego szefa, który postanowił ukarać zbyt gadatliwego pracownika. W grę wchodziło porwanie i morderstwo. Przypomniawszy sobie, co czuł w drodze do Gazy, kiedy wóz ONZ-u wyprzedził ciężarówkę z trumną Fadiego Salaha - że ściga go śmierć. Poczul na karku lodowaty oddech zmarłego człowieka.

- Manikiur Hussajniego - powiedział w zamyśleniu Chamis Zejdan, nalewając sobie whisky. - Zaczął już w Bejrucie podczas wojny domowej. Dobrze poznałem wtedy tego drania. Obaj pracowaliśmy w sztabie prezydenta. Już wówczas Hussajni był nieciekawym facetem, okrutnym i skorumpowanym.

- Dostosował się pewnie do sytuacji - zauważył Omar Jussef i spojrzał na przyjaciela.

Szef policji nie odwrócił wzroku, zataczając male kółka swoją szklanką.

Cree też sobie nalał whisky.

- Zanim zamachowcy zatrzymali nasz samochód, Magnus powiedział do mnie: „O, spójrz, to Abu Ramiz”. Biegłeś w naszą stronę, wymachując rękami. - Napił się powoli. - Jakbyś wiedział, co się wydarzy.

- Zatrzymali mnie kilka minut wcześniej na ulicy - wyjaśnił Omar Jussef. - Powiedzieli, że biorą udział w akcji. Kiedy

zobaczyłem, jak wasz samochód podjeżdża do nich, pomyślałem sobie, że może wam grozić niebezpieczeństwo. Próbowałem was ostrzec.

Cree przytrzymał alkohol w ustach i patrzył milcząco na Omara Jussefa.

- Więc mi nie wierzycie? - Omar podniósł głos. - Myślicie, że dałem cynk porywaczom, wskazałem wasz samochód, dopilnowałem, żeby nie uprowadzili niewłaściwych ludzi z ONZ-u? No i oczywiście dali mi po głowie, żeby nie wyglądało, że to ja was wystawiłem?

Cree przełknął trunek.

- Przypuszczam, że mimo wszystko tak nie było - odparł niskim i niepewnym głosem.

Omar Jussef zaklął i walnął dłonią o stół przy łóżku. Poruszył się przy tym i zalał sobie wodą spodnie w kroku.

Wydawało się, że Szkotowi zrobiło się go żal. Położył serdecznym gestem dłoń na plecach Chamisa Zejdana i wskazując Omara Jussefa, rzekł żartobliwie z delikatną ironią:

- Nie mówię za dobrze po arabsku, ale częściowo zrozumiałem, co Abu Ramiz powiedział do porywaczy podczas napadu. „Jestem znacznie ważniejszy dla ONZ-u niż oni. Jestem ważną osobą dla całej działalności ONZ-u w Palestynie”. A teraz spójrzcie na niego, wielka szucha ONZ-u z mokrymi gaciami.

Cree i Zejdan wybuchnęli śmiechem, a Sami współczująco ścisnął Omarowi kolano.

Chamis stuknął się szklanką ze Szkotem w uznaniu dla jego dowcipu.

- Kiedyś prowadziłeś spokojne i przyjemne życie, Abu Ramizie - oświadczył. - Teraz jednak sprowadzasz sobie na głowę kłopoty. W zeszłym roku ci zamachowcy w Betlejem, a teraz Brygady Saladyna i jeden Bóg wie, kto jeszcze. Co się stało?

- Nie zmieniłem się - rzekł, wzruszając ramionami Omar Jussef. - Tyle że kłopotów jest po prostu więcej.

## ROZDZIAŁ 12

Chamis Zejdan budził Omara Jussefa co dwie godziny, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Obawiał się u niego wstrząśnienia mózgu. Za każdym razem Omar patrzył zdziwiony i zastanawiał się, dlaczego James Cree pije i nuci jakąś melodię w nogach jego łóżka. O ósmej, kiedy do pokoju wszedł Sami, szef policji znowu go obudził.

- Generał Hussajni spotka się z nami o wpół do dziesiątej - poinformował Sami. - Chce zjeść z tobą śniadanie w swoim domu.

Omar Jussef oddychał wolno. Przypominam sobie, kim jest generał Hussajni, ale dlaczego chce zjeść ze mną śniadanie? - zastanawiał się. Upłynęło kilka sekund, nim znalazł odpowiedź na to pytanie. Podrapał się po głowie. Najwyraźniej cios był mocniejszy, niż mu się wydawało. Zerknął na Chamisa Zejdana. Zorientował się po spojrzeniu zmęczonych oczu przyjaciela, że ten dostrzegł jego zakłopotanie.

- Musisz być zwarty i gotowy, jeśli chcesz zmierzyć się z tak przebiegłym przeciwnikiem jak generał Hussajni - uprzedził go Chamis Zejdan. - Nie dasz mu rady w tym stanie.

- Będę zgrywał milczącego twardziela, a mówienie zostawię Jamesowi - zaproponował Omar Jussef. - Wygląda na to, że jest w świetnej formie.

Cree gwizdał sobie jakąś piosenkę. Uniósł szklanke. W butelce pozostało niewiele trunku na samym dnie, znacznie poniżej etykiety.

- Wszystko pod kontrolą, chłopaki. Jestem świeży jak pączek róży. Możecie na mnie polegać.

Chamis Zejdan wyszeptał do Omara Jussefa:

- Kiedy spałeś, Cree dzwonił do ludzi z ONZ-u, żeby powiadomić ich o sprawie Magnusa. Bełkotał. Nie jest wcale w lepszym stanie niż ty.

- Na Allaha, nie boję się - odparł Omar Jussef. Wyciągnął rękę, chwycił Chamisa za łokieć i przyciągnął go do siebie. - Choć mam wrażenie, że Gaza jest zbyt skomplikowana, bym wiedział, gdzie postawić następny krok.

- Ostrzegalem cię.

Omar Jussef potarł oczy i jęknął.

- Wywiad wojskowy, służba bezpieczeństwa, Brygady Saladyna z Gazy i ich rywale z Rafah. Czuję się tak, jakbym musiał znaleźć w swojej głowie miejsce na każdy kilometr kwadratowy tego miasta i na każdego żołnierza z tych wszystkich jednostek, bo inaczej się kompletnie pogubię.

- Chcesz, żebym ci narysował schemat?

- Życie Magnusa zależy od tych ludzi, a ja nie wiem, komu zaufać.

Omar Jussef dosłyszał rozpacz we własnym głosie. Czyżbym się łamał? - zastanawiał się. Nie wolno mi. Magnus mnie potrzebuje.

- Pozwól, że trochę ci to ułatwię. - Chamis Zejdan ujął dłoń Omara i popatrzył na niego twardym wzrokiem. - Zapomnij o tych wszystkich służbach i ugrupowaniach. Nie ufaj nikomu. Myśl tylko o człowieku, który w danej chwili siedzi przed tobą. Zapomnij o jego imieniu i organizacji, jaką reprezentuje. Pamiętaj tylko o tym, że jest pierwszym z szeregu ludzi, którzy chcą cię pożyć.

- To długi szereg.

- Gaza jest pełna wrednych obzartuchów.

Sami przyniósł gazety z recepcji. Żadna nie wspominała o uprowadzeniu Wallendera, ale Hussajni znał bez wątpienia



powód ich wizyty. Omar Jussef zastanawiał się, dlaczego warta przed domem generała zniknęła kilka chwil przed zasadzką. Co Hussajni wiedział o porwaniu?

Spuścił nogi na podłogę i wstał z łóżka, a potem ściągnął sobie bandaż przed lustrem w łazience. Zauważył nabrzmiałą pręgę na swojej twarzy - biegła od szczęki do koniuszka brwi i była czarno-czerwono-fioletowa. Szyja w górnej części miała kolor szmaragdowozielony. Odsunął siwe włosy znad ucha. Skóra pod spodem odznaczała się barwą igieł sosnowych. Sztywne szare kłaczki włosów w uchu lepiły się od krwi. Przyjrzał się źrenicom. Jedna wydawała się większa od drugiej - przyszło mu do głowy, że to oznaka wstrząśnienia mózgu. No cóż, i tak już miał problemy z logicznym myśleniem. Czy nie był to wystarczający dowód? Wszedł pod prysznic i podstawił zeszywniałe plecy pod strumień słonej wody.

O wpół do dziesiątej włożył czystą koszulę z krótkimi rękawami i schował do kieszeni na piersi karteczkę z adresem strony, który podyktowała mu Nadia, razem z ulotką Brygad Salady i czarnym piórem Mont Blanc, które trzymał zazwyczaj w marynarce. Zszedł niepewnym krokiem na dół z Cree i Samim. Mejsun uśmiechnęła się zalotnie zza komputera do Samiego i popatrzyła ze współczuciem na Omara Jussefa, życząc mu zdrowia. Zastanawiał się, czy nie poprosić jej o połączenie ze stroną Nadii, ale uznał, że nie ma to czasu. Martwiło go trochę, że zajmuje się takimi drobnostkami, kiedy Wallenderowi może grozić śmierć. Dotknął guza na głowie i zadał sobie pytanie, czy trafnie ocenił własne możliwości. Podziękował Mejsun za jej dobre słowo.

Gdy tylko wkroczył w chmurę pyłu, jeszcze gęstsza niż poprzedniego dnia, od razu zrozumiał, że życzenia recepcjonistki nie zostaną spełnione. Sami przeszedł na drugą stronę ulicy i wymienił serdeczny uścisk dłoni z funkcjonariuszem w budce wartowniczej pod domem generała Hussajniego. Pozostali strażnicy o twarzach zasłoniętych przez kraciaste kufijje\*, które

\*kufijja - tradycyjne nakrycie głowy w krajach arabskich; chusta najczęściej biała z czarnym lub czerwonym wzorem, owijana na różne sposoby wokół głowy.

chroniły ich przed piaskiem, przyglądali się podejrzliwie spod przymkniętych powiek Omarowi Jussefowi i Cree. Sami dał im znak, żeby szli za nim. Funkcjonariusz wprowadził ich do budynku, wciąż trzymając Samiego za rękę.

Dom Hussajniego miał typowy rozkład bloku mieszkalnego. Niższe piętra zajmowali synowie generała z rodzinami, żona zaś mieszkała na szóstym. Odwiedzał ją tak często, jak robiłby to każdy człowiek po trzydziestu latach małżeństwa z perspektywą pokonania sześciu kondygnacji schodów. Gości natomiast podejmował na trzecim.

Kiedy Omar Jussef dogonił pozostałych przy drzwiach pokoju przyjąć Hussajniego, Cree patrzył przez okno, chwiejąc się i oddychając przez otwarte usta jak lekkoatleta, który koncentruje się przed biegiem. Funkcjonariusz znieruchomiał z uniesioną dłonią, gotów zapukać. Uśmiechnął się do Omara Jussefa, który dał mu znak ruchem głowy. Nauczyciel starał się oddychać głęboko, ale pył w budynku był niemal tak gęsty jak na zewnątrz. Wartownik otworzył lśniące drzwi z drzewa palisandrowego.

- Wejdźcie, i niechaj Allah przyjmie was do raju - powiedział wysoki funkcjonariusz, po czym wrócił na posterunek przed budynkiem.

Pokój gościnny generała Hussajniego miał szerokość budynku i zajmował niemal całą jego długość. Nie było to pomieszczenie, jakie można było nabyć za pensję oficera policji. Stanowiło owoc wieloletniej korupcji. Cztery komplety mebli wypoczynkowych ustawiono w różnych miejscach na planie kwadratu, dzięki czemu większa liczba gości mogła się rozdzielić na mniejsze grupy. Sofy i fotele w każdym zestawie miały inny pastelowy odcień i były ozdobione krzykliwymi wzorami, co przypominało tani sweter. Ściana naprzeciwko wejścia migotała kryształowymi kieliszkami i karafkami w oszklonym

kredensie. Wzdłuż tej samej ściany ustawiono długi stół z dwunastoma krzesłami z giętego drewna. Nad blatem wisiał żyrandol, który wyglądał tak, jakby wykonano go w tym samym warsztacie co jego równie luksusowy odpowiednik w jadalni profesora Makiego. Omar Jussef zauważył z lekkim skurczem żołądka, że stół jest rzeczywiście nakryty do śniadania.

Strażnik zaprowadził ich do stołu i zajął miejsce przy drzwiach. Jakiś młodzieniec w oliwkowym mundurze spytał, czy życzą sobie kawy, czy herbaty. Był chudy, a wysokie policzki nosiły ślady fioletowego trądziku, który ukrywa się głęboko pod skórą. Nie nosił żadnych dystynkcji, nawet najniższych. Przyjął od nich zamówienie i wyszedł przez drzwi, za którymi znajdował się krótki korytarz.

Po chwili ukazali się w nim trzej mężczyźni. Omar Jussef widział tylko ich sylwetki, ale domyślił się, że ten najniższy w środku to generał Hussajni. Rozmawiał przez telefon komórkowy i szedł niespiesznie, jakby mimowolnym krokiem człowieka, który zapomniał, że można równie dobrze prowadzić konwersację na siedząco. W końcu wszedł do sali. Dwaj towarzyszący mu ludzie zajęli stanowiska po obu stronach drzwi. Byli wysocy, ale tylko jeden z nich, ogolony na łyso, dobrze zbudowany mężczyzna, który oddychał przez usta, przyglądał się gościom jak typowy ochroniarz. Drugi złożył delikatne dłonie na podstawce z klipsem, na której trzymał jakąś kartkę, i oparł brodę o pierś. Pełnił najwidoczniej funkcję adiutanta Hussajniego.

Generał dał znak ręką, że zaraz skończy rozmawiać. Częściej słuchał, niż się odzywał, i wlepił wzrok w burzę piaskową, jakby rozmówca, cokolwiek przekazywał, mógł wyłonić się nagle z chmury pyłu za oknem. Był niższy od Omara Jussefa, który sam mierzył sto siedemdziesiąt centymetrów. Miał na sobie oliwkową bluzę wojskową, zapewne specjalnie dla niego uszytą ze względu na wystający brzuch, i spodnie wetknięte w wysokie rdzawoczerwone buty spadochroniarza. Odznaczał się grubymi, krótkimi, owłosionymi palcami i skórą koloru pieczonego

ziemniaka. Odwrócił się od okna, zamknął klapkę telefonu i rozłożył szeroko ramiona w geście powitania. Miał szeroki, chciwy uśmiech i małe, niewyraźne oczy jak drobne kamyczki w deszczu.

Generał Hussajni ucałował Samiego pięć razy, wydymając obfite wargi i przymykając z zadowolenia oczy. Między pocałunkami wypowiadał słowa pozdrowienia. Sami przedstawił Cree i Omara Jussefa. Generał uściśnął Szkotowi rękę i pociągnął ją do dołu, dzięki czemu Cree zrozumiał, że ma się nachylić do pocałunków. Hussajni nie wypuścił jednak jego dłoni. Zachichotał i otarł drugą ręką resztkę zaschniętej krwi z rudych wąsów Jamesa. Szkot sprawiał wrażenie głęboko zakłopotanego. Omar Jussef cieszył się, że skorzystał wcześniej z okazji i wziął prysznic, zamiast pić do późnej nocy.

- Nie martwcie się, słyszałem o waszych kłopotach od brata Samiego - oświadczył. Jego piskliwy głos był cichy, słodki i kojący, jakby Hussajni starał się uspokoić nerwowe zwierzę.

Omar Jussef zastanawiał się, w jak bliskich stosunkach pozostaje Sami z tym człowiekiem. Pomyślał o manikiurze Hussajniego, ujmując dłoń generała i go całując. Wargi Hussajniego pozostawiły na prawym policzku Omara mokrą plamę. Przesunął delikatnie dłonią po zranionej skroni swego gościa, mrucząc przy tym coś pocieszającego. Zaprowadził go do stołu, trzymając za rękę, i podsunął mu krzesło. Chłopiec pełniący funkcję służącego przyniósł napoje i Hussajni skinął na niego szorstko, dając znak, że czas na jedzenie.

- Brat Sami mówił mi, że jesteś szanowanym człowiekiem w Betlejem, Abu Ramizie - oznajmił z uśmiechem generał.

Omar Jussef przytaknął skromnie.

- Znasz mojego dowódcę w tamtym rejonie? - spytał Hussajni.

- Majora Kawasmeha?

- Jest pułkownikiem. Ale zgadza się, to Kawasmeh.

- Nie poznałem go osobiście.

Omar Jussef wiedział, że było to ostrzeżenie ze strony generała.

Przypomnienie, że jego władza sięgała aż do Betlejem, że rodzina Omara Jussefa nie może czuć się tam bezpiecznie.

- To dobry człowiek. Silny. - Hussajni wychylił się na krzesło i uniósł się nieznacznie z zadowoleniem. - Lubię silnych ludzi. Nie upuszczają niczego, co każę im podnieść. Chyba że takie jest moje życzenie. - Generał wybuchnął śmiechem.

Jego niski przymiłny głos przeszedł w wysoki pisk, przywołujący na myśl papugę przegnaną ze swojej huśtawki. - I dopóki nie są dostatecznie silni, by podnieść mnie.

Klepnął się po tłustym brzuchu i wyciągnął dłoń do Samiego, by przybić mu piątkę. Chłopiec przyniósł półmisek, na którym można by pomieścić dziecko. Piętrzył się na nim hummus i mielona jagnięcina. Omar Jussef uświadomił sobie z kolejnym skurczem żołądka, że hummus i mięso są mieszane z małymi grudkami baraniego tłuszczu, prawie niewidocznymi w potrawie. Cree podniósł dłoń do ust. Omar Jussef mógłby przysiąc, że Szkot już kiedyś dostał ten specjał na śniadanie i teraz żałuje, że pił wcześniej whisky.

Generał Hussajni stanął obok chłopca i nałożył szeroką, płaską łyżką kopiałe porcje treściwego hummusu na talerze swoich gości.

Omar Jussef, jedząc, starał się za wszelką cenę zachować na twarzy wyraz zadowolenia.

- Panie Cree, przepraszam w imieniu wszystkich mieszkańców Gazy za tę skandaliczną napaść na pana i pańskich przyjaciół - powiedział Hussajni.

Cree miał usta pełne jedzenia. Wyglądało na to, że potrzebuje trochę czasu, żeby przełknąć, więc tylko przytaknął z powagą.

- Widzieliśmy także te oburzające oskarżenia ze strony Brygad Saladyna pod adresem mojego wywiadu wojskowego, zawarte w ulotce, którą opublikowali po porwaniu. - Hussajni skrzywił się i machnął lekceważąco ręką. - Chcę was zapewnić, że nie spoczniemy, dopóki nie uwolnimy waszego przyjaciela, naszego przyjaciela...

- Magnusa Wallendera - podsunął szeptem Sami.

- Naszego przyjaciela Wallendera.

Omar Jussef przełknął trochę jedzenia. Pomyślał, że powinien się odezwać, żeby odwrócić myśli od posiłku i swojego żołądka.

- Pan Cree bardzo chciałby porozmawiać z Bassamem Odwanem.

- Bardzo niebezpieczny przestępca. Nie mogę na to pozwolić.

- ONZ pragnie w miarę możliwości dopomóc w śledztwie.

- To nie Odwan uprowadził waszego człowieka.

- Ale jego przyjaciele to zrobili.

- Powinniście więc porozmawiać z jego przyjaciółmi, nie z nim.

- Może dopomóc nam w dotarciu do swoich przyjaciół.

- Myślicie, że go o to nie pytaliśmy? - Hussajni uśmiechnął się szeroko i powiódł spojrzeniem wokół stołu.

- Niewykluczone, że uzna pana Cree za osobę bardziej neutralną.

- Jak ktoś może być neutralny w sprawie morderstwa? Ten człowiek zabił z zimną krwią jednego z moich najlepszych oficerów.

Cree odchrząknął.

- Po południu przyjeżdża tu zespół ludzi z biura ONZ w Jerozolimie. Będą oczywiście negocjować uwolnienie zakładnika na bardzo wysokim szczeblu. Uważają jednak za rzecz niezwykle ważną, by nie marnować czasu. Poprosili mnie, żebym załatwił spotkanie z Odwanem.

Omar Jussef nie słyszał o negocjacjach. Pewnie podjęto decyzję, kiedy Cree telefonował, a on spał. Była to kolejna karta, którą mógł się posłużyć w rozgrywce z Hussajnim.

- Negocjatorzy z ONZ-u wiedzą, że wśród zagranicznych dyplomatów w Tel Awiwie cieszy się pan opinią najbardziej zaufanego palestyńskiego szefa służb bezpieczeństwa - oznajmił Omar Jussef.

Hussajni sprawiał wrażenie zainteresowanego.

- Jest to okazja, by jeszcze bardziej utwierdzić ich w tym przekonaniu - dodał Omar Jussef.

Cree zdołał przełknąć odrobinę hummusu.

- Koordynujemy działania z ambasadorem amerykańskim, ponieważ Amerykanie mają najlepsze kontakty z waszymi siłami bezpieczeństwa. Ambasador jest bardzo zainteresowany pańskimi opiniami - poinformował.

Hussajni zamknął szare oczy i przytaknął z wolna.

- Jestem dobrym znajomym ambasadora.

Zadowolenie widoczne na jego twarzy dowodziło, że wyobraża sobie przyjacielską kolację z ambasadorem w jego rezydencji z widokiem na plażę w kurorcie Herzlija Pituach. Omar Jussef zastanawiał się, czy Hussajni pragnie tej znajomości ze względu na profity czy na władzę, dzięki której on, ulubieniec ambasadora, będzie mógł bezkarnie stosować brutalne metody wobec swoich wrogów i ich zabijać.

- Ambasador ceni pana jako przyjaciela i pragnie, by zapewniono panu wszelką pomoc, jakiej pan potrzebuje do prowadzenia swoich operacji - dodał Cree.

Wszelką pomoc, zaznaczył w myślach Omar Jussef. W walizce lub w banku szwajcarskim. Hussajni skłonił głowę.

- Zadzwoń do niego i poinformuj go o postępach naszego śledztwa w tej ważnej sprawie.

- Będzie z niecierpliwością oczekiwał pańskiego telefonu.

- A Szwedzi?

Omar Jussef prawie się uśmiechnął. Amerykanie i ONZ obiecali Hussajniemu łapówki i prestiż, jaki zapewniały kontakty z nimi, a mimo to nie zawahał się wycisnąć jeszcze więcej.

- Ambasador szwedzki powiadomił moich przełożonych, że jemu także zależy na pańskiej pomocy - oznajmił Cree. - Jest gotów pokryć koszty wszelkich operacji, jakie pan podejmie, by doprowadzić do uwolnienia pana Wallendera.

Hussajni sięgnął po korniszona i odgryzł kawalek.

- Odwan przebywa w As-Saraja, naszym głównym więzieniu. Bez trudu możecie się z nim spotkać. Proszę tylko, że byście nie

dali mu się podejść. Jesteście inteligentnymi ludźmi, ale brakuje wam policyjnego wyczucia. Trzeba wieloletniego doświadczenia, by mając do czynienia z niebezpiecznym przestępcą, nie złapać się na jego sztuczki. Nie wiercie w nic, co wam powie.

- Więc możemy się z nim zobaczyć? Dziękujemy - powiedział Cree.

- Jaka jest pańska opinia na temat wydarzeń, które doprowadziły do śmierci porucznika Fadiego Salaha? - spytał Omar Jussef.

Hussajni wytarł talerz kawałkiem pity i beknął zamyślony.

- Porucznik Salah zamierzał aresztować Odwana za działalność przemytniczą. Nie możemy pozwalać na to, żeby broń przechodziła bez jakiegokolwiek kontroli pod granicą egipską, jak to się czasem dzieje w Rafah. Kiedy porucznik Salah próbował zatrzymać Odwana, ten stawiał opór i go zabił.

- Jak ostatecznie aresztowano Odwana?

- Poddał się, kiedy moi ludzie udali się do jego rodzinnego domu w godzinę po tym incydencie.

- Dlaczego się poddał?

- Bo jest tchórzem.

- Jeśli był gotów zabić Salaha, by uniknąć aresztowania, to dlaczego miałyby się poddać zaledwie godzinę później? - spytał Omar Jussef.

- Miał do czynienia z przeważającą siłą. Poleciałem swoim podwładnym, by niczego nie zaniedbali. Udałem się do Rafah, żeby osobiście dowodzić akcją. Rozkazałem przybyć wszystkim swoim służbom, nawet tym z Chan Tunis i Dejr al-Balah. - Hussajni ponownie wydał z siebie pisk jak papuga. - Gdyby ktoś tej nocy najechał tutejsze więzienie, to stwierdziłby, że nikt go nie pilnuje, z wyjątkiem tego chłopca.

Pryszcłaty chłopiec przestąpił z nogi na nogę, patrząc gniewnym wzrokiem. Spojrzał na Hussajniego, jakby pragnął za wszelką cenę być jedynym wartownikiem w więzieniu, w którym siedziałby wyłącznie generał.

- Dopilnowałem, żeby ze względu na tak znaczne siły Brygady



Saladyna nie stawiała oporu. Otoczyliśmy dom Odwana. Jego rodzina jest bardzo biedna i mieszka w najgorszej części obozu dla uchodźców w Rafah. Prawdę mówiąc, Odwan to szumowina. Krzyknąłem przez megafon, że zniszczę wszystkie domy w obozie, jeśli będzie trzeba, znajdę Bassama Odwana i go aresztuję. Wtedy dopiero do nas wyszedł.

Hussajni z wyraźnym zadowoleniem chełpił się tą akcją. Omar Jussef uznał, że należy docenić skuteczność działań generała.

- Bardzo sprawnie i efektywnie przeprowadzona akcja, generale - oznajmił. - Jeśli wolno, chciałbym spytać o ostatnią noc. Słyszał pan coś, w czasie gdy doszło do uprowadzenia?

Hussajni wzruszył ramionami.

- Dlaczego miałbym słyszeć?

- Stało się to pod pańskimi oknami. Wallender wracał do hotelu i znajdował się po drugiej stronie ulicy, kiedy go porwano.

- Prowadzę spokojne życie. Kładę się spać wcześniej. Nie jestem na nogach całą noc jak ci z Zachodu. - Uśmiechnął się do Cree.

Czas go trochę przycisnąć do muru, pomyślał Omar Jussef.

- Być może rzeczywiście pan spał, ale zeszłej nocy domu pilnowała wzmocniona warta. Co widzieli ci ludzie?

Hussajni zignorował pytanie.

- Dla uhonorowania mojego zagranicznego przyjaciela, pana Cree, pragnę zaproponować wam pewną przyjemność zakazaną większości mieszkańców Gazy.

Małe oczka zaświeciły się mu figlarnie. Generał pstryknął dwa razy palcami, na ten znak chłopiec przyniósł karafki z kredensu. Trunek kołyszący się na szerokim dnie przypominał brandy i Omar Jussef usłyszał, jak Cree znowu ciężko wzdycha. Najwidoczniej porcja hummusu nie stanowiła odpowiedniej zakąski do wypitej nocą whisky, a zmieszanie jej jeszcze z brandy nie pomogłoby w tej sytuacji. Szkot był blady jak ściana. Wydawało się, że z nabrzmiałych, posiniaczonych warg odpłynęła cała krew.

Generał wyjął korek z karafki i wciągnął w nozdrza aromat trunku. Chłopiec przyniósł kieliszki.

- To taka moja drobna słabostka - wyznał Hussajni ze śmiechem. - Nie chodzi mi o brandy, tylko o butelkę. To kryształ oprawiony w ołów, czeski. Uwielbiam jego ciężar, naczynie jest masywne, a jednocześnie tak delikatne. - Wskazał połyskującą ścianę, na której widać było misy, butelki, świeczniki i wazy odbijające światło żyrandola. - Rozbudziłem w sobie zamiłowanie do czeskiego szkła trzydzieści lat temu, kiedy studiowałem w Pradze. Uzyskałem stopień magistra ekonomii, ale nie trzeba szczególnych kwalifikacji, żeby pojąć wartość tych świecidełek. W Pradze są tak tanie, że niemal uważa się je za przedmioty jednorazowego użytku. Ta karafka kosztowała niepełna sto pięćdziesiąt dolarów.

Mogła to być prawie trzymiesięczna pensja chłopca, który im usługiwał. Omar Jussef spojrział na korek w grubej dłoni Hussajniego. Był rżnięty w setki maleńkich, ostrych krawędzi.

Poprosił, by generał mu nie nalewał. Cree zawahał się, ale w końcu przyjął brandy i zaczął saczyć ją w milczeniu. Sami zapalił papierosa i poruszał w zamyśleniu swoim kieliszkiem. Hussajni wypił dwie podwójne porcje trunku, zanim pogawędka dobiegła końca. Porcelanowy zegar na stole wskazał dziesiątą trzydzieści.

- Teraz zadzwonię do ambasadora amerykańskiego, żeby przekazać mu najświeższe wiadomości - oznajmił, odprowadzając gości do drzwi. - A wy pojedziecie do więzienia.

Kiedy Omar Jussef zszedł na dół, wciąż było słyhać śmiech Hussajniego.

## ROZDZIAŁ 13

Ku niezadowoleniu Omara Jussefa Cree uparł się, że będzie prowadził, ponieważ uznał, że gwałtowna jazda w wykonaniu Nassera wywoła u niego mdłości. Musiał się tylko skoncentrować na utrzymaniu prostego toru jazdy w drodze do głównego więzienia Gazy i dowództwa wojskowego.

Wysoki na ponad trzy metry mur otaczający więzienie As-Saraja stanowił pierwszorzędną przestrzeń dla artystów specjalizujących się w politycznym graffiti. Jego pobieloną powierzchnię pokrywały zielone, czerwone i czarne hasła skierowane do Allaha, prezydenta i jego poprzednika, narodu, ziemi i męczenników. Omar Jussef zastanawiał się, kiedy do tej listy dołączy Bassam Odwan.

Wartownicy podnieśli biało-czerwony szlaban zagrządzający wjazd na teren więzienia i skierowali Cree w stronę bocznej ściany głównego budynku, trzykondygnacyjnego bloku w brudnoszarym kolorze. Na końcu rzędu ciężarówek pomalowanych na barwy maskujące czekał na nich oficer wywiadu. Rozpoznał Samiego.

- Jak leci, *ya zalama*?! - spytał, unosząc dłoń i opuszczając, by wymienić z Samim mocny uścisk ręki.

\* *Ya zalama* - zwrot oznaczający „człowieku”, używany w potocznym języku arabskim w stosunku do mężczyzny.

Omar Jussef ponownie zaczął się zastanawiać nad powiązaniem swego byłego ucznia, który gdziekolwiek się udał, natychmiast spotykał znajomych wśród ludzi służb bezpieczeństwa. Ten nazwał go nawet „człowiekiem”.

Oficer ujął Samiego za ramię i ruszył z nim po obskurnych schodach. Omar Jussef i Cree podążyli za nimi, ciężko dysząc. Powietrze było gęste od pyłu, który unosił się nad miastem, duszącej woni zamkniętych w więzieniu mężczyzn, potu, wilgoci i prania, gotowanego mięsa i papierosów.

Oficer oprowadzał ich po więzieniu niczym przewodnik, z chęcią dzieląc się wiedzą na temat miejsca, które witizeli tylko nieliczni, a którego nikt nie miałby ochoty oglądać.

- Na tym piętrze mieszczą się kwatery strażników. A na końcu tego korytarza znajduje się biuro komendanta Narodowych Sił Bezpieczeństwa.

Pokonali kolejne dwie kondygnacje schodów. Wartownik na ich szczycie wstał z miejsca i zarzucił sobie kałasznikowa na ramię, kiedy się zbliżali. Klucz zazgrzytał w pomalowanych na jasnoniebiesko stalowych drzwiach, które po chwili zamknęły się za nimi.

Blok miał długość około trzydziestu metrów, po każdej stronie korytarza znajdowało się pięć cel. Z pierwszej dobiegał szept modlących się ludzi i słowa wypowiedane przez ich przewodnika, na które odpowiadali zgodnym chórem i głębokim crescendo. Od strony nieoszlonych, zakratowanych okien na końcu korytarza wiatr przygnał zapyłone powietrze. Wartownicy w polowych mundurach i czerwonych beretach opierali się o drzwi pierwszej celi i palili papierosy. Ich łokcie nonszalancko spoczywały na automatach.

- Więźniowie nie są w tej chwili zamknięci - wyjaśnił oficer, zwracając się do Cree. - To czas na południową modlitwę, dlatego zebrali się w celi numer jeden. Facet, który im przewodzi, to poza murami więzienia wielki szajch. Mamy tu najbardziej ekskluzywny meczet w mieście.

Cree zajrzał do pomieszczenia przez zakratowane okienko na wysokości głowy.

- Rzeczywiście - oznajmił sucho.
- Odwan siedzi w celi na końcu korytarza - wskazał oficer. -  
Przebywa w izolatce.

- Ten to ma jeszcze bardziej ekskluzywne warunki - szepnęła Szkot od Omara Jussefa.

Oficer otworzył grube żelazne drzwi. Omar Jussef wszedł do małego, nieoświetlonego pomieszczenia ze stalowym zlewem, kilkoma pustymi wiadrami i szczotkami na kijach. Cuchnęło w nim brudną bielizną. Naprzeciwko drzwi znajdowały się drugie, z zakratowanym okienkiem. Omar Jussef zajrzał przez nie.

- To jest ten morderca Odwan - poinformował oficer.

Bassam Odwan stał ze spuszczoną głową i wyciągniętymi przed siebie otwartymi dłońmi. Po chwili klęknął i zgiął się wpół na tanim dywaniku, dotykając czołem kolorowej sztucznej plecionki. Omar Jussef nie modlił się już od lat. Patrzył, jak Odwan się pochyła.

Więzień obrócony był do drzwi plecami. Dziury w cienkim i przybrudzonym białym podkoszulku ukazywały jego masywne plecy. Z grubej szyi wyrastały spadziste ramiona, a mięśnie barków poruszyły się, gdy uniośł dłonie, by zakryć sobie twarz podczas muzułmańskiej modlitwy. Odznaczał się silnie zarysowaną muskulaturą, typową dla wieśniaka. Wyprostował się po raz ostatni i zwinął dywanik.

- Skończył - oznajmił Omar Jussef.

Strażnik otworzył drzwi. Odwan się nie odwrócił. Oficer zawołał do niego głosem, w którym nie było już słycać przyjaznego tonu przewodnika:

- Ej, Odwan. Masz gości.

Więzień zwinął dywanik i postawił go pionowo w narożniku celi. Odwrócił się. Od przodu wyglądał jeszcze masywniej. Pierś miał szeroką i potężną, brzuch pod podkoszulkiem wklęsły i mocny. Nosił workowate spodnie wojskowe, na brudnych nogach nie miał butów. Czarna broda była gęsta, wargi duże, czerwone i wilgotne. Ciemne włosy opadały grzywką do połowy czoła, a tuż pod nią widniał ciemnobrązowy obrzęk od

wieloletniego przyciskania czoła do dywanika modlitewnego. Odcisk przypominał wielką brodawkę. Omar Jussef oceniał wiek Odwana na niespełna trzydzieści lat.

Więzień obrzucił Omara Jussef a szybkim i łagodnym spojrzeniem. Oczy błysnęły mu podejrzliwie, kiedy Cree pochylił się w drzwiach, a na Samiego spojrział z jeszcze większą nieufnością. Sami uśmiechnął się i oparł o ścianę. Oficer zamknął za nimi drzwi.

Omar Jussef podszedł do Odwana i uściśnął mu dłoń. Nie wydawała się mocna, ale jego palce zniknęły w niej całkowicie. Była to ręka robotnika: silna, duża i niezgrabna - dziedzictwo pokoleń oddanych prostej pracy fizycznej. Z nagłą ulgą, która go zaskoczyła, Omar Jussef zauważył, że Odwan nie został poddany manikiurowi Hussajniego. Przedstawił siebie, a potem Cree.

- Czuj się jak u siebie w domu - powiedział Odwan.

Rozejrzał się po celi i uśmiechnął, rozbawiony absurdalnością tradycyjnego arabskiego powitania w tych warunkach. Jego uśmiech był rozbijającym szczery i przywodził Omarowi na myśl wyraz twarzy człowieka upośledzonego umysłowo, choć jego oczy spoglądały twardo i bystro.

Cela była pusta, z wyjątkiem cienkiej maty do spania i wiadra na odchody. Jedyne dobytek Odwana stanowił dywanik modlitewny i plastikowa butelka z wodą o startej naklejce. Pojedyncze okno, umieszczone zbyt wysoko, by dało się przez nie patrzeć, było zaryglowane i w celi panował nieznośny upał. Twarz Odwana pokrywał pot i wkrótce Omar Jussef poczuł się spocony pod pachami. Usiadł razem ze Szkotem na macie do spania. Odwan skrzyżował nogi na środku celi i nie spuszczał wzroku z Samiego, który przycupnął przy drzwiach.

- Kto to jest? - spytał Odwan chrapliwym głosem.

Omar Jussef pomyślał o torturach, którym był poddawany Ejad Maszarawi, i zastanawiał się, czy Odwan zdarł sobie struny głosowe, krzycząc z bólu.

- To Sami Dżaffari, został deportowany z Betlejem. Pomaga nam w naszym śledztwie.

- Jakim śledztwie, wujku?
- Na początku myśleliśmy, że chodzi o sprawę jednego z naszych nauczycieli, którego uwięził pułkownik Al-Fara.

Odwan otworzył grube usta i zmarszczył brwi.

- Ale minionej nocy nasze śledztwo zmieniło kurs. Brygady Saladyna uprowadziły naszego współpracownika, Szweda, który nadzoruje szkoły podlegające Agencji do spraw Pomocy Uchodźcom Palestyńskim w Gazie i na Zachodnim Brzegu. Domagają się, by uwolniono ciebie w zamian za jego wypuszczenie.

- Jeśli taka jest wola Allaha.

- Bassam, musimy odszukać naszego przyjaciela.

- Pozostawiono jakąś ulotkę?

Omar Jussef przytaknął.

- Brygady Saladyna przyznały się w niej do porwania.

Odwan spojrział na posiniaczoną głowę Omara Jussefa i spuchnięty nos Cree.

- Przekro mi, że wam wyrządzili krzywdę. Tak było, wujku?

- Nic się nie stało. Jak możemy dotrzeć do naszego przyjaciela?

- Musielibyście zobaczyć się z Abu Dżamalem.

Omar Jussef wzruszył ramionami.

- To dowódca Brygad Saladyna w Rafah - wyjaśnił Odwan.

- Jak możemy do niego dotrzeć?

- Nie wydaje mi się, by chciał się z wami spotkać, chyba że udałoby wam się go przekonać, że możecie dobić targu w mojej sprawie.

- Jakiego targu?

- A jak myślisz? Żeby mnie stąd wyciągnąć.

- Ale generał Hussajni cię nie uwolni.

Tym razem to Odwan wzruszył ramionami.

Omar Jussef stłumił uczucie frustracji. Musiał ustalić z Odwanem podstawowe fakty.

- Co się stało, kiedy porucznik Salah próbował cię aresztować?

- Szukacie swojego przyjaciela czy mnie przesłuchujecie?

- Może uda nam się ustalić, co tak naprawdę się wydarzyło, a wtedy moglibyśmy przekonać generała Hussajniego, że jesteś niewinny.

- Jestem niewinny - odparł podniesionym głosem Odwan i zakaszlał chrapliwie.

- Może przy naszej pomocy zdołasz to udowodnić.

- Myślisz, że to się na cokolwiek przyda? Nie potrzebowali dowodu, żeby wsadzić mnie do tej dziury. Albo powiesić za nadgarstki przed urządzeniem wentylacyjnym i trzymać tak przez cały wczorajszy dzień.

- Bassam, możemy uwolnić naszego przyjaciela tylko w jeden sposób - dowodząc, że nie zabiłeś Salaha. Jeśli ONZ ustali, że jesteś niewinny, generał Hussajni będzie musiał to zaakceptować, zwłaszcza kiedy przekażemy mu imię sprawcy.

Odwan zamknął oczy i złączył duże dłonie.

- Bracie Abu...?

- Abu Ramizie.

- Abu Ramizie, wierzę, że życie i śmierć są w rękach Allaha. Jeśli muszę umrzeć, nikt mnie nie ocali.

- Sprawiedliwość też jest w rękach Allaha.

- Nie w Gazie - odparł Odwan, po czym wybuchnął śmiechem i klepnął Omara Jussefa w kolano.

To prosty człowiek, ale nie głupi, pomyślał Omar. Postanowił rozgniewać Odwana i tym samym sprowokować go do mówienia.

- Dlaczego zabiłeś porucznika Salaha?

- Nie zabiłem go, mówiłem już.

- Gdybyś był niewinny, powiedziałbyś nam, co się stało. Co ukrywasz?

- Myślisz, że próbuję kogoś osłaniać?

- A jaki masz powód, żeby milczeć? Jeśli uważasz, że i tak umrzesz, niech Allah się nad tobą zmiłuje, ale ja chcę ocalić swojego przyjaciela.

Odwan się nie poruszył. Omar Jussef nie chciał okazywać po sobie zniecierpliwienia. Spróbował czegoś, co zabrzmiało idiotycznie, gdy tylko to powiedział:



- Kto wie, jeśli mój przyjaciel zostanie ocalony z pomocą muzułmanów, może przejdzie na islam?

- Nawrócony na islam? - roześmiał się Odwan, na ile pozwalało mu zachrypnięte gardło. - Myślisz, że złoży także podanie o palestyński paszport?

Omar Jussef był na siebie zły. Błędnie ocenił Odwana. Ten człowiek nie był tak prosty, jak początkowo sądził. Frustracja wzięła nad nim górę; wyciągnął rękę do Cree.

- Pomóż mi wstać. Ten bękart nic dla nas nie zrobi. Chodźmy stąd.

Odwan położył dużą dłoń na ramieniu Omara Jussefa.

- Czekaj, wujku, czekaj. Proszę cię, uspokój się. Masz, łyknij trochę. - Podsunął mu butelkę z mętą wodą.

Omar Jussef był poruszony tym smutnym objawem gościnności. Przełknął odrobinę wody, która miała ołowiany smak.

- Dziękuję.

Odwan poruszył skrzyżowanymi nogami i podrapał się po plecach, a po jego twarzy przemknął grymas bólu.

- Pojechałem na spotkanie z Salahem. Sprzedawał coś.

- Co?

- Coś, co nam ukradł.

- Brygadam Saladyna?

- Posłuchaj, wujku, lepiej, żebyś się w to nie mieszał.

Omar Jussef wychylił się do przodu.

- Wierz mi, już jestem w to zamieszany. Muszę znać prawdę.

Odwan zerknął na Cree.

- Skąd mam mieć pewność, że ten cudzoziemiec nie jest szpiegiem?

- Bo nie mówi po arabsku - odparł Omar Jussef. - Tak czy inaczej, wszyscy szpiegzy w Gazie to Palestyńczycy.

Odwan zerknął na Samiego, który siedział odprężony przy drzwiach. Potem uśmiechnął się szeroko.

- Cieszę się, że tu przyszedłeś, wujku. Niech Allah da siłę twojemu przyjacielowi ze Szwecji i zaprowadzi go bezpiecznie do domu.

Omar Jussef przytaknął i uniósł wyczekująco brwi. Odwan westchnął.

- Załatwiliśmy dostawę pocisku. To prototyp. Został przemycony przez jeden z tuneli pod granicą egipską. Salah go sprzedawał.

- Ale są już pociski w Gazie. Pociski Qassam.

- Chcieliśmy je zmodernizować. Zbudować bardziej niezawodny pocisk o większym zasięgu.

- Co by wam dało zdobycie pojedynczego pocisku?

- Konstrukcja pocisku Qassam była oparta na prototypie północnokoreańskim, który przemycono przez tunel kilka lat temu z pomocą Hezbollahu w Libanie. Tutejsi inżynierowie posłużyli się nim, by zbudować setki własnych pocisków. Zamierzaliśmy zrobić to samo, tyle że lepiej.

- Więc ten skradziony pocisk miał posłużyć do stworzenia arsenału zaawansowanej broni?

- Abu Dżamal chciał go nazwać Saladynem I. Nieźle brzmi, co? - Odwan wydawał się dumny, jakby sam to wymyślił.

Omar Jussef skinął przytakująco głową.

- Ktoś ukraść pocisk podczas przesyłki tunelem - mówił dalej Odwan. - Musieli przekupić jakiegoś zdrajcę w Brygadach i ten przekazał im plan. Zrobili zasadzkę na naszych ludzi w chwili przejmowania pocisku. Zabili dwóch i go ukradli.

- To porucznik Salah ukraść pocisk?

Odwan przesunął językiem po wewnętrznej stronie policzka.

- W dzień po kradzieży Salah skontaktował się z Abu Dżamalem i powiedział mu, że ma prototyp. Abu Dżamal kazał mi się spotkać z Salahem, by zyskać pewność, że mówi prawdę. Gdyby tak było, Abu Dżamal zamierzał mu zapłacić.

- Dlaczego mielibyście płacić mu za coś, co wam ukraść?

- Zależało nam na tym, żeby jak najszybciej odzyskać pocisk. Z Salahem mogliśmy się policzyć później.

- Ile chciał Salah?  
- Dwadzieścia tysięcy dolarów - to mnóstwo pieniędzy w Rafah. Spotkałem się więc z Salahem na obrzeżach obozu dla uchodźców późnym wieczorem. To spokojne miejsce; wokół stało kilka pustych budynków, niegdyś zbombardowanych. Zaparkowałem samochód i podszedłem do dżipa, którym przyjechał Salah.

- Był sam?

- Tak. Poprosiłem go, żeby mi pokazał skrzynię z pociskiem. Powiedział, że jest schowany gdzie indziej. Zaczęliśmy się o to kłócić, bo Abu Dżamał nie chciał przekazać Salahowi pieniędzy, dopóki nie zobaczą pocisku. Ruszyłem w stronę swojego wozu, żeby zadzwonić do Abu Dżamala. Salah szedł za mną, wygadując jakieś bzdury. Wtedy padł strzał. Trafił Salaha tutaj. - Odwan poklepał się po piersi, która wydała głuchy dźwięk.

- Co zrobiłeś?

- Natychmiast pobiegłem do wozu i stamtąd odjechałem. Z tych opuszczonych budynków padło jeszcze więcej strzałów. Ktoś próbował zabić także i mnie.

- Ilu zamachowców do ciebie strzelało?

- Tylko jeden. Huk dobiegał z tego samego miejsca, poza tym nie słyszałem innej broni.

- Co zrobiłeś, jak już stamtąd odjechałeś?

- Zadzwoiłem do Abu Dżamala. Wysłał ludzi w to miejsce. Siły bezpieczeństwa już tam były. Wróciłem do domu, a kiedy przyszli mnie aresztować, poddałem się.

Odwan umilkł. Omar Jussef starał się ukryć podniecenie. Jeśli Odwan mówił prawdę, to nie był zabójcą. Można by przekonać generała Hussajniego, żeby go uwolnił, gdyby tylko udało im się dowieść niewinności Odwana. Ale to znaczyło także, że gdzieś na wolności przebywa zabójca, który zrobiłby wszystko, by Omar go nie rozpoznał.

Odwan pokręcił głową.

- To nie miało sensu.

- Co nie miało sensu?

- Za każdym razem, kiedy go pytałem, gdzie ukrył pocisk, Salah powtarzał coś w obcym języku. Chyba po angielsku.

Mówisz po angielsku, wujku?

Omar Jussef przytaknął.

- Co znaczy słowo *price*? - spytał Odwan.

- Cena, koszt czegoś.

- Tak myślałem. Kiedy pytałem, gdzie jest pocisk, cały czas mówił o *price*, a ja go prosiłem: „Dobra, dostaniesz pieniądze, ale mów po arabsku i powiedz mi, gdzie jest pocisk”. Potem znów coś powiedział po angielsku. Jest mi teraz przykro z tego powodu, ale przyznaję, że rozgniewałem się wtedy na niego, bo myślałem, że nie wytrzymał nerwowo.

- Powiedział coś jeszcze po angielsku czy tylko to jedno słowo *price*?

- Powiedział: *high noon price*.

- *High noon price*?

- Coś w tym rodzaju. „Dostaniesz to - powtarzał. - Jest w *high noon price*. Co to znaczy, wujku?

- Znaczy cenę, kiedy słońce stoi wysoko w południe. Albo to, że w południe cena jest wysoka.

- Sam widzisz, że to nie ma sensu. Była północ, nie południe, a poza tym ja już znałem cenę. Wściekłem się na niego. - Odwan uderzył pięścią o otwartą dłoń. - Ale kiedy zastrzelili tego biedaka, zacząłem się nad tym zastanawiać. Naprawdę zamierzał mi coś powiedzieć. Wydawał się zdesperowany, kiedy szedł za mną do samochodu, wciąż powtarzając to dziwne angielskie wyrażenie. Ale ktoś chciał go zabić; być może o tym wiedział.

Omar Jussef wyobraził sobie bełkoczącego Salaha próbującego rozpaczliwie przekazać jakąś wiadomość Odwanowi, temu prostemu bojownikowi, który nie potrafił jej zrozumieć.

- Co się stało z pociskiem? Czy Abu Dżamal dobił targu i kupił go później?

- Nie wiem. Musisz spytać Abu Dżamala. Nic o tym nie słyszałem od czasu, jak mnie aresztowali.

- Dlaczego się poddałeś?

- Mogłem uciec. - Odwan rozejrzał się i zniżył głos. - Pod moim rodzinnym domem przebiega tunel na egipską stronę. Służy tylko do przenoszenia towarów, papierosów, odżywek dla dzieci i temu podobnych. Trzeba ciągnąć wszystko na małym wózku, który jedzie po metalowych szynach. Robi się to za pomocą kołowrotu na obu końcach tunelu. Przy swojej budowie ciała musiałbym się cholernie przeciskać, ale dałbym radę.

- Dlaczego więc tego nie zrobiłeś?

- Aresztowaliby całą moją rodzinę. Mam trzynaścioro rodzeństwa, braci i sióstr, matkę i ojca. Gdybym uciekł, wszyscy uwierzyliby, że zabiłem Salaha, i policja zniszczyłaby dom moich rodziców. - Popatrzył na swoje wielkie dłonie.

Więziń przypominał Omarowi ucznia dręczonego wyrzutami sumienia z powodu kłamstwa, które miało ukryć jego tchórzostwo. Bez trudu dostrzegł wahanie, które świadczyło o fałszu.

Odwan spojrział na Omara Jussefa i zauważył, że oszustwo wyszło na jaw.

- Powiem prawdę, Abu Ramizie, nie dałem rady przejść przez tunel - wyznał. - Przyznam ze wstydem, że zacząłem uciekać, pomimo ryzyka odwetu wobec mojej rodziny. Wiedziałem, że policja będzie mnie torturować. Zszedłem nawet na dół do tunelu, ale był wąski, długi i ciemny. Bałem się, że utknę po drodze i uduszę się pod ziemią.

Omar Jussef wyjął z kieszeni koszuli ulotkę Brygad Saladyńa i pokazał Odwanowi.

- Może to ci da nadzieję, Bassamie.

Odwan przeczytał ulotkę i ją oddał.

- Allah jest moją nadzieją, Abu Ramizie.

Omar Jussef schował kartkę do kieszeni.

- Niech Allah obdarzy cię łaską - powiedział, podnosząc się sztywno.

- Odejdź w pokoju - odparł Odwan.

Wyszli w milczeniu z bloku więziennego. Ludzie zamknięci w celach patrzyli na nich szklistymi oczami przez zakratowane okna.

Na schodach Omar Jussef streścił swoją rozmowę z Odwanem Szkotowi, który słabo znał arabski.

- *High noon price?* - spytał Cree. - Może ma to związek z filmem czy coś takiego? No wiesz, Gary Cooper, *High Noon*, czyli *W samo południe*. Nie, niemożliwe. To cholernie dziwne, Abu Ramizie.

Ich przewodnik ucałował Samiego pięć razy. Uniósł dłoń i przybił piątkę Omarowi Jussefowi.

- Niech Allah obdarzy cię łaską, *ya zalama* - powiedział.

Omar Jussef wciąż czuł mocny uścisk masywnej ręki Odwana.

- Nie mów do mnie *ya zalama* - mruknął gniewnie. - Więzienia wrogo mnie nastawiają.

Oficer wzruszył ramionami. Odwrócił się do Cree i zsalutował. Szkot oddał honory i popatrzył zawstydzony na Omara, unosząc wymownie brwi.

- Stary nawyk - wyjaśnił, kiedy ich opiekun pomaszzerował w stronę więzienia.

- Spróbuję wyjaśnić to wszystko z ludźmi z Brygad Saladyna w Gazie - oświadczył Sami, zapalając papierosa.

- Masz na myśli okoliczności tego zabójstwa?

- Tak, może dowiem się także, czy oczekiwali dostawy tego prototypowego pocisku. Zapiszcie sobie numer mojej komórki, na wypadek, gdybyście dowiedzieli się czegoś nowego.

Omar Jussef wyjął z kieszonki na piersi ulotkę Brygad Saladyna i swoje wieczne pióro Mont Blanc i zapisał na odwrocie kartki numer do Samiego.

Sami obszedł szlaban przy wjeździe do więzienia i skinął na starą, zdezelowaną taksówkę.

Wszechobecny pył utkwiał w krtani Omara Jussefa i chłostał go po skroni, wbijając w siniak drobinki piasku, co przypominało ukłucia igły. Chciał odpocząć, wiedział jednak, że zapowiada się długi dzień. Spojrzał w niebo, przyciemnione i pomarańczowe od pyłu. *High noon price*. Co to znaczyło? Było równie zakamuflowane jak słońce w Gazie ukryte za burzą piaskową.

- Czujesz się na siłach prowadzić? - spytał Szkota.
  - Prawdę mówiąc, nie jestem tak do końca pewien - mruknął Cree, dotykając ostrożnie pokiereszowanego nosa. - Ale to wszystko naprawdę robi się ciekawe.
- Omar Jussef uśmiechnął się ponuro.
- Jedźmy do Rafah - powiedział.

## ROZDZIAŁ 14

Jechali właśnie przez południowe dzielnice Gazy i przecinali piaszczyste potaci, gdzie zrównano z ziemią porzucone izraelskie osiedla, kiedy Omar Jussef wyczuł, jak ONZ-owski Chevrolet zaczyna zbaczać stopniowo w stronę pobocza drogi Saladyna. Z nagłym i głuchym łomotem przypominającym uderzenia potężnych skrzydeł koła potoczyły się po kamieniach i wybojach na krawędzi pola. Omar Jussef chwycił ramię Szkota i szarpnął kierownicę w lewo. Cree podniósł gwałtownym ruchem głowę i skręcił ostro na drogę, mrugając powiekami i otrząsając się z chwilowej drzemki. Dalej jechał już wolno, mijając skupiska zapadniętych parterowych domów po niegdyśszych uchodźcach. Patrzył przed siebie podpuchniętymi, szeroko otwartymi oczami, starając się za wszelką cenę podążać polnym traktem w nieprzeniknionej mgłę.

- Powinieneś odpocząć, James. Obaj mieliśmy ciężką noc. Może warto, żeby obejrzał nas jakiś lekarz.

- Przecież obejrzał.

- To był facet, który zasiada w radzie rewolucyjnej. Chodziło mi o prawdziwego doktora.

Wiatr wzbijał tumany pomarańczowego pyłu nad rzędami kapusty i pomidorów po obu stronach drogi i ciskał je na przednią szybę wozu. Cree wyginał swój długi kręgosłup, niemal dotykając brodą kierownicy, wpatrzony w wirujący pył.



- Nie martw się. Jesteśmy prawie na miejscu.
- W Rafah? To dopiero połowa drogi.
- Nie chodziło mi o Rafah. Chcę ci coś pokazać.

Cree zjechał z głównego traktu i zatrzymał się pod wysokim daktylowcem. Odetchnął kilka razy przez usta, uniósł sobie powieki palcami wskazującymi i rozruszał barki.

- O co chodzi? - spytał Omar Jussef.

Cree mrugnął zaczerwienionym okiem, wysiadł z wozu i rozprostował plecy. Omar pchnął drzwi i też wysiadł. W gorącym, gęstym powietrzu unosiła się stęchła woń kurcząt. Pod daktylowcem, za murem z pustaków, znajdował się niewielki, prosty, piętrowy wiejski dom z betonu. Od domu do głównej drogi ciągnął się żywopłot ze starannie przyciętych krzewów zimozielonych. Porywisty wiatr unosił na dachu kawałek blachy falistej, która łomotała hałaśliwie. Zza muru dobiegały odgłosy zabawy małych dzieci.

- To część wioski Zuwejda - wyjaśnił Cree. Spoglądał na południe, w stronę rozległego pola kapusty. - Gdzieś tam, w tym pyłe, jest Dejr al-Balah. Zwykle widać palmy daktyłowe rosnące wzdłuż głównej ulicy miasta. Teraz nic nie widzę, ale to tam.

Wiatr był tu silniejszy niż w samej Gazie, gdzie na jego drodze stały budynki. Omar Jussef popatrzył zmrużonymi oczami na piaszczyste podmuchy, które szarpały liśćmi kapusty porastającej pole.

- James, jeśli nie czujesz się dobrze, mogę poprowadzić. Przyznaję, że jestem kiepskim kierowcą, ale trzeba jechać. Musimy porozmawiać z tymi bojownikami w Rafah o Magnusie i dowiedzieć się czegoś o tym pocisku.

Cree przechylił głowę i zaczął nasłuchiwać.

- Powinien naprawić ten cholerny dach. Słyszysz, jak to draństwo wali? - Odwrócił się w stronę Omara Jussefa i powtórzył: - Chcę ci coś pokazać.

Podszedł niepewnym krokiem do furtki w murze przy bocznej ścianie domu. Zastukał w drewno i spojrzał ponad murem. Dziecięce głosy ucichły. Na podwórzu rozległy się kroki i po chwili ktoś otworzył furtkę.

- Witaj, Sulejmanie - powiedział Cree.

Mężczyzna odwzajemnił powitanie i uściśnął Szkotowi dłoń.

- To jest pan Sulejman Dżouda. Czuwa nad tym miejscem - zwrócił się Cree do Omara Jussefa.

Dżouda był niski i szczupły, na oko liczył trzydzieści kilka lat. Włosy miał zaczesane starannie do tyłu, lekko zwichrzone i ciemne, podobnie jak jego gęste wąsy. Na gliniastym podwórku, po obu stronach różowego trzykołowego rowerka, stało dwoje śniadych dzieci o pulchnych i bosych stopkach. Maluchy wpatrywały się w Cree z palcami w buziach. Dżouda zaprowadził ich do zgrabnej furtki na tyłach domostwa. Kiedy ją otworzył, Omar Jussef ujrzał ze zdumieniem bujną zieleń.

Rozległy trawnik wydawał się bardziej soczysty i ciemniejszy niż jakikolwiek skrawek ziemi w Gazie. Otaczał go ze wszystkich stron żywopłot z krzewów zimozielonych, każdy z jego czterech boków miał długość około dwustu metrów. Stanowił naturalną zaporę dla wiatru i nawet pył nie mógł stłumić soczystego koloru trawy. W głębi stał granitowy obelisk, który, podobnie jak kwadratowy cokół, wznosił się na wysokość około metra. Wszędzie ciągnęły się równe rzędy grobów wyciętych z białego piaskowca.

Cree ruszył ku środkowi cmentarza. Omar Jussef podążył za nim. Wokół kilku grobów na lewo od ścieżki rozkopano ziemię. Widać było ślady pospiesznej naprawy przy nagrobkach, ale Cree minął je, nie zatrzymując się. Dżouda zachowywał pełen szacunku dystans.

- Jesteś historykiem, Abu Ramizie - powiedział Cree. - Wiesz, gdzie się znajdujemy?

- To brytyjski cmentarz wojskowy.

- Masz rację. Z czasów pierwszej wojny światowej. Konsulat brytyjski płaci panu Dżoudzie pensję, by opiekował się tym miejscem. Jest piękne, prawda?

- Jeśli mam być szczerzy, to jedyne miejsce w Gazie, które można tak określić. Nie przypomina jej w żaden sposób.

- Zgadząm się. Wydaje się, że trzeba umrzeć, żeby sobie zapewnić tu choć trochę spokoju. - Cree uśmiechnął się z goryczą.  
- I to w wojnie przed wieloma laty, by móc się cieszyć spokojem w pięknym miejscu, o które ktoś się troszczy.

- To zapomniana wojna - zauważył Omar Jussef.

Cree przesunął językiem po wargach.

- Ja nie zapomniałem.

Omar Jussef rozważał te słowa w myślach. Był nauczycielem historii, ale nie tylko on pamiętał o przeszłości.

- Rozmawiałem zeszłego wieczoru z profesorem Makim o kampanii brytyjskiej podczas pierwszej wojny światowej. Powiedział mi, że Brytyjczycy atakowali Gazę trzykrotnie, zanim ją zdobyli i ruszyli dalej na Jerozolimę.

Cree przytaknął.

- Spójrz na daty na nagrobkach. Widzisz tego tutaj? Zmarł w kwietniu tysiąc dziewięćset siedemnastego. Ale ten w następnym rzędzie zmarł w listopadzie.

- W tej wiosce też toczyły się walki?

- Nim założono tu cmentarz w marcu siedemnastego roku, walki przeniosły się na północ, do Gazy. Jeśli ktoś ginął w akcji, to chowali go tam, gdzie padł. Ale rannych przenoszono do szpitala polowego w Dejr al-Balah i jeśli nie przeżyli, chowano ich tutaj.

Omar Jussef powiódł spojrzeniem po rozległym trawniku.

- Ilu ich tu leży?

- Siedmiuset pięćdziesięciu. Kilku w tamtym narożniku to Hindusi. Jest też paru żydowskich żołnierzy. Ale większość to typowi Brytyjczycy o bladej i ziemistej skórze, jak ja. - Cree spojrział na Omara Jussefa i zmarszczył czoło. - Chryste, obrażasz siebie? Dorastasz w Anglii, gdzie jest szaro, mokro i cholernie zimno, ale jesteś przynajmniej u siebie, i nagle zmuszają cię, żebyś walczył na śmierć za ten obcy, dziwaczny kawałek ziemi?

- Niestety, James, zawsze ktoś obcy walczył o ten skrawek łądu. Żydzi byli tu od tysiącleci, Arabowie od ponad tysiąca lat, ale wszyscy inni, którzy walczyli o ten kraj, byli obcy, przyciągani

przez chciwość, nienawiść albo Boga. Krzyżowcy, Napoleon, Turcy, wszyscy byli tu obcy.

Cree szedł powoli wzdłuż szeregu grobów. Omar Jussef spojrzął na zegarek. Była dziewiąta. Chciał zdobyć potrzebne informacje w Rafah i wrócić do Gazy przed zmrokiem. Nie uśmiechała mu się jazda po drodze Saladyna w tumanach pyłu, przy pogarszającej się widoczności i ze Szkotem za kierownicą. Szedł za nim zniecierpliwiony, zastanawiając się, czy Cree specjalnie zwleka, żeby pozbyć się skutków całonocnego pijaństwa i kontuzji przed dalszą drogą.

Cree ukląkł przed jednym z grobów. Omar Jussef stanął i nad jego ramieniem przeczytał inskrypcję w kamieniu: Szeregowiec James Cree. 4 Batalion Strzelców Królewskich z Edynburga. Lat 21. 5/11/17.

- Mój pradziadek. Otrzymałem po nim imię. Ożenił się, zrobił żonie dziecko, którym był mój dziadek, poszedł na wojnę. Niewiele miał z życia, co?

- Jak zginął?

- Nie wiem. Dokumentacja dotycząca żołnierzy szeregowych była przechowywana w Londynie i w większości została zniszczona w wyniku nalotów niemieckich podczas drugiej wojny światowej. Na dobrą sprawę nic nie pozostało z jego życia.

- Z wyjątkiem twojego imienia.

- No tak.

Cree miał już wcześniej oczy zaczerwienione od pyłu krążącego w powietrzu i silnego wiatru, ale teraz myśl o jego pradziadku przyprawiła go o piekące łzy. Otarł oczy wierzchem dłoni i pociągnął nosem.

- Ta ziemia coś dla mnie znaczy, Abu Ramizie. Jestem winien swojemu pradziadkowi, by ci, którzy żyją w Gazie, nie ginęli w sposób, w jaki on stracił życie. I w jaki stracili życie Turcy, którzy z nim walczyli - powiedział, uśmiechając się kwaśno.

Omar Jussef podrapał się po brodzie. Jazda do Rafah mogła jeszcze trochę poczekać.

- Poszedłem do wojska, kiedy byłem młodym człowiekiem - ciągnął Cree. - Strzelcy Edynburscy zostali włączeni do Królewskich Strzelców Szkockich, więc się tam zaciągnąłem. Pomyślałem sobie, że dzięki temu znajdę się bliżej pradziadka.

- Niezbyt blisko, na szczęście.

- O ile wiem, nikt nie próbował mnie zabić. - Cree uśmiechnął się w zamyśleniu. - Dzięki Bogu, ja także nie musiałem nikogo zabijać. W każdym razie, ponieważ tak mało wiedziałem o tym, który spoczywa pod naszymi stopami, zacząłem prowadzić w wyobraźni rozmowy z człowiekiem, jakiego sobie wyobrażałem. Powiedział mi, że moje przypuszczenia były całkowicie błędne. Poszedł do wojska z poboru. Nie wybrał życia w mundurze i nie chciał walczyć. Odszedłem z armii i zacząłem pracować dla ONZ-u. Wiedziałem, że będę widział ludzi od ich najgorszej strony, ale miałem też nadzieję, że zobaczę ich czasem z tej dobrej.

- I co się okazało?

- Powiem ci, jak znajdziemy Magnusa.

Omar Jussef położył dłoń na nagrobku. Wyczuł chropowatość papieru ściernego - skutek dziewięćdziesięciu lat burz piaszkowych, takich jak ta, która teraz chłostała żywoplot.

- „Nieludzkość człeka wobec człeka to dla tysięcy żałoba” - powiedział.

- „Człowiek stworzony jest do żałoby”. Robert Burns. Myślałem, że jesteś tylko historykiem, Abu Ramizie.

- Czasem to, co powinni mówić historycy, trafniej wyrażali pisarze.

Obaj mężczyźni patrzyli sobie przez chwilę w oczy. Cree skinął głową i podniósł się z klęczek. Spojrzał ku wschodniej stronie cmentarza. Zauważył zniszczone nagrobki i rozkopaną ziemię, na co Omar Jussef już wcześniej zwrócił uwagę.

- Co się tu stało? - spytał.

- Kilka dni temu wdarli się tu wandalę - wyjaśnił dozorca. - Nie słyszałem ich, panie Cree, bo spałem. Weszli na cmentarz przez żywoplot w najdalszym narożniku. Rozkopali trawę wokół dwóch grobów i kilka zniszczyli.

- Zdarzało się to już wcześniej? - spytał Omar Jussef.
- Nigdy. Ale ludzi drażni udział wojsk brytyjskich w okupacji Iraku. Przykleili do nagrobków ulotki i pomazali jeden farbą, wypisując hasła pełne nienawiści.

Omar Jussef zbliżył się do zdewastowanej części cmentarza. Trawa wokół kilku mogił została rozkopana, jakby jej bujny wygląd stanowił obrazę dla biednych i jałowych grobów zmarłych Palestyńczyków, ziemię zaś rozrzucono wokół. Trzy nagrobki rozłupano na pół. Dozorca podparł kamienne resztki palikami. Obok, do trzech innych nagrobków, przyklejono słabej jakości kopie zdjęć z gazety. Przedstawiały one brytyjskiego żołnierza oddającego mocz na irackiego jeńca. Omar Jussef czytał o tej fotografii, kiedy już wyszło na jaw, że to fotomontaż. Zmarli pochowani na tym cmentarzu płacili teraz za dziennikarskie fałszerstwo.

- Nie usunąłem jeszcze tych zdjęć, bo nie wiem, jak to zrobić, żeby nie zniszczyć kamienia - wyjaśnił dozorca. Podrapał się nerwowo po karku. - Na tym nagrobku wymalowano jakiś slogan. Starłem go terpentyną, ale chyba uszkodziłem kamień, więc postanowiłem zasięgnąć fachowej rady, co zrobić z pozostałymi.

Omar Jussef zerknął na pojedynczy nagrobek, który pomazano farbą.

- Nie jest zniszczony, Sulejmanie. Wszystkie te kamienie były trochę stare. Kiedy wyczyściłeś ten pomazany, wydawało ci się, że go pobrudziłeś. Tak naprawdę usunąłeś z niego warstwę brudu. Będzie wyglądał jak kiedyś, gdy wiatr i słońce otoczą go przez rok czy dwa swoją opieką.

- Dziękuję, *ustaz*. Bardzo się niepokoiłem. Zmarli śpią tu od tak dawna i mam wrażenie, jakby ludzie, którzy sprofanowali te groby, chcieli ich zabić po raz drugi.

- Na szczęście to niemożliwe.

Dozorca popatrzył na Omara Jussefa niepewnie.

Ten człowiek czuje się bliski tym wszystkim zmarłym cudzoziemcom, kiedy opiekuje się ich mogiłami, pomyślał Omar Jussef. I bardzo mocno przeżywa profanację, jakiej uległy te groby.

- Mimo wszystko to głęboko niepokojące - zauważył Omar Jussef. Położył dłoń na ramieniu dozorca, który obdarzył go pełnym wdzięczności spojrzeniem.

Cree podszedł sam do mogiły swego imiennika. Przesunął po nagrobku dłonią, dotykając wyrytych w kamieniu liter. Wyprostował się i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę wyjścia. Kiedy mijał Omara Jussefa, spojrzenie miał czyste i twarde, a krok pewny.

- Dziękuję, że zatrzymałeś się tu ze mną, Abu Ramizie. Musiałem wziąć się w garść. Teraz jestem gotów jechać dalej.

Omar Jussef wyszedł na ścieżkę, oddalając się od zniszczonej trawy i naruszonych grobów. Schylił się, żeby przetrzeć mokasyny chusteczką. Wyprostował zeszywniałe plecy i rozejrzał się po cmentarzu. Przypomniał sobie opowieść Nadii o bogu Atumie, którego płacz stworzył ludzkość. Tak, człowiek został stworzony do żałoby. Jeśli ktoś pragnął osuszyć łzy Atuma, to tylko zamieniając je w pył.

## ROZDZIAŁ 15

Na głównej ulicy Rafah Omar Jussef wychylił się przez okno ONZ-owskiego chevroleta, by spytać o drogę do domu Salaha. Odetchnął gorącym powiewem pyłu i odchrząknął, kiwając palcem na młodego człowieka, który schronił się przed wiatrem w wejściu sklepu z wyrobami metalowymi. Mężczyzna zbliżył się powoli, trzymając ręce w kieszeniach dżinsów i garbiąc ramiona pod czerwono-białą kraciatą kufijją, którą owinął sobie wokół szyi jak szal. Zerknął ponad Omarem Jussefem na Cree. Szkot patrzył przed siebie.

- Gdzie jest dom porucznika Fadiego Salaha? - spytał Omar Jussef.

- Męczennika Salaha?

Omar Jussef miał wrażenie, że na twarzy jego rozmówcy pojawił się nieznaczny uśmiech.

- Tak, tego samego.

- Stoi niedaleko granicy, na drugim końcu miasta.

Młody człowiek, udzielając wskazówek, wsunął głowę w okno samochodu, by uniknąć wirującego pyłu. Kiedy skończył, położył dłoń na przedramieniu Omara Jussefa i skinął głową na Szkota.

- Co mu jest? - spytał.

- Gaza przyprawia go o ból głowy.

- Mnie też przyprawia o chorobę.



Cree jęknął do wtóru zgrzytającej skrzyni biegów chevroleta, ruszając zapiaszczoną ulicą. Potem, gdy zatrzymał się za domem, gdzie kiedyś mieszkał Fadi Salah, znowu jęknął. Zaciągnął hamulec ręczny, zgasił silnik i po raz pierwszy od pół godziny rozluźnił dłonie na kierownicy.

- Nie wierzyłeś, że dojedziemy, co? Mógłbym się założyć, że nie.

- Od kiedy to cios w głowę i zwykła burza piaskowa mogą powstrzymać od czegokolwiek Królewskich Strzelców Szkockich? - spytał retorycznie Omar Jussef.

- No dobra, jestem byłym wojskowym, zbyt tępy, żeby się zatrzymać w odpowiednim momencie. A jak ty wytłumaczysz swój upór?

- Jestem Palestyńczykiem. Zrobię wszystko, żeby osiągnąć cel.

Dom Salaha stał samotnie na niewielkiej działce. Był to jednopiętrowy budynek z nieotynkowanego betonu, a z dachu sterczała zardzewiała belka czekająca na kolejne piętro. Nad murem otaczającym ogród kołysały się srebrzyste, matowe liście kilku drzew oliwnych. Pod osłoną muru, w powiewach wiatru, furkotały czarne połę rodzinnego namiotu żałobnego. Od pogrzebu porucznika Salaha upłynęły dwa dni i w namiocie nie było już nikogo prócz starego mężczyzny.

Omar Jussef z trudem ruszył w tamtą stronę; buty napęlniały mu się piaskiem, który kłuł go przez cienkie bawełniane skarpetki. Zmrużył oczy przed wiatrem, który w porównaniu z chłodnym wnętrzem samochodu wydawał się gorący. Pod płachtą namiotu nie dokuczał już tak bardzo, ale Omar Jussef wciąż czuł piasek na języku, kiedy witał się ze starym człowiekiem. Cree wszedł za nim, schylając się pod brezentową połą.

Niski mężczyzna w podeszłym wieku siedział wyprostowany na jednym z brudnych plastikowych krzeseł ogrodowych ustawionych wokół wejścia. Owinął koniec swojej kufijji wokół głowy, zasłaniając sobie usta i nos przed pyłem. Oczy miał piwne, pełne żalu, a uścisk dłoni słaby. Wstał i zbliżył się do furtki, po czym zawołał czyjeś imię, które zagłuszył wiatr.

Kiedy stary człowiek stał obrócony plecami, Omar Jussef zdjął buty i wysypał z nich piasek przed namiotem. Po chwili gospodarz wrócił, poprawiając długą, brudną galabiję białego koloru i podciągając ją na biodrach, żeby wygodniej siedzieć.

Na środku namiotu, w kwadratowym obramowaniu z kamieni, paliły się węgle i drewno. Powietrze było gryzące od dymu. Na ogniu stał miedziany dzbanek z kawą, zdobiony choć poczerniały.

Wzdłuż muru, za plecami starego człowieka, wisiały plakaty obwieszające bohaterską śmierć porucznika Fadiego Salaha. Zdjęcie mrocznej i groźnej twarzy oficera zestawiono z wido-kiem jerozolimskiej Kopuły na Skale. Na fotografii widniał krótki, pochwalny tekst sławiący Salaha jako męczennika. Róg jednego z plakatów łopotał na wietrze, dźwięk ten stanowił jakby tenorowy kontrapunkt dla głuchych basowych uderzeń płachty namiotu.

Z ogrodu wyłonił się kilkunastoletni chłopiec i nalał tradycyjną gorzką kawę z poczerniałego dzbanka do małych plastikowych kubków, i podał je Omarowi Jussefowi i Cree. Omar z ulgą skosztował goryczy, która na chwilę oczyściła jego usta z pyłu. Zwrócił się do pogrążonego w żałobie mężczyzny i wyraził nadzieję, że Allah okaże miłosierdzie zmarłemu.

Stary człowiek przytaknął i wymamrotał podziękowania, zsuwając grzecznie kufiję z twarzy.

- Szukamy ojca porucznika Fadiego Salaha - powiedział Omar Jussef.

- Ja jestem jego ojcem.
- Twoje imię, drogi bracie?
- Zaki Salah. Abu Fadi.

Omar Jussef ponownie wyraził pragnienie, by zmarły znalazł się pod boską opieką, co również zostało przyjęte z wdzięcznością.

- Bracie Abu Fadi, jesteśmy tu po to, by odkryć prawdę o śmierci twego syna. Mamy nadzieję, że w ten sposób ocalimy naszego przyjaciela, który został porwany przez Brygady Saladyna.

Zostanie uwolniony w zamian za wypuszczenie z więzienia Bassama Odwana. Chcemy się dowiedzieć o okolicznościach śmierci Fadiego.

- Są powszechnie znane - wyszeptał Zaki Salah.
- Odwan zaprzecza, jakoby zabił Fadiego.
- To kłamstwo. Zostało to wykazane w śledztwie.
- Co odkryli prowadzący śledztwo?
- Dokładnie to, co napisano w gazetach. Fadi otrzymał rozkaz aresztowania przestępcy Odwana. Podczas aresztowania Odwan postrzelił Fadiego i uciekł. Fadi zginął na miejscu. Wkrótce potem zatrzymano Odwana. Teraz grozi mu kara śmierci, odpowiednia dla bezwzględnego zabójcy. - Oczy Zakiiego Salaha były pełne gniewu i łez, kiedy to mówił.

Omar Jussef wpatrywał się w te oczy. Nie chciał naciskać pogrążonego w smutku człowieka, ale czuł presję czasu.

- Odwan twierdzi, że poszedł spotkać się z Fadim, ponieważ Fadi chciał sprzedać coś Brygadam Saladyna.

- Skąd wiesz, co powiedział Odwan?
- Widzieliśmy się z nim.
- Wwiezieniu?

Omar Jussef przytaknął. Zaki Salah pokręcił głową. Usta starego człowieka były zaciśnięte, na twarzy malowała się gorzycz. Wstał.

- Chodź ze mną.

Omar Jussef odstawił kubek z kawą na sąsiednie krzesło. Cree podniósł się z miejsca.

- Tylko ty, *ustaz* - powiedział Zaki Salah.

Cree usiadł z powrotem, nie kryjąc ulgi.

Zaki Salah poprowadził Omara Jussefa przez ogród. Wiatr uderzał gałązkami drzewek oliwnych o mur. Kiedy weszli do domu, woń wszechobecnego pyłu została przytłumiona przez zapach fulu\*. Aromat cierpkiego purée z fasoli wzbudził w nim pragnienie powrotu do domu pełnego smakowitych woni dochodzących z kuchni, po której krzątała się jego żona Mariam.

\* Ful - arabska potrawa przygotowana z purée z fasoli zmieszanego z cebulą, pomidorami i przyprawami, podawana często z jajkiem.

Salah poczłapał w głąb korytarza, stukając sandałami o tanią terakotę. Nie był starszy od Omara Jussefa, ale poruszał się wolniej i był lekko przygarbiony.

Kiedy weszli do salonu, Zaki Salah stanął przed ścianą na której wisiały trzy dyplomy oprawione w krzykliwie złote i srebrne ramki. Uniósł ciemny, pomarszczony palec i wskazał pierwszy z dokumentów.

- To jest dyplom, który mój syn Fadi uzyskał na Uniwersytecie Al-Azhar. Fadi studiował nauki polityczne - wyjaśnił Zaki Salah. - Dlaczego człowiek z wyższym wykształceniem i niezłą pozycją w siłach bezpieczeństwa miałby robić ciemne interesy z przestępcą pokroju Odwana?

Omar Jussef przysunął się do ściany i poprawił na nosie skrzywioną oprawkę okularów. Spojrzał na dwa pozostałe dyplomy. Pierwszy, licencjat z nauk politycznych, należał do kogoś, kto nazywał się Jasser Salah; drugi zaś, należący do tej samej osoby, wydano na wydziale prawa. Oba opatrzone symbolem Uniwersytetu Al-Azhar - kopułą i minaretami meczetu na tle otwartej księgi.

- Kto to jest Jasser Salah? - spytał Omar Jussef.
- Mój drugi syn. Także oficer.
- W jakiej służbie?
- Jasser służy w siłach prewencyjnych. - Zaki Salah postukał palcem w trzeci dyplom wiszący na ścianie. - Po otrzymaniu tego tytułu awansowano go na kapitana.
- Gratuluję - powiedział Omar Jussef. - Abu Fadi, Brygady Saladyna domagają się uwolnienia Odwana.
- To wbrew prawu i sprawiedliwości.
- Ale Brygady Saladyna dysponują ogromną siłą.
- Mój syn należał do służby bezpieczeństwa. Oni także dysponują ogromną siłą.
- Wierzysz, że generał Hussajni dokona egzekucji Odwana, nawet jeśli miałoby to narazić go na konflikt z Brygadami?

- Domagam się kary śmierci. Jeśli Hussajni jest słaby i go wypuści, sam zabiję Odwana.

- Ty?

- Ja albo ktoś z mojej rodziny. Mój syn Jasser weźmie na siebie ten obowiązek. Jako oficer bezpieczeństwa ma odpowiednie kwalifikacje. Jeśli rząd jest zbyt słaby, by zagwarantować nam sprawiedliwość, to sami musimy ją wymierzyć. Znasz nasze zwyczaje i prawa i chyba rozumiesz, co muszę uczynić. - Głos Zakiego Salaha miał przerażająco monotonne brzmienie, jakby śmiertelna zemsta była czymś powszednim. - Odwan, zabijając Fadięgo, zabił całą rodzinę. Fadi zostawił przecież córeczkę, która ma tylko trzy miesiące. Jeśli uwolnią Odwana, zabiję go, a jeśli nie będę mógł tego zrobić osobiście, mój syn go zabije. A gdyby trzeba było poczekać dłużej, mój wnuk zabije kogoś z rodziny Odwana.

Omar Jussef zamknął oczy i odetchnął głęboko. Nienawidził tych starych plemiennych praw. Obowiązywały tam, gdzie nie było żadnej władzy i gdzie nie można było dojrzeć nikogo przez zasłonę burzy piaskowej, z wyjątkiem człowieka, który zjawiał się w złych zamiarach. Zaki Salah mógł równie dobrze wypowiedzieć te słowa tysiąc lat wcześniej i tyleż lat nosić w sercu pragnienie odwetu.

- Generał Hussajni musi zważyć na jednej szali tradycyjny nakaz rodzinnej sprawiedliwości i ryzyko grożące cudzoziemcowi - powiedział Omar Jussef.

- A kogo obchodzi jakiś cudzoziemiec? Dlaczego ma być taki ważny? Jeśli Hussajni wypuści Odwana, to nie jest muzułmaninem. Moja zemsta jest tym, czego wymaga islam. Zabójca musi zginąć. Nie mogę wyrzec się krwi syna. - Zaki Salah zaczął ocierać dłonie jedna o drugą, jakby je obmywał. - Musisz wyjaśnić to cudzoziemcom.

Omar Jussef ujrzał w wyobraźni martwego Magnusa Walendera i zadał sobie pytanie, kto pomści jego krew. Zamknął oczy i natychmiast wyrzucił z myśli ten obraz.

- Abu Fadi, czy twój syn był kiedykolwiek zamieszany w przemyt?

- Nigdy nie był zamieszany w żadne przestępstwo.  
- Czy dotyczy to także przemytu broni? A może uważasz, że można to potraktować jako objaw oporu, nie zaś przestępstwo?

Zaki Salah spojrzął na Omara gniewnie.

- Mój syn zawsze zwalczał przemytników. To był jego służbowy obowiązek. Często stykał się z nimi niemal na progu swego domu, więc nawet tutaj był zmuszony stawiać przestępcom czoło. Jesteśmy bardzo blisko granicy egipskiej.

- Naprawdę? Jak blisko?

- Gdyby nie ta burza, zobaczyłbyś granicę za domem, kiedy tu przyjechałeś. To sto kroków od miejsca, w którym stoimy. - Zaki podszedł do okna i odsunął zasłony. - Tam, widzisz?

Omar Jussef wlepił wzrok w gęsty pył na dworze. Za domem znajdował się ogród, a w jego głębi prymitywny garaż. Za nim wznosił się płot z ciemnej stali, wysoki na dziewięć metrów i pofalowany jak tania blacha na dachu. To była egipska granica.

- Na tym obszarze roi się od tuneli. Przemycnicy wykopują je pod ogrodzeniem - wyjaśnił Zaki Salah.

Z garażu wyłonił się młody człowiek i zamknął drzwi na skobel. Przeszedł przez ogród, kuląc się przed wiatrem. Omar Jussef usłyszał, jak wchodzi do domu i kaszle.

Do pokoju napłynął smakowity zapach fulu i dotarł aż do okna, przy którym stali.

- Najlepiej będzie, jeśli wrócisz teraz do namiotu żalobnego, żeby kobiety mogły przygotować posiłek - zwrócił się Zaki do Omara Jussefa. - Będę zaszczycony, jeśli zechcesz zostać na obiedzie.

Omar Jussef poczuł, jak na wzmiankę o jedzeniu pulsuje mu boleśnie zraniona skroń.

- Sprawiasz mi wielki honor - odparł. - Muszę jednak dalej badać tę sprawę. Mojemu przyjacielowi pozostało już niewiele czasu. Chyba że odkryję prawdę. Pomyślałem sobie, że może twój syn mógłby mi pomóc; pracuje przecież w służbach i pewnie orientuje się w śledztwie.

- Dobrze. Przyślę go, żebyś mógł z nim porozmawiać.

Omar Jussef poszedł do namiotu. Cree siedział wciąż w tym samym miejscu. Rozprostował ramiona i ucieszył się na widok Omara. Przyczerniony dzbanek stał na kamieniach ułożonych wokół rozżarzonych węgli. Cree uśmiechnął się przepraszająco.

- Obawiam się, że opróżniłem tego małego drania do dna - oznajmił. - Trochę się namęczyłem z tymi kubeczkami, ale potrzebowałem tego.

- Niechaj ci pójdzie na zdrowie - machnął ręką Omar Jussef.

Młody człowiek, który wyszedł z garażu, stanął przed namiotem, tuż przy krawędzi zapyłonych dywanów pokrywających żalobne miejsce. Popatrzył na Omara Jussefa.

- Ty jesteś Jasser? - spytał Omar.

Młody człowiek skinął głową.

- Niech Allah będzie miłosierny dla twego brata. Proszę, usiądź ze mną. Twój ojciec sądzi, że możesz nam pomóc.

Młodzieniec się zawahał. Usiadł naprzeciwko Omara Jussefa i pochylił się, opierając łokcie na kolanach. Popatrzył z uwagą na swego rozmówcę brązowymi, zmrużonymi oczami o twardym i gniewnym spojrzeniu. Wąskie pasmo włosów na czole przypominało swoim ułożeniem ostrze siekiery. Ściągnął ku sobie gęste brwi, które zadrgały niczym przyspiesznik broni wyczynowej. Nos miał prosty i spiczasty, a nierówne i połamane zęby wylaniały się groźnie spod wąsów. Każdy szczegół jego twarzy przypominał jakiś element broni, której Jasser był w każdej chwili gotów użyć.

- Jasser, co to jest Saladyn I?

Rysy młodego człowieka wyostrzyły się jeszcze bardziej. Broń została zabezpieczona. Milczał.

- Wiesz coś o Saladynie I? - dopytywał się uparcie Omar Jussef.

- Co to jest?

- Ciebie pytam.

- Wydaje się, że wiesz. Więc dlaczego mnie o to pytasz?

- To prototyp nowego rodzaju pocisków, które mają być produkowane tutaj, w Strefie Gazy. Twój brat próbował sprzedać go Brygadam Saladyna, kiedy został zastrzelony.

Jasser Salah podrapał się po czole. Omar Jussef zastanawiał się, czy mężczyzna może skaleczyć się o pasemko włosów na czole.

- Aresztował akurat Odwana - powiedział.
- Odwan mówi coś innego.
- Zabił mojego brata jak tchórz, a teraz głupio się tłumaczy.
- Może mówi prawdę.

Jasser Salah pokręcił głową. Omar Jussef wyczuwał pogardę młodego człowieka tak mocno, jakby ten podszedł do niego i uderzył go w twarz.

- Pracujesz dla ONZ-u? - spytał, wskazując chevroleta z dużymi czarnymi literami UN na karoserii.

Omar Jussef przytaknął.

- Co wiecie o Brygadach Saladyna? Co wiecie o życiu w Rafah? To zapomniany zakątek Palestyny. Wszystko jest tu gorsze niż gdziekolwiek indziej. Więcej męczenników podczas intifady niż w jakimkolwiek innym miejscu. Więcej ataków ze strony Izraela. Nie macie pojęcia o życiu tutaj ani o tym, jak mój brat pracował dla dobra ludzi.

Każde zdanie było poprzedzone niecierpliwym oddechem, który przywodził na myśl człowieka rozciągającego zeszytniałe mięśnie.

- Kiedy usłyszałeś o śmierci brata?
- Natychmiast. Zostałem wezwany na miejsce przestępstwa.
- Dlaczego?
- Miałem służbę tej nocy. Jestem oficerem sił prewencyjnych.
- Twój brat był sam, kiedy chciał aresztować Odwana?
- Nie, towarzyszył mu oddział funkcjonariuszy.
- Naprawdę? - Omar Jussef przypomniał sobie opis nocnego spotkania w opustoszałej scenerii przekazany przez Bassama Odwana. - Co tam zobaczyłeś?



- Ciało mojego brata pod białym prześcieradłem. Kordon jego towarzyszy w pobliżu i ślady opon samochodu, który odjechał chyba bardzo szybko.

- Gdzie to było?

- Na obrzeżach obozu dla uchodźców. Niedaleko granicy.

- Dlaczego Fadi pojechał w tak odludne miejsce, żeby aresztować Odwana? Dlaczego nie aresztował go w domu, jak zrobili to jego koledzy kilka godzin później?

- Nie znam szczegółów tej operacji. Może umówił się z nim na spotkanie, choć tak naprawdę chciał go aresztować.

- Zwabił go na spotkanie, żeby go zatrzymać?

- Niewykluczone - odparł Jasser Salah. Odchrząknął flegmę i podszedł do wyjścia namiotu, po czym splunął na piasek. Podniósł dzbanek z kawą i cmoknął zaskoczony, kiedy stwierdził, że naczynie jest puste. Zapalił papierosa.

- Czy jako funkcjonariusz w siłach bezpieczeństwa słyszałeś o nowej broni szmuglowanej do Rafah? - spytał Omar Jussef.

- Izraelczycy trzymają całą broń. My nie mamy nic. To oni stosują uderzenia dźwiękowe, które powodują u naszych kobiet poronienia. Kiedy porzucili niedaleko stąd swoje osiedla, napromieniowali je, żeby wszyscy w Rafah chorowali. Mają czołgi strzelające ładunkami dźwiękowymi, które zamieniają człowieka wewnątrzności w płynną masę.

- Mamy przecież rakiety Qassam.

- Są do niczego. Trzeba trafić kogoś w głowę, żeby zabiły.

- Więc trzeba je zmodernizować.

- Tak, ale to trudne.

- Dlaczego?

Jasser Salah patrzył w oczy Omara Jussefa i milczał.

- Trudne, ponieważ trzeba sprowadzić do Gazy nowy prototyp, tuż pod nosem Izraelczyków - domyślił się Omar. - Mam rację?

- Pod granicą egipską przebiega mnóstwo tuneli, ale w większości są zbyt wąskie, żeby przenieść tamtędy pocisk - powiedział Jasser. - Dlatego to takie trudne.

- Każdy jednak, kto byłby w posiadaniu takiego pocisku, mógłby żądać wysokiej ceny od ugrupowania w rodzaju Brygad Saladyna, które zdołałyby dzięki prototypowi wyprodukować zmodernizowaną broń. Zgadza się?

Salah przyglądał mu się spod przymkniętych powiek, potem jednak odprężył się i uniósł brwi, wzruszając ramionami.

- Brygady Saladyna domagają się uwolnienia Odwana - ciągnął Omar Jussef. - Porwali jako zakładnika jednego z członków naszego personelu.

- To przestępcy.

- Jeśli Odwan jest niewinny, nasz przyjaciel mógłby zostać uwolniony.

Jasser uniósł brodę i uśmiechnął się szyderczo.

- Jeśli wypuszczą Odwana, to ja go zabiję.

- Nie przejmujesz się zbyt tym, że w ten sposób ściągiesz na siebie gniew Brygad Saladyna.

- Nie boję się umrzeć. Moim obowiązkiem jest pomścić brata. To sprawiedliwość plemienna, w którą wierzę.

Omar Jussef przyglądał się uważnie Jasserowi Salahowi. Od lat widywał tę pewność siebie w oczach swoich uczniów, pewność okrutną i absolutną. Jego przekonania odznaczały się podobną siłą, miał jednak nadzieję, że nie zrodziły się w wyniku ślepej wiary ani kosztem innych ludzi.

Cree odchrząknął znacząco.

- Abu Ramizie, musimy jechać na punkt kontrolny, żeby zabrać negocjatorów. Zjawią się o wpół do piątej.

Omar Jussef przytaknął i podniósł się z miejsca.

- Przestrzegam cię, byś nie ufał Brygadam Saladyna - powiedział Jasser Salah. - To zabójcy i przestępcy.

Jeszcze raz podniósł dzbanek z kawą, przypomniał sobie, że jest pusty, i odstawił go ze złością na miejsce.

Omar Jussef szedł z wysiłkiem w stronę wozu. Jego buty znów napełniały się piachem.

Cree uruchomił silnik.

- Jest prawie trzecia. Może odstawię cię z powrotem do hotelu, a sam pojedę na punkt kontrolny po negocjatorów. Potem

ich przywożę, żebyś mógł się z nimi naradzić. Zaczekasz na mnie i odpoczniesz sobie w tym czasie. Boli cię głowa przecież.

Omar Jussef przytaknął. Chevrolet jechał z wysiłkiem po głębokim piasku, mijając dom Salaha. Omar spojrział w głąb ogrodu na brudny garaż z pustaków. Był szeroki i dostatecznie głęboki, by mogły pomieścić się w nim cztery wozy, dwa obok siebie. Od garażu do drogi powinny się ciągnąć koleiny, ale nie było ich widać. Pewnie zasypał je piasek podczas burzy, pomyślał Omar Jussef. Ale nawet przy takiej pogodzie trwałoby to kilka dni. Może ten garaż nie był jednak przeznaczony dla samochodów.

## ROZDZIAŁ 16

Droga Saladyna zawiodła ich z powrotem do Gazy. Omar Jussef, siedząc przygarbiony w fotelu pasażera, rozmyślał nad wydarzeniami ostatnich dwudziestu czterech godzin. Z zadumy wyrwał go Cree, który skręcił gwałtownie, by nie potrącić przechodnia, bezmyślnie wchodzącego na jezdnię. Szkot zaklął, a Omar Jussef się uśmiechnął, po czym poklepał towarzysza po ramieniu i znów zagłębił się w myślach.

To właśnie tą drogą nadszedł Saladyn\*, by wyzwolić Palestyńczyków spod jarzma krzyżowców. Teraz nie podążali nią wyzwoliciele, tylko brutalni zamachowcy, skorumpowani policjanci i funkcjonariusze rządowi, którym zależało jedynie na stanowiskach. Chyba że za wyzwolicieli można było uznać ich obu: Omara Jussefa i Jamesa Cree.

\* Saladyn (arab. Salah ad-Din) - żył w latach 1139–1193, pochodził z Iraku, z kurdyjskiej rodziny. Założyciel dynastii Ajjubidów, od 1171 sułtan Egiptu, później także Al-Hidżazu, Jemenu, Nubii, Palestyny i Syrii. Jest bohaterem wielu legend i romansów arabskich. Zasłynął zwycięskimi walkami z krzyżowcami i zdobyciem Jerozolimy w 1187 po bitwie pod Hittinem.

Z jakiejś polnej drogi wyłonił się zaprzężony w osła wóz z melonami i Cree zaklął znowu.

- Na litość boską - rzucił, pocierając sobie czoło.

Omar Jussef podróżował teraz tą samą drogą co kiedyś wielki wojownik Saladyn. Wierzył, że uwolni Magnusa Wallendera i

Ejada Maszarawiego. Zamknął oczy i próbował sobie wyobrazić chwilę, kiedy uściśnie im dłonie i będzie się cieszył z ich uwolnienia.

Nagle ogarnęła go panika. Dłonie tych mężczyzn były zmasakrowane po manikiurze Hussajniego, a ich krew go obryzgała. Otworzył z wysiłkiem oczy. Obaj mogli być w tej chwili torturowani, a on siedział bezradny w samochodzie. Jęknął.

- Nic ci nie jest? - spytał Cree.

Omar Jussef nie zdawał sobie sprawy, że zachowuje się głośno.

- To tylko moja głowa.

- Masz jeszcze guza, co?

- Czuję się tak, jakby kopnął mnie osioł. - Omar Jussef pomyślał o brytyjskim cmentarzu i o tym, jak Cree opowiadał mu o przeszłości. - James, ze wszystkim, co dzieje się w Gazie, łączy cię osoba twojego pradziadka. Ja też mam swoje powody, by traktować to bardziej osobiście, niż mógłbyś się spodziewać.

Cree nie oderwał wzroku od drogi, ale uniósł brodę.

- Tak?

- Podobnie jak Ejad Maszarawi, siedziałem kiedyś w więzieniu z powodów politycznych.

Cree wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ty stary draniu. Kiedy to było?

- Gdy byłem bardzo młody, w latach sześćdziesiątych.

- Izraelczycy?

- Nie, Jordańczycy. - Upłynęły lata od chwili, gdy o tym mówił, i teraz był zdziwiony, że przynosi mu to ulgę. - Byłem zaangażowany w politykę w Betlejem, i to poważnie. Wrobiło mnie kilku moich przeciwników.

- W co cię wrobili? Omar Jussef zawahał się.

- W morderstwo.

- Cholera.

- Wie o tym niewielu ludzi spośród tych, którzy jeszcze żyją. Nikomu nigdy o tym nie mówiłem, z wyjątkiem mojej żony. I teraz ciebie. Po tym wszystkim poszedłem na uniwersytet w

Damaszku i włączyłem się w politykę studencką. Ale kiedy wróciłem do Betlejem, to muszę wyznać, że się bałem. Więc postanowiłem się nie wychylać. Uczyłem w swojej szkole i żyłem sobie spokojnie. Więzienie było tak okropne, że nie mogłem pozwolić, by wsadzono mnie tam ponownie. - Omar Jussef zniżył głos. Zdawało się, że mówi do siebie. - Ostatnio jednak, kiedy zobaczyłem, z jaką władzą mają tu ludzie do czynienia, mój gniew stłumił strach. Dlatego nie spocznę, dopóki Maszarawi i Magnus nie będą wolni.

- Wiem, że nie spocznesz. - Cree położył dużą dłoń na ramieniu Omara Jussefa i się uśmiechnął.

Szkot wysadził go przed hotelem i odjechał, kierując się na północ, ku granicy z Izraelem. Była prawie czwarta. Przed przybyciem zespołu ONZ-owskich negocjatorów Omar Jussef miał jeszcze czas, żeby wypić filiżankę herbaty i zmyć z siebie brud, który przyłgnał do niego w żałobnym namiocie rodziny Salahów.

Omar Jussef zamknął za sobą przyciemniane szklane drzwi hotelu. Potarł sobie oczy i odkaszlnął. Kaszel jednak nie ustąpił tak łatwo i w końcu Omar zgiął się wpół.

Ładna recepcjonistka skinęła na niego zza kontuaru.

- *Ustaz*, podejdź tutaj i napij się trochę wody - zaproponowała.

Opróżnił szklanę.

- Dziękuję, panno Mejsun.

- Zniknąłeś, żeby ukraść wielbłąda dla mojego ojca?

Omar Jussef pomyślał o niej z sympatią; flirtowała z nim, chociaż był cały zapyłony, posiniaczony i zsiniały na twarzy od kaszlu.

- Zamierzam wyzwolić całą Gazę niczym emir Saladyn i uczynię cię swoją małżonką, żebyś mogła zasiadać u mojego boku podczas wspańiałych przyjęć - powiedział.

Udała, że się dąsa.

- Gdybyś był emirem, nie potrzebowałbyś takiej małej kobiety jak ja. Mógłbyś zapłacić posag za żonę z wielkimi biodrami. Dałaby ci liczne potomstwo.

- Może zafundowałbym sobie tradycyjnie cztery żony: trzy z wielkimi biodrami i ciebie, moją faworytę.

Omar Jussef roześmiał się chrapliwie. Zakasłał ponownie i poklepał się po piersi. Wyczuł w kieszeni karteczkę, którą teraz wyjął. Był na niej adres strony internetowej, którą utworzyła dla niego Nadia.

- Mejsun, czy mogłabyś wystukać ten adres na swoim komputerze?

- Oczywiście, *ustaz*.

Mejsun odwróciła monitor na kontuarze pod kątem prostym, żeby Omar Jussef mógł go widzieć i wystukała adres. Ekran zrobił się momentalnie biały, a po chwili ciemnoniebieski. Zaczęły się ukazywać poszczególne elementy i po chwili Omar Jussef patrzył już na kompletną stronę.

Na górze ekranu widniał tytuł żółtymi literami: „Palestyńska agencja detektywistyczna”. Poniżej umieszczony był cytat: „Gdziekolwiek dochodzi do niesprawiedliwości i kłopotów, pamiętaj: ja jestem człowiekiem, którego szukasz - agent O”. Po lewej stronie ekranu, w miękkiej owalnej ramce, umieszczono zdjęcie mężczyzny po pięćdziesiątce, łysiejącego, o siwych włosach; miał jasne wąsy i okulary w złotej oprawce i uśmiechał się serdecznie do obiektywu, ponieważ aparat trzymała jego ukochana wnuczka.

- Czy to ty, *ustaz*? - pyta Mejsun.

- Tak mi się wydaje.

Na środku ekranu zamieszczono żółty tekst na czerwonym tle: „Jestem agentem O, palestyńskim tajnym obrońcą sprawiedliwości, działającym w imieniu palestyńskiej agencji detektywistycznej. Jestem dobrze ubrany i poważny i potrafię przenikać niezgłębione tajemnice palestyńskiego umysłu. Rozwiązałem sprawę kolaboranta z Betlejem, choć nie poradziła sobie z tym nawet nasza służba bezpieczeństwa. Ze swej tajnej bazy w obozie dla uchodźców w Dehajszy rzucam wyzwanie każdej niegodziwości, robiąc to z humorem, poczuciem honoru i przyzwoitością. Jeśli szukasz pomocy w walce z siłami zła, skontaktuj się ze mną pod podanym adresem internetowym”.

- Jesteś bardzo sławny, co? - zauważyła Mejsun.  
- Chyba niesławny - sprostował. - Mejsun, proszę, nie pokazuj nikomu tego komputera... to znaczy tego, co tu jest napisane, jakkolwiek się to nazywa.

- Oczywiście, agencie O. Twój sekret jest moim sekretem.

Omar Jussef zmusił się do uśmiechu i ruszył w stronę cichej sali restauracyjnej. Zamówił herbatę i usiadł przy oknie. Fale rozbijały się ciężko na plaży omiatanej piaszczystym wiatrem.

Ujrzał w wyobraźni Nadię piszącą tekst do strony internetowej i się uśmiechnął. Dziewczynka widziała w nim bohatera, a nawet wyzwoliciela podobnego Saladynowi. Zapragnął wyjechać z Gazy i wrócić do wnuczki. Opowiedziałby jej swoje detektywistyczne przygody. Byłoby to o wiele przyjemniejsze niż działanie w charakterze prawdziwego detektywa. I mniej ryzykowne.

Popijał właśnie z uśmiechem herbatę miętową, kiedy do sali wpadł Chamis Zejdan. Twarz miał pociemniałą i spiętą. Nachylił się nad stolikiem Omara Jussefa i przysunął usta do jego ucha.

- Twój przyjaciel Cree został napadnięty. Mina na drodze, bardzo silny wybuch. Niedaleko posterunku izraelskiego.

Omar Jussef rozlał herbatę na biały obrus.

- Nic mu nie jest? - spytał.

- Nie wiem. Sami dostał przed kilkoma minutami telefon od jednego ze swoich kumpli w siłach bezpieczeństwa.

Omar wstał.

- Muszę jechać do Jamesa.

Sami jechał szybko wzdłuż ulicy Omara al-Muchtara lśnącym czarnym dżipem cherokee. Omar Jussef siedział z tyłu, podpierając się z obu stron dłońmi rozłożonymi płasko na siedzeniu, by nie przechylać się na boki wraz z podskakującym wozem. Rozmyślał gorączkowo. Miał wrażenie, że serce uderza mu szybciej niż tłoki samochodu. Kontuzjowana skroń promieniowała przesywającym bólem na oczy i kark. Może to nie była bomba, tylko wypadek, pomyślał. James był bardzo



zmęczony i zamroczony, nie powinien na dobrą sprawę prowadzić wozu. Może zjechał po prostu z drogi.

Dżip skręcił ostro w ulicę Saladyna, wyprzedzając betoniarki i wózki zaprzężone w osły, i trąbił wściekle, ilekroć jakieś dziecko zamierzało przejść na drugą stronę.

Minawszy magazyny i obskurne bloki mieszkalne uchodźców na północnych peryferiach Gazy, wjechali na niegościnnie płaski teren porośnięty drzewami oliwnymi. Omar Jussef zastanawiał się, czy nie doszło do jakiejś pomyłki. Byli już niemal na punkcie kontrolnym. Może Cree mimo wszystko dotarł bezpiecznie na miejsce.

Po chwili drogę zablokował tłum ludzi. Sami zwolnili. Nawet przy zasuniętych szybach, które chroniły przed pyłem, Omar Jussef słyszał wrzawę gniewnych okrzyków. Rozległ się głuchy odgłos gwałtownych strzałów, tłum się cofnął. Sami zjechał na pobocze, a Chamis Zejdan otworzył schowek na rękawiczki i wyjął z niego pistolet. Wysiadł z samochodu i wsunął sobie broń za pasek, Omar Jussef ruszył za nim.

Gęsty pył kłuł go boleśnie w oczy. W powietrzu unosiła się gorzka woń płonącego paliwa. Spojrzał spod przymkniętych powiek na tłum młodych ludzi, którzy rzucali się do przodu i cofali przy każdej kanonadzie strzałów. Ich atakom towarzyszył głuchy łomot wydawany przez dźwięk kamieni uderzających o metal. Za tłumem widać było grupę funkcjonariuszy wywiadu wojskowego, którzy odsuwali chłopców na bok i strzelali w powietrze. Omar Jussef widział ich czerwone berety na tle płonącego wozu.

Ruszył za Chamisem Zejdanem w stronę oficera stojącego w pewnej odległości od tłumy z walkie-talkie w dłoni.

- Co tu się stało? - spytał szef policji.
- Kim jesteś?
- Brygadier Chamis Zejdan z policji narodowej, a także członek rady rewolucyjnej.
- Pozdrawiam, sir. To była mina. Wóz ONZ-u zdmuchnęło z tej strony drogi, gdzie jest lej, aż tam. Widzicie płomienie za tłumem.

Oficer mówił dalej, ale Omar Jussef go nie słyszał. Zbliżył się do wraku wozu. Poczul na ramieniu dłoń Chamisa Zejdana, aleją strząsnął. W jego umyśle zaczęły narastać mroczne odczucia. Wiedział, że to nienawiść.

Przepchnął się przez tłum młodych ludzi. Potrącali go, a on starał się za wszelką cenę utrzymać równowagę, chwytając się ich ramion, żeby nie upaść. Zobaczył, że się uśmiechają, pełni podniecenia i radości na widok płonącego pojazdu.

Samochód ONZ-u leżał do góry kołami. Z silnika dobywał się czarny dym i płomienie, a kabina pasażerska była niemal całkowicie zmiądzona. James jest w środku, pomyślał. Muszę go wyciągnąć. Omar Jussef przepchnął się na początek tłumy. Jakiś chłopak, mniej więcej czternastoletni, zamachnął się, by cisnąć w samochód kamieniem. Omar Jussef chwycił go za rękę, wyrwał mu z dłoni kamień i rzucił go na ziemię. Potem obrócił chłopaka twarzą do siebie i przysunął się do niego.

- Wstydz się - warknął.

Chłopaka rozpieierało podniecenie, ale gdy spojrział na Omara Jussefa, jego ekscytacja zniknęła bez śladu. Otworzył usta, próbując się wycofać.

- Wstydz się, ty synu ładacznicy - rzucił Omar Jussef, ścisnąjąc chłopakowi nadgarstek. Czuł, jak drżą mu mięśnie ramienia od wysiłku i adrenaliny płynącej gdzieś w głębi.

Chłopak wyrwał się Omarowi i skoczył w tłum. Funkcjonariusze wywiadu wojskowego oddali kolejną salwę w powietrze, dzięki czemu motłoch się cofnął. Kamienie przestały na chwilę lecieć i Omar Jussef mógł zbliżyć się ostrożnie do samochodu. Jeden z policjantów krzyknął do niego, ale on nie słyszał słów zagłuszonych straszliwym hałasem buchających płomieni. Przyłożył dłoń do oczu, by osłonić się przed żarem ognia. Wiatr miotał wokół dymem płonącego paliwa. Omar Jussef osunął się na kolana i zajrzał do kabiny spowitej czarną chmurą, ale nie mógł dojrzeć Jamesa.

Podpełzł w stronę wraku i dzielił go teraz od niego zaledwie metr. Znowu znalazł się w kłębach dymu. Czuł, jak pot zalewa mu oczy, a gardło pali. Nagle zewsząd otoczyła go cisza.

Stwierdził, że mruży bezwiednie oczy, aż stały się w końcu wąskimi szparkami. Miał wrażenie, że każdą zmarszczkę na twarzy wypełnia mu cień nienawiści.

Wstał z klęczek i ruszył w stronę wozu. Poczuł, jak ktoś chwyta go i odciąga. Opierał się, a gdy wokół jego piersi zacisnęło się czyjeś ramię, naparł na nie całym ciężarem ciała. Powietrze znów przecięły kamienie. Jeden z nich uderzył go w ramię i roztrzaskał ciszę w jego głowie. Omar usłyszał buchające płomienie, głośne wiwaty młodych ludzi zza zasłony dymu i głos Chamisa Zejdana:

- Jamesa tu nie ma. Niech Allahowi będą dzięki, jest w szpitalu. Chodź, zabieramy się stąd.

Omar Jussef się nie poruszył.

- Daj mi swoją broń. - Przyciągnął Chamisa do siebie za klapę marynarki. - Zabiję ich. Zabiję ich wszystkich.

Oczy Chamisa Zejdana spoglądały twardo, pełne zrozumienia dla nienawiści, jaka zaślepiła jego przyjaciela. Odciągnął go od płonącego wraku zdecydowanym ruchem, ale jednocześnie zrobił to z troską. Wokół padały kamienie. Oddalili się od wozu i tłumu młodych ludzi.

- Nie ma karetki, widzisz? - powiedział Chamis. - Już odjechała i zabrała go do szpitala Asz-Szifa. Zawiozę cię tam.

Omar Jussef ruszył niepewnym krokiem w stronę dżipa, wsparty na ramieniu Chamisa Zejdana. Krztusił się i oddychał chrapliwie, a Sami przyglądał mu się obojętnie. Omar wsiadł do samochodu. Pomyślał o Jamesie Cree klęczącym przed grobem swojego pradziadka na brytyjskim cmentarzu wojskowym i poczuł nienawiść do okrutnej historii Gazy. Wyczuwał na ubraniu i skórze smród dymu z płonącego wozu. Zobaczył swoją twarz w lusterku wstecznym. Cienie pod oczami były głębokie.

## ROZDZIAŁ 17

Gorący, choć wieczorny, wiatr kołysał liśćmi palm na rozległym kwadratowym dziedzińcu szpitala, kiedy Omar Jussef wysiadał z dżipa. Chamis Zejdan ruszył pospiesznie do wejścia, gdzie paliły się świetlówki rozprasające o tej jeszcze wczesnej porze ciężki, przesycony pyłem zmrok. Omar wszedł do budynku i odetchnął pełną piersią. Powietrze było tu wolne od pyłu i dymu, ale wciąż nie mogło przynieść ulgi, gdyż wyczuwało się w nim woń ciała i wnętrzości, przytłumioną przez antyseptyczny środek do mycia podłogi. Potarł sobie oczy, usunął z kącików drobinki piasku i przetarł chusteczką do nosa szkła okularów.

Po chwili od strony izby przyjęć wrócił Chamis, zapalając papierosa.

- Jest na oddziale intensywnej opieki medycznej? - spytał Omar Jussef. Założył wytarte okulary i dostrzegł na twarzy przyjaciela powagę.

- Jest w kostnicy - odparł szef policji.

Omar poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Gwałtownie oparł się o ścianę i uderzył w ramię, gdzie został trafiony kamieniem, gdy starał się dotrzeć do spalonego samochodu. Jęknął z bólu i zrobiło mu się nagle słabo.

- Pielęgniarka pytała, czy zidentyfikujesz ciało.

Starai się odzyskać hart ducha i siłę, które towarzyszyły mi przy wraku ONZ-owskiego wozu.

- Chodźmy do kostnicy - powiedział szybko.

Chamis Zejdan wyprowadził go ponownie na pełne pyłu powietrze. Ruszyli przez trawnik czworokątnego dziedzińca, spalony na żółto ostrymi promieniami słońca. Kostnica znajdowała się w południowo-wschodniej części - był to parterowy blok z piaskowca, do którego prowadziły niewysokie schodki. Pielęgniarka skierowała ich do gabinetu anatomopatologa.

- Abu Fawzi zaraz przyjdzie - poinformowała.

Gabinet był duży, zastawiony licznymi szafkami na dokumenty i pomalowany na zielony kolor podobny do tego, jaki mają fartuchy chirurgiczne. Omar Jussef przesunął wzrokiem po naklejkach wysokich czarnych segregatorów na półce: rany postrzałowe, wybuchy, urazy głowy, uduszenia, przestępstwa na tle seksualnym, zatrucia. Wszystkie segregatory były opasłe. Postukał palcem w ten z oznaczeniem wybuchy i położył na nim dłoń; pomyślał o Jamesie Cree, którego przypadek miał się tu wkrótce znaleźć.

Przypomniał sobie, jak wyznał Szkotowi, że siedział za młodzieńcych lat w więzieniu, jak James się wtedy uśmiechnął i położył mu dłoń na ramieniu. Wydawało się niemal, że samo słowo „morderstwo” sprowokowało tę tragedię. W każdym razie prowokuje, kiedy pada z moich ust, pomyślał.

- Te dzieciaki - powiedział głośno. - To nieludzkie, żeby tak rzucać kamieniami we wrak samochodu.

Chamis Zejdan usiadł na chybottliwym krześle przed biurkiem doktora. Zgasił papierosa w popielniczce stojącej na stole szarych teczek, odchylił się ostrożnie do tyłu, nasłuchując czujnie skrzypiącego drewna, i zapalił następnego rothmansa.

- Wszystko, co ma jakiś związek z władzą, jest dla nich obiektem nienawiści. - Wzruszył ramionami. - Nie myślą o nieszczęśniku uwięzionym wewnątrz. Są przekonani, że rzucają w kogoś, kto jest odpowiedzialny za ich marną egzystencję.

Omar Jussef dotknął usmolonymi palcami wąsów. Cuchnęły dymem ze spalonego samochodu. Kiedy jesteś ofiarą, nie ma w twoim życiu miejsca na cierpienia innych ludzi, pomyślał.

Przypomniał sobie zszokowaną twarz chłopaka przy płoną-cym pojeździe, kiedy chwycił go za ramię i odebrał mu kamień, który tamten zamierzał rzucić. Miał wtedy ochotę walnąć go w twarz. Swój gniew muszę jednak skierować na ludzi, którzy uczynili to Jamesowi, a nie na tego głupiego dzieciaka, nakazał sobie. I na ludzi, którzy wciąż przetrzymują Magnusa. Czuł wyrzuty sumienia z powodu tego, co powiedział Chamisowi - że chciałby ich wszystkich pozabijać.

Otworzyły się drugie drzwi od gabinetu z napisem „Prosek-torium” i ukazał się w nich mężczyzna w jasnozielonym fartu-chu. Za jego plecami Omar dostrzegł światło połyskujące w stalowych lodówkach. Lekarz zamknął drzwi i się przywitał.

- Jestem doktor Maher Nadżdżar, anatomopatolog szpital-ny. Mówiąc ściślej, jedyny anatomopatolog w Strefie Gazy.

- Musi być pan bardzo zajęтым człowiekiem - zauważył Chamis Zejdan.

- Mam sześciu praktykantów. To zawód z przyszłością - odparł lekarz.

Nadżdżar pod swoim fartuchem sprawiał wrażenie barczy-atego i zwalistego. Czepek chirurgiczny tkwił niemal na potyli-cy łysiejącej głowy, maska była zsunięta do połowy szarej bro-dy. Omar Jussef szukał w jego twarzy oznak dowodzących, że jest to człowiek, który widział każde zwłoki w Gazie i który otwierał je i badał, ustalając przyczynę śmierci.

- Był pan współpracownikiem zmarłego dżentelmena z ONZ-u? - zwrócił się lekarz do Chamisa Zejdana.

- Nie, tylko towarzyszę mojemu przyjacielowi, Abu Remi-zowi. To on z nim pracował.

Nadżdżar zwrócił się z powagą do Omara Jussefa.

- Niech Allah będzie miłosierny dla zmarłego. - Uściskał Omarowi dłoń i położył sobie rękę na sercu. - Chciałbyś się napić herbaty dla uspokojenia, zanim zobaczysz zwłoki?

Omar Jussef pokręcił przecząco głową. Nadźdżar wziął go pod ramię i wprowadził do jasno oświetlonego wnętrza za drzwiami z napisem „Prosektorium”. Wzdłuż ścian ciągnęły się stalowe szuflady lodówek. Znak czerwonego kółka na białym tle, widniejący na pierwszej z nich, wskazywał, że stanowią dar od rządu japońskiego. Nadźdżar skierował Omara Jussefa w stronę czterech stołów na środku pomieszczenia. Pierwszy był pusty. W centralnym punkcie blatu widniał otwór, którym krew spływała do ścieku w podłodze wyłożonej płytkami. Na pozostałych trzech spoczywały ciała, każde przykryte plastikową płachtą kremowego koloru. To najbliższe było bardzo długie. Omar Jussef mógł powiedzieć Nadźdżarowi, nawet bez unoszenia płachty, że to jest właśnie Cree. Było to też dla niego pewną pociechą, że nawet po eksplozji można było rozpoznać zmarłego po wzroście.

- Przepraszam, że jest tu tyle zwłok. To zwykle przypadki. Muszę się nad nimi zastanowić. - Wydawało się, że Nadźdżar starannie dobiera słowa. - Na ogół ciała, które tu trafiają, nie nastroczają większych problemów. To z reguły ofiary wypadków domowych albo samochodowych czy bojownicy zabici przez Izraelczyków. Te dwa jednak będą wymagały więcej uwagi.

Ujął Omara Jussefa za ramiona i obrócił go ku stolowi, na którym leżało najdłuższe ciało. Omar Jussef przytaknął. Nadźdżar uniósł brzeg płachty.

Twarz Cree była czerwono-czarna, jakby obdarto ją ze skóry, włosy na karku szkarłatne od krwi, reszta uległa spaleni. Wargi zniknęły, martwy szczyrzył upiornie zęby. Przy nosie pozostały ślady wąsów. Krągłe oblicze skurczyło się pod wpływem ognia. Cree wyglądał jak nieco wilgotna mumia z egipskiego muzeum. Omar skinął głową i Nadźdżar z powrotem zakrył ciało.

- Będzie trochę papierkowej roboty, ale najpierw przyniosę herbaty.

Lekarz wyszedł i Omar Jussef pozostał sam z Chamisem Zejdanem. Spojrzał na ciało Szkota. Zastanawiał się, czy pochowają

go na brytyjskim cmentarzu wojskowym obok jego pradziadka. Przypuszczał jednak, że ONZ przewiezie zwłoki do rodzinnego kraju. Wyobraził sobie chłodną ziemię w Edynburgu, gdzie miał zapewne spocząć Cree. Zauważył, że Chamis obejmuje zdrową dłonią protezę. Policjant podciągnął czarną skórzaną rękawiczkę.

- Widziałeś już kiedyś takie ciało? - spytał Omar Jussef, wskazując zwłoki na stole.

- Przykro mi to mówić, ale tak - odparł Chamis. - Prawdopodobnie gdybyś uniósł płachty przy dwóch pozostałych stołach, to ujrzelibyśmy zwłoki takie jak te.

Omar Jussef zaczął się zastanawiać, jakich to strasznych rzeczy musiał doświadczyć jego przyjaciel, wędrując dziesiątki lat po Bliskim Wschodzie i Europie w imieniu OWP. Ujrzał w wyobraźni szpital polowy, gdzie Chamisowi zoperowano rękę rozerwaną granatem w Libanie.

Zjawiła się pielęgniarka z dwoma plastikowymi kubkami herbaty. Omar Jussef odetchnął głęboko gorącym aromatem napoju. Wskaźnik temperatury na japońskiej lodówce pokazywał trzy stopnie Celsjusza. W takiej temperaturze przechowują tu ciała, pomyślał i nagle zapragnął ciepła. Pociągnął łyk herbaty i poczuł, jak pali go w przelyk.

Opierając się o pusty stół do przeprowadzania sekcji, wyobraził sobie, że być może będzie niedługo spoczywało na nim jego martwe ciało. Zastanawiał się, czy Nadźdżar opíše ten przypadek jako typowy czy też bardziej skomplikowany i wymagający głębszego namysłu ze strony anatomopatologa.

Po chwili zjawił się Nadźdżar, trzymając w dłoni podkładkę z klipsem. Poprosił o szczegóły dotyczące osoby Szkota, jakie mógł mu przekazać Omar Jussef, i podał kartkę do podpisu.

- Poprosisz kogoś z ONZ-u, Abu Ramizie, żeby skontaktował się z moją pielęgniarką? Udzieli wyczerpujących informacji i przekaże dane najbliższej rodziny pana Cree - powiedział lekarz.

Omar Jussef przytaknął.

- Czy bardzo cierpiał?



- Abu Ramizie, współczucie nakazuje odpowiadać na to pytanie zawsze w taki sam sposób: „Nie”. Ale w tym wypadku mogę zapewnić, że to prawda. Zginął na miejscu. Zabiła go fala uderzeniowa po eksplozji, a nie płomień.

Omar Jussef poczuł, jak narasta w nim gniew. Nie miał pretensji do lekarza, ale musiał się na kimś wyładować.

- A ten? - spytał, wskazując sąsiednie ciało. - Albo tamten ostatni? Czy cierpieli?

Przechylił niechcący kubek i herbata oparzyła go w palec.

- Mówiłem, że odpowiedź jest zawsze przecząca. Ale to kwestia taktu wobec krewnego czy znajomego, który identyfikuje ciało - oznajmił spokojnie Nadżdżar, przyglądając się uważnie Omarowi Jussefowi, jakby próbował ocenić jego samopoczucie. - W tych dwóch przypadkach mogę być z wami szczery. Ten w środku.. no cóż, nie jestem pewien, ale podejrzewam, że konał długo z powodu infekcji. Jeśli zaś chodzi o tego trzeciego, to mogę powiedzieć z całkowitą pewnością, że cierpiał okropnie.

Omar Jussef spojrział na ciała. Przypomniał sobie czarne segregatory na półce w gabinecie lekarza. Można umrzeć w tak różny sposób, pomyślał. Tyle cierpienia, tyle rzeczy, których trzeba się lękać. Tylu ludzi gotowych odebrać komuś życie.

- Przepraszam, że mówię takim tonem - zwrócił się do lekarza. - Chodzi o to, że przyjechałem do Gazy zaledwie trzy dni temu, a już do tej pory uprowadzono jednego z moich współpracowników, drugi trafił do więzienia, gdzie jest torturowany, a trzeciego, jak się właśnie dowiedziałem, zabito. Za dużo wydarzeń jak na starego nauczyciela historii.

Nadżdżar sięgnął po swoje notatki i sprawdzając wszystkie szczegóły, skorzystał z okazji, by zmienić temat.

- Porwanie? Kogo porwali?

- Szweda nazwiskiem Wallender. Został uprowadzony zeszłej nocy przez Brygady Saladyna. Żądają uwolnienia jednego ze swoich bojowników w zamian za wolność Wallendera.

- Takie rzeczy często się zdarzają w Gazie, Abu Ramizie.

Władze jednak zawsze ustępują. Nie martw się. Uwolnią tego człowieka z Brygad Saladyna, a twój znajomy zostanie wypuszczony. - Lekarz podpisał kartkę na podkładce. - Oczywiście nie będzie to przyjemne ani dla ciebie, ani dla niego, ale możesz być spokojny o rezultat.

- Nie byłbym taki pewien. Ten człowiek z Brygad Saladyna zabił oficera wywiadu wojskowego. Wydaje się, że generał Husajni jest zdecydowany skazać go na śmierć.

Doktor Nadżdżar skamieniał nagle.

- Doktorze? - Omar Jussef zmarszczył brwi.

- Zabił oficera wywiadu wojskowego?

- Tak, tego, który został dwa dni temu pochowany. Porucznika Fadiego Salaha.

Nadżdżar zerknął na stół sekcyjny. Jego wzrok wędrował przez chwilę między zwłokami Cree a ciałem leżącym na najdalszym stole.

- Bassam Odwan - powiedział doktor.

Omar Jussef i Chamis Zejdan wyprostowali się jednocześnie. Lekarz podszedł do drzwi i je zamknął.

- Wiecie, jak wygląda Bassam Odwan?

- Widziałem go dzisiaj rano w więzieniu - powiedział Omar Jussef.

- Czy to on? - Nadżdżar odsłonił częściowo zwłoki na ostatnim stole.

Szerokie ramiona Bassama Odwana były nagie. Twarz miał bladą, grube fioletowe wargi sterczały z czarnej brody. Wygolone nad uszami włosy ukazywały skórę - żółtą, niebieską, częściowo popaloną.

Omar Jussef zwrócił się do Chamisa Zejdana.

- To Odwan.

Nadżdżar zakrył twarz zmarłego, ale Omar ściągnął ze zwłok prześcieradło, odsłaniając całe ciało mężczyzny. Cofnął się z wrażenia, nie wypuszczając plastikowej płachty z dłoni.

Ciężki, masywny tors Odwana był straszliwie posiniaczony. Można było wręcz odnieść wrażenie, że ma na sobie podkoszulek w barwach maskujących. Genitalia były częściowo

ogolone i odcięte. Odcięte były też koniuszki palców, a w miejscu paznokci widniały krwawe strupy. Maniur Hussajniego, pomyślał Omar Jussef. Nad ciałem unosił się odór spalonego mięsa i ekskrementów.

Chamis Zejdan wyjął z dłoni przyjaciela plastikową płachtę i zakrył zwłoki. Zerknął na Omara Jussefa. Na jego twarzy malował się głęboki smutek i gniew.

- Przypuszczam, że w tym przypadku nie będzie pan miał dużo papierkowej roboty, doktorze - zauważył.

Nadźdżar skinął głową.

- Nie będzie nawet sekcji zwłok - powiedział. - Został tu przywieziony przez strażników więziennych tuż przed tym, jak dostarczono ciało waszego przyjaciela z ONZ-u. Lekarz więzienny stwierdził zawał serca. Nie byłem nawet pewien, czy to Odwan, bo wcześniej zdarzało się, że dostarczali tu ciała pod fałszywymi nazwiskami, kiedy ktoś umierał za kratkami.

- Wielu takich przywożą? - spytał Omar Jussef.

- Wydaje się, że w więzieniu często dochodzi do zawałów serca - odparł doktor cichym, konspiracyjnym głosem.

Omar Jussef też poczuł w sercu nieprzyjemne ukłucie. Skoro Odwan nie żyje, bojownicy z Brygad Saladyna zamordują w rewanżu Magnusa, pomyślał. Mam mniej czasu, niż sądziłem.

- Co zrobiono temu człowiekowi, doktorze?

Nadźdżar, nim otworzył usta, spojrzał na Omara Jussefa.

- Rażono go prądem w skronie i genitalia. Był bity. Widzicie też, co stało się z jego dłońmi. Nie potrafię wam powiedzieć, czy zmarł w wyniku tortur, ale wątpię. Musiałbym zbadać na przykład jego mózg, żeby sprawdzić, czy nie doznał krwotoku w czasie tortur. Wnętrze ust i górna część przęłyku są w dużym stopniu pokaleczone, czego nie bardzo rozumiem.

Jakby połykał żyletki.

Nadźdżar uniósł powieki martwego. Omar Jussef westchnął cicho, gdy napotkał spojrzenie ciemnej i pustej gałki ocznej.

- Zobaczcie, widać popękane naczynia krwionośne, te

maleńkie, tam gdzie powieka przytwierdzona jest do gałki ocznej - wskazał doktor. - To oznaka asfiksji.

- Udławił się? - spytał Chamis Zejdan.

Omar Jussef przypomniał sobie drgnienie strachu, jakie wstrząsnęło Odwanem, gdy wyznał, że poddał się ludziom Hussajniego z obawy, że udusi się w tunelu pod granicą egipską.

- Na pewno nie kawałkiem kebabu. Zwróćcie uwagę na obrażenia w jego ustach - powiedział lekarz. - Musiałbym przeprowadzić sekcję zwłok, żeby mieć pewność. Dopóki nie sprawdzę, czy w dolnym odcinku tchawicy czegoś nie ma, trudno stwierdzić, czy się zadławił.

- Kiedy będą wyniki autopsji? - spytał Omar Jussef.

- Przypominam, że otrzymałem polecenie, by jej nie przeprowadzać. Władzom wystarczy świadectwo lekarza więziennego.

- Zawał serca?

- To wersja dla krewnych. Ciało powinno być pochowane dzisiaj, oczywiście, ale mam obowiązek przetrzymać je tutaj, aż władze zechcą powiadomić rodzinę, że ten człowiek zmarł. Na zawał serca.

- Nikt w to nie uwierzy - zawyrokował Omar Jussef.

- Nikogo się nie prosi, żeby uwierzył. Wszyscy mają milczeć. Tak jak ciało Odwana.

- Milczeć? - zdziwił się Omar Jussef. - Kiedy na niego patrzę, to zdaje mi się, że on krzyczy.

- Nieszczęśnik, niech Allah zmiłuje się nad nim - wtrącił Chamis Zejdan.

Omar Jussef dotknął drugiego stołu sekcyjnego i zwrócił się do szefa policji.

- Każdy, kogo spotykam w Gazie, jest torturowany albo zabijany. Gdybym nie widział cię przed sobą, zakładałbym z góry, że leżysz na tym stole przykryty prześcieradłem.

- Na szczęście spotkaliśmy się na długo przed twoim przyjazdem do Gazy. W przeciwnym razie byłbym w dużym niebezpieczeństwie - przyznał Chamis.

Doktor Nadźdzar pogładził się w zamyśleniu po brodzie.

- Jako nauczyciel historii, Abu Ramizie, będziesz niewątpliwie zainteresowany tym akurat ciałem. Właściwie to nie jest ciało, tylko same kości. - Ściągnął ze zwłok płachtę.

Na stole spoczywał szkielet, żółty i pokryty pyłem. W stawach ramion i kolan tkwiły grudy zaschniętej ziemi. - Ten facet trafił do mnie w kawałkach dwa dni temu. Policja przywiozła go w plastikowej torbie na śmieci. Poskładałem go do kupy. Nie bardzo wiem, co mam z nim teraz zrobić. Czekam, aż mułowie zdecydują, gdzie go pochować.

Omar Jussef przypomniał sobie notatkę zamieszczoną w gazecie, u dołu pierwszej strony, pod artykułem na temat pogrzebu Fadiego Salaha.

- Czy są to kości znalezione przez jakiegoś rolnika w Dejr al-Balah?

- Tak, natrafił na nie na swoim polu. Zgłosił to na policję, a funkcjonariusze przywieźli denata do mnie.

- Denata? To mężczyzna?

- Tak, mężczyzna. Miednica jest cięższa i większa niż u kobiety. Poza tym otwór kości łonowej jest trójkątny, podczas gdy u kobiet ma on cztery boki.

- Uda ci się go zidentyfikować, doktorze?

- To prawie niemożliwe. Ten szkielet jest bardzo stary. Nie zachowały się miękkie tkanki, co oznacza, że spędził w ziemi co najmniej pięć lat. Ale kości nie są jeszcze skruszałe, co dzieje się mniej więcej po stu latach.

- A więc można powiedzieć, że czas, jaki leżał pod ziemią, waha się od pięciu do stu lat?

- Trudno określić to dokładniej. Mógłbym się jedynie upewnić, że okres nie był dłuższy niż sto lat, przecinając jakąś kość. - Lekarz przyłożył kant dłoni do długiej kości udowej, naśladując piłę. - Przy ultrafioletowym świetle kość licząca ponad sto lat wykazywałaby się bardzo niewielką fluorescencją. Sprawa nie jest oczywiście tak pilna, jak w przypadku Odwana i waszego przyjaciela.

- Może był tak wiekowy, że zmarł spokojną śmiercią w swoim

własnym domu - wysunął przypuszczenie Omar Jussef.

- Szkielet jest stary, ale nie powiedziałem, że człowiek ten był wiekowy w chwili śmierci. Zapominasz, Abu Ramizie, że to jest Gaza. Rzadko umiera się tu śmiercią naturalną. - Doktor wskazał na klatkę piersiową szkieletu. - Spójrzcie na trzecie żebro po prawej stronie. - W połowie długości widać było nierówne pęknięcie. - Tu jest jego koniec - powiedział Nadżdżar, podnosząc kawałek kości. - Ale nie pasuje do części, z której został odłamany.

- Co to oznacza? - spytał Omar Jussef.

- To żebro nie pękło, ot tak po prostu. Zostało strzaskane. Gdybyśmy otworzyli grób tego człowieka, zamiast znaleźć jego rozrzucone szczątki w jakimś zakątku pola, to prawdopodobnie zobaczylibyśmy wiele drobnych odłamków tego żebra. Przypuszczam, że to wynik rany postrzałowej. Kula trafiła żebro i je strzaskała. - Doktor westchnął, kładąc fragment kości na metalowym stole obok szkieletu. - To musiała być okropna rana. Odłamki kości, pod wpływem uderzenia pocisku, spowodowały zapewne liczne uszkodzenia w płucu.

- A więc zmarł od postrzału w klatkę piersiową?

- Sam postrzał, nawet na wylot, nie zabiłby w tym wypadku. Ale rozległych uszkodzeń tkanki, spowodowanych przez te wszystkie drobne fragmenty kości, nie dałoby się już naprawić. Jeśli ten człowiek był biedny i nie miał dostępu do odpowiedniej opieki medycznej albo jeśli mieszkał w Gazie dawno temu, raczej sto lat temu niż pięć, to infekcja wywołana tymi wszystkimi drobnymi ranami z pewnością by go zabiła.

- A teraz jeszcze cierpi poniżenie, jakim jest pochówek na polu jakiegoś rolnika.

- Żadne poniżenie nie powinno nas dziwić w Gazie, Abu Ramizie.

Omar Jussef obrzucił spojrzeniem trzy stoły z makabrycznym ciężarem. To, jak śmierć zwyciężała człowieka, zawsze wywoływało w takim miejscu nieopisane zdumienie. Życie

oznaczało świadomość bezustannego zagrożenia śmiercią i przerażającą perspektywę jej nadejścia. Ale nawet potem nie można było mówić o wiecznym spokoju, nawet wtedy gdy kości zamieniały się niemal w popiół.

- Mieszkam w Sands Hotel - zwrócił się Omar Jussef do Nadźdzara. - Jeśli będziesz miał jakiegokolwiek pytania dotyczące Jamesa Cree, to mam nadzieję, że zadzwonisz.

Nadźdzar spojrział zdecydowanym wzrokiem na Omar a Jussefa. W jego oczach malowała się szczerłość, usta okolone brodą były mocno zaciśnięte. Zerknął na zwłoki Odwana.

- Będę tu zajęty całą noc. Dam ci znać.

Kiedy wyszli z kostnicy, Chamis Zejdan zapalił papierosa.

- Masz coraz mniej czasu - zauważył.

- Czy teraz, kiedy Odwan nie żyje, naprawdę zabiją Magnusa? - spytał Omar Jussef, opierając się o poręcz schodów.

Odpowiedzią było milczenie. Chamis Zejdan uśmiechnął się ponuro.

- James Cree i Bassam Odwan martwi w tym samym pomieszczeniu. Nie ulega wątpliwości, że zjawiłeś się we właściwej kostnicy.

Omar Jussef pomachał do Samiego, który podjechał w gęstniejącym mroku pod same schody.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał zaskoczony Omar Jussef. - Doktor Nadźdzar powiedział, że to jedyna kostnica w mieście.

- Powinienem się więc wyrazić inaczej - przyznał Chamis Zejdan. - Byłeś właściwym człowiekiem, który zjawił się w kostnicy.

## ROZDZIAŁ 18

Kiedy Sami jechał szybko przez pogrążone w mroku miasto, Chamis Zejdan odwrócił się na przednim fotelu i popatrzył twardo na Omara Jussefa, który zmarszczył czoło i uniósł brodę.

- O co chodzi? Dlaczego tak patrzysz?

Jego przyjaciel nie odwrócił wzroku.

- Muszę teraz pojechać do rezydencji prezydenta na spotkanie rady rewolucyjnej.

- Jeśli postanowicie wywołać rewolucję, to daj mi znać. W przeciwnym razie możecie wszyscy iść do diabła.

- Nie omieszkam poruszyć tego tematu. Posłuchaj, nie chcę zostawiać cię samego. Martwię się o ciebie. Dlatego Sami z tobą zostanie.

- Sami to twój ochroniarz, nie mój.

Chamis Zejdan uniósł wymownie brwi i westchnął. Omar Jussef wyglądał przez okno dżipa, jechali teraz wolniej z powodu korków przy placu Palestyńskim. Im bardziej zatłoczone były ulice, tym bardziej czuł się samotny. Musiał przyznać, że nie chce być sam z makabrycznym wspomnieniem ciał leżących w kostnicy.

- Zawieźcie mnie do domu Salwy Maszarawi. Posiedzę tam kilka godzin, kiedy wy będziecie organizować rewolucję. To dobra rodzina. Pomoże mi się uspokoić po tym wszystkim.



Kiedy dojechali do piaszczystego traktu niedaleko domu Maszarawich, Chamis Zejdan wyjął zza paska Samiego jeden z dwóch telefonów komórkowych.

- Weź to - powiedział, rzucając aparat na kolana Omara Jussefa. - Jeśli będę musiał cię znaleźć, zadzwonię.

- Nie lubię komórek - odparł Omar Jussef. - Mogą wywołać u człowieka chorobę.

Postukał się wymownie po zdrowej skroni, próbując wcisnąć telefon w dłoń Chamisa.

- Nie może wywołać w głowie raka, jeśli nie masz w niej mózgu - zauważył ironicznie Chamis. - Na Allaha, to tylko na wypadek, gdybym musiał się z tobą skontaktować, jeśli sytuacja stanie się niebezpieczna. Wsadź go do kieszeni i o nim zapomnij.

- A jeśli ktoś zadzwoni do Samiego?

- Powiedz rozmówcy, że Sami nie mógł pozwolić sobie na ładniejszą sekretarkę i żeby zadzwonił do niego na drugą komórkę.

- Drugą komórkę? To numer, który wcześniej zapisałem? - Przypomnił sobie cyfry nabazgrane na odwrocie ulotki Brygad Saladyna. Miał ją w kieszeni na piersi.

- Nie, to numer komórki, którą trzymasz - wyjaśnił Sami. - Ten drugi numer jest zapisany na naklejce z drugiej strony twojego telefonu, Abu Ramizie.

Omar Jussef pomachał, kiedy dżip zawrócił na piaszczystej drodze. Czuł się wyczerpany. Z trudem podniósł rękę, nie miał siły na nic więcej. Opuścił ją bezwładnie i patrzył, jak tylne światła wozu znikają w dali.

Alejka była ciemna. Od strony domu schowanego za gajem oliwnym docierało niebieskie światło. Gołębie Nadziego milczały. Na pobielonym murze nie widać było namalowanego meczetu Kopuła na Skale. Omar Jussef oparł czoło o chropowaty kamień ogrodzenia. Zamknął oczy i ujrzał zwęglone zwłoki Jamesa Cree, noszące ślady tortur ciało Odwana, stary i pokryty pyłem szkielec w kostnicy. Przypomnił sobie głos Magnusa, jego dociekliwy skandynawski akcent, śmiech. Zauważył,

że ciężko oddycha i usłyszał czyjś szloch. Po chwili zdał sobie sprawę, że płacz dobywa się z jego piersi. Wsunął palec pod wygiętą oprawkę okularów i otarł łzę.

W drzwiach domu Maszarawich powitał go nieśmiałym uśmiechem Nadzi. Z salonu na tyłach domu wyłoniła się Salwa. Popatrzyła wyczekująco na Omara Jussefa. Gdy wkroczył do oświetlonego pomieszczenia, zamarło w niej serce.

- Nie martw się, moja córko - uspokoił ją. - Nie przynoszę złych wieści o twoim mężu.

- Abu Ramizie, wyglądasz...

- Jak ośli zad, który oberwał batem?

Nadzi zachichotał, a Salwa zakryła sobie usta dłonią, uśmiechając się.

- Witaj, Abu Ramizie. Chodź i usiądź z nami.

Zaprowadziła go do salonu, podczas gdy jej syn poszedł do kuchni zaparzyć kawy. Gdy Omar Jussef wszedł do pokoju, z fotela podniosła się Umm Rateb. Skierowała pilota na telewizor, żeby ściszyć głos.

- Abu Ramizie, jestem szczęśliwa, że cię widzę. Proszę, usiądź. - Wskazała fotel. - Właśnie oglądałam z Salwą wiadomości. Może powiedzą coś o Abu Nadżim.

Omar Jussef usiadł, a kobiety zajęły miejsca na sofie. Kórnorka Samiego uwierała go w biodro. Zmienił pozycję, żeby nie przygniatać telefonu ciężarem ciała. Nienawidzę tych głupich zabawek, pomyślał. Pewnie dostanę raka jelit od takiego siedzenia. Ciekawe, że nawet komórki są w Gazie śmiertelnie groźne.

Salwa uśmiechnęła się do gościa.

- A kto tłukł tego osła, Abu Ramizie?

- Tylko inne osły - odparł i dotknął posiniaczonej skroni. Wydawało mu się, że minęły wieki od chwili, gdy porwano Magnusa. - Mój szwedzki kolega został uprowadzony przez Brygadę Saladyna jako zakładnik.

Umm Rateb ujęła dłoń Salwy.

- Abu Ramizie, czy oni go porwali dlatego, że chciał uwolnić męża Salwy?

Omar Jussef nie miał żadnego dowodu potwierdzającego związek obu tych spraw, ale przypomniał sobie, co mówił mu Chamis Zejdan, że każda zbrodnia w Gazie jest nierozzerwalnie spleciona z innymi. Mimo wszystko nie chciał bardziej niepokoić tych kobiet.

- Przypuszczam, że chodzi o coś innego. Domagają się uwolnienia przez władze jednego ze swoich ludzi w zamian za wypuszczenie Magnusa.

- Jeśli taka jest wola Allaha, to niebawem będzie wolny - oświadczyła Umm Rateb.

Rozpacz, jaka go ogarnęła w alejce, minęła. W obecności tych kobiet emanujących ciepłem czuł się spokojny. Tęsknił za swoją żoną i czuł wyrzuty sumienia wywołane świadomością, że spędza teraz czas z kobietą, która go pociągała. Musiał jednak wydostać się z tego samotnego, pełnego przemocy świata hoteli i więzień, a salon w domu Salwy Maszarawi wydawał się w tej chwili najspokojniejszym miejscem na ziemi.

Nadzi przyniósł kawę. Omar Jussef podziękował mu. Chłopic miał już wyjść z pokoju, gdy nagle zatrzymał się przed telewizorem.

- *Ustaz*, czy to nie twój przyjaciel, ten cudzoziemiec?

Omar Jussef skierował wzrok na ekran. Na kanale informacyjnym nadawano właśnie niewyraźne nagranie wideo. W pustym pokoju, na tle plakatu przedstawiającego Kopułę na Skale, siedział wyprostowany mężczyzna w niebieskiej koszuli. Jasne włosy były zmierzwiowane na czubku głowy, brodę pokrywał krótki zarost. Okulary zsunęły mu się z nosa i teraz podniósł głowę, by je poprawić; najwidoczniej dłonie miał skrepowane na plecach. Był to Magnus Wallender.

- Zrób głośniej, szybko - powiedział Omar Jussef.

- Pilot leży na oparciu twojego fotela - przypomniała Umm Rateb.

Omar Jussef wziął go do ręki i wlepił bezradnie wzrok w kolorowe przyciski.

- Nadzi - zwrócił się do chłopca, rzucając mu pilota.

Nadzi wycelował nim w telewizor i nagle w pokoju rozległ się głos Magnusa. Kiepska jakość nagrania i echo w pustym pomieszczeniu, w którym siedział, zniekształcały jego słowa. Omar Jussef przesunął się na brzeg fotela. Dopiero teraz zauważył zamaskowanego bojownika w rogu ekranu. Był ubrany w mundur polowy, twarz miał zakrytą wehnianą czapką z otworami na oczy, lufę kałasznikowa kierował na Magnusa.

- ...rządy Unii Europejskiej, by doprowadziły do uwolnienia naszego brata Bassama Odwana, który jest bojownikiem o prawa i wolność narodu palestyńskiego. - Magnus urwał i zerknął z ukosa na uzbrojonego mężczyznę. Lufa automatu drgnęła, Szwed posłusznie spojrział w kamerę. Przemówił chrapliwym głosem, patrząc zmrużonymi oczami przez szylkretowe szkła na kartkę trzymaną, jak się okazało, przez osobę stojącą obok kamery. - Jeśli brat Odwan nie zostanie uwolniony, Brygady Saladyna oświadczają, że w ciągu dwóch dni stanie się ze mną coś złego. - Magnus umilkł, opuszczając głowę.

Filizanka w dłoni Omara Jussefa zadrżała. Odstawił ją na stoliczek. Pomyślał o skatowanym ciele Odwana w kostnicy. Wiedział, że gdy Brygady Saladyna dowiedzą się o tym, będzie po Magnusie. To nagranie miało pewnie kilka godzin. Niewykluczone, że Magnus już nie żył.

Uzbrojony mężczyzna pchnął Szweda, który osunął się na kolana, i stanął nad nim. Uniósł broń i wrzasnął: *Allahu akbar*\*! Drugą ręką chwycił Magnusa za włosy i szarpnął mu głowę do tyłu, odsłaniając jego opaloną szyję. Omar Jussef zamrugał i westchnął z przerażenia, wyobrażając sobie, jak porywacz odcina głowę Szweda od karku.

\* *Allahu akbar* (z arab.) - Bóg jest największy.

Nagranie urwało się, na ekranie pojawił się spiker w krzykliwym krawacie, komentujący korki na przejściu granicznym między Rafah a Egiptem, spowodowane przez operację armii izraelskiej przeciwko przemytnikom. Salwa spojrzała na Nadziego, który ponownie ściszył telewizor.

James zginął z powodu tego cuchnącego miejsca, pomyślał Omar Jussef. Nie mogę dopuścić, by ten sam los spotkał Magnusa. Wlepił wzrok w swoje dłonie. Był pewien, że plamy wątrobowe się powiększyły. Drżały mu pięści, choć przyciskał mocno jedną do drugiej. Był zbyt słaby i stary, by pomóc swojemu przyjacielowi, zbyt bezsilny, by pomóc komukolwiek. Odczuwał zawstydzenie z powodu uzalania się nad sobą, z powodu leż w alejce przed domem Salwy i swojskiego zadowolenia, jakie odczuwał w obecności tych dwóch kobiet.

- Nie wiem, co robić - powiedział głośno.

- Nie martw się. Jestem pewna, że ocalisz tego człowieka, Abu Ramizie - pocieszyła go Salwa.

- Tak jak ocalisz męża Salwy - dodała Umm Rateb, obejmując obiema dłońmi rękę swej przyjaciółki.

Profesor Maszarawi, zapomniałem o nim, pomyślał Omar Jussef. Spojrzał na obydwie kobiety. Twarz Salwy zdradzała zagubienie i napięcie. Ogarnęła go fala ojcowskiego uczucia. Odetchnął głęboko, by powstrzymać Izy.

- Masz rację, Umm Rateb - powiedział. - Nie spocznę, dopóki obaj nie zasiądą przy stole Salwy do posiłku.

Salwa spojrzała na niego.

- Zaraz.. jadłeś obiad, Abu Ramizie?

Kiedy go spytała, wiedział, że właśnie po to tu przyszedł. Chciał posiedzieć w rodzinnej atmosferze i spożyć posiłek przyrządzony z miłości, nie dla zysku. Ale to byłaby słabość, powiedział sobie w duchu. Nie masz czasu tu siedzieć, nawet jeśli sprawia ci to przyjemność. Nie możesz udawać, że nie widziałeś przed chwilą tego nagrania z Magnusem.

- Już jadłem - skłamał. - Muszę wracać do hotelu i porozmawiać z ludźmi z ONZ-u. Nie martw się o swojego męża.

Umm Rateb odprowadziła go do drzwi. W mroku spowijającym schody frontowe Omar Jussef poczuł woń jej różanego mydła.

- Ci ludzie, którzy uprowadzili twojego przyjaciela, Abu Ramizie, budzą we mnie odrazę - oznajmiła. - To nie są muzułmanie.

- Obawiam się, że są, Umm Rateb.
- Nie tacy, jakimi powinni być.
- Zgadza się, nie tacy.

Omar Jussef ruszył niepewnie po piasku w stronę głównej drogi, żeby złapać taksówkę.

## ROZDZIAŁ 19

Mejsun przekazała mu wiadomość telefoniczną na małej karteczce, kiedy zjawił się w hotelu.

- Ta dama nazywała się Nirnberger - wyjaśniła. - Mówiła bardzo szybko po angielsku, nie wszystko więc zrozumiałam, *ustaz*. Mam nadzieję, że zapisałam numer prawidłowo. Może i ona jest tajną agentką.

Jej przyjazny uśmiech przyprawiał go o słabość. Chciał osunąć się na kontuar recepcji i opowiedzieć jej o swoim koszmarnym dniu. Postanowił, że jak tylko załatwi sprawę z tą wiadomością, to zadzwoni do żony.

Wchodząc na schody, uchwycił woń piezzonego kurczaka, napływającą z sali restauracyjnej.

- Mejsun, ten *szisz tawuk*\* ładnie pachnie. Proszę cię, powiedz w kuchni, żeby przynieśli mi trochę do pokoju. I talerz hummusu - powiedział, odczuwając niejakie wyrzuty sumienia, że jest zdolny ulegać banalnemu uczuciu głodu, kiedy dopiero co widział zwłoki Jamesa Cree.

\* *Szisz tawuk* (z arab.) - szaszłyk z marynowanego i mocno przyprawionego mięsa kurczaka. Często podawany z grillowanym pomidorem i cebulą.

- Oczywiście. Na zdrowie, *ustaz* - odparła.

Korytarz przed jego pokojem był pusty. Mieszkańcy hotelu towarzyszyli Chamisowi Zejdanowi na spotkaniu rady rewolucyjnej w gabinecie prezydenta. Omar Jussef wsłuchiwał się w

swoje powolne kroki po dywanie. Wydawało mu się to głupie, ale czuł, że jego tropem podąża śmierć, że znajduje się tuż za nim, jak podczas tych wszystkich dni, które spędził w Gazie. W panującej wokół ciszy docierał do niego odgłos własnego stąpania; miał wrażenie, że wyczuwa w nim nutę ostrzeżenia.

W pokoju było gorąco i duszno. Odszukał obok drzwi włącznik klimatyzacji, który znalazł bez trudu Sami, chcąc ponownie ją uruchomić. Zobaczył cyfrowy licznik, małą tarczę i mikroskopijne, kolorowe obrazki, na których widniało czerwone słońce i niebieskie płatki śniegu. Zaczął manipulować przy pokrętle, wywołując jakieś elektroniczne piski, a potem czekał, ale nic się nie stało. Rozpiął guziki koszuli, podszedł do telefonu i wykrecił numer z karteczki, którą dała mu Mejsun. Połączył się z telefonem komórkowym; usłyszał cichy szum wnętrza jadącego szybko samochodu.

- Tu Nancy - powiedział głos po angielsku.

Był to telefon z zestawem głośnomówiącym, taki sam, jaki miał w swoim wozie syn Omara Jussefa, Ramiz. Omar Jussef odnosił nieprzyjemne wrażenie, że głos dobiega z daleka.

- Missis. Nirnberger? - spytał.

- Miss Nirnberger.

Zastanawiał się, co to znaczy.

- Mówi Omar Jussef.

- Mister Jussef, dziękuję, że pan oddzwonił.

Zdawało mu się, że kobieta ma amerykański akcent. Mówiła z kontrolowanym ożywieniem, jakby telefon sprawiał jej radość, a zwłaszcza tak niespodziewany i miły jak ten od dyrektora ONZ-owskiej szkoły dla dziewcząt w obozie dla uchodźców w Dehajszy.

- Stoję na czele zespołu negocjatorów, który jechał na punkt kontrolny, gdy samochód Jamesa wyleciał w powietrze - wyjaśniła.

Omar Jussef przytaknął. Po chwili uświadomił sobie, że kobieta go nie widzi.



- Tak, rozumiem - powiedział.

- Omówiliśmy sytuację z naszymi ludźmi w Nowym Jorku i Jeruzolimie, i doszliśmy do wniosku, że w Strefie Gazy jest w tej chwili zbyt niebezpiecznie dla cudzoziemców, zważywszy na to, co się stało z Jamesem. Zawróciliśmy więc przed punktem kontrolnym i teraz jedziemy z powrotem do Jeruzolimy. W tej chwili wszyscy zagraniczni pracownicy naszego biura w Gazie opuszczają Strefę. - Po chwili, jakby pokazywała mu nową sukienkę, spytała: - Co pan myśli?

Myślę, że dla mnie to też jest zbyt niebezpieczne, nawet jeśli nie jestem cudzoziemcem, którego oplaca się chronić, powiedział sobie w duchu.

- Zgadza się, że to bardzo ryzykowne.

- Będziemy prowadzić negocjacje w sprawie uwolnienia Magnusa z naszego biura w Jeruzolimie. Uważamy, że ułatwi nam to kontakty z ludźmi wyższego szczebla we władzach i służbach bezpieczeństwa po stronie palestyńskiej. Zależy nam jednak na tym, żeby pozostał pan w Gazie. Będzie pan oceniał sytuację na miejscu i utrzymywał kontakty.

- Słucham?

- Będzie się pan spotykał z ludźmi, którzy przetrzymują Magnusa, jeśli będzie taka potrzeba.

Omar Jussef ścisnął mocniej słuchawkę telefonu.

- Rozumiem.

- Żaden z miejscowych pracowników naszego biura w Gazie nie ma takich kontaktów jak pan, panie Omarze, więc może się pan uważać za człowieka numer jeden w tej sprawie.

Ton głosu Nirnberger przywodził Omarowi na myśl amerykańskich polityków podczas telewizyjnych wywiadów. Ujrzała ją w wyobraźni, jak przechyla głowę, przytakując wyniośle, z nieco stłumionym uśmiechem wyższości, jakby znała wszystkie sekrety.

- Potrzebuje pan czegoś? Proszę tylko powiedzieć, a to załatwimy.

- Władze szpitala chciałyby otrzymać informacje na temat Jamesa, żeby powiadomić jego rodzinę i przewieźć zwłoki.

- Już się tym zajeliśmy, panie Omarze. Załatwione. Nie siedzieliśmy bezczynnie. Jesteśmy krok za panem.

Nie wątpię, pomyślał.

- Czy James miał jakąś bliską rodzinę?

- Trudno mi powiedzieć. Nie załatwiałam tego osobiście.

- Na brytyjskim cmentarzu wojskowym w Dejr al-Balah spoczywa jego pradziadek. Wiem, że ten grób bardzo dużo znaczył dla Jamesa. Może jego rodzina chciałaby, żeby został tu pochowany ze względu na jego osobisty związek z tym miejscem.

Nirnberger porzuciła życzliwy ton. Kiedy się odezwała, Omar Jussef odniósł wrażenie, że kobieta mówi przez zęby.

- No cóż, możemy im to zasugerować, ale wydaje mi się, że byłby to błąd, gdyby pojawił się nowy grób mogący stać się celem antyoenzetowskich demonstracji. - Odchrząknęła i odżyła poprzednią jowialnością. - A więc na terenie Gazy znajduje się cmentarz brytyjski? No, no, kto by pomyślał?

- Słucham?

- Kto by pomyślał, że na terenie Gazy pochowano jakichś Brytyjczyków?

- Gaza ma szczególnie związek ze zmarłymi. - Omar Jussef jeszcze mocniej zacisnął palce na słuchawce. - Będę panią informował o wszystkim, czego zdołam się dowiedzieć, pani Nirnberger.

- Niech się pan nie martwi. Zamierzamy wyciągnąć stąd Magnusa.

- Jeśli taka będzie wola Allaha.

- Na pewno.

Pokój hotelowy tonął w mroku. Omar Jussef zapalił lampkę na nocnym stoliku. Pomasował sobie ramię w miejscu, gdzie trafił go kamień rzucony podczas zamieszek przy płonącym samochodzie. Roześmiał się gorzko, kiedy sobie uświadomił, że ból ramienia pozwolił mu niemal zapomnieć o siniaku na skroni. Myśl o jedzeniu przyprawiała go cały dzień o mdłości, ale teraz poczuł się naprawdę głodny. Starał się zapomnieć o *szisz tawuk*; ścisnęło go w żołądku, kiedy wyobrażał sobie, jak

przygotowują to danie w kuchni na dole. Zadzwoił do domu i znów odebrała Nadia.

- Cześć, Nadia. Co u was? Wszystko w porządku?
- Widziałeś stronę, dziadku?
- Miałem czas tylko rzucić okiem.
- I co sądzisz?

Głos Nadii był niemal piskliwy z podniecenia. Omar Jussef zastanawiał się, czy może jej zdradzić, ile doświadczył ten agent O od chwili, gdy widziała go po raz ostatni. Bał się jednak, że brud, który otaczał go niczym pył w powietrzu, przylgnie do niej i ją skrzywdzi.

- Podobała mi się - zapewnił. - Pani, która pokazała mi ją na swoim komputerze, była pod wrażeniem, tyle że teraz uważa mnie za szpiega.

Nadia wybuchnęła śmiechem.

- Kiedy wrócę do domu, pokażesz mi, jak ją zaprojektowałeś - powiedział. - I jak wgrałeś na komputer, żeby można było to oglądać nawet tutaj.

- To proste, dziadku.

- Tylko dlatego, że bystra z ciebie dziewczynka. Jest tam babcia?

Kiedy Mariam podeszła do telefonu, w tle rozległo się dziecięce łkanie.

- To Dahud - wyjaśniła Mariam. - Tęskni za tobą. Widział coś na temat Gazy w wiadomościach i płacze cały wieczór. Powiedział, że nie pójdzie do łóżka, „dopóki dziadek nie zadzwoni”.

Mariam i Omar adoptowali Dahuda i jego siostrę Mirai na przełomie roku, kiedy w zamieszkach w Betlejem zginęli ich rodzice. Troska chłopca wzruszyła Omara Jussefa. Mały stracił już ukochanego ojca i bał się, że śmierć zabierze także człowieka, który zajął jego miejsce.

- Powiedz mu, że nic mi nie jest, że może spokojnie iść do łóżka i że zobaczą się z nim niedługo.

- Kiedy to będzie, Omar?

- Nie wiem. - Odchrząknął, starając się udawać nonszalanckę. - Oglądałaś wiadomości?

- Nie, Dahud oglądał, tak jak ci mówiłam. Ale nie mogę niczego się od niego dowiedzieć. Dlaczego? Co się stało? - Głos Mariam był niespokojny i donośny, jakby była tuż obok.

Omar Jussef się zawahał.

- No cóż, Magnus został porwany przez Brygady Saladyna, a inny człowiek z ONZ-u, który ze mną pracował, wyleciał w powietrze w swoim samochodzie...

Usłyszał piskliwe westchnienie Mariam.

- Na Allaha, Omar, wracaj stamtąd.

- Muszę dopilnować uwolnienia Magnusa. ONZ nie przyśle nikogo innego. Boją się trzymać tu cudzoziemca.

- Nie mają pracowników mieszkających w Gazie?

- Podejrzewam, że nie chcą się wychylać.

- Ty też nie powinienes. Chcą cię poświęcić?

- Mariam, dam sobie radę.

Mógł sobie bez trudu wyobrazić, jak kręci głową.

- Nie jesteś takim twardzielem, Omar. To, że sprzeciwiłeś się w zeszłym roku gangom w Betlejem, nie oznacza od razu, że możesz zrobić to samo w obcym mieście. Gaza to okropne miejsce.

- Potrafię o siebie zadbać. A poza tym jest tu Abu Adel. Nie pozwoli mi na żadne ryzykowne działania.

- Abu Adel może być sobie szefem policji w Betlejem, ale w Gazie jest nikim. Zabiją go tak, jakby rozdeptywali robaka. A potrafi być równie lekkomyślny jak ty.

- Zabiją? Oni? Kogo masz na myśli, Mariam?

- Tych, którzy porwali Magnusa i wysadzili tego drugiego człowieka.

- To nie muszą być ci sami ludzie.

- To tylko podwaja ryzyko.

Omar Jussef nigdy nie lubił spierać się z Mariam. Zwykle jej punkt widzenia był bardziej uproszczony niż jego, złościł się, gdy nie dostrzegała subtelności, które dla niego były oczywiste. Tym razem jednak wiedział, że jego żona ma rację i że nie ma innego wyjścia, jak tylko sprzeciwić się jej logice.

- Mariam, zależy mi na tym, żebyś zachowała spokój. Nie

można bardziej denerwować Dahuda ani pozostałych dzieci. Idź teraz do małego i powiedz mu, żeby się nie martwił. I słuchaj, Mariam...

- Tak?

- Jeśli nie będziesz odgrywać swojej roli jak należy, Nadia domyśli się wszystkiego. Więc lepiej przekonaj samą siebie, że twojemu biednemu mężowi nic się nie stanie.

- Z Nadią sobie poradzę.

- Trudniej ją wykiwać niż bojowników z Gazy, moja droga. Nie lekceważ więc tego.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Mariam, właśnie przynieśli mi kolację. Widzisz, jesteś taka zdenerwowana, że nie spytałaś nawet, czy się odpowiednio odżywiam.

- Zaniedbuję się w obowiązkach żony - powiedziała Mariam. - Wracaj do domu, gdzie nic ci nie grozi ani od niebezpiecznych ludzi, ani od kiepskich kucharzy w hotelu.

Omar Jussef pożegnał się z nią i odłożył słuchawkę. Zaczął dziobać kawałki pieczonego kurczaka i zanurzył płaski placek chleba w talerzu z hummusem. Zastanawiał się, co je Magnus tam, gdzie więziły go Brygady Saladyna, w jakimś brudnym i małym pomieszczeniu. Jego myśli wracały uparcie do zwłok w kostnicy szpitala Asz-Szifa, bez względu na to, jak bardzo starał się skupić na kolacji. Mimo że zaspokoił pierwszy głód, nadal ścisnęło go w żołądku, kiedy przypominał sobie zmarłych na stołach do sekcji. Ciężała mu głowa, a siniec na skroni jakby wrócił do życia i pulsował teraz, zadając ból. Omar Jussef otworzył minibarek. Znalazł w nim dużą butelkę wody mineralnej, colę i soki owocowe w puszkach. Uśmiechnął się smutno na widok pustych stojaków w małej lodówce, przeznaczonych na miniaturowe whisky i wódki. Niech Allahowi będą dzięki, że muzułmańscy ekstremiści z Gazy stawiają na mojej drodze tak niewiele pokus, pomyślał.

Siedział w nogach łóżka, aż w końcu kurczak wystygł, i popijał z plastikowej butelki wodę mineralną. Łagodziła mdłości i pulsowanie w skroni. Zastanawiał się, czy nie pójść spać, ale

nie mógł uwolnić się od tych strasznych myśli. Wsłuchiwał się w wiatr, który uderzał w okna, i łomotanie o szyby niesionego przezeń piasku.

Była prawie północ, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Omar Jussef zmarł. Chwila ciszy, potem znów pukanie.

- Abu Ramizie?

Był to głos Samiego, więc Omar otworzył drzwi. Młody człowiek stał na korytarzu w niedbalej pozie, pałac papierosa. Czarny podkoszulek opinał umięśniony tors, kciuk tkwił za paskiem dżinsów. Obrzucił Omara Jussefa uważnym spojrzeniem, rozbawiony bez wątpienia jego niechlujnym wyglądem, i uśmiechnął się, kładąc dłoń na ramieniu starszego mężczyzny.

- Jak się czujesz, Abu Ramizie?

- Kiepsko, Sami. Gdzie Abu Adel?

- W głębi korytarza, plotkuje w swoim pokoju z innymi członkami rady rewolucyjnej.

- Już po spotkaniu?

- Rady? Tak, ale ci dranie nigdy nie przestają gadać.

- Wejdz.

Sami usiadł za biurkiem i spojrzał na kurczaka.

- Często się - zaproponował Omar Jussef.

Sami wziął w palce kilka kawałków mięsa i pochłonął je łapczywie.

- Dziękuję, Abu Ramizie. Dawno nie jadłem tak dobrego szisz *tawuk*. W ogóle nie jadłem za dobrze, od kiedy mnie deportowali.

- Tęsknisz za kuchnią matki?

- Jest najlepsza.

- Wiem, próbowałem u ciebie w domu.

- Oczywiście, że tak. Mój ojciec zawsze mówi o tobie z wielkim szacunkiem, ja też wiem, że cieszysz się w mieście opinią człowieka prawego.

- Kiedy Izraelczycy pozwolą ci wrócić do domu, Sami?

Młody człowiek obracał w palcach kawałek kurczaka, ogładając w milczeniu, jak koneser drogie cygaro.

- Kiedy mój dom spłonie do gołej ziemi i zostanie zniszczony przez moich sąsiadów. - Przeżuł kurczaka i spojrzął na Omara Jussefa. - Nie wcześniej.

- Masz jakieś wiadomości o Magnusie?

Sami pokręcił głową.

- Próbuję się dowiedzieć, kto zabił Jamesa. Przypuszczam, że zaprowadzi nas to do Magnusa.

- Pamiętasz, jak mówiłeś mi o manikiurze Hussajniego? To właśnie spotkało Odwana przed śmiercią. Chciałem ci to powiedzieć, kiedy odwoziłeś nas z kostnicy, ale nie mogłem się na to zdobyć.

Sami zjadł następny kawałek mięsa. Oblizął palce i przytaknął ze zrozumieniem.

- Brygady Saladyna mogą zamordować Magnusa w odwecie za śmierć Odwana - zauważył Omar Jussef. - Zdołamy go odzyskać, zanim odkryją, że ich towarzysz został zabity?

Sami pokręcił głową.

- Wykluczone. Jeśli jeszcze nie wiedzą, że Odwan nie żyje, to się dowiedzą przed świtem. Mają swoich ludzi w więzieniu z ukrytymi telefonami komórkowymi. Wiedzą o wszystkim, co dzieje się w As-Saraja i pozostałych więzieniach i bazach wojskowych. Ale nie sądzę, żeby chcieli zabić Magnusa.

- Muszą przecież dobitnie odpowiedzieć, pokazać, że pomścili Odwana.

- Nie wydaje mi się, by byli gotowi posunąć się do mordowania cudzoziemców. Wybiorą coś innego. Coś w ich stylu, co będzie stanowiło dobitne przesłanie dla rządzących w Gazie, ale nie obróci przeciwko nim świata zewnętrznego.

Sami podniósł talerz z hummusem i w zamyśleniu maczał w nim chleb.

- Jak przebiegło spotkanie rady rewolucyjnej?

- Abu Adel twierdzi, że było burzliwe. I niebezpieczne.

- Niebezpieczne? - Omar Jussef przypomniał sobie, co Chamis Zejdan mówił o narastającym konflikcie między szefami służb bezpieczeństwa.

- Generał Hussajni oskarżył pułkownika Al-Farę o korupcję. Zażądał oficjalnego dochodzenia w tej sprawie.

- Ale generał też jest skorumpowany, prawda?

- Owszem, ale wszystkie te rady rewolucyjne mają specyficzny charakter. Jeśli ktoś oskarża cię o coś, nie możesz po prostu się odwrócić i powiedzieć: „Na Allaha, jesteś równie skorumpowany jak ja”. Wychodzisz wtedy na głupiego dzieciaka, którego jedynym argumentem jest odbicie piłeczki. A co ważniejsze, potwierdzasz w ten sposób prawdziwość oskarżenia.

- I co zrobił pułkownik Al-Fara?

- Abu Adel powiedział, że pułkownik milczał. Ale wszyscy pozostali byli wzburzeni.

Omarowi przyszło do głowy, że jeśli Al-Fara milczał, to był to niepokojący znak. Pułkownik obmyślał zapewne zemstę.

Przypomniał sobie komiczną wylewność w zachowaniu, wystający brzuch i wilgotne, szare oczka generała Hussajniego, człowieka, który prawdopodobnie udusił Bassama Odwana. Wyobraził sobie po drugiej stronie stołu konferencyjnego matowe czarne włosy i wąsy pułkownika Al-Fary, kościstą dłoń trzymającą chusteczkę z płwociną i dym papierosowy dobywający się z nozdrzy człowieka, który znęcał się nad Ejadem Mazarawim. Spotkanie rady stanowiło początek ostatecznej konfrontacji obu mężczyzn. Jakże zło zaprzęgliby do tej końcowej rozgrywki?

- Kto przegra tę bitwę?

- Ten, kto pierwszy okaże słabość - odparł Sami. - Znasz przysłowie: Kiedy pada krowa, wielu dobywa noży. Każdy z nich ma wrogów, którzy z chęcią wytną dla siebie jakiś kawałek ofiary, gdy tylko stanie się bezbronna.

- Czy ktokolwiek wspominał o bombie, która zabiła Jamesa?

- Na posiedzeniu rady rewolucyjnej? Nie padło nawet słowo na ten temat. Wszyscy skupili się na walce między pułkownikiem a generałem.

Omar Jussef wyjął z minibarku sok truskawkowo-bananowy



i colę dla Samiego. Nalał sobie do szklanki gęstego, lepkiego napoju. Było to jedyne, co przypominało z grubsza jedzenie i co był w stanie przełknąć. Chciał spać, ale pragnął omówić jeszcze jedną kwestię.

- Sami, chcę cię spytać o tę sprawę z raketami Qassam, o której mówił Odwan. To prawda?

- Że ściągnęli do Gazy prototyp przez tunele w Rafah i wyprodukowali dzięki niemu mnóstwo pocisków?

Omar Jussef przytaknął.

- Tak, to był północnokoreański pocisk sprowadzony przez Iran - powiedział Sami. - Teraz wszyscy chcą zapewnić sobie jeszcze lepszą broń. Grupa, która wykorzysta ją z powodzeniem przeciwko Izraelowi, zyska na ulicy ogromny szacunek i będzie mogła narzucić prezydentowi swoją wolę.

- Brygady Saladyna?

Sami wzruszył ramionami.

- Im więcej sprawiają kłopotu, tym bardziej prezydent chce mieć ich po swojej stronie. Jeśli zamierzasz uzyskać od niego pieniądze, to przede wszystkim musisz robić dużo zamieszania w Gazie i zabić od czasu do czasu kilku Izraelczyków. W końcu prezydent ci zapłaci, żebyś wziął na wstrzymanie.

Omar Jussef dotknął palcem wskazującym brody i zmarszczył czoło.

- Wiemy, że Brygady Saladyna nie mają tego prototypu, bo został skradziony po przeszmuglowaniu do Rafah. Więc kto go ma? Tego musimy się dowiedzieć. Może uda nam się zaproponować Brygadam wymianę, czyli pocisk za Magnusa.

Sami przełknął resztkę hummusu i spojrzał na Omara z powagą.

- Lepiej dobrze to przemyśl, Abu Ramizie. Ktokolwiek ma ten pocisk, nie przekaze ci go, ot tak zwyczajnie, poza tym najwięksi dranie w Gazie będą próbowali go znaleźć i odebrać temu komuś.

Omar Jussef uświadomił sobie, że nawet gdyby odszukał pocisk, to i tak nie mógłby go zwrócić Brygadam Saladyna.

Ten, kto byłby w jego posiadaniu, użyłby go, żeby zabijać, prowokować ataki izraelskie na obozy uchodźców i kontrolować skorumpowaną politykę Gazy. Gdyby znalazł pocisk, powinien go raczej zniszczyć. Z drugiej jednak strony, jak miał się targować o życie Magnusa? Jęknął i położył dłoń na obolałej skroni.

- Negocjatorzy ONZ-u nie przyjadą, bo zawrócili na punkcie kontrolnym. Uważają, że jest tu zbyt niebezpiecznie. Zostaliśmy tylko my, Sami.

- Na dobrą sprawę nie są nam potrzebni. Ci ludzie uważają, że wszystko już wiedzą, ale nie potrafią słuchać. Są bezużyteczni. Nie dałbym za nich złamanego szkła.

Omar Jussef patrzył na młodego człowieka, zaskoczony jego gwałtownością.

- Spróbuję zorganizować spotkanie z miejscowymi członkami Brygad Salady, żebyś mógł spytać, co się stało z Jamesem - powiedział Sami. Wytrzeł dłonie chusteczką, wyjął z tylnej kieszeni spodni paczkę papierosów i wstał, uśmiechając się przeproszająco. - Wiem, że nie chcesz, żebym tu palił, Abu Ramizie, więc się już pożegnam. Musisz się przespać.

## ROZDZIAŁ 20

Omar Jussef śnił o śmierci. Oblewał się potem od żaru eksplozji, która zabiła Jamesa Cree, wstrząsał nim potworny podmuch, obejmowały go płomienie, ciężły poskręcane odłamki metalu, a kamienie ciskane przez miejscowych chłopców łamały mu kości. Potem dławił się ostatnim oddechem Bassama Odwana, któremu ze zmasakrowanych palców tryskała krew. Cofnął się gwałtownie, gdy ugodziła go w żebra kula z przestarzałego karabinu, a fragmenty kości porozrywały płuca. Strzały padały jeden za drugim, wciskając go za każdym razem w materac. Śmierć już za nim nie podążała. Dzielila z nim teraz łóżko, nie jak żona, ale jak potajemna kochanka, zazdrosna i gniewna, niepozwalająca mu zmrużyć oka.

Zadzwoił telefon. Kule karabinowe rozrywały mu klatkę piersiową, a telefon dzwonił uparcie. Omar Jussef przekreślił się w stronę stolika nocnego i poniósł słuchawkę. Nie mógł mówić, dyszał w nią tylko.

- To ty, Abu Ramizie?

Omar znowu sapnął. Strzały nie milkły. Jęknął cicho.

- Wszystko w porządku? Tu doktor Nadżdżar z kostnicy. Czy to odgłos strzałów?

Omar Jussef rozejrzał się wokół. Jestem w hotelu, pomyślał, ale widział wszystko jak przez gęstą mgłę.

- Co to za hałas, Abu Ramizie? - dopytywał lekarz.

- Postrzelili mnie.
- Abu Ramizie? - Doktor nie krył niepokoju.

Omar Jussef położył słuchawkę na poduszce i brzegiem prześcieradła otarł pot z twarzy. Naprawdę było słyhać strzały. Spojrzał na czerwone cyferki zegarka elektronicznego, który stał na nocnym stoloczku: szósta rano. Ponownie podniósł słuchawkę.

- Tak, to strzelają na zewnątrz. Nie mam pojęcia, o co chodzi. Miałem zły sen.

- Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale pracowałem całą noc i zaraz idę do domu. Chciałem jak najszybciej powiedzieć ci o swoim odkryciu.

Omar Jussef odchrząknął i wsparł się na łokciu, próbując odepchnąć od siebie wspomnienie koszmaru sennego.

- Dziękuję.

- Musi to jednak pozostać między nami, Abu Ramizie. Jak wiesz, oficjalną przyczyną zgonu był atak serca w celi więziennej. Jednak moja wstępna diagnoza, że powodem śmierci była asfiksja, okazała się słuszna. Odwan udusił się z powodu zatoru w drogach oddechowych.

Omar Jussef usiadł na brzegu łóżka.

- Udławił się jedzeniem?

- To nie było jedzenie. Pamiętasz, że po wewnętrznej stronie ust i w górnej części przełyku miał mnóstwo drobnych nacięć? W głębi tchawicy znalazłem coś w rodzaju szkła.

- Szkła?

- Prawdę mówiąc, taką rzecz widzę w Gazie po raz pierwszy. Wcześniej spotkałem się z tym tylko raz, w barze hotelowym w Jordanii. To chyba korek od kryształowej butelki, w jakiej trzyma się alkohol.

Omar Jussef pomyślał o czeskiej kolekcji generała Hussajniego.

- Karafka?

- Tak to się nazywa? Ten korek ma mnóstwo małych płaskich boków, odbija światło jak kamień szlachetny. Ale krańdzie między nimi są tak twarde i ostre jak diament. Korek

był duży i kiedy wepchnęli mu w gardło, spowodował skaleczenia. Wtedy Odwan się udławił. - Lekarz urwał na chwilę. - Tę strzelaninę słyhać chyba gdzieś w pobliżu, Abu Ramizie.

Omar Jussef wstał i ruszył w stronę okna, żeby odsunąć zasłony. Przewód telefoniczny był jednak za krótki. Huk broni palnej wydawał się ogłuszający, basowa kanonada przerywana była dzwonieniem tłuczonego szkła.

- Nic nie mogę zobaczyć, bo zasłony są zaciągnięte - powiedział podniesionym głosem, żeby lekarz mógł go usłyszeć. - Czy ciało Odwana dostarczono do kostnicy prosto z więzienia?

- Przywieźli go funkcjonariusze wywiadu wojskowego. Trudno powiedzieć, skąd dokładnie go zabrali.

Omar Jussef nasłuchiwał strzelaniny. Wydawało się, że jest skoncentrowana wokół domu generała Hussajniego po drugiej stronie ulicy. „Skąd go zabrali...”. Właśnie stamtąd, pomyślał. Podziękował doktorowi i odłożył słuchawkę.

Podczołgał się wzdłuż ściany do okna i uniósł zasłonę. Na ulicy pod hotelem zaparkowało kilkanaście dżipów, niektóre w barwach maskujących, inne pomalowane na szarobury kolor. Ludzie kryjący się za wozami byli ubrani jak ci z oddziału Brygad Saladyna, którzy porwali Wallendera: wełniane czapki naciągnięte na twarz, kurtki i czarne podkoszulki, wojskowe spodnie i ciężkie buty. Strzelali w stronę domu Hussajniego z kałasznikowów i amerykańskich M-16.

Z okien na każdym piętrze budynku odpowiadano ogniem. Omar Jussef wpatrywał się w zapyłone światło poranka. W brudnym szarym od pyłu powietrzu błyskały ogniem lufy karabinów na trzecim piętrze.

Rozległo się pukanie do drzwi. Omar Jussef wciągnął na nogi spodnie i otworzył. Chamis Zejdan przepchnął się pospiesznie obok niego; pod rozpiętą koszulą widać było szare włosy na piersi, a siwe kosmyki na łysiejącej głowie wciąż sterczały nieprzyczesane po nocy.

- Co się u diabła dzieje? - spytał i zakaszłał, a Omar Jussef

odniósł wrażenie, jakby ktoś po pokoju rozpylił z atomizera szkocką whisky.

Kiedy poczuł woń alkoholu w oddechu przyjaciela, przyszło mu do głowy, że nie tylko jemu strzelanina zakłóciła koszmar senny.

- Wracasz prosto z porannych modłów?

Chamis Zejdan potarł sobie twarz.

- Niech Allah wybaczy ci twoją ironię.

- Coś się dzieje przy domu Hussajniego - wyjaśnił Omar Jussef.

- Skurwysyn. Nic nie mogę zobaczyć ze swojego okna.

- Kierownictwo zapewniło ludziom z rady rewolucyjnej ładny widok?

- Ty za to oglądasz sobie fajerwerki. - Chamis Zejdan uniósł ostrożnie brzeg zasłony i rzucił tonem zdziwienia: - Ja pieprzę.

Omar Jussef wyjrzał na zewnątrz z drugiej strony okna.

- Co się dzieje?

- Wygląda na to, że rada rewolucyjna zebrała się na specjalną sesję.

- Myślisz, że to sprawa między pułkownikiem a generałem?

- Może. Albo Brygady Saladyna postanowiły pokazać Hussajniemu, że wiedzą, kto zabił Bassama Odwana. - Chamis Zejdan wyszczerzył w uśmiechu zęby. - Niewykluczone, że to manewr łączony: Brygady Saladyna i ludzie pułkownika Al-Fary.

Zza jednego z dżipów wyłonił się bojownik z ręczną wyrzutnią.

- Na Allaha - mruknął Chamis Zejdan, patrząc szeroko otwartymi oczami.

- Co to takiego?

- Pocisk przeciwczołgowy.

Pocisk wystrzelił z ramienia mężczyzny z dźwiękiem przywodzącym na myśl spazmatyczne westchnienie i trafił w drugie piętro, gdzie Omar Jussef jadł poprzedniego dnia śniadanie z generałem Hussajnim.

Ostrzał z budynku ustał. Nawet bojownicy przerwali ogień, by popatrzeć na ogrom zniszczeń. Niektórzy wstali zza dżipów, z bronią skierowaną w ziemię. Omar Jussef zobaczył, że śmieją się z jednego ze swych towarzyszy, który zakrył sobie uszy dłońmi w momencie odpalenia pocisku. Inny przybił strzelcowi piątkę. Po chwili podjęli ostrzał dla osłony sześciuosobowego oddziału, który przebiegł przez ulicę i wpadł do budynku. Przeszli z wózków w mundurze wojskowym i czerwonym berecie i ruszyli biegiem po schodach. Omar Jussef nie zauważył, czy ktoś został trafiony. Wpatrywał się w ciało i pragnął w duchu, by się poruszyło. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do doktora Nadżdżara i powiedzieć mu, żeby nie szedł jeszcze do domu, gdyż niebawem może być potrzebny w kostnicy.

Dym wokół drugiego piętra, gdzie uderzył pocisk, już się przerzedzał. W ścianie widać było tylko niewielki otwór wielkości ludzkiej głowy, ale wewnątrz szalały płomienie. Omar Jussef domyślił się, że ogień objął sofy i fotele. W pokoju można było dostrzec jakiś ruch. Rozległo się kilka strzałów, na dół zbiegali szybko ludzie.

U podnóża schodów pokazał się generał Musa Hussajni. Był nagi, z wyjątkiem bufiastych białych bokserów. Duży brzuch pokrywały gęste siwe włosy, nogi sprawiały wrażenie zbyt chudych, by mogły utrzymać korpulentny tors. Łyse, ciemne czoło znaczyły strużki krwi. Jeden z bojowników pchnął go w plecy. Generał pośliznął się na kałuży krwi wyciekającej z zabitego strażnika, potknął o jego nogi i poleciał ze schodów. Bojownik podążał za nim, kopiąc go bezlitośnie. Hussajni dobrnął do ulicy na czworakach.

- Niemożliwe - powiedział Chamis Zejdan.

Twarz generała była wykrzywiona i zapłakana. Jeden z napastników stanął za nim, uniósł kałasznikowa i strzelił mu w kark.

Był to niespodziewany, pojedynczy strzał. Omar Jussef zaciągnął się gwałtownie powietrzem.

Ten sam mężczyzna opróżnił magazynek, strzelając serią w ciało Hussajniego. Napastnicy wsiedli pospiesznie od dżipów i

zaczęli się wycofywać. Niektórzy ruszyli drogą nadbrzeżną, a dwa wozy skręciły w ulicę Omara al-Muchtara, która prowadziła do centrum miasta. Generał Hussajni leżał pod swoim domem, twarzą do ziemi.

Omar Jussef przycisnął czoło do szyby i zamknął oczy. Chamis Zejdan położył mu dłoń na ramieniu. Wskazał głową ulicę.

- Chodź.

- Myślisz, że to bezpieczne? - spytał Omar Jussef.

Chamis Zejdan wzruszył ramionami.

- Bezpieczne czy nie, lepiej przyjrzyjmy się temu z bliska, chyba że wystarczy ci wersja oficjalna.

Idąc niepewnym krokiem w stronę drzwi, uderzył się barkiem o szafę i zaklął, wionąc odorem whisky, który przyprawił Omara Jussefa o kaszel.

Jako pierwsi opuścili hotel i znaleźli się na miejscu walki. Omar Jussef miał wrażenie, że jego kości udowe obróciły się o dziewięćdziesiąt stopni w panewkach stawów biodrowych - stopy odmawiały kroczenia w linii prostej, a miednica jakby była naszpikowana szpilkami i igłami. Ciało było wyczerpane po koszarach, które zakłóciły jego sen. Ale cokolwiek go przesładowało nocą, było to lepsze niż życie na jawie w tym mieście.

Chamis Zejdan ukląkł przy zwłokach Hussajniego. Ulica była pusta.

- Gdzie policja? - spytał Omar Jussef.

- Hussajni zapomniał pewnie wykręcić numer dyżurnego - oświadczył ironicznie Chamis i zbadał bezceremonialnie puls na szyi zabitego.

Omar Jussef spojrzał na roztrzaskaną potylicę i dziury na tęgich plecach, gdzie bojownik oddał serię z automatu. Luźne białe bokserki były wypełnione ekskrementami, a rany na ciele pokrywała już warstwa pyłu.

- Okropność - mruknął.

- Przynajmniej umarł z całymi opuszkami palców - zauważył Chamis Zejdan.



Omar Jussef popatrzył szeroko otwartymi oczami na przyjaciela.

- Nawet najgorszy człowiek zasługuje na szacunek w chwili śmierci - zauważył.

- Spokojnie. Wiesz doskonale, co mam na myśli. Zajrzyjmy do budynku.

Przestąpili nad zabitym strażnikiem w wejściu i otaczającą go kałużą krwi. Drzwi do salonu na drugim piętrze były otwarte. Pianka w meblach wypoczynkowych wciąż się tliła, wypełniając pokój duszącym dymem. Na środku sufitu, tam gdzie niegdyś wisiał żyrandol, widniała czarna plama, a pod nogami chrzęściło szkło.

- Pocisk przebił ścianę i trafił w sufit - oświadczył Chamis Zejdan. - Każdy, kto przebywał w tym pokoju, musiałby obeznać szrapnelem.

- Albo kawałkiem tego żyrandola.

Za długim stołem jadalnym Omar Jussef znalazł chłopca leżącego na wznak z rozrzuconymi ramionami. W jego chudym policzku ze śladami trądziku widniał otwór po kuli. Oczy miał otwarte. Wyglądał na lekko oszołomionego, ale był martwy jak głaz. Omar Jussef powiódł wzrokiem w głąb korytarza. Dostrzegł tam dwóch innych ludzi w nieruchomych, poskręcanych pozach.

Półki z kryształami na przeciwległej do wejścia ścianie spadły na podłogę. Kolekcja butelek i kieliszków leżała rozbita na marmurowych płytkach. Omar Jussef schylił się sztywno i podniósł szyjkę roztrzaskanej karafki.

- Kiedy to wszystko się zaczęło, zadzwonił do mnie doktor Nadżdżar z kostnicy - powiedział. - Znalazł w krtani Odwana korek którejs z tych karafek. Więzień się nim udławił.

Chamis Zejdan powąchał ciemny trunek na dnie częściowo stłuczonego kryształu.

- Brandy. Myślisz, że Hussajni zaprosił Odwana na kamestralnego drinka? - spytał i poszedł oglądać pozostałe pokoje.

Omar Jussef ważył przez chwilę w dłoni szyjkę karafki, a potem przesunął jej gładką stroną po swoim gardle poniżej jabłka

Adama. Zimny dotyk szkła na skórze przywołał wspomnienie chwil z koszmaru, kiedy się dusił. Wzdrygnął się i odłożył kawałek kryształu na stół.

Od strony drogi nadbrzeżnej dobiegał dźwięk syreny. Omar Jussef poczuł, jak przyspiesza mu puls. Kiedy słyszysz syreny, nie możesz się oprzeć myśli, że przyjeżdżają po ciebie, pomyślał. Przy zwłokach Hussajniego zatrzymał się turkusowy dżip. Z tyłu wyskoczyło pięciu policjantów, po chwili przyłączył się do nich oficer siedzący z przodu. Stanęli niezdecydowanie w odległości kilku kroków od zabitego. Oficer podszedł do Hussajniego. Zsunął niebieski beret na tył głowy i podrapał się po czole.

Chamis Zejdan spojrział w dół ponad ramieniem Omara Jussefa.

- Oczekuję niezwykle energicznego śledztwa ze strony sił bezpieczeństwa - oznajmił z drwiącym uśmiechem.

- Nie masz przypadkiem jakiegoś spotkania?

- Co się z tobą dzieje? - spytał Chamis Zejdan, zaskoczony gniewnym tonem przyjaciela.

- Wy, ludzie z rady rewolucyjnej, zabijacie się nawzajem, a potem zwołujecie spotkanie i ogłaszacie pokój aż do następnego razu, kiedy postanawiacie znów się mordować! - krzyknął Omar Jussef. - A tymczasem zwykli ludzie, jak ten biedny chłopak na podłodze, płacą za to własnym życiem.

- Myślisz, że mi się to podoba?

- Wydaje się, że nieźle korzystasz na tym systemie, pomimo tego całego cynizmu.

- Co masz na myśli? - spytał Chamis Zejdan, wkładając papierosa do ust i sięgając do kieszeni po zapalniczkę.

- Kto płaci za twój pokój w hotelu? A za twoje drogie obiady? I mieszkanie w Betlejem? I wóde, którą w tej chwili od ciebie zajeżdża? I te głupie fajki, które cię zabijają? - Omar Jussef wyrwał mu papierosa z ust.

Dowodzący policyjnym patrolem na dole podniósł wzrok i spojrział na okna na drugim piętrze. Wskazał je i powiedział coś

do swoich dwojga ludzi, którzy ruszyli biegiem w stronę domu Hussajniego.

- Papierosy? Od kiedy martwisz się o moje zdrowie? - Chamis Zejdan wyjął z kieszeni drugiego i zapalił. - Nie wiedziałem, że jesteś taki troskliwy, mój drogi.

- Nie rób sobie żartów.

- Przyznaje, że gdybyśmy byli w Betlejem, to słusznie martwiłbyś się o mnie - wyznał Chamis Zejdan. Chwytał Omara Jussefa za ramię, w szeroko otwartych oczach malowało się podniecenie. - Ale tutaj, w Gazie, mylisz się całkowicie. W Betlejem piję z powodu depresji, samotności, obrzydzenia do życia. A Gaza to jedno wielkie działanie i muszę przyznać, że właśnie tym żyję. Te wypełnione dymem pokoje, podejrzane akcje, przemoc. Tu, w Gazie, piję dlatego, że jest to jedna wielka frajda. Nawet ten poranny incydent mnie podniecił.

Omar Jussef strząsnął z siebie dłoń szefa policji.

- To prawda - przyznał Chamis Zejdan. - Oto ja, człowiek, którego nazywasz swoim przyjacielem. Nie jestem z tego dumny i nikomu innemu bym o tym nie powiedział, ale w Gazie czuję się jak za dawnych dni, jak w Libanie, zanim wszystkiego nie spieprzyliśmy.

- Na Allaha, czy można spieprzyć cokolwiek bardziej niż w Gazie? - spytał Omar Jussef.

- Prawdę powiedziawszy, powinniśmy zostać w podziemiu. Nie umiemy rządzić.

- To miejsce jest rządzane według praw ze średniowiecza.

- Daj spokój, nauczyciel się znalazł. Oszczędź mi wykładów. Na schodach słyhać było kroki.

- Skłóceni emirowie, nieopisany strach, jaki człowiek wyczuwa w każdej drobinie tej burzy, i śmierć. Śmierć nawet dla takich ludzi jak Hussajni, którzy mają w zwyczaju ją zadawać. - Omar Jussef chwycił przyjaciela za ramiona, przysuwając do niego twarz. - To nie historia. To terażniejszość.

Jeden z policjantów stanął zdyszany w drzwiach. Podniósł

swojego kałasznikowa. Omar Jussef roześmiał się chrapliwie. Podszedł do funkcjonariusza.

- Dokumenty - rozkazał policjant. Był szczupły i chudy, wąsy drgały mu niespokojnie.

Omar Jussef popatrzył na niego gniewnym wzrokiem.

- Emir Saladyn, ot co. A teraz zejdź mi z drogi, chcę coś zjeść. W tym pokoju leży martwy chłopiec, bo wy byliście zbyt zajęci śniadaniem, żeby spełnić swój obowiązek.

Policjant odsunął się i opuścił lufę automatu na wysokość kolan. Na schodach pojawił się drugi funkcjonariusz, ciężko dysząc. Popatrzył zaskoczony na Omara Jussefa i oparł się o poręcz, żeby go przepuścić.

## ROZDZIAŁ 21

Omar Jussef jadł już drugą porcję jajecznicy, kiedy w sali pojawił się Chamis Zejdan, lawirując między stolikami. Szedł z ponurą miną i ze wzrokiem wbitym w podłogę, by uniknąć rozmów z obecnymi w restauracji delegatami rady rewolucyjnej. Choć niemal wszystkie miejsca zajmowali politycy i ich doradcy, w pomieszczeniu panowała atmosfera przygnębienia, wywołana niedawną egzekucją Hussajniego. Bawili się nerwowo serwetkami, jakby czegoś oczekiwali, wpatrzeni w swoje filiżanki z kawą. Na ich twarzach malowała się niepewność.

Omar Jussef dopił kawę i właśnie ocierał serwetką usta, gdy szef policji dotarł do jego stolika.

- Na zdrowie - powiedział.

- Może i odzyskałem apetyt, ale trudno mi kojarzyć cokolwiek w Gazie, nawet jedzenie, ze zdrowiem. - Omar Jussef odchrząknął i spojrzął na swój talerz. - Przepraszam za moje zachowanie. Kiedy zobaczyłem ciało Hussajniego, wartowników i tego chłopca.. no cóż, było tego trochę za wiele jak dla mnie.

Chamis Zejdan machnął tylko ręką, czym dał do zrozumienia, że nie przejmuje się wcześniejszymi oskarżeniami ze strony przyjaciela.

- Nie, daj spokój, miałeś rację. Powinienem mniej palić. - Usiadł obok Omara Jussefa, choć wydawało się, że coś go gryzie.

Wyjął z tylnej kieszeni spodni złożoną ulotkę i wyjaśnił szep-tem: - To oświadczenie Brygad Saladyna dotyczące śmierci Hussajniego.

Omar Jussef uniósł brwi i posmarował grzankę masłem.

- Szybko drukują, prawda?

- Piszą, że Hussajni został zabity przez Brygady, ponieważ był kolaborantem, który zamordował „bojownika i ich brata Bassama Odwana, poddanego wpierw okrutnym i typowym torturom”. Oznacza to manikiur Hussajniego, co? Jak się o tym dowiedzieli?

- Rozmawiałem o tym z Samim - wyznał Omar Jussef. - Powiedział, że mają swoich szpiegów w więzieniach.

- Oskarżają też Hussajniego o działania mające na celu podkopanie ruchu oporu i aresztowanie najważniejszych bojowników - dodał Chamis i położył pojedynczą kartkę papieru na stoliku.

Omar Jussef zerknął na ulotkę i pochłonął grzankę trzema kęsami. Przeżuwał, obrał gotowane jajko, przeciął na pół, posolił i zjadł jeden kawałek. Po dniu i nocy bez posiłku był wygłodniały.

- Jesz jak skazaniec przed egzekucją - zauważył Chamis Zejdan, czekając, aż przyjaciel podniesie na niego wzrok. - Za dwadzieścia minut odbędzie się nadzwyczajne zebranie rady rewolucyjnej. Mamy dyskutować o zabójstwie generała i zastanawiać się, jak powinny zareagować siły bezpieczeństwa.

Chamis Zejdan rozejrzył się po sali. Od stolików podnosili się delegaci, strzepując z eleganckich garniturów okruszki i wydając swoim doradcom ciche polecenia.

- Co zamierzasz? - spytał szef policji.

Omar Jussef przelknął.

- Co skazaniec robi zwykle po ostatnim posiłku? - odpowiedział retorycznie Omar i zjadł drugą połówkę jajka.

- Daj spokój. Zignoruj moją uwagę. To był żart. Brytyjczycy nazywają coś takiego wisielczym humorem.

- Na szczęście nie wiesz się ludzi w Gazie. Ale spodziewam się, że mnie zetną, kiedy przyjdzie pora. - Postukał wymownie

palcem wskazującym w symbol Brygad Saladyna, który stanowiły dwie skrzyżowane szable. Potem przyjrzał się dokładniej ulotce.

- Posłuchaj, moim zdaniem, po spotkaniu rady zostaną przeciwko Brygadam Saladyna podjęte jakieś kroki - powiedział Chamis Zejdan. - Natury wojskowej. Aresztowania. Nie wykluczone, że Brygady na to odpowiedzą. Może być dziś nieprzyjemnie na ulicach. Nie możemy dopuścić do tego, żeby uszło im płazem zabójstwo jednego z naszych, nawet jeśli wszyscy uważamy, że był to kawał drania. Nie chcę, żebyś dostał się w krzyżowy ogień, rozumiesz?

Omar Jussef zdjął wieczko maleńkiego pojemnika z miodem i skropił nim rogalika.

- Gdyby chodziło mi o własną skórę, nie byłoby mnie w Gazie.

Chamis Zejdan westchnął zniecierpliwiony.

- Atmosfera jest w tej chwili bardzo groźna. Zachowaj ostrożność.

- Powiedziałeś mi, że kochasz ten pył, te intrygi i oszustwa, tę przemoc - przypomniał Omar. - Czyżby wszystkie te przyjemności miały być zarezerwowane tylko dla wybranych członków twojego klubu? Ja też chcę się przyłączyć do zabawy.

- Nie bądź śmieszny. Wiesz doskonale, że tego nienawidzisz. Niemal się wczoraj załamałeś, kiedy nie byłeś w stanie odróżnić sił bezpieczeństwa od innych bojowników.

- Wziąłem sobie do serca twoją radę i nie próbuję śledzić poczynań tych wszystkich ugrupowań, tylko ich zamiary. - Omar Jussef odgryzł kawałek rogalika. - A ich zamiary są takie, że chcą mnie zjeść żywcem.

- To był tylko taki zwrot akcji. - Chamis Zejdan nachylił się nad stolikiem. - Tak naprawdę nie obchodzi ich, czy żyjesz.

Omar Jussef uśmiechnął się i machnął rogalikiem.

- Jak długo potrwa to zebranie?

- Wszyscy będą mówili, że są zaszokowani, i będą udawać, że Hussajni nie był draniem. Zajmie to jakieś dwie godziny.

Trzeba jeszcze uwzględnić czyjeś wystąpienie, prawdopodobnie będzie to Al-Fara, który oświadczy, że nie wolno pozwalać na takie rzeczy w Gazie, i rozkaże aresztować winnych. Dwie godziny piętnaście minut.

Omar Jussef przytaknął i ugryzł rogalika. Poczul na węsach miód i ściągnął go dolną wargą.

- Muszę iść - oświadczył Chamis Zejdan. - Może przejdiesz się po plaży, z dala od tego wszystkiego.

Omar Jussef spojrzal przez okno restauracji na pył gnany wiatrem po wąskim deptaku.

- Rzeczywiście cudowny dzień na spacer - zauważył.

Chamis Zejdan westchnął, stuknął zde gustowany protezą o blat stolika i ruszył do drzwi.

Omar Jussef obserwował plażę. Jakiś chłopiec w czerwono-białej kufijji rozkładał sieć rybacką. Gorący wiatr szarpał jego podarty podkoszulek. Przyszło mu do głowy, że ostatnim razem, kiedy zjadł tak obfity posiłek, siedział przy tym samym stoliku z Wallenderem i Jamesem Cree. Jacyś trzech chłopcy bili się wtedy na plaży. Zastanawiał się, czy to jeden z nich i gdzie podzieli się dwaj pozostali. Miał nadzieję, że kryją się tylko przed burzą, że nic im się nie stało.

Nie mógł kontynuować swojego śledztwa w sprawie Brygad Saladyna i losu skradzionego pocisku Odwana do chwili otrzymania wiadomości od Samiego. Gdyby młody człowiek zorganizował mu spotkanie z przedstawicielem Brygad, to potrzebowałby czegoś, co mógłby im dać w zamian za wolność Wallendera. Teraz, gdy Odwan był martwy, mogli zażądać czegoś innego, jeśli oczywiście Wallender wciąż żył. Sami miał rację, że on, Omar Jussef, nie mógł zaproponować im pocisku. Nawet gdyby go znalazł, wiedział doskonale, że musiałby go zniszczyć albo zanieść komuś przyzwoitemu, kto rozbroiłby prototyp i nie sprzedał go z powrotem bojówkom. Nie zamierzał dawać im nowej zabawki do ich zbrodniczej gry.

Świadomy, że zagadka Odwana jest chwilowo nie do rozwiązania, Omar Jussef zaczął rozważać sytuację profesora Ejada



Maszarawiego. Wykładowca siedział w więzieniu służby prewencyjnej. Nie sądził, by sprawa profesora łączyła się tak naprawdę z porwaniem Wallendera i śmiercią Odwana. Domyślał się jednak, że gdyby drażył sprawę Maszarawiego, to wszelki brudne historie dotyczące służby prewencyjnej co najmniej zainteresowałyby Brygady Saladyna, zwłaszcza że rada rewolucyjna - zdominowana obecnie przez Al-Farę - zamierzała napuścić na nie siły bezpieczeństwa w odwecie za zabójstwo Husajniego. W zamian za uwolnienie Wallendera mógłby zaproponować bojownikom informacje, które ci chętnie wykorzystaliby przeciwko szefowi służby prewencyjnej.

Wrócił myślą do swoich wysiłków, jakie podejmował razem z Magnusem, żeby uwolnić Maszarawiego. Przed uprowadzeniem Szweda jadł kolację z profesorem Makim i rozmawiał o sprawie. Zrozumiał, że powinien zbadać prawdziwe powody, jakimi kierował się profesor, powiadamiając siły bezpieczeństwa o kłopotliwym wykładowcy. Omar Jussef przypomniał sobie dyplomy uniwersytetu Al-Azhar, wiszące za biurkiem pułkownika Al-Fary i na ścianie domu Salaha w Rafah. Podejrzewał, że dyplom Al-Fary był fałszywy. Może także dyplomy braci Salahów były lewe.

Omar Jussef wsunął w usta kolejnego rogalika i zaczął w zamyśleniu przeżuwać. Złożył ulotkę Brygad Saladyna i wsunął ją do kieszeni na piersi obok pierwszej. Profesor Maki miał być obecny tego ranka na zebraniu rady rewolucyjnej. Omar Jussef postanowił udać się do gabinetu profesora i poprosić jego sekretarkę, żeby pokazała mu dokumentację braci Salahów. Jeśli kupili sobie dyplomy, to ta informacja mogłaby okazać się niezwykle cenna dla Brygad Saladyna: brud na osobie martwego porucznika, którego ogłoszono bohaterem i za którego śmierć zamordowano ich człowieka, Odwana.

Poprosił przy kontuarze recepcji Mejsun, żeby wezwała mu taksówkę.

- Dokąd, *ustaz*? - spytała, wykręcając numer.
- Wolę nie mówić.

Nachyliła się ku niemu z uśmiechem.

- Masz inną dziewczynę? Mój ojciec czeka na wielbłąda. Chcesz go rozczarować?

Odkaszlnął nerwowo.

- Właśnie jadę ukraść jednego, tak jak obiecałem.

- Będę czekać na ciebie. Tylko nie daj się złapać. Wsadzą cię do więzienia dla złodziei wielbłądów. W Gazie są specjalne więzienia dla każdego. Nawet dla nieszczęśliwych kochanków.

Omar Jussef pogładził się niezgrabnie po wąsach. Wciąż były lepkie od miodu.

Zapłacił taksówkarzowi pod bramą uniwersytetu i wszedł do głównego budynku, mijając po drodze plakaty z wizerunkami zamachowców-samobójców.

Kiedy stanął w otwartych drzwiach biura Makiego, Umm Rateb podniosła się, głośno wyrażając zadowolenie.

- Miłego poranka, Abu Ramizie - zawołała.

- Niech ci słońce jasno świeci, droga Umm Rateb - odpowiedział, starając się oderwać oczy od szerokich, zmysłowych ust kobiety.

- Usiądź i napij się kawy.

- Niech Allah cię błogosławi, ale przed kilkoma minutami zjadłem obfite śniadanie.

- Na zdrowie, *ustaz*, ku pożytkowi serca.

- Dziękuję, dziękuję.

Zerknął w stronę gabinetu Makiego.

- Ale profesora nie ma. - Wskazała opuszczoną żaluzję w oknie oddzielającym jej pokój od gabinetu Makiego. - Jest na zebraniu rady rewolucyjnej. Omawiają zabójstwo generała Hussajniego.

- Wiem - powiedział Omar Jussef. - Przyszedłem w innej sprawie.

Umm Rateb spojrzała na niego zdziwiona. Po chwili się uśmiechnęła.

- Co ty knujesz, Abu Ramizie? - spytała, grożąc mu palcem.

- Muszę obejrzeć dokumentację kilku studentów.

- Są właściwie zastrzeżone. - Jej palec wciąż się poruszał groźnie.

- Proszę się nie martwić. Kiedy tu byłem, profesor przedyskutował kilka zagadnień ze mną i moimi kolegami z ONZ-u. Sam powiedział, że możemy cię poprosić o pokazanie teczki jakiegokolwiek studenta i zapoznać się z jego wynikami, i tak dalej.

- Powinnam się jednak skontaktować z profesorem.
- Jest na zebraniu rady, sama mówiłaś.

Uśmiech na twarzy Umm Rateb przygasł. Zerknęła na puste biurko, przy którym podczas ostatniej wizyty Omara Jussefa siedziała druga sekretarka.

- Masz szczęście, że nie ma tu Aminy. Jest naprawdę zasadnicza. - Podeszła do drzwi na korytarz i je zamknęła. - To ma związek z mężem Salwy, *ustaz*? Z profesorem Maszarawim?

Omar Jussef skinął głową.

- Czyje papiery cię interesują?
- Fadiego Salaha i Jassera Salaha.

Umm Rateb przytaknęła z powagą, podeszła do wysokich szarych szafek na dokumenty stojących wzdłuż ściany i otworzyła jedną z nich. Wyciągnęła z przegródki w szufladzie teczkę i podała ją Omarowi Jussefowi.

- Przeczytaj to w gabinecie profesora Makiego - poradziła. - Na wypadek, gdyby ktoś się zjawił. Nie zobaczy cię za żaluzjami.

Omar Jussef położył teczkę na biurku. Znajdowała się w niej dokumentacja przebiegu studiów Fadiego Salaha. Stopnie ze szkoły średniej były całkiem dobre i Omar Jussef zauważył z zadowoleniem, że Fadi dostawał najwyższe oceny z historii. Zajął się następnie wykazem zajęć, na jakie Fadi uczęszczał w czasie studiów, wyniki kształtowały się od dostatecznych do bardzo dobrych, pełny przekrój ocen. Sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął ulotki Brygad Saladyna. Odłożył tę najnowszą i rozłożył pierwszą. Rozpostarł ją na blacie biurka i pod numerem komórki Samiego zapisał oceny. Przekartkował zawartość teczki i znalazł wydruk komputerowy z działu księgowości. Były na nim odnotowane liczne wpłaty, wszystko drobne sumy,

ostatnia krótko przed promocją Fadięgo. Dokument dowodził, że jest to ubogi człowiek, który borykał się z ogromnymi trudnościami, by sprostać najskromniejszym wymaganiom finansowym lokalnego uniwersytetu. Omar Jussef zamknął teczkę Fadięgo, podszedł do drzwi sekretariatu i oddał dokumentację Umm Rateb. W zamian dała mu drugą teczkę.

Zawierała ona dokumentację Jassera Salaha. Na świadectwie ukończenia szkoły średniej widniały wyłącznie oceny dobre. Wykaz ocen związanych z uzyskaniem licencjatu prezentował też same dobre. Przyszła kolej na dyplom z prawa. Zaskocz mnie, pomyślał Omar Jussef.

- Same czwórki - powiedział głośno.

Nie znalazł zaświadczenia z działu księgowości o wpłatach Jassera. Napisał na odwrocie ulotki Brygad Saladyna: Jasser Salah, oceny wyłącznie dobre. Brak jakichkolwiek wpłat. Odwrócił kartkę i jeszcze raz przeczytał żądanie uwolnienia Odwana w zamian za wypuszczenie Wallendera. Czy naprawdę mógł istnieć jakiś związek między stopniami nabazgranymi w pośpiechu na odwrocie ulotki a tym przesłaniem wydrukowanym po drugiej stronie? Zostawił swoje notatki na blacie biurka i poszedł do Umm Rateb, która czekała obok szafek na dokumenty. Oddał jej teczkę, a ona schowała ją i zasunęła szufladę.

Odetchnęli z ulgą. Omar Jussef poklepał się po kieszeni na piersi i przypomniał sobie o ulotce zostawionej na biurku. Zdażył zrobić krok w stronę gabinetu Makiego, gdy otworzyły się drzwi wejściowe.

- Abu Ramizie, co za wspaniała niespodzianka - oznajmił Adnan Maki. Wchodząc, zagryzł dolną wargę i uniósł zalotnie brwi. - Umm Rateb, czyżby ten kosmopolityczny i wytworny mieszkaniec Zachodniego Brzegu zamierzał podkopać twoje surowe zasady religijne?

Omar Jussef i Umm Rateb odsunęli się od siebie, jakby rzeczywiście zostali przyłapani na niedozwolonym uścisku.

- Och, nie martwcie się - powiedział Maki. - Jestem przekonany, że obydwójce knujecie coś zdrożnego. I całkowicie to

pochwalam.

Wybuchnął śmiechem i chwycił Omara Jussefa za rękę. Przesunął po jej wierzchu kciukiem i rzucił pożądliwe spojrzenie, dotykając czubkiem języka górnej wargi. Palce miał tak miękkie, że Omar Jussef odniósł wrażenie, jakby dotykała go pajęczyna.

Maki rzucił swoją skórzaną aktówkę na czarną sofę i objął Omara Jussefa. Ucałował go pięć razy i dotknął sińca na jego skroni.

- Byłeś na froncie, jak powiadają Anglicy.

Wisielczy humor, pomyślał Omar Jussef.

- Wszyscy cytują mi dzisiaj Brytyjczyków. - Zakaszła i zaczęła się dławić.

- Umm Rateb, przynieś naszemu przyjacielowi wody, a potem podaj kawę - zwrócił się Maki do sekretarki. - Chodź do mojego gabinetu, Abu Ramizie.

Omar Jussef nie przestawał kaszleć. Pokręcił głową i usiadł na czarnej kanapie, nie wypuszczając dłoni profesora i zmuszając, by zajął miejsce obok niego. Zerknął na Umm Rateb i wskazał dyskretnie wzrokiem gabinet Makiego, mając nadzieję, że kobieta ocali jego notatki, ale w swoim zdenerwowaniu nie dostrzegła jego niemej prośby.

- Abu Ramizie, proszę się nie ruszać z kanapy - powiedziała. - Przyniosę ci szklanekę wody. Abu Nabilu, co postanowiła rada rewolucyjna?

Próbuje zrobić wszystko, by Maki nie zastanawiał się, czego tu szukam, pomyślał Omar Jussef.

Umm Rateb przyniosła po chwili szklanekę wody.

Nie wie o tym kawałku papieru na biurku Makiego, przemknęło mu przez głowę.

- Spotkanie przebiegło zgodnie z oczekiwaniami, Umm Rateb - odparł Maki. Rozłożył szeroko ramiona i gdy Omar Jussef pił wodę, klepnął go w plecy, prowokując do ponownego kaszlu. - Przepraszam, Abu Ramizie, ale jestem dziś w doskonałym nastroju.

Z pewnością nie z powodu wspaniałej pogody, tylko udanego zabójstwa, pomyślał Omar Jussef.

- Na zebraniu mówiłem długo o stanowczej odpowiedzi, jakiej należy udzielić - ciągnął Maki. - Pułkownik Al-Fara zgodził się ze mną i dodał, że nawiąże współpracę z innymi siłami bezpieczeństwa, by schwytać zabójców generała Hussajniego. Wszystko poszło bardzo sprawnie, ponieważ moje oświadczenie spotkało się z powszechną aprobatą członków rady. Był to dla mnie powód do dumy.

Omar Jussef zakaszał po raz ostatni.

- Przejdziemy do twojego gabinetu, żeby pomówić na osobności? - spytał z nadzieją, że uda mu się zabrać ulotkę, zanim Maki ją dostrzeże.

Maki wziął swoją teczkę, ujął Omara Jussefa za rękę i zaprowadził do swojego pokoju. Ulotka, zmięta i pozaginana na rogach, spoczywała na podkładce do pisania. Maki położył teczkę płasko na biurku. Zakrył kartkę, nie dostrzegając jej. Omar Jussef patrzył na to szeroko otwartymi oczami. Nachylił się. Róg ulotki wystawał spod teczki. Gdyby Maki wyszedł na chwilę z pokoju, może udałoby mu się odzyskać kompromitujący dokument.

Umm Rateb przyniosła dwie kawy na tacy.

- Teraz, kiedy już wróciłeś, Abu Nabilu, wznowisz odwołane zajęcia?

Próbuje mnie uratować, wyciągnąć mnie stąd, pomyślał Omar Jussef. Sprawi, że odejdę, zanim zdołam odzyskać tę kartkę. Próbował uchwycić jej wzrok.

- Tak, oczywiście, wracam do pracy. - Maki uśmiechnął się szeroko. - Z zapalem.

- Sprawdź, kto jest jeszcze umówiony na spotkanie. - Umm Rateb mrugnęła do Omara Jussefa. Nachyliła się, trzymając tacę z kawą.

Omar Jussef poczuł zapach jej mydła. Postawiła kawę na brzegu biurka. Maki przesunął swoją teczkę, by zrobić miejsce na filiżanki, i sięgając po kawę, odruchowo postawił teczkę na podłodze. Ściągnął też przy okazji ulotkę. Którą stroną wyładowała na

podłódze? - zastanawiał się Omar Jussef. Może wpadła wprost do kosza na śmieci i jestem czysty. Tak czy inaczej, nie mógł jej w tej chwili odzyskać.

Umm Rateb wyszła, by sprawdzić, kto jest jeszcze umówiony z profesorem.

- Oby nigdy nie zabrakło ci kawy - wymamrotał kurtuazyjnie Omar Jussef.

- Dziękuję - powiedział Maki, wyrażając wdzięczność za tradycyjną formułę grzecznościową. - Słyszałem o sprawie twojego szwedzkiego przyjaciela. Była poruszana krótko podczas zebrania.

- Krótko?

- Mieliśmy tyle na głowie. Zeszłej nocy pułkownik Al-Fara namawiał generała Hussajniego, niech Allah się nad nim zmiłuje, do uwolnienia Odwana, żeby Brygady Saladyna wypuściły twojego przyjaciela.

- No cóż, Odwan nie żyje, tak jak generał Hussajni. A może pułkownik Al-Fara sam kogoś zwolni?

- Znów mówisz o tym kłamcy, tym okropnym profesorze Maszarawim? - spytał Maki, opuszczając kąciki ust i mrużąc wilgotne czarne oczy, jakby właśnie napił się wraz z kawą gęstych fusów z dna filiżanki.

- Dlatego tu jestem bądź co bądź.

- Naprawdę? - powiedział cicho Maki. Odstawił filiżankę. Z sekretariatu dobiegł jakiś nowy głos. - Mam następnego gościa, Abu Ramzie. Będziemy musieli przełożyć naszą rozmowę. Cze-ka mnie mnóstwo roboty przed pogrzebem generała Hussajniego. - Wstał. - Przestrzegam rozkładu zajęć bardzo rygorystycznie. To niezbyt palestyńskie, ale jest to jeden z nawyków, jakie sobie wpoilem podczas licznych podróży. - Po chwili wyszeptał z chichotem: - W cywilizowanym świecie.

Do drzwi gabinetu zbliżył się jakiś brodaty mężczyzna z plikiem papierów w dłoni. Gdy usłyszał chichot Makiego, uśmiechnął się służalczo, a Maki się z nim przywitał. Omar Jussef wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Nachylił się nad biurkiem Umm Rateb.

- Kiedy profesor Maki wyjdzie od siebie, poszukaj tam ulotki Brygad Saladyna z oświadczeniem. Powinna leżeć na podłodze za biurkiem. Jak ostatni głupek zanotowałem na niej parę rzeczy i zostawiłem tam.

- Spróbuję ją znaleźć, Abu Ramizie - obiecała, spoglądając nerwowo na drzwi gabinetu.

Żaluzje w oknie podjechały do góry jednym płynnym ruchem. Maki uśmiechnął się, trzymając w dłoni sznurek, i pomachał do Omara Jussefa.

- Jak tam Salwa? - spytał Omar Jussef, skinąwszy grzecznie Makiemu.

- Nieźle, niech Allahowi będą dzięki - odparła Umm Rateb.

- Aż tak dobrze?

- Jest w domu. Na pewno ucieszy się z twojego towarzystwa. - Umm Rateb wskazała głową szafki z dokumentami za swoim biurkiem. - Jeśli masz dla niej jakieś nowiny.

Omar Jussef uśmiechnął się, opuścił sekretariat i ruszył korytarzem. Po chwili znalazł się w kłębach pyłu i skinął na takówkę.



## ROZDZIAŁ 22

Pośród drzew oliwnych przed domem Salwy Maszarawi Omar Jussef wyczuł w powietrzu swojską woń gorącego chleba. W rogu ogrodu, przy glinianym piecu, siedziała na taborecie Salwa. Chciała wstać, gdy go ujrzała, ale dał jej znak, żeby nie przerywała pracy.

Salwa zgięła się wpół, rozprawdzając ciasto po powierzchni dna odwróconej patelni. Pogrzebała w palenisku pod szerniałym metalem, aż cienkie ciasto zasyczało. Ściągnęła je i przewróciła na drugą stronę. Chleb był jasno-żółty, poznaczony kruchymi gruzelkami węgla kamiennego i brązowymi smugami tam, gdzie bąbelki powietrza uwięzione w cieście popękały pod wpływem wysokiej temperatury.

Omar Jussef oparł stopę o niski ceglany murek otaczający palenisko.

- Wspaniała pogoda na barbecue - oznajmił, zataczając dłonią krąg w przesyconym pyłem powietrzu. - Ściągnijmy tu całą rodzinę.

Zobaczył, że policzek Salwy drgnął na wzmiankę o rodzinie, i zrobiło mu się głupio z powodu tego żartu. Odchrząknął zakłopotany.

- Przyszedłem, moja córko, żeby ci powiedzieć, że odkryłem coś, co może pomóc twojemu mężowi.

Kobieta wyprostowała się na taborecie i spojrzała na Omara Jussefa wyczekująco.

- Byłem dzisiaj w gabinecie profesora Makiego. Sprawdziłem papiery tych dwóch braci z Rafah. Odkryłem, że wykaz ocen tego, który służy w służbie prewencyjnej pułkownika Al-Fary, został sfalszowany. - Nachylił się do Salwy. - Dokumentacja opłat też jest podejrzana.

- Jak ma to pomóc Ejadowi?

- Teraz ONZ ma dowód, że oskarżenia twojego męża wobec sił bezpieczeństwa nie były bezpodstawne i możemy zrobić z tego sprawę. Ejad został aresztowany, bo odkrył spisek.

Salwa przytaknęła z wolna. Omar Jussef sądził wcześniej, że będzie bardziej zadowolona z jego odkrycia. Poczul w nozdrzach silną woń węgla drzewnego. Salwa westchnęła i ściągnęła płonący chleb z odwróconej patelni. Wstała, podpierając się w okolicy krzyża, i przeciągnęła.

- Przepraszam, że tak cię przyjmuję, Abu Ramizie. Trudno mi w czymkolwiek dostrzec coś dobrego - wyznała.

- To zrozumiałe, moja córko.

Schyliła się po stos płaskich chlebów, które już upiekła.

- Nie. Nie pomagam Ejadowi w żaden sposób, kiedy jestem przygnębiona. Dlatego postanowiłam upiec chleb. Chciałam pokazać samej sobie, że życie toczy się dalej bez względu na to, co się stało.

Omar Jussef ruszył za nią w stronę domu.

- Bardzo mądrze postąpiłaś.

- Dopóki nie spaliłam chleba.

W kuchni położyła placki przy zlewie i nalała wody do dzbanka.

- Dobrze, że przyszedłeś z tymi wiadomościami, Abu Ramizie - oznajmiła. - Wiem, że jesteś bardzo zajęty. Ciężko pracujesz dla mojego męża i swojego przyjaciela, tego cudzoziemca.

Omar Jussef oparł się o lodówkę. Salwa nie odesłała go do salonu, tylko pozwoliła zostać w miejscu zwykle niedostępnym dla odwiedzających dom mężczyzn. Czuł się dobrze, przebywając

z kobietą w jej kuchni, i dziwił się, że można znaleźć taki spokój w domu, który nawiedziło nieszczęście i lęk. Żałował, że nie jest w tej chwili z Mariam i że nie może wyciągnąć ręki, by pogłaskać ją po łopatkach, tak jak lubiła.

Salwa nasypała do dzbanka kawy i cukru i postawiła naczynie na piecu. Jej ramiona drgnęły, ale dopiero gdy z piersi kobiety wyrwał się szloch, Omar Jussef zrozumiał, że płacze. Wyjął z kieszeni chusteczkę i wcisnął jej w dłoń. Otarła twarz i pociągnęła nosem.

- Czasem myślę, że tylko martwi Palestyńczycy nie płaczą - powiedziała.

- Nie sądzę, by pułkownik Al-Fara przelewał wiele łez - zauważył Omar Jussef.

- Życzę mu śmierci - oznajmiła Salwa i popatrzyła na Omara Jussefa, a jej twarz zmiotczała nagle, jakby kobieta uświadomiła sobie grozę własnych słów.

- W tej sprawie, jak i w każdej innej, możesz liczyć na moją solidarność - wyznał i uśmiechnął się do niej, a ona podziękowała mu chichotem zza chusteczki.

- Doceniam to, że pomagasz mojemu mężowi, Abu Ramizie - powiedziała.

- Wiem, że zrobiliby dla mnie to samo. Dawno temu miałem to nieszczęście, że zostałem niesłusznie uwięziony w Betlejem. Nie pozostawiłbym niewinnego człowieka, by cierpiał w takim miejscu.

Salwa uniosła brwi. Omar Jussef wiedział, że chce go spytać, dlaczego siedział w więzieniu. Ostatnim razem, gdy wypowiedział słowo „morderstwo”, miał wrażenie, że okazało się to fatalne dla Jamesa Cree. Nie miał odwagi wymówić go w obecności Salwy.

- Chodziło o politykę. To już przeszłość - wyjaśnił. - W tej chwili myślę tylko o twoim mężu.

Patrzyła mu przez chwilę w oczy, potem się uśmiechnęła.

- Jestem bardzo niegościnna. Proszę, usiądź w salonie, Abu Ramizie, a ja przygotuję kawę.

Omar Jussef usiadł w fotelu, w tym samym miejscu, w którym oglądał poprzedniej nocy Magnusa w telewizji. Pomyślał o swoim spotkaniu z profesorem Makim i poczuł, jak przyspiesza mu oddech. Potarł sobie czoło, zastanawiając się, czy Umm Rateb odzyskała jego notatki, zanim znalazł je profesor.

Usłyszał dochodzący z niedaleka dźwięk jakiejś melodii. Była to leciutka, elektroniczna wersja kantaty Bacha, której towarzyszyło ciche buczenie. W pierwszej chwili nie potrafił zlokalizować źródła tego dźwięku, ale potem poczuł wibrację w kieszeni i uświadomił sobie, że to komórka Samiego. Cmoknął zniecierpliwiony i popatrzył ze zmarszczonym czołem na klawiaturę telefonu. Domyślił się, że do odbierania rozmów służy zielony klawisz. Nacisnął go, przysunął słuchawkę do ucha, ale trzymając ją w odległości kilku cali, i spytał:

- Kto mówi?

- Chcę rozmawiać z Abu Ramizem. - Głos po drugiej stronie był chrapliwy i donośny.

- To ja.

- Abu Ramiz z ONZ-u?

Omar Jussef przytaknął. Nigdy nie ufał komórkom, a ten głos tylko pogłębił jego podejrzliwość.

- Kim jesteś?

- Ktoś chce się z tobą przywitać.

Odezwał się inny głos, świszczący i gruby. To był Magnus Wallender.

- Co u ciebie, Abu Ramizie?

Omar Jussef zacisnął dłoń na telefonie i przycisnął go do ucha.

- Niech Allahowi będą dzięki, Magnusie. Wciąż żyjesz.

- Skoro tak twierdzisz.

- Gdzie jesteś?

- Nie wiem, Abu Ramizie. - Magnus nagle przerwał i powiedział coś z dala od słuchawki. Chrapliwy głos odpowiedział poleceniem: „Czytać”. - Abu Ramizie, teraz czytam: „Brygady Saladyna wzięły odwet na zdrajcy i kolaborancie Hussajnim, mordercy naszego brata Bassama Odwana. Ale Brygady

ostrzegają, że coś złego... - Wallender jęknął i odetchnął głęboko - ...coś złego stanie się z cudzoziemcem Wallenderem, jeśli cały personel ONZ-u nie opuści natychmiast Gazy”.

- Opuścili Gazę - odparł Omar Jussef, wspominając swoją rozmowę z Amerykanką z ONZ-u.

- Dlaczego, Abu Ramizie? - Magnus wydawał się zaciekawiony i jednocześnie osamotniony.

- Ktoś w Jerozolimie zdecydował, że pobyt w Gazie jest zbyt niebezpieczny. - Omar pomyślał o zwęglonych zwłokach Jamesa Cree. - Z powodu twojego porwania.

- Nie pozostał więc nikt prócz ciebie?

- Jest jeszcze kilku miejscowych. Ale się nie wychylają.

Magnus przekazał to drugiemu mężczyźnie. W tle rozległ się jakiś grzechot, a po chwili w słuchawce znów odezwał się szczekliwy, chrapliwy głos.

- Ty też musisz opuścić Gazę, jeśli chcesz, żeby twojemu przyjacielowi nic się nie stało. Tracisz czas. Masz niecałe dwa dni.

- Potrzebuję specjalnego pozwolenia od Izraelczyków, żeby wyjechać w tak krótkim czasie.

Głos się zawahał, ale po chwili odezwał się z pogardliwą determinacją:

- To bzdura. Jesteś z ONZ-u. Załatw pozwolenie i zabieraj się stąd.

- Pozwól mi jeszcze porozmawiać z Magnusem.

Przerwano połączenie. Omar Jussef zaklął. Weszła Salwa z kawą. Spojrzała na niego, twarz miała poważną i pełną oczekiwania. Telefon zadzwonił ponownie. Omar Jussef wcisnął palcem zielony klawisz.

- Magnus?

- Co? - w tle szumu rozmów słychać było głos Chamisa Zejdana.

- Właśnie dzwonił do mnie porywacze. Rozmawiałem z Magnusem.

- Więc żyje.

Omar Jussef wpatrywał się w czerń swojej kawy.

- Jak zdobyli numer Samiego? Skąd wiedzieli, że mam jego telefon?

Usłyszał, jak Chamis Zejdan pomrukuje z niecierpliwością.

- Mam ten telefon od zeszłego wieczoru - ciągnął Omar Jussef. - Zadzwonili najpierw na drugi telefon Samiego?

- Podejrzewasz niewłaściwego człowieka, mój przyjacielu - powiedział Chamis Zejdan.

- To, że ktoś cię nazywa swoim przyjacielem, nie oznacza, że nim jest.

Znów pomruk.

- Pamiętaj, co powiedział zięć Proroka: „Ten, kto ma tysiąc przyjaciół, nie może się wyrzec ani jednego” - oświadczył Chamis Zejdan. - Sami jest ci potrzebny.

- Pominąłeś drugą część wypowiedzi Alego: „Ten, kto ma jednego wroga, spotka go wszędzie”.

Omar Jussef usłyszał zgrzytliwy trzask i westchnienie. Chamis Zejdan zapalił papierosa i odetchnął.

- Jadę właśnie do hotelu. Musimy pogadać.

- Jestem w domu Salwy Maszarawi.

- W takim razie przyjadę po ciebie.

Omar Jussef spojrzął w oczy kobiety. Były zaczerwienione, ale łzy już z nich zniknęły. Pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Zamierzam zostać tu trochę dłużej.

- Nie. Jedziesz ze mną - oświadczył zdecydowanie Chamis Zejdan. - Zabieram cię na pogrzeb.

## ROZDZIAŁ 23

Sami podjeżdżał dżipem pod mahoniowy ganek od frontu budynku prezydenckiego. Ludzie z wywiadu wojskowego spleli ręce, by powstrzymać tłum na dziedzińcu. Tłum skandował: „Allah jest najwyższy” i napierał na żołnierzy, przesuając im na głowach czerwone berety i wpychając na samochód z niskim, głuchym dźwiękiem. Omar Jussef poruszył się niespokojnie. Do cichego wnętrza luksusowego wozu Samiego przenikał uporczywy trzask broni palnej, strzelającej w powietrze.

- Tu musi być z tysiąc ludzi - zauważył Omar Jussef. - Wydawało mi się, że Hussajni nie był zbyt popularny.

- Był draniem - oznajmił Chamis Zejdan. Szef policji przypatrywał się tłumowi, trzymając w ustach papierosa.

- Więc dlaczego ci ludzie są tacy poruszeni?

- Wiesz, jak to jest, kiedy ginie przywódca arabski. Nikt go nie lubił, ale mimo wszystko symbolizował w ich oczach coś pozytywnego - stabilność, płace, wsparcie dla mieszkańców rodzinnej wioski w sporach z sąsiednią. O to tu chodzi.

- Są rozgniewani. Po pogrzebie może dojść do zamieszek.

- Sam pogrzeb to już zamieszki. A później? Ktoś będzie musiał umrzeć.

Sami zatrzymał się pod gankiem. Oficer otworzył drzwi i zasałutował. Chamis Zejdan ruszył w stronę wejścia. Omar spojrzął

spod przymkniętych powiek ponad tłumem na chmury piasku gnanego przez gorący wiatr. Wydawało mu się, że ta skandująca, rozkrzyczana ciżba napiera tylko na niego, wyrzucając w powietrze pięści i domagając się zemsty. Nie był zdziwiony, że w ostatnim momencie prezydent postanowił zostać w Ram Allah i darować sobie ten pogrzeb.

Od strony drogi nadbrzeżnej słychać było potężny łomot przypominający falę dźwiękową, jaka rozchodzi się w sekundę po eksplozji. Po chwili znów dał się słyszeć, tym razem były to rytmiczne uderzenia. Zawtórowała mu jakaś orkiestra i Omar Jussef uświadomił sobie, że jest to wielki bęben z rodzaju tych, w które uderza się z całą siłą ramion. Orkiestra grała *Marsza słowiańskiego* Czajkowskiego, a bęben wtórował jej przy co drugim akordzie. Z domu Hussajniego wynoszono ciało. Tłum za wojskowym kordonem zgęstniał. Omar Jussef wszedł za Chamisem Zejdanem do budynku prezydenckiego.

Dotarłszy na ostatnie piętro pobielonej klatki schodowej, ozdobionej kilkoma roślinami w doniczkach, Omar Jussef wszedł do zadymionej sali konferencyjnej, gdzie rozbrzmiewał przyciszony gwar rozmów ubranych na czarno mężczyzn stojących w małych grupkach. U szczytu długiego stołu, na ścianie, wisiały duże zdjęcia prezydenta i jego poprzednika. Po obu stronach portretów, z drzewców wysokości niskiego człowieka, zwisały się flagi palestyńskie. Oficer wywiadu wojskowego w schludnym, prostym mundurze i bez beretu nalał Omarowi Jussefowi małą filiżankę gorzkiej kawy z plastikowej butelki o kształcie tradycyjnego miedzianego dzbanka.

Chamis Zejdan skinął na niego spod okna, a kiedy Omar Jussef podszedł, zwrócił się do przyjaciela przyciszonym głosem, zaciągając się papierosem i ledwie poruszając wargami:

- Dokąd poszedłeś dziś rano?
- Dlaczego pytasz?
- Zabrałem cię ze sobą na ten pogrzeb tylko po to, żeby mieć cię na oku. Nie można ci ufać, kiedy ktoś cię prosi, żebyś trzymał się z dala od kłopotów. - Musnął spojrzeniem pokój. - Więc powiedz mi, dokąd się wybrałeś, kiedy poszedłem na



zebranie rady rewolucyjnej, zostawiając cię przy śniadaniu?

- Dlaczego nie spytałeś mnie o to w samochodzie?

- Bo to nie jest przeznaczone dla uszu Samiego. Miałeś przejść się po plaży.

- Zapomniałem zabrać ze sobą do Gazy kąpielówek.

Chamis Zejdan wypuścił ponad głową Omara Jussefa chmurę dymu z ust.

- Będziesz musiał je jakoś zdobyć. Robią zdjęcia do kalendarza, takiego jak te z amerykańskimi supermodelkami barszkującymi w morzu. Będzie się nazywał „Ofiary zabójstw na wybrzeżu Gazy”. Jesteś miss sierpnia.

- To mój ulubiony miesiąc. Tak czy inaczej, nie boję się działać komuś na nerwy. Chcę uwolnić Magnusa, nawet jeśli nikt już o nim nie pamięta, jak mi się zdaje.

- Nie słyszałeś? Magnus to miss września.

- Nie mam zamiaru do tego dopuścić. - Omar Jussef ściągnął ramiona do tyłu i uniósł brodę. Poczł, jak szczęka zadrżała mu z gniewu. -1 robiłem, co w mojej mocy, by zapobiec dziś rano jego śmierci.

- Nie wydaje mi się. - Chamis Zejdan zaciskał usta przy każdym słowie. - Sądzę, że dziś rano popełniłeś błąd.

- Wiesz, dokąd poszedłem?

- Orientuję się. Posłuchaj, Maki ci nie pomoże. Wpakujesz się tylko w kłopoty, jeśli będziesz go nachodził.

- To mój jedyny trop.

- To nie jest trop. To ślepa uliczka, ściana, na którą szarżujesz tylko dlatego, że Magnus został porwany bezpośrednio po twojej kolacji z Makim.

- Nie to miałem na myśli, mówiąc o tropie.

- A zatem jakie to spiski odkryłeś? - spytał Chamis, wydychając z wściekłością dym papierosowy, jakby chciał odgrodzić siebie i Omara Jussefa od pozostałych mężczyzn w pokoju.

- Na ścianie rodzinnego domu porucznika Fadiego Salaha wiszą dyplomy uniwersytetu Al-Azhar. Dyplom należący do niego i drugi, jego brata Jassera, oficera służby prewencyjnej.

Chamis Zejdan wzruszył ramionami.

- I co z tego?

- Dziś rano zająłem do ich dokumentacji studenckiej w gabinecie Makiego - odparł Omar Jussef.

- Co zrobiłeś? Jak ci się to udało?

Omar Jussef machnął lekceważąco ręką.

- Jeśli chodzi o Fadięgo, to jest czysty, zwykły student, który ciężko pracował, żeby opłacić naukę. Ale papiery Jassera są fałszywe, a jego ojciec powiedział mi, że syna ostatnio awansowali. To właśnie twierdził Ejad Maszarawi, że oficerowie Al-Fary kupują lewe dyplomy od Makiego, żeby awansować.

- To tylko drobny skandal.

- Więc dlaczego torturowali Maszarawiego za to, że ujawnił sprawę?

- Bo tortury w Gazie to lekka kara.

- Sądzę, że istnieje związek między torturowaniem Maszarawiego za ujawnienie handlu fałszywymi dyplomami a kradzieżą pocisku Saladyn I. - Omar Jussef splótł palce obu dłoni i przysunął je do twarzy Chamisa Zejdana. Obaj mężczyźni niemal się teraz dotykali. - Jeśli tak jest, to porwanie Magnusa i zabójstwo Jamesa też mają z tym związek.

- Powiedziałeś, że dyplom Fadięgo Salaha nie był sfalszowany. Ale to właśnie on handlował pociskiem i teraz nie żyje, a nie jego brat Jasser. Masz więc faceta z dyplomem, który sprzedawał pocisk, i drugiego, z lewym dyplomem, który pocisku nie sprzedawał. Jaki dostrzegasz w tym związek? I co to ma wspólnego z zamordowaniem Jamesa Cree?

- Gdybym wszystko wiedział, nie rozmawiałbym o tym z tobą. Wciąż staram się to rozgryźć, ale jestem pewien, że istnieje związek. - Omar Jussef spojrział przez przyciemnianą szybę na tłum kłębiący się w dole. Wyobraził sobie, że ta ludzka fala płynie schodami w górę, by go zlinczować. Odwrócił się do swego przyjaciela.

- Co wiesz o stronach internetowych?

- O czym ty mówisz?

- Gdyby ktoś stworzył dla mnie stronę internetową, to każdy mógłby wejść do komputera i spojrzeć na nią?

Chamis Zejdan prychnął krótkim, pogardliwym śmiechem.

- Wejść do komputera? Mój bracie, jesteś daleko w tyle.

Wciąż czyścisz sobie zęby *miswakiem*\*?

\* *Miswak* (łac. *Salvadora persica*) - krótki patyczek z korzenia drzewa arakowego używany w krajach muzułmańskich do czyszczenia zębów.

Wysłannicy na uroczystości pogrzebowe skupili się wokół drzwi. Zjawił się profesor Adnan Maki, trzymając pod rękę pułkownika Mahmuda al-Farę w dobrze skrojonym garniturze. Chamis Zejdan zaciągnął się głęboko papierosem i zgniótł niedopałek butem na dywanie.

- Przybył przedsiębiorca pogrzebowy - oznajmił.

Omar Jussef starał się przeniknąć wzrokiem zasłonę dymu.

Tłum przysunął się nieznacznie do pułkownika, jak grupka nerwowych dzieci podchodząca do dużego psa. Al-Fara obdarzał mijanych mężczyzn złośliwym uśmiechem wyższości. Miał na sobie jasnoszary garnitur, biała koszulę, której mankiety wystawały odrobinę z rękawów marynarki, by uwidocznic złote spinki, i stonowany jedwabny krawat. Proste, ciemne włosy opadały mu na czoło, wąsy błyszczały i były wilgotne. Krążył po pokoju, rozdając wymuszone uśmiechy. Wyjął z kieszeni chusteczkę i odkaslnął w nią. Służący chłopiec wyciągnął rękę i pułkownik wręczył mu zmięty kłęb, nawet na niego nie patrząc.

Maki dostrzegł Omara Jussefa. Jego uśmiech nieco przygasał; profesor po chwili uniósł dłoń i poruszył palcami w geście powitania. Omar Jussef szukał u niego oznak świadczących o tym, że Maki znalazł na podłodze swojego gabinetu ulotkę Brygad Saladyna z notatkami. Zmysłowe usta profesora drgnęły, jakby posyłając pocałunek. Po chwili Maki ruszył z pułkownikiem w stronę dużego balkonu. Pozostali podążyli ich śladem.

*Marsz słowiański* słychać było już blisko. Ogłuszające taktory orkiestry jakby podkreślały histerię, która ogarnęła tłum przed

budynkiem. Muzycy wyszli na otwarty dziedziniec na tyłach siedziby prezydenckiej i przemaszerowali przez żółte koło wymalowane na betonie, oznaczające lądowisko dla helikopterów. Dwóch mężczyzn niosło wielki bęben, a trzeci uderzał weń potężną pałką trzymaną oburącz. Za nimi jechał dżip wiozący trumnę ze zwłokami generała Hussajniego, owiniętą palestyńską flagą. Z wozu wychylali się żołnierze w czerwonych beretach, osłaniając trumnę i odpychając wyciągnięte ramiona ludzi z tłumu, który starał się przebić przez kordon. Inni wyrzucali ręce w powietrze i skandowali, że oddadzą życie w ofierze za Hussajniego, który był męczennikiem.

- Czy ci idioci myślą, że umarł za Allaha? - mruknął Omar Jussef. - Męczennik?

Chamis Zejdan uniósł brew, słysząc pytanie przyjaciela.

- Dżihad to bardzo szerokie pojęcie - zauważył.

Dżip dotarł na otwartą przestrzeń za podwójnym szeregiem żołnierzy i gdy orkiestra odsunęła się na bok, skręcił ku narożnikowi dziedzińca. Żołnierze wywiadu wojskowego oparli kolby karabinów o ziemię i utworzyli szpaler do samego grobu, po czym stanęli na baczność.

Grupa zgromadzona na balkonie zeszła pospiesznie na dół i ruszyła w stronę żółtego koła dla helikopterów. Przy grobie czekał imam, wysuwając przed siebie skrzyżowane dłonie. Był ubrany w długą brązową szatę, na głowie miał biały turban owinięty wokół szkarłatnego fezu. Uniósł pochyloną na piersi głowę i pogładził się po krótkiej szarej brodzie. Omar Jussef i Chamis Zejdan zbliżyli się z powagą do grobu. Delegaci wyrzucili papierosy, przechodząc przez lądowisko dla helikopterów, i wkroczyli na połać piasku przy ogrodzeniu, gdzie miał być pochowany Hussajni. Imam zaintonował modlitwę pogrzebową. Żołnierze w tylnej części dżipa wyjęli ciało generała z otwartej trumny i zanieśli, owinięte w biały całun, do mogiły. Omar Jussef rozmyślał o wymaganym w takich sytuacjach rytuale tradycyjnego obmycia ciała, który nie dotyczył męczennika, ponieważ to śmierć go oczyszczała. Generał był składany do grobu z twarzą umazaną krwią tryskającą z ran, mając pod paznokciami

ziemię, w którą wbijał palce w chwili agonii. Omar się zastanawiał, co ludzie okrywający ciało Hussajniego w całun zrobili z bielizną zabrudzoną ekskrementami.

Kiedy spuszczało ciało generała do grobu, jego skóra wydawała się jasnozielona na tle białego materiału, który owijał mu twarz. Zwłoki sprawiały wrażenie małych, kiedy zagłębiały się w dole, ale żołnierz stojący na dnie mogiły musiał się namęczyć, by ułożyć tęgie ciało Hussajniego na prawym boku, tak aby spoczął obrócony twarzą do Mekki. Imam nakłaniał słowami modlitwy obecnych, by oddawali cześć Allahowi i rozważali nagrodę, jaką miał otrzymać zmarły. Omar Jussef pomyślał sobie, że Hussajni dostał już nagrodę za swoje pełne okrucieństwa i przemocy życie - magazynek wystrzelony w kręgosłup i zawartość jelit wydaloną prosto w spodnie. Jakiegokolwiek rozważania natury boskich wyroków wydawały się zbędne.

Ledwie modlitwy dobiegły końca, gdy przywódcy rady rewolucyjnej odwrócili się w stronę budynku prezydenckiego. Stojący za ich plecami w podwójnym szeregu żołnierze wywiadu wojskowego oddali nad grobem salwę honorową. Maki powiedział coś żartobliwego i Al-Fara uśmiechnął się wymuszenie. Zerknął na tłum i porzucił swoją niedbałą postawę. Na jego twarzy pojawił się strach, a potem gniew.

Tłum przy bocznej ścianie budynku zaczął przerywać kordon. Ludzie ruszyli po betonie z uniesionymi pięściami, kierując się w stronę miejsca pochówku. Al-Fara zwrócił się ku uzbrojonej oddziałowi kompanii honorowej, ale żołnierze wycofali się za grób, nie zamierzając ochraniać dostojnych gości.

Delegaci rady rewolucyjnej, w większości ludzie starsi, pośpieszyli ku bezpiecznemu schronieniu w budynku prezydenckim. Z parkingu nadjechało z rykiem silnika szare audi. Tylne drzwi się otworzyły i pułkownik wskoczył do wozu. Tłum ruszył szeroką falą w stronę samochodu. Szyba zjechała do dołu i jeden z ochroniarzy Al-Fary wycelował pistolet w powietrze i oddał kilka strzałów. Audi popędziło wzdłuż przeciwległej ściany budynku.

Tłum dotarł do grobu i zatrzymał się, ludzie wznosili pięści

i wzywali Allaha. By dotrzeć do grobu, ludzie znajdujący się dalej ruszyli gwałtownie. Ich pęd porwał Omara Jussefa, gdy został w tyle za dygnitarzami uciekającymi do budynku prezydenckiego. Zdażył jeszcze zobaczyć Chamisa Zejdana, który krzychał coś do niego, a potem tłum otoczył go ze wszystkich stron.

Siła tłumy odrzuciła go w bok i pozbawiła równowagi. Nie mogąc oprzeć się impetowi tego ataku, osunął się na prawe kolano i podparł dłonią, by całkiem nie upaść. Ktoś nadepnął mu na palce. Krzyknął z bólu, ale nie śmiał cofnąć ręki. Gdyby położył się na ziemi, zostałby stratowany na śmierć. Jakiś człowiek uderzył kolanem o jego ramię i przetoczył się po nim, po czym runął na plecy i przeturlał się kilka razy, nim tłum wdeptał go w betonowe lądowisko dla helikopterów.

Zewsząd dobiegały ochryple krzyki. Omar Jussef wyczuwał ich siłę jak przez mgłę, jakby znajdował się głęboko pod wodą albo warstwą ziemi. Wrzaski deptanego człowieka przecinały skandowanie tłumy. Powietrze było gęste od pyłu, Omar miał go pełne oczy. Jakaś pięść trafiła go w skroń, czyjeś kolano uderzyło w krzyż. Poczul pod prawym ramieniem dłoń, która go podnosiła i ciągnęła. Nasunął na nos okulary i podążył za podtrzymującą go ręką. Zamrugał, by pozbyć się z oczu drobinek pyłu, i objął Samiego Dżaffariego.

Młody człowiek ciągnął go przez tę niepowstrzymaną rzekę ludzi, zapierając się nogami przed jej impetem, odpychając i waląc łokciami tych, którzy stali mu na drodze. Omar Jussef widział rozmazane plamy zamiast ich kończyn, ale twarze dostrzegał wyraźnie. Nikt nie patrzył wprost na niego; wszyscy mieli nienaturalnie rozszerzone oczy, pozbawione ostrości, skierowane w stronę grobu. Oszaleli, pomyślał. Nawet gdy Sami odpychał ich brutalnie, zdawało się, że nie dostrzegają dwóch mężczyzn przed sobą. Wszyscy omijali niezgrabnie tę przeszkodę na swojej drodze, napierając ku grobowi Hussajniego.

Omar Jussef wydostał się na otwartą przestrzeń, ale Sami nie zwolnił kroku, lecz ponaglał go i ciągnął w kierunku narożnika budynku.

- Gdzie Abu Adel? - spytał Omar. Rozejrzał się, szukając wzrokiem Chamisa Zejdana.

- Jest w środku.

- Muszę usiąść na chwilę. Chodźmy do niego.

Sami ciągnął go dalej. Omar potknął się, zmagając z młodszym mężczyzną.

- Sami, jestem wyczerpany. Dokąd mnie zabierasz?

- Idziesz ze mną.

- Muszę usiąść.

Sami ruszył dalej, okrążając narożnik budynku i oddalając się od wejścia.

- Nie tam. Nie z nimi.

Kiedy znaleźli się na parkingu przylegającym do budynku prezydenckiego, Sami przycisnął głowę Omara Jussefa do dołu, przytrzymując go za kark, i wepchnął na fotel pasażera swojego dżipa, po czym zatrzasnął za nim drzwi. Uruchomił silnik i objechał budynek od frontu tak szybko, że Omara Jussefa wcisnęło w skórzane siedzenie. Tłum przy bramie nie był zbyt gęsty, gdyż większość zmierzała w stronę lądowiska dla helikopterów. Ludzie, słysząc pisk opon, uskakiwali Samiemu z drogi. Wóz skręcił ostro w lewo i popędził na północ.

- Sami, co się dzieje?

- Mówiłem ci już, jedziesz ze mną.

- Najwyraźniej. Porywasz mnie?

Sami wpatrywał się z uwagą w wąskie drogi, pokonując je szybko i zmieniając biegi w swoim potężnym wozie. Po chwili nachylił się i otworzył schowek. W środku były dwa pistolety. Omar Jussef zamarł w fotelu. Sami wyciągnął chusteczkę, w którą był zawinięty trzeci pistolet, zatrzasnął schowek i rzucił szmatkę Omarowi Jussefowi na kolana.

- Zauważyłem, że lubisz wyglądać w towarzystwie schludnie i elegancko - oznajmił. - Doprowadź się do porządku.

Masz spotkanie.

## ROZDZIAŁ 24

Sami ruszył w stronę północnych obrzeży Gazy i po jakimś czasie wjechał w piaszczyste uliczki obozu dla uchodźców Dżabalja. Wydawało się, że wszystkie elementy otoczenia, skąpane w mroku burzy piaskowej, napływają w ich stronę, niesione wiatrem. Dzieci gonili za kozą, z chmury pyłu wyłaniały się niebieskie śmieciarki przekazane przez Unię Europejską, a po wąskiej drodze podskakiwał wózek zaprzęzony w osła. Sami omijał te przeszkody, nie zdejmując nogi z gazu. Po chwili zjechał na pobocze w północnej części obozu.

- Wsiadaj - powiedział.

Na końcu ulicy wznosiła się porośnięta krzewami wydma, a dalej, za jej szczytem, widać było fałdy piasku ciągnące się przez niemal kilometr aż do ogrodzenia, które oznaczało kres Strefy Gazy i początek Izraela. W cieniu nagiej ściany, oparty o maskę białego dżipa, stał krępy mężczyzna w czarnym podkoszulku i ciemnozielonych spodniach typowych dla bojówkarzy. Omar Jussef wyczuł, że uważnie ocenia jego, Samiego i luksusowy wóz.

Sami przeciął alejkę niewiele szerszą od jego barczystych ramion. Podłoże było wylane betonem, z wąskim zagłębieniem pośrodku, którym spływała woda w porze deszczów. Teraz było sucho i w alejce wały się śmieci - opakowania po tanich ciastkach, puste plastikowe butelki, obierki warzyw i owoców, a



nawet skórzany sandalek oblepiony piaskiem i pyłem.

Omar Jussef ruszył za Samim wąską uliczką, potykając się o odpadki. Zagłębili się w labirynt parterowych ruder z pustaków. Był zdumiony, że Sami tak dobrze orientuje się w tym miejscu. W Dehajszy nieobce mu było każde smutne domostwo, potrafił rozpoznać znajome rysy nawet w twarzach dzieci, które widział po raz pierwszy. Lecz tutaj każdy zakątek wydawał się identyczny, a dzieci spoglądały na niego milczącymi, pustymi oczami.

Swojskie dźwięki - matki nawołujące dzieci, odgłos ociekającej szmaty przecierającej betonową podłogę - ucichły, gdy Sami skręcił w alejkę, która łączyła się z główną ulicą obozu. Młody człowiek pochylił się pod wiadrami i miotłami zwieszającymi się z postrzępionego płóciennego zadaszania nad małym sklepikiem na rogu. Przeszedł szybko przez zatłoczoną uliczkę i wszedł do restauracji serwującej falafel. Omar Jussef minął w wejściu szerniałą patelnię, na której skwierczały kulki z ciecierzycy. Sami skinął głową jakiemuś mężczyźnie, który siekał pomidory przy kontuarze, i zaczął wchodzić po prowizorycznych schodach na tyłach lokalu, pokonując po trzy stopnie naraz.

Schody prowadziły do skromnej sali jadalnej pełnej tanich ozdób. Ściany i podłoga były wyłożone różowymi płytkami. Funkcję stołów pełniły stalowe ramy zwieńczone blatami ze sztucznego i poobtlukiwanego na brzegach marmuru. Krzesła wykonano z chromowanych rur wyłożonych puszystymi siedziškami. Nie usunięto z nich plastikowego opakowania, ale miejscami było już rozerwane i obłaziło.

Portrety i zdjęcia wiszące na obu ścianach ukazywały młodego człowieka po dwudziestce, o zadbanych włosach z przedziałkiem po lewej stronie i gęstej przylizanej brodzie, której nigdy nie golił. Niektóre fotografie stanowiły montaż - postać mężczyzny widniała na tle Kopuły na Skale, a jedna na tle meczetu Al-Aksa. Jakiś miejscowy artysta skopiował zdjęcia tak, żeby wyglądały na niezdarną dziecięcą wersję obrazów olejnych.

Tę samą fotografię przeniesiono na tani dywanik modlitewny, wiszący na przeciwległej ścianie.

Sami usiadł przy stoliku obok okna i zaczął obserwować ulicę w dole. Zapalił papierosa.

Omar Jussef stanął przy stoliku i wyciągnął chusteczkę, żeby wytrzeć z czoła i szyi pot i pył. Sami wskazał miejsce naprzeciwko swojego, ale Omar pokręcił przecząco głową.

- Zanim usiądę, powiesz mi, o co chodzi - oznajmił.

Sami spojrzał na niego i wypuścił wolno dym z ust.

- Przykro mi, że wyciągnąłem cię z pogrzebu w takim pośpiechu. Ale jest rozkaz, żeby cię zabić - wyjaśnił.

Omar Jussef zastanawiał się przez chwilę, czy to nie Sami ma być wykonawcą wyroku; w oczach młodego człowieka dostrzegł coś dziwnego. Wątpił jednak, czy Sami przyprowadziłby go w tak uczęszczane miejsce, by dokonać egzekucji.

- Musiałem cię stamtąd wyciągnąć. Rozkaz wydał jeden z członków rady rewolucyjnej - powiedział Sami. Zaciągnął się ponownie i spojrzał na zegarek. - Może trzeba będzie tu trochę poczekać. Siadaj, zjemy coś.

Omar Jussef usiadł z wysiłkiem na niewygodnym krześle. Bolały go kolana. Ciepły wiatr poruszał oknami restauracji.

- Kto to jest? Kto chce, żebym zginął?

- Jeszcze nie wiem. Ale nie powinieneś przebywać w pobliżu tych ludzi. - Zgniół niedopałek w popielniczce z folii aluminiowej. - Zjedzmy coś.

Do ich stolika podszedł chudy młodzieniec. Biały T-shirt miał ubrudzony na brzuchu, widać było na nim czerwone od papryki ślady dłoni. Podkoszulek zwisał na wąskich ramionach, twarz była koścista i zmęczona. Przypominał Omarowi Jussefowi martwego chłopca w domu Hussajniego.

Zamówili falafel, hummus i talerz marynat i oliwek. Młody kelner chciał się już odwrócić, kiedy Omar Jussef spytał go o mężczyznę na portretach.

- To syn właściciela - wyjaśnił młodzieniec. - Poniósł męczeńską śmierć podczas akcji w pizzerii.

Omar Jussef przypomniał sobie ten zamach. Bomba eksplodowała w jakiejś pizzerii w Tel Awiwie czy w innym mieście w jego okolicach. Zginęło wówczas dwanaście osób w restauracji.

- Tu nie grozi taki atak - oznajmił kelner. - To jedyny plus, jeśli chodzi o stołowanie się w Gazie.

- Trzeba było poczekać, aż spróbuję jedzenia, zanim mi to powiedziałeś - skomentował Omar Jussef, parszkając ochryłym śmiechem.

Młodzieniec zachichotał i oddalił się z zamówieniem.

- Jesteś nadzwyczaj wesoły - zauważył Sami.

- Myślisz, że nie biorę poważnie tego rozkazu? Jestem teraz zależny od ciebie. Powiedz mi, jak sobie z tym poradzić.

- Wplątałeś się w coś, Abu Ramizie. To wszystko, co mogę ci powiedzieć. W jakiś sposób historia z Ejadem Maszarawim ma związek ze sprawami znacznie ważniejszymi niż wolność jednego wykładowcy. Nie wiem jaki związek, ale staram się to ustalić.

- Pozwól, bym ci towarzyszył w tych poszukiwaniach.

Sami uśmiechnął się i otworzył szeroko ramiona.

- Już to zrobiłem.

Omar Jussef rozejrzał się po pustej restauracji.

- Z kim mamy się tu spotkać?

- Dowiedziałem się, kto zabił Jamesa.

- Na Allaha!

- Przyjdą tu lada chwila.

Omar Jussef podniósł się z krzesła i uderzył dłońmi o blat stolika.

- Ci dranie mają tu przyjść?

- Spokojnie, Abu Ramizie. Nie sądzę, by byli to ludzie, których szukasz.

- Zamordowali przedstawiciela ONZ-u. Zabili Jamesa.

- Dlatego, że ktoś im kazał. Albo zapłacił. Chcesz tego, który wydaje rozkazy, a nie tych gości. Ale musisz to z nich wyciągnąć. Bardzo ostrożnie.

- Dranie. - Omar Jussef po raz drugi uderzył dłońmi o blat stolika.

- Prawda. Ale to dranie, którzy uświadamiają sobie, że może posunęli się za daleko i teraz wierzą, że uda im się ocalić tyłki, pomagając mi. - Sami wyciągnął rękę i zmusił łagodnie Omara Jussefa, by usiadł z powrotem na krześle. - I tobie.

- Kim są?

- To ludzie z Brygad Saladyna. Stąd, z Gazy. Nie zapominaj, że Brygady są podzielone. Najsilniejsza frakcja działa w Rafah, powstała dzięki zyskom z przemytu broni i kontrabandy pod granicą egipską. Ci z Rafah chcieli mieć swoją grupę w Gazie, bo tu jest największy rynek zbytu na towary i broń. Więc zwerbowali kilku facetów, żeby zorganizować skrzydło Brygad Saladyna.

- Gang z Rafah szmugluje towar, a ci z Gazy go sprzedają, zgodza się?

- Tak, i wszyscy byli zadowoleni. Tyle że po jakimś czasie gang z Rafah zaczął uważać, że ci z Gazy zatrzymują dla siebie więcej, niż im się należy. Doszło do awantury na całego. Jakos się dogadali, ale wciąż okazują sobie niechęć - wyjaśnił Sami. - Co ważniejsze, nikt z miejscowego gangu nie może być pewny, że ci z Rafah nie sprzedadzą ich siłom bezpieczeństwa. Dlatego tymi w Gazie łatwo manipulować.

- Kto nimi manipuluje?

- Mam nadzieję, że to właśnie nam powiedzą. Przyjdzie ich dwóch. Wybrali tę restaurację, znają właściciela. - Sami uśmiechnął się kwaśno, wskazując zdjęcia i obrazy na ścianie. - Wysadził się na rozkaz Brygad Saladyna. To oni posłali go na śmierć.

- Przypuszczam, że mają tu zniżkę - skomentował Omar Jussef z pełnym pogardy śmiechem.

Sami milczał, palił papierosa i wpatrywał się w omiataną pyłem ulicę w dole. Omar Jussef przyglądał się młodemu człowiekowi. Był dobrym chłopcem, twardym mężczyzną, jedynym, który stał między Omarem Jussefem a samotną śmiercią w Gazie. W Betlejem klan Omara był potężny, miał powiązania z siłami bezpieczeństwa i grupami paramilitarnymi. Zamachowcy

dwa razy by się zastanowili, zanim zdecydowaliby się go zabić. W Gazie był obcym, ale i nie cudzoziemcem, więc mógłby zniknąć, nie nastroczając takich problemów jak Cree i Wallender, i nikt, kto miałby cokolwiek do powiedzenia, nie przejmowałby się tym faktem.

Kelner przyniósł mały talerz oliwek i marynowane plastry rzodkwi, fioletowe od soku z buraka. Omar Jussef spojrzął na zegarek. Czekali już od dwudziestu minut. Uświadomił sobie, że jest bardziej głodny, niż sądził.

- Gdzie nasze zamówienie? - spytał.

- Już przynoszę - mruknął kelner.

Upłynęło kolejne dziesięć minut, nim na stole pojawił się zimny falafel i kiepski hummus. Omar Jussef poprosił o butelkę wody i wlepił wzrok w jedzenie, które nie wyglądało zbyt zachęcająco. Sami wziął do ręki falafel, umoczył go w hummusie i ugryzł kawałek. Resztę odłożył na talerz i zapalił papierosa.

Omar Jussef oderwał kęs płaskiego placka i zgarnął nim trochę hummusu. Powróciły mdłości z poprzedniego dnia. Miał wrażenie, że każdy kawałeczek ciecierzycy przylega mu do podniebienia i krtani niczym kryształ, którym udławił się Odwan. Napił się wody i przepłukał nią usta, chcąc się pozbyć orzechowego posmaku. Zakrył dłonią usta, by Sami nie dostrzegł wyrazu jego twarzy.

Siedzieli na swoim posterunku przy oknie już od godziny. Z dołu zaczął dobiegać gwar gości, ale nikt nie wszedł do sali na górze. Tuż przed pierwszą na schodach pojawił się właściciel restauracji. Był posępnym mężczyzną o obwisłych wąsach i szczupłej budowie ciała, co sugerowało, że nie miał lepszego zdania o swojej kuchni niż Omar Jussef. Skinął głową Samiemu, który wyprostował się gwałtownym ruchem na swoim krześle. Właściciel restauracji odsunął zasuwkę przy metalowych drzwiach w głębi sali, wszedł na stopień nieoświetlonych schodów betonowej klatki i powiedział coś szeptem.

Wtem z góry zeszli dwaj mężczyźni i wkroczyli do restauracji. Pierwszy był wysoki, wychudły i ponury, miał siwiejące

włosy i lekko się garbił. Powiódł szybkim spojrzeniem po sali, krzywiąc się i przesuwając językiem po nierównych zębach, jakby go bolały. Za nim pojawił się niższy mężczyzna w niebieskiej bejsbolówce i o karnacji niemal tak jasnej jak europejska. Miał okrągłą czarną brodę i nosił czarną kamizelkę. Obaj byli uzbrojeni w M-16, przewieszane przez piersi, prawe dłonie spoczywały na spustach, lewe na lufach broni, jakby byli w każdej chwili gotowi je podnieść i otworzyć ogień. Podeszli do Omara Jussefa i Samiego, stukając głośno wojskowymi butami o cienkie płytki na podłodze. Właściciel restauracji zszedł na dół.

Sami wstał, by ich przywitać. Omar Jussef trzymał ręce przyciśnięte do boków, walcząc z pokusą, by podejść do morderców i dać im w twarz. Obaj mężczyźni wyciągnęli do niego dłonie. Wlepił wzrok w podłogę i wymienił z nimi pospieszny, niezbyt mocny uścisk ręki. Ten wysoki nie sprawiał wrażenia silnego, ale dłoń niższego wydała się Omarowi Jussefowi twarda i mocna. Wysoki wysunął spod stolika dwa krzesła i postawił je w znacznej odległości od blatu, by znaleźć się poza zasięgiem rozmówców.

Sami przedstawił Omara Jussefa jako kolegę przedstawiciela ONZ-u, który został zabity. Niższy spojrzał przelotnie na Omara. Jego tęczyki były ciemnobrązowe, w otoczone złowrogiej twardówki koloru kawy z mlekiem.

Wysoki odchrząknął i oświadczył:

- Przykro nam, *ustaz*, z powodu śmierci twojego kolegi. Działaliśmy zgodnie z instrukcjami, ale wprowadzono nas w błąd. - Odchrząknął ponownie. - Jestem Walid Bahlul z tutejszego obozu. A to jest brat Chalid al-Banna, także z Brygad Saladyńa w Gazie.

Oczy drugiego mężczyzny poruszyły się niespokojnie, jakby uważał, że nie powinno się ujawniać jego imienia.

- Dlaczego wystąpiliście przeciwko ONZ-etowi? - spytał Omar Jussef. Skupił uwagę na wyższym bojowniku, Walidzie.

Jego wilgotne, szare oczy wydawały się mniej denerwujące, sprawiał też wrażenie człowieka gotowego do rozmowy.

- Naprawdę jest nam przykro z powodu tego cudzoziemca, *ustaz* - powtórzył Walid. - Myśleliśmy, że w wozie będzie tylko kierowca albo ktoś z miejscowego personelu.

- Miejscowego personelu? Palestyńczyk? Czyli ktoś taki jak ja? - zdziwił się Omar Jussef, a po chwili upomniał się w myślach: Pamiętaj, co mówił Sami. Tylko spokojnie.

- Tak naprawdę to nie była akcja wymierzona w ONZ, *ustaz* - wyjaśnił Walid. - To miał być sygnał dla sił bezpieczeństwa, by uwolniły naszego brata Bassama Odwana, niech Allah zmiłuje się nad jego duszą.

- Ale przecież wprowadziliście już Magnusa Wallendera jako zakładnika w zamian za wolność Odwana?

- Kogo?

- Szweda, także z ONZ-u.

- To nie my, *ustaz*.

- Więc kto?

Walid spojrział nerwowo na Chalida, który nie spuszczał wzroku z Omara Jussefa.

- Szweda wprowadził ktoś inny - oznajmił Walid.

- Brygady Saladyna z Rafah?

- Nie wiem. Tak mi się wydaje.

- Ale nie jesteś pewien?

- Trudności z komunikacją. - Uśmiech Walida był równie niepewny jak uścisk jego dłoni. Wzruszył przepaszając ramionami. - Zaatakowaliśmy wóz ONZ-u i zabiliśmy twojego kolegę, ponieważ sądziliśmy, że będzie to sygnał dla Brygad Saladyna w Rafah. Chcieliśmy im udowodnić, że jesteśmy gotowi na zdecydowane akcje, by okazać poparcie ich człowiekowi, Bassamowi Odwanowi.

- Widzieliście ulotkę, którą Brygady Saladyna opublikowały po porwaniu Szweda? Z żądaniem uwolnienia Odwana w zamian za wypuszczenia cudzoziemca?

- Tak.

Omar Jussef czuł gniew na tych ludzi za to, że zabili Jamesa, a teraz jeszcze go okłamywali. Uniósł palec i wycelował w wysokiego.

- Próbowaliście pokazać, że skoro ludzie z Rafah naruszyli wasz teren w Gazie, żeby porwać cudzoziemca, to jesteście zdolni do jeszcze bardziej spektakularnej roboty?

Walid zwrócił się do Chalida. Drugi mężczyzna nie popatrzył na niego, tylko oblizal grube wargi ukryte wśród ciemnej brody i parsknął ze złością.

- Nie ma się co tłumaczyć - oznajmił. - Walid chce, żeby to wszystko ładnie brzmiało, jakbyśmy mieli jakieś ważne powody. Nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz, chcę się tylko upewnić, że nie dostanę za to po tyłku. Skończmy więc z tymi bzdu-rami. Zapłacono nam, żebyśmy wysadzili wóz ONZ-u.

- Kto wam zapłacił? Ktoś z Gazy? - Omar Jussef myślał o ludziach z rady rewolucyjnej na pogrzebie i o rozkazie zał-  
twienia go.

- Nie, nie jest stąd. To prawdziwa kanalia.

- Nie macie prawdziwych kanałii w Gazie?

- Mamy tu ludzi o twardych sercach, ale też takich z gów-  
nem w głowie zamiast mózgu - odparł Chalid. - Ale u tego face-  
ta jest na odwrót. Ma twardy łeb i syfiasty kawałek gówna, któ-  
ry bije tam, gdzie powinno bić serce.

Omar Jussef pomyślał sobie, że może polubiłby Chalida, gdyby człowiek ten nie był zabójcą Jamesa Cree.

- Kto to jest?

Chalid odetchnął głęboko i zmarszczył nos.

- Jasser Salah.

- Jasser Salah zapłacił wam, żebyście zabili człowieka z  
ONZ-u?

- Zapłacił, żebyśmy wysadzili samochód ONZ-u.

- Co to za różnica?

- Ktokolwiek siedział w wozie, miał zginąć.

- Mnie też masz nasz myśli?

Chalid wzruszył ramionami.

- Zadzwoił do nas wczoraj wczesnym popołudniem. Po-  
wiedział, że do punktu kontrolnego jedzie wóz ONZ-u. Dodał,  
że zapłaci nam, żebyśmy go wysadzili. Nie przekazał nam listy  
pasażerów.



- Niewiele mieliście czasu.

Walid uśmiechnął się dumnie.

- Bezustannie szpikujemy północny odcinek drogi Saladyna materiałami wybuchowymi, na wypadek gdyby Izraelczycy znów chcieli wtargnąć do Gazy.

Chalid syknął i wznosił na chwilę oczy ku górze.

- Więc teraz już wiesz to, co chciałeś wiedzieć. Jesteśmy kwita. Załatwisz to z ONZ-etem?

- Myślisz, że to ja podejmuję decyzje? - spytał Omar Jussef.

- Nie rób sobie ze mnie jaj. - Chalid pochylił się do przodu.

- Niczego się nie dowiedzą, jeśli nie będziesz tego chciał. My też nie jesteśmy wielkimi szychami, wykorzystano nas w tej całej sprawie. Wykombinuj, jak nas z tego wyciągnąć, albo skończysz jak twój kolega.

- Nie znam jeszcze całej historii.

- Owszem, znasz. - Chalid wysunął zarośniętą brodę.

- Nie znam. - Omar Jussef szarpnął wąsy i zmrużył oczy, by wytrzymać spojrzenie Chalida. - Dlaczego Brygady Saladyna zabiły generała Hussajniego?

Chalid odwrócił wzrok, śmiejąc się ironicznie.

- Zajmij się lepiej sprawą z ONZ-etem. Hussajni to zupełnie inna historia.

- Myślę, że to ma jakiś związek, a ja chcę znać prawdę.

- Nie wydaje ci się, że w Gazie jest lepiej bez tego łajdaka? - spytał Chalid.

- Nie mnie to osądzać. Dlaczego go zabiliście?

Twarz Chalida znowu stężała.

- Zabił naszego brata Bassama Odwana.

- I ścigał nas - dorzucił Walid. - Zeszłej nocy na posiedzeniu rady rewolucyjnej Hussajni powiedział, że wie, iż to Brygady Saladyna zabiły człowieka z ONZ-u, i obiecał nas schwytać.

Omar Jussef zerknął na Samiego. Młody człowiek palił papierosa i obserwował ulicę, ale przysłuchiwał się rozmowie.

- Kto wam to powiedział? Pułkownik Al-Fara?

Bojownicy nie mieli zamiaru odpowiadać. Obaj pociągnęli nosami i odkaszlnęli.

Omar Jussef dotknął koniuszków wąsów, jakby nagle przyszło mu coś do głowy.

- Słyszeliście o Saladynie I?
- O czym? - nie zrozumiał Chalid.
- Nieważne. Macie jeszcze stare pociski Qassam?
- Pociski Qassam? - Chalid znów nachylił się nad stolikiem.
- Saladyn I to też pocisk? Po co ci to potrzebne?
- Może się przydać.

Chalid podwinął górną wargę pod sam nos, jakby oddychał głęboko.

- Mamy kilka Qassamów. Rzadko ich używamy, bo wkurza to przywódców rady rewolucyjnej.

- Dlaczego?
- Kiedy odpalamy Qassamy ponad ogrodzeniem, Izraelczycy anulują wszystkie karty VIP-owskie i wtedy szefowie nie mogą jeździć do Tel Awiwu, żeby pieprzyć swoje rosyjskie dziwki. Mamy arsenał pocisków w magazynie, tu, na terenie obozu. Chcesz kupić jeden? - Chalid odsunął krzesło i wstał. - Idziemy. Dopilnujesz, żeby ONZ nie szukała nikogo w Gazie, dobrze? To w Rafah pociąga się za wszystkie sznurki. Tam szukaj.

Omar Jussef przypomniał sobie, co mu mówił Odwan: że klucz do wolności Wallendera znajduje się w rękach szefa Brygad Saladyna w Rafah.

- Dobra, ale musicie załatwić mi spotkanie z Abu Dżamalem.

Zapadło długie milczenie. Sami wzięli do ręki pozostały kawałek falafła i postukał nim o brzeg talerza. Chalid wpatrywał się w zielony kęs gniewnym wzrokiem.

- Damy znać Samiemu, co i jak - powiedział w końcu.
- Dziś po południu?
- Jedźcie do Rafah. Będę kontaktował się z Samim przez komórkę i powiem wam, gdzie macie spotkać się z Abu Dżamalem.
- Pojedziemy tam od razu.

Chalid przełknął ślinę z wysiłkiem.

- Nie spiesz się. Nie tak łatwo spotkać się z Abu Dżamalem. Damy znać Samiemu.

Zaczął wycofywać się tyłem w stronę metalowych drzwi. Walid wymamrotał coś na pożegnanie i ruszył w ślad za towarzyszem. Chalid wskoczył na schody, pokonując po trzy stopnie naraz, a Walid wbiegł za nim i zatrzasnął za sobą drzwi.

- To, co powiedzieli o radzie rewolucyjnej, nie jest prawdą. Sam mi mówiłeś, że nikt na zebraniu nie wspominał o zabójstwie Jamesa - zauważył podekscytowany Omar Jussef.

- Usłyszałem to od Abu Adela.

- Był na zebraniu. Możemy wierzyć jego słowom.

Sami uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Oczywiście.

- Jasser Salah musiał powiedzieć tym facetom, że Hussajni obiecał ich aresztować, po to, żeby go zamordowali. Ale dlaczego? Jasser Salah chciał, by Odwan zginął w odwecie za śmierć jego brata, a Hussajni właśnie to zrobił, zabił Odwana w więziennej celi.

Sami wskazał drzwi, za którymi zniknęli Chalid i Walid.

- Ci dwaj są porządnie wystraszeni. Zdają sobie sprawę, że cała ta sprawa jest znacznie poważniejsza, niż się spodziewali. Rozumieją też, że sięga wysoko, a nie wiedzą, komu mogą ufać, tak w Brygadach Saladyna, jak i w siłach bezpieczeństwa.

- Ale dlaczego Jasser Salah miałby pragnąć śmierci Hussajniego?

Sami zjadł drugą połówkę falafła. Przełknął, zapalił papierosa i rzucił na stolik trzy pięcioszklowe monety.

- Chodźmy, spytamy Abu Dżamala.

## ROZDZIAŁ 25

Kiedy Omar Jussef i Sami wrócili do dżipa, jego czarną karoserię pokrywała gruba warstwa pyłu. Omar Jussef zatrzaskał za sobą drzwi i zamrugał, chcąc pozbyć się z oczu drobinek piasku.

- Ta burza załamie się dziś w nocy, Sami. Jest gęstsza niż wcześniej - zauważył.

Sami zerknął na niego, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Możemy dotrzeć do Rafah późno, a ty masz na sobie tylko koszulę - powiedział. - Podjadę po drodze pod hotel, żebyś zabrał sweter.

- Jeśli tak bardzo martwisz się o mnie, to może powinieneś załatwić mi kamizelkę kuloodporną?

- A nie chcesz zostać męczennikiem?

Omar Jussef parsknął śmiechem.

- Jeśli nie zabiło mnie jedzenie w tej restauracji, to nic nie zdoła tego dokonać.

Sami pochylił się nad kierownicą, wyjechał tyłem spod knajpy i ruszył ostro przez obóz. Omar Jussef chwycił się za podłokietnik przy drzwiach i zamknął oczy. Pod powiekami ujrzął jakiegoś pozbawionego twarzy mężczyznę, z czapką naciągniętą na twarz i w czarnej kurtce bojownika, który dźgał go lufą kałasznikowa. Zniknął, kiedy Omar Jussef otworzył oczy. Piekły go od pyłu krążącego w powietrzu. Te oczy nie mogą

zaznać spokoju, pomyślał. Gdy są otwarte, wypełnia je pył, który krąży po Gazie; kiedy je zamykam, widzą kosmary.

Wydano rozkaz, by go zabić. Zastanawiał się, czy wypełni go jakiś zamaskowany zamachowiec, który pociągnie za spust? Czy dokona się to szybko? Zginie w sposób poniżający, jak Hussajni, na ulicy, ze spodniami pełnymi ekskrementów? Czy też będzie konał w męczarniach i długo, jak torturowany Bas-sam Odwan? Czy miał być następny, czy może zajmował odległe miejsce na liście ofiar? Ile czasu mu pozostało?

Sami skręcił w prawo z ulicy Saladyna i minął suk, kierując się w stronę ulicy Al-Muchtara. Zatrąbił, kiedy na środku jezdni zatrzymała się jakaś taksówka, by zabrać dwie kobiety obladowane torbami warzyw.

- Ten rozkaz, Sami - zwrócił się Omar Jussef do młodszego mężczyzny. - Gdyby im się udało...

- Nie bądź śmieszny, Abu Ramizie. - Sami zatrąbił trzy razy w krótkich odstępach czasu. - Jazda! - krzyknął, kręcąc głową.

- Powiedziałem „gdyby”. Chciałbym, żebyś był w kontakcie z moją rodziną w Betlejem.

Sami uśmiechnął się i zapalił papierosa.

- Mam powiedzieć twojej żonie, że ją kochasz?

- Powiedz tylko, że podobała mi się strona internetowa.

Sami zmarszczył czoło.

- Jaka strona?

- Będą wiedzieć.

Taksówka ruszyła powoli i Sami trzymał się w odległości metra od jej zderzaka, czekając, aż będzie mógł ją wyprzedzić.

- Abu Adel twierdzi, że czasem jest błędem mówić ci, co się dzieje, ponieważ zbyt nerwowo reagujesz - oświadczył Sami.

Omar Jussef zaczął się zastanawiać, co jeszcze Chamis Zejdan przekazał na jego temat Samiemu.

- Powiedziałeś, że wydano rozkaz, by mnie zabić, więc jak powinienem zareagować?

- Zawsze jest ktoś, kto chce cię zabić, Abu Ramizie.

- Więc teraz myślisz jak Bassam Odwan, który wierzył, że umrze, kiedy Allah o tym zadecyduje.

- No cóż, czy Bassam Odwan mógł o czymkolwiek decydować? Może lepiej zaakceptować fakt, że śmierć nadchodzi i że nasz los spoczywa w rękach kogoś innego, czy jest to Allah, generał Hussajni czy ci dwaj faceci, z którymi właśnie się spotkaliśmy. Można nie wiedzieć, kiedy i jak śmierć nadejdzie, ale w Gazie nikogo nie powinno dziwić, że jest już w drodze.

- Jest ktoś, kto chce zabić ciebie, Sami?

- Tylko ten pieprzony taksówkarz - oznajmił gniewnie młody człowiek i znów wcisnął klakson, po czym skręcił gwałtownie na przeciwny pas i wyprzedził z wyciem silnika żółty samochód, zmuszając przy okazji kilku przechodniów przechodzących przez jezdnię do ucieczki na chodnik. - Posłuchaj, Abu Ramizie, nie mam twoich lat i twojej mądrości, ale pewnych rzeczy musiałem się szybko nauczyć, rzeczy, których pewnie nigdy nie poznałeś, pracując w szkole.

- Wiele w życiu przeszedłeś, synu. Zdaję sobie z tego sprawę.

- Jeśli czegoś życie mnie nauczyło, to tego, że zabijanie jest łatwe, a umieranie jeszcze łatwiejsze. To cierpienie jest trudne.

Sami popatrzył na Omara Jussefa i przez chwilę jego twarz wydawała się obliczem o wiele starszego człowieka, pooranym bruzdami i naznaczonym głębokim i bolesnym doświadczeniem. Omar Jussef zaczął się zastanawiać, czy Sami dożyje tak zaawansowanego wieku.

Kiedy objechali rondo przy drodze nadbrzeżnej, burza nasiliła się jak nigdy dotąd. Za restauracją rybną Salam morze było prawie niewidoczne. Minęła dopiero trzecia po południu, ale Sami włączył już światła. Skręcił w drogę przy plaży i minął Dejra Hotel, kierując się ku Sands. Omar Jussef wlepił wzrok w panującą dookoła ciemność.

W chmurze pyłu przed maską wozu mignęły czerwone światła stopu jakiegoś dżipa. Otworzyły się tylne drzwi samochodu,

a ze środka wytoczył się człowiek, zachwiał i upadł. Omar Jussef pochylał się w napięciu ku przedniej szybie. Dżip stał na początku podjazdu do jego hotelu.

- Sami?

- Widzę.

Młody człowiek przyspieszył. Mężczyzna dźwignął się z ziemi bez pomocy rąk, które wydawały się skute albo związane na plecach. Zrobił kilka szybkich kroków w stronę ogrodzenia, przystanął i się rozejrzał. Zagubiony, ruszył w lewo, potem w prawo, w końcu obrócił się twarzą do wozu. Zgarbił się, gotowy do biegu, ale krótka, głucha seria z broni maszynowej rzuciła go na ogrodzenie.

Dżip popędził w zapyloną dal, jego tylne drzwi chwiały się na zawiasach. Z wozu wychylił się jakiś zamaskowany człowiek i je zatrzasnął.

Sami zjechał ostro na pobocze drogi. Omar Jussef czuł w ustach suchość. Wysiadł sztywno z samochodu.

Biały mur hotelu, w miejscu gdzie uderzył o niego zastrzelony mężczyzna, był umazany na czerwono. Tynk znaczyły trzy wąskie ślady krwi, pozostawione przez tego człowieka, kiedy osuwał się na ziemię. Siedział z wyciągniętymi przed siebie nogami, przechylony w prawo. W piasek wokół jego ud wsiąkała krew.

Omar Jussef zbliżył się do ciała. Nie był pewien swoich przypuszczeń. Uniósł głowę zabitego i zobaczył odstające ucho, jak u jego syna. Omar Jussef sprawdził puls na szyi, ale Ejad Maszarawi już nie żył.

Głowa wykładowcy opadła na prawo, jakby jej właściciel wciąż starał się ukryć przed postronnym wzrokiem swoje dziwnie ukształtowane ucho, podobnie jak robił to na zdjęciach, które miał u siebie w domu. Jego brodę porastał kilkudniowy szary zarost. Stopy były bose, niebieska koszula poplamiona potem, brudem i przesiąknięta krwią. Nie miała ani jednego guzika, a odsłonięty tors, posiniaczony i obwisły, nosił ślady trzech kul. Omar Jussef zamknął Maszarawiemu oczy krawędzią dłoni.

- Wsiadaj do samochodu, Abu Ramizie - powiedział Sami.

Omar Jussef poczuł, jak młodszy mężczyzna podnosi go z ziemi.

- O czym ty mówisz? Musimy to zgłosić.

- Komu? Ludziom, którzy zabili Maszarawiego, czy tym, którzy zamierzają zabić ciebie?

Omar Jussef usłyszał głosy od strony hotelu. Na końcu podjazdu pojawił się Chamis Zejdan. W dłoni trzymał pistolet, a na twarzy malował mu się strach, który przemienił się w niekłamana ulgę, gdy szef policji zobaczył swego przyjaciela. Odwrócił się w stronę wejścia i krzyknął: „Zostańcie na miejscach, zajmę się tym!”. Podeszedł do Omara Jussefa. Na koszuli i włosach miał warstwę pyłu, najwidoczniej przebywał na zewnątrz hotelu, za murem, czekając na powrót Omara Jussefa.

- Musisz stąd odjechać.

- To Ejad Maszarawi - oświadczył Omar Jussef.

Chamis Zejdan popatrzył przelotnie na zabitego człowieka, mrugając z powodu pyłu.

- Dopilnuję, by powiadomiono jego żonę.

- To był żyp. Wypchnęli go i...

- Sami, zabierz go stąd, w imię Allaha.

- Dlaczego? Dlaczego mam odjechać?

- Ile trupów musisz zobaczyć, zanim obudzi się w tobie instynkt samozachowawczy? Przypuszczam, że doktor Nadżdżar cię lubi, ale nie aż tak bardzo, żeby chciał widzieć cię nagiego na stole sekcyjnym w swoim laboratorium. - Podeszedł bliżej. - Mój bracie, odjedź stąd, i to natychmiast.

Omar Jussef wgramolił się z powrotem do dżipa. Gdy Sami uruchomił silnik, Chamis Zejdan wetknął pistolet w kaburę na plecach i spojrzał na starego przyjaciela. Kiedy dotarli do skrzyżowania na końcu bulwaru, szef policji był tylko niewyraźną plamą w chmurze pyłu, a ciało Ejada Maszarawiego zniknęło całkowicie.

Sami skręcił na południe, kierując się drogą Saladyna ku Rafah. Omar Jussef ujrzał w wyobraźni Salwę Maszarawi, jak



obserwuje pył wirujący wśród drzewek oliwnych i nasłuchuje dzieci bawiących się w głębi domu. Zastanawiał się, czy kobieta wyczuła śmierć męża i co on, Omar Jussef, miałby jej powiedzieć o okolicznościach, w jakich zginął Ejad.

Prześladowany wyrzutami sumienia, pomyślał o ulotce Brygad Saladyna, którą zostawił w gabinecie profesora Adnana Makiego. Jeśli Maki przeczytał zapiski na odwrocie, to być może skojarzył je z zainteresowaniem, jakie Omar okazywał sprawie Maszarawiego i kwestii sprzedaży dyplomów uniwersyteckich. Mógł przekazać to ludziom, którzy przetrzymywali wykładowcę. Nie mógł jednak uwierzyć, że agenci służb bezpieczeństwa zamordowali człowieka z tak błahego powodu jak oskarżenie o korupcję na wyższej uczelni.

Zadzwoiła komórka Samiego. Młody człowiek słuchał przez chwilę, potem powiedział coś cicho i przerwał połączenie.

- To był Chalid. Abu Dżamal spotka się z nami w Rafah za kilka godzin.

Wiatr uderzał mocno o szyby wozu. Omar Jussef nie miał szansy zabrać z hotelu swetra. Teraz dygotał z zimna.

## ROZDZIAŁ 26

Dzieci przygarbione pod tornistrami dwa razy większymi niż ich tułów, wlokły się ze szkoły do swoich obskurnych blaszanych domów, stojących wzdłuż wybrzeża niedaleko Rafah. Plastikowe i postrzępione płachty łomotały na wydmach, uderzając o stalowe szkielety szklarni pozostawionych przez Izraelczyków, kiedy opuszczali swoje osiedla. Sami pokręcił głową.

- Mogłoby być tu uroczo. Gdyby tylko wszystko wyglądało inaczej.

- Wolę wzgórze wokół Betlejem - powiedział Omar Jussef. - Skały, strome zbocza i wschód słońca nad górami za Morzem Martwym.

- Tu słońce też wschodzi, Abu Ramizie.

Omar Jussef wskazał blade mrok burzy piaskowej.

- Jeśli taka jest wola Allaha.

Droga biegła zakolami w głąb lądu, oddalając się od gajów oliwnych niedaleko granicy z Egiptem, i opadała ku Rafah. W dole rozciągało się miasto, które z tej wysokości wyglądało jak rozrzucone po piasku kamienie. Ciemna blacha falista ogrodzenia prześlizgiwała się obok niego jak wąż - milczący, potężny i jadowity. Samotne domy na obrzeżach Rafah przypominały szeroki uśmiech ulicznego boksera - zęby poobijane, połamane i przyczerwione.

Jechali wzdłuż południowego krańca miasta, kierując się ku Bramie Saladyna. Sami zaparkował w cieniu markizy osłaniającej wejście do sklepu spożywczego z zamkniętymi okiennicami. Na dachu stał trzyletni chłopiec, który zaczął rzucać małymi kamyczkami w Omara Jussefa, kiedy ten wysiadł z samochodu. Nauczyciel pogroził dziecku palcem. Kolejny kamień trafił w maskę wozu. Pulchna i płowa twarz chłopca była zawięta i pełna urazy, nogi szeroko rozstawione. Ćwiczy się przed przyszłymi starciami, pomyślał Omar Jussef. Odetchnął z wolna i wsiadł z powrotem do wozu, by czekać na wezwanie Abu Dżamala.

Sami bawił się komórką. O dach dżipa wciąż stukały kamienie, ich dźwięk stanowił kontrast dla bezustannych uderzeń piasku, którym ciskał gorący wiatr. Omar Jussef poczuł, jak opada mu głowa, i zamknął oczy. Kiedy je otworzył, usłyszał dzwonek komórki Samiego i zauważył, że światło przygasło. Sami słuchał rozmówcy i pomrukiwał potwierdzająco do słuchawki, zapalając jednocześnie silnik. Przerwał połączenie i ruszył główną ulicą miasta.

- Spałem? - spytał Omar Jussef, ziewając. W ustach miał suchość.

- Około trzech godzin.

- Czekał się tak długo? Dlaczego mnie nie obudziłeś?

- Potrzebowałeś snu, a ja nie potrzebowałem towarzystwa.

Sami wpatrywał się w zapyloną przestrzeń przed maską wozu. Ulica była niemal pusta. Mieszkańcy miasta kryli się przed pyłem krążącym w powietrzu. Nieliczni przechodnie przypominali złowieszcze cienie w burzy piaskowej. Witryny sklepowe jarzyły się niesamowitym blaskiem świetlówek.

Sami zauważył na rogu głównej ulicy sklep papierniczy.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił i skręcił w boczną alejkę.

Niebieskie stalowe drzwi otwierały się na ciemną klatkę schodową. Omar Jussef dostrzegł niewyraźny zarys męskiej głowy i kiwającą na nich dłoń. Sami nachylił się, wyjął zza paska pistolet i wsadził broń do schowka.

- Nie będziemy tego potrzebować? - zdziwił się Omar Jussef.

- Zanim zdążylibyśmy tego użyć, bylibyśmy już martwi - wyjaśnił z uśmiechem Sami.

Na schodach zostali obaj powitani uściskiem dłoni, ale wzrok Omara Jussefa nie mógł przywyknąć do ciemności. Dłoń poprowadziła go w górę po nierównych stopniach. Skórzane podeszwy jego pantofli wydawały dźwięk przypominający szorowanie drewnianego klocka o goły beton; potknął się dwukrotnie w tej ciemności.

U szczytu schodów weszli do długiego i wąskiego pokoju. Para dłoni obmacała ich w pasie i na piersiach, szukając broni. Pod niewielkim oknem stały obok siebie trzy sofy ustawione w podkowę. Wąska lampa fluorescencyjna leżąca na poręczy jednej z nich stanowiła jedyne źródło światła w pokoju. Omar Jussef zmrużył oczy i wlepił wzrok w ciemność. Dostrzegł chudego, brodatego mężczyznę po trzydziestce odmawiającego wieczorną modlitwę w kącie najbardziej oddalonym od okna. Hałaśliwy wiatrak wzbudzał pęd powietrza, ale w pomieszczeniu było duszno, zdawało się też, że pyłu jest tu równie dużo co na zewnątrz. W nieszczelnej framudze okna szemrał rytmicznie wiatr.

Usiedli na sofie, naprzeciwko lampy. Mężczyzna, który powitał ich w wejściu, umieścił ją na mahoniowym stoliku do kawy. Kiedy nią poruszył, na jego twarz i dłonie padł lodowaty blask. Człowiek ten odznaczał się tak samo szerokimi, typowo chłopskimi rysami jak Bassam Odwan. Wysokie czoło emanowało napięciem i było zmarszczone w zamyśleniu. Oczy miał ciemne i czujne.

- Jesteś spokrewniony z Bassamem Odwanem? - spytał Omar Jussef.

- To mój brat - odparł tamten chrapliwym głosem.

- Niech Allah będzie dla niego miłosierny. Widziałem się z nim krótko w celi. Sądzę, że był spokojny w obliczu śmierci.

- Nie sądzą, by słowo „spokojny” było odpowiednie.

- Jak się nazywasz?

- Attiah Odwan.
- A zatem jakie słowo byłoby odpowiednie, Attiahu?
- „Przygotowany na śmierć”. To jest właściwe określenie.

Mężczyzna w kącie zdążył już pięciokrotnie uderzyć czołem o podłogę w trakcie popołudniowej modlitwy muzułmańskiej, ale nie przerywał rytuału. Omar Jussef dostrzegł, że powtórzono jeszcze dwa razy obrzędowe czynności - podniesienie się i uklęknięcie, chwila spokojnych rozważań i skłonienie się do podłogi - wszystko, co zawierało się w jednym uklonieniu. Dodatkowe modlitwy sugerowały przygotowania do nadchodzącej misji i być może śmierci.

Kiedy modlitwy dobiegły końca, jakaś kobieta, zmuszona pozostać poza zasięgiem wzroku gości, podała przez drzwi tacę z kawą, którą Attiah postawił na stoliku. Mężczyzna w narożniku powitał ich. Dłoń, którą Omar Jussef uściśnął, była zdeformowana, kości połamane i ledwie poskładane, skóra nienaturalnie gładka i pozbawiona włosów z powodu oparzeń. Omar Jussef cofnął się odruchowo.

- Rezultat uderzenia izraelskiego pocisku czołgowego - wyjaśnił mężczyzna.

Głos miał niski i zachrypnięty. Głębokie, ciemne oczy były suche i podkrążone. Niżej widniały grube koła o barwie i fakturze kory cynamonowej. Broda była gładka i lśniąco czarna. Wyciągnął chusteczkę z pudełka na stoliku i odchrząknął w nią. Potem wyjął z kieszeni pudełko pastylek na ból gardła, wsunął sobie jedną w usta i podniósł filiżankę z kawą.

- Czujcie się jak u siebie w domu - powiedział.
- Ty jesteś Abu Dżamal? - spytał Omar Jussef.

Mężczyzna przytaknął i cofnął się w mrok. Omar Jussef postanowił rozładować napięcie panujące w pokoju.

- Czy znaleźliśmy się we właściwym miejscu? - zapytał retorycznie, śmiejąc się przy tym. - Nie spodziewałem się, że zastanę cię przy modlitwie. Być może trafiliśmy przez omyłkę do kwatery głównej ekstremistów?

Abu Dżamal odpowiedział wymuszonym uśmiechem.

- Ci spośród bojowników, którzy się nigdy nie modlili, są

teraz oddani Allahowi, ponieważ śmierć wydaje się tak bliska. Wszyscy jesteśmy gotowi stać się w każdej chwili męczennikami w oczach Boga. Powierzamy mu swoje dusze.

- Jestem Omar Jussef Sirhan z obozu w Dehajszy. Pracuję dla Agencji do spraw Pomocy Uchodźcom Palestyńskim. Jeden z moich kolegów, pewien Szwed, został uprowadzony przez Brygady Saladyna, a inny zamordowany, także przez Brygady.

- Zrobili to ludzie z Gazy - oświadczył Abu Dżamal. Zakaszłał i sięgnął po następną chusteczkę.

- Chodzi o zabójstwo? Owszem, tak jakby.

- Co masz na myśli? - spytał Abu Dżamal, groźnie pochylając głowę.

- Ludzie z Gazy zrobili to na rozkaz i za pieniądze kogoś z Rafah.

- Wiedziałbym o tym, gdyby to była prawda. - Abu Dżamal zgniótł pastylkę między tylnymi zębami.

Omar Jussef wyczuł zapach mięty.

- Może był to ktoś z Rafah, ale nie z Brygad Saladyna.

Abu Dżamal milczał. Po chwili napił się kawy i otarł wąsy wierzchem zdeformowanej dłoni.

- Mój kolega, ten Szwed, przyjechał, żeby dokonać inspekcji szkół, i dowiedział się, że jeden z naszych nauczycieli został aresztowany - ciągnął Omar Jussef. - Na pierwszy rzut oka sprawa była prosta, ale w jakiś sposób, czego do końca nie pojmujemy, wiąże się ona z innymi kwestiami wykraczającymi daleko poza przypadek uwięzionego nauczyciela. Niebezpiecznymi sprawami.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Chciałbym, żebyś uwolnił Szweda.

- Jak mogę to zrobić?

- Nie ma potrzeby, byś dłużej go przetrzymywał, skoro brat Bassam Odwan nie żyje.

- Źle mnie zrozumiałeś. Ja nie mam Szweda.

Omar Jussef przekrzywił głowę i nadał swoim słowom szyderczy, sarkastyczny ton:

- Chcesz powiedzieć, że to Brygady Saladyna z Gazy zabiły człowieka z ONZ-u i jednocześnie dokonały porwania?

Abu Dżamal zmiął zębami jeszcze jeden kawałek pastylki.

- Możliwe.
- Nie tak nam powiedziano.
- A jak wam powiedziano?
- Że Szwed został uprowadzony przez kogoś z Rafah.
- Przez Brygady Saladyna z Rafah?

Omar Jussef zastanawiał się przez chwilę z wysiłkiem.

- Powiedzieli po prostu, że był to ktoś z Rafah.  
- W tym mieście żyje sto sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Jestem tylko jednym z nich - oznajmił Abu Dżamal i wymienił pełen pogardy uśmiech z Attiahem, którego postać usadowiona na drugim końcu sofy ginęła w mroku.

- Brygady Saladyna wydały ulotkę z informacją, że Szwed zostanie uwolniony w zamian za wypuszczenie Bassama Odwana - powiedział Omar Jussef. - Nie mówiąc już o tym, że byłem świadkiem uprowadzenia. Porywacze nosili na głowach opaski Brygad Saladyna.

- Każdy może zrobić sobie takie opaski i każdy, kto ma komputer i faks, może podszywać się pod Brygady Saladyna. Ulotka nie wyszła od nas.

- Jeśli nie macie Szweda, to gdzie powinienem go szukać?

- Niełatwo się zorientować, komu w Rafah można zaufać, a kogo należy traktować podejrzliwie - oznajmił Abu Dżamal. - Oczywiście spodziewamy się ataku przede wszystkim ze strony Żydów; nasz święty Koran mówi, że będziemy toczyć z nimi bezustanną walkę aż do dnia Sądu Ostatecznego. Teraz jednak moich ludzi zabijają inni Palestyńczycy.

- Tacy jak Bassam Odwan.

- Tacy jak on.

- Ci inni Palestyńczycy.. czy kradną ci także twoje nowe pociski?

Twarz Abu Dżamala pozostała niewzruszona. Przykułem jego uwagę, pomyślał Omar Jussef.

- Jeśli znajdziesz Szweda - powiedział Omar - może znajdziesz też swój pocisk.

Ciemne oczy Abu Dżamala błysnęły. Omar Jussef rozważał starannie każde słowo, mówiąc powoli i z przekonaniem:

- Szwed został porwany, ponieważ kwestionował nabywanie przez oficerów służby prewencyjnej dyplomów wyższej uczelni za pieniądze. Bassam Odwan został zabity, ponieważ zastrzelił porucznika Fadięgo Salaha. Brat Fadięgo, Jasser, pracuje w służbie prewencyjnej. Odwan powiedział mi, że był sam z Fadim, kiedy samotny strzelec otworzył ogień.

- Spotkałeś się z Bassamem?

- W jego celi. Inny pracownik ONZ-u, James Cree został wysadzony w powietrze przez Brygady Saladyna z Gazy, ale stało się to na rozkaz kogoś w Rafah, kto być może chciał zabić także mnie.

Abu Dżamal skrzywił się nieznacznie na wzmiankę o Jameście Cree. Ktoś potężny wini cię za kłopotliwy atak na ONZ, przemknęło przez myśl Omarowi Jussefowi.

- Rozkaz zabicia tego człowieka wyszedł z Rafah - mówił dalej Omar Jussef. - Od Jassera Salaha.

Teraz to Abu Dżamal przemówił powoli i z namysłem:

- Dlaczego Salah chciał cię zabić?

- Odwiedziłem jego dom rodzinny w Rafah, żeby dowiedzieć się czegoś o porwaniu Szweda. Jasser Salah to ten, który łączy wszystkie te wątki. Tam właśnie znajdziemy pocisk.

Abu Dżamal zakaszłał i splunął w chusteczkę.

- Porucznik Fadi Salah przyszedł do nas z propozycją sprzedaży pocisku. Był oficerem wywiadu wojskowego. Może to oni mają pocisk.

Omar Jussef pokręcił głową i pogładził się po wąsach.

- Fadi był przestraszony i sam, kiedy spotkał się z Odwanem. Dlatego, że działał bez pozwolenia swojego szefa, generała Hussajniego.

- Dlaczego nie sprzedał pocisku generałowi?

- Sprzedałby, ale Jasser nie mógł na to pozwolić. Gdyby



jego szef, pułkownik Al-Fara, dowiedział się, że Fadi sprzedał tak strategiczną broń jego rywalowi, byłby to koniec Jassera.

- Sprzedanie pocisku Brygadam Salady na było opcją neutralną?

Omar Jussef przytaknął.

- Coś jednak poszło nie tak podczas transakcji. Nie miało to znaczenia dla Jassera, ponieważ wciąż mógł sprzedać pocisk pułkownikowi Al-Farze. Ale najpierw musiał się pozbyć brata. - Omar Jussef potarł dłonie jedna o drugą, jakby je mył. - Wiedział, że generał Hussajni będzie obarczał Odwana winą za zabójstwo Fadiego.

- Więc Jasser Salah sprzedał własnego brata. Ale dlaczego porwał Szweda?

- Jeszcze nie wiem. Może miało to związek z jego dyplomem uniwersytetu Al-Azhar. Kupił go sobie, żeby uzyskać awans. Może się bał, że zostanie zdegradowany albo ukarany za korupcję, gdyby ta historia z fałszywym dyplomem wyszła na jaw.

Abu Dżamal pokręcił głową.

- To byłoby zbyt ryzykowne dla Jassera. Zresztą oficerowie Al-Fary otrzymują awans właśnie za korupcję. Choć możesz mieć rację co do pocisku.

Nachylił się do Attiaha i coś mu szepnął. Przysadzisty mężczyzna oddalił się w głąb pokoju i zaczął mówić przyciszonym głosem do telefonu. Abu Dżamal zwrócił się do Omara Jussefa:

- Poszukamy pocisku w domu Salaha.

- Kiedy?

- Zaplanowaliśmy już jedną akcję na dzisiejszy wieczór, więc wszyscy są na stanowiskach. Niedługo będziemy gotowi.

- Pojedziemy z wami.

Abu Dżamal cmoknął i uniósł brodę. Znaczyło to: Nie.

- Zapomniałeś o Szwedzie - przypomniał Omar Jussef, nie spuszczać wzroku z Abu Dżamala.

Szef Brygad Salady na ścisnął w zamyśleniu brodę zdrową dłonią.

- W porządku. Ale będziesz się trzymał z daleka. Nie chcę, żeby winę za śmierć kolejnego człowieka z ONZ-u znów przypisano Brygadam Saladyna.

Jeśli zginę, pomyślał Omar Jussef, nie będziesz miał żadnych kłopotów. Nikt nie zada sobie nawet trudu, żeby podnieść słuchawkę telefonu i cię powiadomić.

## ROZDZIAŁ 27

Była już jedenasta wieczorem, kiedy Abu Dżamal uznał, że zebrał dostatecznie dużo sił, by bez większego ryzyka zdobyć dom Salaha. Omar Jussef przemierzał tam i z powrotem mroczne wnętrza nad sklepem papierniczym. Był przekonany, że to Jasser ma pocisk, ale nie dałby sobie ręki uciąć, że za porwaniem Wallendera stał brat Fadięgo. Jeśli się mylił w tej sprawie, to musiał dowiedzieć się o tym szybko, by móc ruszyć innym tropem.

Wydał z siebie cichy pomruk niezadowolenia. Były to bezowocne myśli - jeśli Wallendera nie było w domu Salaha, to wiedział, że nie znajdzie go w ogóle. Jego kolega pozostałby na łasce gangu, który go przetrzymywał. Ludzie z Brygad Saladyna odzyskaliby swój pocisk, skopowali go, wystrzelili ponad granicznym ogrodzeniem w kierunku Izraela i sprowadzili na mieszkańców Gazy nową wojnę. Przynajmniej ktoś będzie szczęśliwy, pomyślał. Zaciśnął dłonie trzymane za plecami w pięści.

Z głębi pokoju dobiegły pospieszne i ciężkie kroki. W mroku otaczającym sofę Omar Jussef dostrzegł zbliżający się do stolika pomarańczowy żar na czubku papierosa Samiego, który po chwili zgasł. Młody człowiek stanął obok niego, kiedy w drzwiach pojawił się Attiah Odwan. Przyciskał do mocnej, krągłej piersi lekki karabin maszynowy szwedzkiej produkcji. Przy

pasie miał osiem granatów, a kamizelkę ciężką od zapasowych magazynków do broni. Skinął na nich głową, by poszli za nim.

U podnóża schodów czekały trzy dżipy ze zgaszonymi światłami. Siedzący w środku ludzie owinęli sobie głowy kufijjami, chroniąc się przed piaskiem. Omar Jussef nigdy nie nosił tej kraciastej chusty, ale żałował teraz, że jej nie ma, nawet jeśli odznaczała się ona czymś w rodzaju wiejskiej prostoty. Nie potrafił powiedzieć, czy jest mu zimno dlatego, że miał na sobie tylko koszulę, czy dlatego, że napięcie, jakie odczuwał w mięśniach, odcięło dopływ krwi. Zakaszał i usiadł w pierwszym wozie obok Samiego. Ze schodów zbiegł pospiesznie Abu Dżamal. Włożył zieloną furazerkę i zajął miejsce na przednim fotelu. Attiah Odwan skoczył za najbliższy róg głównej ulicy i rozejrzał się, nim dał znak konwojowi, że droga jest wolna. Potem zajął miejsce na tylnym siedzeniu obok Omara Jussefa.

Przesuwając się, Omar Jussef uderzył głową o coś metalowego. Poczul ból w kontuzjowanej skroni i jęknął. Odwrócił się i spojrzał gniewnie na jednego z bojowników siedzących w przestrzeni ładunkowej dżipa; mężczyzna układał właśnie pocisk do ręcznej wyrzutni, takiej samej, jaką posłużono się tego ranka podczas ataku na dom generała Hussajniego. Bojownik umieścił pocisk obok drugiego, który trzymał między nogami. Potem postukał kłykciami o wyrzutnię, w którą uderzył głową Omar Jussef, i wzruszył ramionami. Między fałdami kufijji widać było zakłopotany wzrok.

- Uważaj - powiedział Omar Jussef. - Jeden pocisk wystarczy, żeby odstrzelić mi głowę. Nie marnuj go.

Abu Dżamal zerknął w stronę tylnej części wozu i odezwał się do bojownika z pociskami przeciwczołgowymi:

- Kiedy dojedziemy na miejsce, trzymaj się blisko mnie.

Dżipy ruszyły szybko główną ulicą. Jeśli wczesnym wieczorem była spokojna i cicha, to teraz wydawała się upiorna i wyludniona. Noce w Rafah należały do bojowników, przemytników i czasem do tajnych oddziałów izraelskich.

Sami zapalił papierosa i podał paczkę mężczyznom z tyłu, którzy nie kryli wdzięczności. Attiah Odwan odmówił.

- Co zamierzacie zrobić w domu Salaha? - spytał Omar Jussef Abu Dżamala.

Głowa i ramiona szefa Brygad Saladyna unosiły się w takt podskakiwania wozu na nierównościach drogi. Wydawał się odprężony i zrelaksowany.

- Weźmiemy odwet za brata Attiaha - odparł zwięźle.

Omar Jussef wiedział, że tej nocy zginie jeszcze więcej ludzi. Usadowiony w cichym wnętrzu dżipa zastanawiał się, czy nie myli się co do Jassera Salaha. A jeśli ścigał ten bezlitosny i uzbrojony oddział na głowę niewinnej rodziny? Poczul, że zaczyna ogarniać go panika. Przyszło mu do głowy, że być może powinien ostudzić nieco zapał bojowy tych ludzi; jeszcze raz rozważył wszystkie za i przeciw.

- Może Jasser Salah przyda się wam żywy - powiedział. - Mógłby zaprowadzić was do ukrytego pocisku.

- Ktoś z rodziny nam pokaże, gdzie jest - odparł Abu Dżamal. - Nie przypuszczam, żeby był to Jasser. To do niego nie pasuje.

- Jasser zna prawdę - odezwał się cicho Attiah.

Omar Jussef odwrócił się do krępego mężczyzny wciśniętego obok niego w tylne siedzenie wozu.

- Prawdę, Attiah?

- Rodzina Salaha domagała się śmierci mojego brata Bassama, ponieważ według nich zabił im syna - oznajmił Attiah, wpatrując się w piaszczystą ciemność za oknem. - Ich żądanie było zgodne z naszą tradycją odwetu - krew za krew. Ale to nieprawda, że Bassam był mordercą. Teraz, zgodnie z tą samą tradycją, ja dokonam zemsty. Moja zemsta jest słuszna.

Omar Jussef zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Spodziewasz się, że Salahowie stawią opór, Abu Dżamalu?

Abu Dżamal wzruszył ramionami i uniósł dłonie w lekceważącym geście.

- Ci, którzy giną dla sprawy, idą do nieba - odparł. - Ci, których zabijamy, idą do piekła.

Nie wierzę w niebo, pomyślał Omar Jussef. Spojrzał w posępną noc. Przejeżdżali właśnie przez na wpół zniszczoną część Rafah, gdzie ściany budynków poznaczone były dziurami po pociskach, a ich krawędzie porozrywane i osmalone przez pociśki czołgowe. A piekło jest tutaj, dodał w myślach.

Pierwszy dżip zwolnił i skręcił w alejkę, która prowadziła do domu rodzinnego Salahów. Po chwili zbliżył się do piaszczystego płachetka pola, gdzie niecałe dwa dni wcześniej zaparkował ONZ-owskiego chevroleta James Cree. Omar Jussef zmarszczył czoło. Miał wrażenie, że działo się to dawno temu, jakby Szkot spoczywał w grobie tak długo jak jego imiennik leżący na brytyjskim cmentarzu wojskowym. Ile lat mi przybyło? - zastanawiał się. Dzisiejszy dzień był straszny.

Drugi dżip zatrzymał się obok pierwszego, a trzeci podjechał ku wschodniej stronie domu. Bojownicy wysiedli bezgłośnie z wozów. Omar Jussef stanął sztywno na piasku, rozprostowując ramiona po niewygodnej jeździe między Samim a Attiahem.

Dom był pograżony w ciemności. Przez zasłonę wirującego pyłu Omar Jussef widział czarny brezent namiotu żałobnego, który łopotał na wietrze, i słyszał jego cichy, bezustanny rezonans. Nad murem okalającym domostwo szumiały drzewa oliwne. Zrobił kilka kroków po ścieżce i spojrzał na garaż, obok którego przechodził razem z Cree dzień wcześniej. Wlepił wzrok w ciemność. Wokół drzwi widać było niewyraźną smugę światła. Zerwał się wiatr i Omar Jussef zamrugał. Kiedy otworzył oczy, światło już zgasło. Ktoś wiedział, że się zjawili.

Bojownicy pobiegli w stronę muru. Omar Jussef ruszył za nimi. Rozpoznał w ciemności Abu Dżamala po furażerze i wymówił szeptem jego imię. Chciał mu powiedzieć o świetle w garażu. Abu Dżamal się odwrócił.

Nagle w domu wybuchł gwałtowny, ciężki terkot broni maszynowej. Jej barytonowy dźwięk harmonizował z basowym łopotem namiotu. Abu Dżamal osunął się na kolana. Uniósł

swojego kałasznikowa i oddał serię w górne okno domu. Jego ludzie ukryli się za murem otaczającym gaj oliwny, a Abu Dżamal doskoczył do nich pospiesznie, wciąż strzelając.

Omar Jussef przycupnął na środku piaszczystego płachetka, tam gdzie stał, gdy wybuchła walka. Dojrzał pomarańczowy błysk na piętrze domu, ale kiedy rozejrzał się wkoło, uświadomił sobie, że wszystko jest pogrążone w czerni. Ktoś chwycił go wpół i pociągnął ku zasłonie muru. Upadł, ale posuwał się do przodu, brnąc na czworakach po piasku. Przypadł do ziemi pod murem i nasunął na nos okulary. Odwrócił się do swego wybawcy, dysząc ciężko. Sami uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

Bojownicy zebrali się po obu stronach bramy, szykując się do szturm na dom. Z ciemności wyłonił się błysk i część muru runęła. Eksplozja uniosła w górę dwóch napastników i rzuciła ich na piasek kilka metrów od bramy. Omar Jussef odczuł wybuch jako falę gorąca w wilgotnej nocy. Jasser zaminował wejście, pomyślał. Jeden z mężczyzn na piasku krzyczał z bólu. Karabin maszynowy wystrzelił z okna na piętrze następną serię i po chwili obaj ranni bojownicy znieruchomieli. Attiah wyprostował się i strzelił w okno.

Abu Dżamal dał sygnał człowiekowi z ręczną wyrzutnią na plecach. Tamten skinął, załadował jeden z pocisków i przysunął się do bramy. Jego ramiona uniosły się wraz z głębokim oddechem. Stał na odsłoniętej przestrzeni i wypalił, celując w górną część domu. Pocisk wleciał błękitno-czerwoną smugą przez okno, z którego padały strzały. Uderzył w wewnętrzne ściany z dźwiękiem przypominającym padające drzewo i wypełnił pokój światłem.

Bojownicy unieśli głowy i patrzyli, jak blask zamienia się w skłębioną ciemność czarnego dymu. Mężczyzna z ręczną wyrzutnią obrócił się do Abu Dżamala i skinął głową podekscytowany. Nagle z innego okna dobył się dźwięk strzałów, a celowniczy wyrzutni runął na ziemię. Puścił zużytą wyrzutnię i chwycił się za brzuch. Abu Dżamal odciągnął go od linii ognia i przewrócił jęczącego bojownika na bok; ściągnął mu z pleców

drugą wyrzutnię i oparł o ścianę. Potem rozerwał rannemu T-shirt, by sprawdzić obrażenia.

Attiah wychylił się zza strzaskanego muru i odpowiedział ogniem. Dym z okna trafionego pociskiem przeciwczołgowym był teraz gęstszy i całkowicie spowijał parter. Ogień rozprze-strzenił się na inne pomieszczenia. Pośród huku broni Omar Jussef dosłyszał kobiecy krzyk. Attiah wyskoczył zza muru i nisko pochylony ruszył biegiem w stronę drzwi wejściowych domu.

Omar Jussef chwycił Samiego za ramię.

- Na tyłach jest garaż. Widziałem tam światło, zanim zaczęła się strzelanina.

Sami przytaknął. Podpełzli, kryjąc się za murem i mijając boczną ścianę domu.

- Podnieś mnie, przeskoczę do ogrodu - powiedział Omar Jussef. - Jesteś dość sprawny, żeby przejść przez mur o własnych siłach.

Mur miał wysokość ponad dwóch metrów. Omar Jussef postawił stopę na splecionych dłoniach Samiego, który go podsa-dził, i w końcu przerzucił kolano przez górną krawędź ogrodzenia, która była wyłożona tłuczonym szkłem. Poczul, jak szkło kaleczy mu dłonie i nogi. Krzycząc przez zaciśnięte zęby, przerzucił szybko ciężar ciała na drugą stronę i spadł na ziemię, waląc o nią mocno plecami. Przekręcił się na brzuch, zabierając ręce z piasku. Dźwignął się na kolana i chwycił za przód koszuli, by powstrzymać krwawienie dłoni.

- Sami, na murze jest szkło. Uważaj.

- OK.

Wydawało się, że wewnątrz domu strzela przynajmniej dwóch ludzi. Kiedy Omar Jussef krzywił się z bólu od skaleczonych dłoni, jakiś człowiek w białym T-shircie wypadł przez tylne drzwi i zbiegł po schodach. Oddał kilka strzałów w głąb domu i popędził przez ogród. Dopiero gdy znalazł się blisko Omara Jussefa, ten dostrzegł, że jest to Jasser Salah.

Drzewo oliwne rozłupało się od uderzenia pocisków i Jasser osunął się na kolano. Z tylnych drzwi wypadł Attiah Odwan,



strzelając seriami po ogrodzie. Omar Jussef rzucił się płasko na ziemię. Jasser wycelował pospiesznie i wypalił. Naciskał spust tylko przez krótki moment, ale to wystarczyło, by trafić Attiaha sześcioma pociskami. Przysadzisty mężczyzna padł na miejscu.

Omar Jussef sapnął bezwiednie.

Salah znieruchomiał. Popatrzył w stronę Omara, wlepiając wzrok w ciemność między drzewami oliwnymi. Omar Jussef leżał nieruchomo na piasku.

Usłyszał nad sobą stęknienie; Sami wspiął się na mur. Jasser uniósł broń i strzelił. Sami spadł z powrotem po drugiej stronie, nie wydając krzyku. Jasser popędził do garażu, szarpnął jego drzwi i zatrzaskał je za sobą.

- Sami? - wyszeptał Omar Jussef.
- Nic mi nie jest, Abu Ramizie. Za chwilę będę przy tobie.
- Trafił cię?
- Niezupełnie?
- Co to znaczy?
- Tylko drasnął mnie w ramię. Daj mi sekundę, dobrze?

Omar Jussef patrzył na drzwi rudery. Słyszał strzały wewnątrz domu i krzyk co najmniej dwóch kobiet. Ruszył nisko pochylony przez piaszczysty ogród. Gdzieś za jego plecami jęknął Sami, wspinając się na mur. Omar Jussef otworzył cicho drzwi garażu i wszedł do środka.

W rogu, na warsztacie, stała nieduża lampa sztormowa. Zakołysała się, gdy Jasser ją podniósł, pograżając jego sylwetkę w półcieniu, ale jej blask nie ujawnił obecności Omara Jussefa. Salah drugą ręką przyciągnął do siebie jakiegoś mężczyznę, który miał związane ręce na brzuchu, a twarz zaklejoną czarną taśmą samoprzylepną. Falujące blond włosy były suche i rozczochrane.

Omar Jussef powstrzymał się w ostatniej chwili, by nie krzyknąć do Magnusa Wallendera. Przesunął się ostrożnie w ciemności ku oświetlonemu narożnikowi pomieszczenia.

Salah odsunął od ściany grzejnik naftowy. Pod spodem znajdowała się kłapa. Jego tunel przemytniczy, pomyślał Omar Jussef. Salah podniósł właz. Otwór miał powierzchnię zaledwie

dziewięćdziesięciu centymetrów kwadratowych i był wyłożony drewnem. Salah przeciął sznur krępujący dłonie więźnia i zdarł mu taśmę z twarzy. Wallender zawył z bólu i podniósł rękę do ust. Na brodzie i twarzy miał krew. Salah oparł stopy na drabinię wewnątrz tunelu, trzymając lampę. Wyciągnął zza paska spodni pistolet i skierował broń na Wallendera.

- Idziesz za mną - nakazał.

Wallender przytaknął, przesadnie uległy. Postawił stopy na górnych szczeblach drabiny.

Omar Jussef otworzył usta, żeby zawołać Wallendera, jednak jego słowa zagłuszył straszliwy huk kolejnego pocisku przeciwczołgowego, który uderzył w garaż, rzucając Omara Jussefa na ziemię i zwalając fragment ściany.

Omar dzwignął się na kolana i podpełzł do wejścia do tunelu. Licha konstrukcja rudery zatrzeszczała od uderzenia; wiedział, że może się lada chwila zawalić. Kiedy zsunął się do otworu, drewniany dach runął. Spojrzał w dół. Na końcu szybu, ponad trzy metry niżej, blask lampy oświetlał górną część ciała Magnusa. Nogi Szweda tkwiły już w wąskim tunelu, który musiał przebiegać pod granicą. Omar Jussef nie dostrzegł śladu Salaha. Jego dłonie pozostawiały krwawe smugi na szczeblach drabiny, kiedy schodził na dół.

Usłyszał, jak nad jego głową runęła druga ściana. Drewniane podpory szybu sieknęły, a ze szczelin między deskami posypał się pył.

Omar Jussef dotarł na dół. Wallender leżał na brzuchu, czołgając się tyłem w głąb tunelu, który w przeciwieństwie do szybu nie miał drewnianych podpór i był jeszcze węższy, sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów. Omar Jussef osunął się na dłonie i kolana.

- Magnus - wyszeptał.

Szwed spojrział w mrok rozpraszany przez lampę za plecami. Wyras jego zakrwawionej twarzy zdradzał, że poznaje Omara Jussefa, który czuł, jak wraz z potem do oczu napływają mu drobinki piasku, kiedy starał się dostrzec cokolwiek za Wallenderem, ale Szwed dokładnie zasłaniał sobą widok. Ziemia

wokół nich zadrżała i ze sklepienia tunelu posypał się pył. Omar Jussef zrozumiał, że musi nakłonić ich do zawrócenia.

- Jasser - zawołał w głąb tunelu.

- Pieprzę twoją matkę - odkrzyknął Salah. - Zastrzelę cudzoziemca.

- Wychodźmy stąd, Jasser. Zaraz wszystko się zawali.

Chmury pyłu zamieniły się na całej długości podkopu w strużki ziemi przypominającej deszcz. Potem sklepienie tunelu stęknęło jak człowiek trafiony potężnym ciosem i się zawaliło. Omar Jussef zanurkował, żeby chwycić Wallendera za ramię. Pociągnął z całej siły, a Szwed podczołgał się do przodu. Omar poczuł, jak szyb wypełnia się gęstym pyłem. Próbował w tej ciemności wykrzyknąć imię Magnusa, ale był w stanie tylko kaszleć. Trzymał go za ramię i miał wrażenie, że Szwed próbuje rozpaczliwie uwolnić nogi i tułów, ale po chwili opór osłabł. Omar Jussef wcisnął się w deski szybu, Magnus zaś wydostał się z tunelu i dźwignął na kolana. Omar objął go ramieniem, chwycili się mocno jeden drugiego. Pchnął Magnusa w stronę drabiny i zaczął się za nim wspinać przez gęste od pyłu powietrze. Usłyszał nad głową uderzające o siebie kamienie.

- Nie mogę się wydostać na górę, Abu Ramizie - powiedział Wallender ze szczytu drabiny. - Wyjście jest zablokowane.

Widocznie spadający dach zakrył otwór szybu. Kaszłąc, Omar Jussef i Wallender zaczęli krzyczeć, że są zasypani. Nasłuchiwali przez chwilę głębokiej ciszy, potem znów zawołali.

Przez cały ten czas Omar Jussef czuł spokój. Znalazł Magnusa. Nawet gdyby mieli utknąć w tej pułapce na zawsze i nikt nigdy nie dowiedziałby się o ich losie, pokazał Szwedowi, jakim jest człowiekiem. Mógłbym tu pozostać, pomyślał. Pogrzebany w Gazie wraz z pradiadkiem Jamesa Cree. Zmarszczył czoło. Coś przemknęło mu przez głowę, jakiś związek między szkieletem w kostnicy doktora Nadżdżara i brytyjskim ementarzem wojskowym. Próbował ponownie przywołać te dwa obrazy, ale

jego uwagę zwróciło wołanie Magnusa, który wzywał pomocy przez zwałisko drewna i kamieni.

Szwed oddychał ciężko. Położył dłoń na ramieniu Omara Jussefa.

- Abu Ramizie, kiedy mnie przetrzymywano, czułem się bardzo samotny - wymamrotał. - Choć nadal jestem uwięziony, to przynajmniej mam u boku przyjaciela. - Potem spytał nieco mocniejszym głosem: - Powiedz mi, czy Szwecja zajęła Norwegię?

Klepnął Omara Jussefa w ramię, odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Omar Jussef dostrzegł, że jego towarzysz z taką ulgą uwolnił się od Jassera Salaha, że nawet myśl o pogrzebaniu żywcem nie popsukała mu dobrego humoru. Odkaszlnął pyłem i się uśmiechnął.

Nad ich głowami rozległ się chrobot, gdy zaczęto odsuwać gruz i drewniane szczątki. Wejście do szybu odśloniło się i w chwilę później ktoś wyciągnął Wallendera. Omar Jussef podążył za nim. Sami chwycił go pod pachy, krzywiąc się z bólu od lekkiej rany w ramieniu, po czym wyciągnął na porozbijane kamienie ściany garażu. Omar Jussef leżał bezwładny i spocyny obok Magnusa. Burza piaskowa wciąż omiatała Rafah pyłem i wilgocią, ale jemu, w porównaniu z atmosferą tunelu, wydawała się czymś świeżym i ożywczym, prawie jak górskie powietrze.

Sami nachylił się do szybu i wlepił wzrok w ciemność.

- Nikt tam już nie został? - spytał.

Omar Jussef uniósł głowę, by wymówić imię Jassera Salaha, ale zakrztusił się i zaczął kaszleć; poczuł, jak mięśnie brzucha napierają mu boleśnie na żebra.

Abu Dżamal przeszedł przez gruzowisko, trzymając przed sobą latarkę. Jego ludzie odrzucali na bok drewniane belki, kawałki blaszanego dachu i pustaków do ogrodu, grzebiąc w rumowisku. Szef bojowników spojrział na wyczerpanego Szweda. Wallender siedział w kucki zziąjany i od stóp do głów był pokryty ziemią. Zasłonił oczy przed strumieniem światła z latarki Abu Dżamala.

Omar Jussef usiadł i zwrócił się do niego:

- To jest Magnus Wallender z ONZ-u, którego porwał Jasser Salah. Jasser nie żyje, zasypało go w tunelu.

Abu Dżamal spojrział na Wallendera, jakby Omar Jussef przedstawił mu najpodlejszego kundla w Gazie. Skierował światło na Omara Jussefa, wyciągnął z kabury pistolet i wycelował w niego.

- Ty bękarcie, gdzie, do diabła, jest mój pocisk?

## ROZDZIAŁ 28

Magnus Wallender dźwignął się na nogi, a z gardła dobywał mu się świszczący oddech. Skóra wokół ust, z których Jasser zerwał taśmę, krwawiła i była oblepiona wilgotną ziemią. Gęste włosy sterczały bezładnie, a jasnoniebieskie źrenice odznaczały się wyraźnie na ubrudzonej twarzy. Rozprostował ramiona, zamrugał, by pozbyć się z oczu pyłu, i stanął przed Abu Dżamalem.

- Kimkolwiek jesteś - powiedział - odłóż tę broń.

Abu Dżamał przyjrzał mu się dokładnie, wodząc wzrokiem po całym ciele. Zerknął przez ramię na swoich ludzi, którzy porządkowali gruzowisko w nadziei odszukania pocisku.

- Wiem, kim jesteś, nawet jeśli mnie nie znasz - oświadczył.

- Masz szczęście, że nie chcę mieć żadnych kłopotów z ONZ-etem, bo w przeciwnym razie bym cię zabił.

Wallender wyciągnął rękę i wziął pistolet, po czym wsunął go do kabury Abu Dżamala, który nie protestował.

Bojownik podrapał się w głowę i kopnął ze złością kawałek pustaka. Stanął obok Wallendera i zwrócił się z pretensją do Omara Jussefa:

- Gdzie jest więc Saladyn I?

- Jasser musiał go ukryć - oznajmił Omar. Podniósł się z wolna i popatrzył na swoje krwawiące dłonie. - Muszę je zbandażować.

- Pieprzę twoje ręce. Jeśli wykrwawisz się na śmierć, ONZ nie będzie mnie mogła za to winić - oznajmił Abu Dżamal i ruszył w stronę domu.

W tylnych drzwiach ukazał się jeden z bojowników, pchając przed sobą ojca Jassera i Fadięgo Salaha. Abu Dżamal przyspieszył kroku, wyciągając pistolet. Kiedy doszedł do Zakiego Salaha, położył dłoń na ramieniu starszego człowieka, zmusił go do ukłęknięcia, szarpnął go za głowę i wsadził lufę pistoletu w usta.

- Gdzie pocisk? - wrzasnął.

Zaki pokręcił głową. Abu Dżamal powtórzył krzykliwe pytanie, potem zadał je po raz trzeci. Wyciągnął broń z ust starca, uderzył go kolbą w policzek i walnął na odlew w nos. Po białej i długiej galabiji Salaha spłynęła struga krwi.

Abu Dżamal chwycił go za brodę i zaciągnął po piachu do miejsca, w którym leżał Attiah Odwan. Przycisnął starego człowieka do ziemi obok zwalistego i muskularnego ciała zabitego. Salah spojrział na twarz martwego bojownika i wymamrotał błogosławieństwo.

- Zamknij się! - wrzasnął Abu Dżamal. - Twój bękart go zabił. Twój bękart Jasser, który nie żyje i jest pogrzebany pod ziemią i ruinami garażu.

Salah znów zaczął mamrotać, zamykając oczy i modląc się za duszę syna. Abu Dżamal kopnął starca w brzuch. Skinął na bojownika, który wcześniej wyprowadził Salaha z domu.

- Podnieś go.

Omar Jussef wkroczył do piaszczystego ogrodu i ruszył w stronę Abu Dżamala. Sami chwycił go za nadgarstek i pokręcił ostrzegawczo głową. Omar Jussef zignorował młodego człowieka.

- Ten starzec nie wie, gdzie jest pocisk - zawołał.

Abu Dżamal odwrócił się i spojrział na niego gniewnie.

- Myślisz, że taki człowiek jak Jasser zaufałyby komukolwiek? Nawet własnemu ojcu? - spytał Omar Jussef.

Abu Dżamal popatrzył na Salaha, potem znów przeniósł wzrok na Omara Jussefa.

- Jeśli nie wie gdzie jest pocisk, to jak go znajdziemy?
- Nigdy nie znajdziecie.
- Zła odpowiedź.
- To nie była odpowiedź, to było życzenie - oznajmił Omar

Jussef i wysunął gniewnym ruchem brodę ku Abu Dżamalowi. Zacisnął zakrwawione dłonie i poczuł, jak drżą.

- Jeśli ten stary człowiek nie wie, gdzie jest pocisk... - Abu Dżamal nie spuszczał wzroku z Omara Jussefa, kierując broń ku głowie Salaha... - to nie jest mi potrzebny żywy.

Pociągnął za spust i Zaki Salah runął plecami na zwłoki Attiaha Odwana.

Omar Jussef zamarł z wrażenia. Nogi starca były skrzyżowane nienaturalnie w kolanach. Rana na czole przypominała mały czarny otwór, ale z tyłu głowy wylewała się krew i wsiąkała w piasek. Omar wyciągnął rękę i chwycił zdeformowaną dłoń Abu Dżamala. Gładka skóra była zimna. Wskazał zwłoki Attiaha Odwana przygniecione ciałem starego człowieka.

- Attiah zginął przynajmniej jak dzielny człowiek - powiedział. - Ty nigdy nie dostąpisz tego zaszczytu.

Abu Dżamal zmrużył oczy i spojrzał ponad ramieniem Omara Jussefa na Magnusa Wallendera. Omar zastanawiał się, czy bojownik nie rozważa przypadkiem uprowadzenia, by wymusić na władzach jakąś rekompensatę za tę bezowocną nocną akcję. Ale zabicie Zakiego Salaha znacznie go uspokoiło.

- Tak jak Attiah, jestem gotów ponieść męczeńską śmierć - oznajmił.

Omar Jussef wyczuł w jego oddechu miętową woń pastylek na gardło.

- Jeśli taka będzie wola Allaha.

Abu Dżamal odłożył broń. Spojrzenie jego przekrwionych oczu wydawało się nieobecne.

- Czy to także życzenie?

- Padnijcie! - krzyknął nagle jeden z bojowników grzebiących w ruinach garażu.

Abu Dżamal i Omar Jussef rzucili się na piasek. Usłyszeli głuchy brzęk czegoś, co toczyło się w ich stronę. Jakiś kamień



o średnicy trzydziestu centymetrów zatrzymał się na drzewie oliwnym w odległości metra. Wydawał jednak dziwny dźwięk i odbijał się od ziemi wyjątkowo lekko. Omar Jussef naprężył się cały i czekał, co będzie dalej. Od strony garażu zbliżył się jeden z bojowników.

- Przepraszam, szefie. Wyrzuciłem gruz i cisnąłem tym kamieniem, nie wiedząc, co to takiego. To chyba zamaskowana osłona miny przydrożnej, taka z włókna szklanego. Kiedy tym rzuciłem, zdałem sobie sprawę, że jest to za lekkie jak na kamień. Bałem się, że w środku mógł być uzbrojony ładunek. Dlatego krzyknąłem. - Ukląkł przy kamieniu. - Nie jest chyba uzbrojona.

- Co tam jeszcze znaleźliście? - Abu Dżamal wskazał rumowisko.

- Killkadziesiąt kałasznikowów i mnóstwo granatów. Magazyn broni Salaha. Sporo tego.

- Podprowadźcie tam dżipy i załadujcie wszystko - rozkazał Abu Dżamal.

- Jesteś teraz zadowolony? - spytał Omar Jussef, dźwigając się z kolan.

- Mogę kontynuować swoją walkę. Aż do męczeństwa - odparł Abu Dżamal i kopnął osłonę z włókna szklanego.

Omar Jussef znów rzucił się na ziemię. Fałszywy kamień potoczył się daleko od niego. Abu Dżamal wybuchnął śmiechem, cichym i szyderyczym.

Sami odciął kawałek swojego podkoszulka i przewiązał sobie ramię, które drasnęła kula Jassera Salaha. Potem przyklęknął obok Omara Jussefa z garnkiem wody i obmył z brudu jego zakrwawione ręce.

- Zostałeś niemal pogrzebany żywcem, Abu Ramizie - zauważył.

- Tak, już myślałem, że to będzie mój grób.

Przypomniał sobie, jak w tunelu pojawił się przed jego oczami obraz szkieletu w kostnicy i brytyjskiego cmentarza wojskowego. Wydawało się, jakby owa wizja spoczywała w tej dziurze wraz z nim i Jasserem Salahem. Potarł sobie czoło.

- Nie pozostawiłbym cię tam na łaskę losu. Wykopałbym cię i zawiózł twoje ciało do Betlejem. Gaza to okropne miejsce, nawet gdyby miały w nim pozostać tylko twoje kości - oświadczył Sami i oderwał drugi kawałek podkoszulka, żeby obwiązać dłonie Omara Jussefa.

Nawet gdyby miały pozostać tylko kości. Omar Jussef pomyślał o Jasserze Salahu przysypanym w zawałonym tunelu. Choć Salah był martwy, jego broń, skierowana na innych, wciąż mogła zabijać. Nawet spoczywając w grobie, ludzie z Gazy potrafili zadawać śmierć. Przypomnił sobie szkielet na stole sekcyjnym. Kogo wskrzesiłeś z martwych, by zabijał?

## ROZDZIAŁ 29

Świt barwił na różany kolor chmurę pyłu, kiedy Sami opuszczał pospiesznie Raf ah, jadąc drogą Saladyna na północ w stronę Gazy. Wallender obmył wcześniej pod kranem poobcieraną skórę wokół ust, ale twarz miał wciąż brudną i zakrwawioną. Zapach sosnowego odświeżacza kołyszącego się na lusterku wstecznym mieszał się z wonią potu i ziemi, jaką roztaczali wokół siebie pasażerowie wozu. Omar Jussef zastanawiał się, czy kiedykolwiek zmyje z siebie brud dławiący mu oddech i zalegający w krtani.

Siedzący z tyłu Wallender gadał bezustannie o odzyskanej dopiero co wolności. Nie zamykały mu się usta od chwili, gdy odłączyli się pod sklepem papierniczym od ludzi z Brygad Saladyna, których dżipy wywiozły arsenał Jassera Salaha i ciała czterech poległych towarzyszy. Pozwolę mu się umyć i odpocząć, nim powiem mu o śmierci Jamesa, pomyślał Omar Jussef. Czy o Ejadzie Maszarawim. Może nie wyjawię nigdy całej reszty i w ten sposób sam o tym zapomnę.

Przesunął wzrokiem po polach kapusty. Wiatr się nasilił, szarpiąc i wyginając samotne skupisko drzew sykomorowych. Burza piaskowa zbierała się na swój ostatni zryw. Miał nadzieję, że może w końcu sama się zmiecie, a on wreszcie ujrzy słońce przed wyjazdem z Gazy.

Kiedy mijali Dejr al-Balah, wysokie palmy chyliły się pod

uderzeniami podmuchów wiatru. Pola kapusty falowały niczym szmaragdowa powierzchnia oceanu, sięgając przyszyżonego żywopłotu brytyjskiego cmentarza wojskowego. W tunelu miałem wrażenie, jakby całe to miejsce znajdowało się na dole, ze mną i Jasserem Salahem, pomyślał Omar. I ten stary szkielet też tam był. Zmarszczył brwi.

- Sami, zatrzymaj się przy tamtej drodze - poprosił, wskazując mały dom dozorczy cmentarza.

Tajemniczy szkielet w kostnicy został odkryty w narożniku pola niedaleko stąd, pomyślał. I przypomniał sobie sprofanowane groby, które widział, odwiedzając cmentarz z Jamesem. W głowie rozbrzmiały mu słowa, jakie usłyszał po przyjeździe do Gazy od Chamisa Zejdana: „Nie ma pojedynczej, odrębnej zbrodni w Gazie. Każda jest powiązana z wieloma innymi”.

Omar Jussef wysiadł z samochodu i ruszył truchtem w stronę furtki domu dozorczy, pochylając głowę przed naporem wiatru. Dozorca popatrzył przerażony, ujrawszy człowieka w brudnym i zakrwawionym ubraniu, z pyłem we włosach.

- Pamiętasz mnie, Sulejmanie? Byłem tu z panem Jamesem Cree z ONZ-u.

Sulejman Dżouda przytaknął, ale na jego twarzy wciąż malowało się duże zaskoczenie. Omar Jussef odkaslnął.

- To jest przyjaciel pana Cree, pan Wallender. Także z ONZ-u.

Dżouda gapił się na pokrwawioną twarz Szweda i jego brudne ubranie. Omar Jussef wyminął dozorcę.

- Jest ze Szwecji - wyjaśnił, mrugając porozumiewawczo okiem, jakby tłumaczyło to ich dziwne pojawienie się o świcie na progu dozorczy, który przytaknął z wahaniem. - Musimy obejrzeć cmentarz, to ma związek z bardzo ważnymi kwestiami bezpieczeństwa, Sulejmanie.

Omar Jussef ruszył przez podwórze, przechodząc obok taczki i narzędzi do kopania, które stały oparte o ścianę domu. Dżouda otworzył furtkę cmentarza i wszedł na jego teren. Omar Jussef wziął szpadel o długiej ręczce i podał go Samiemu.

Zignorował zdziwienie na twarzy młodego człowieka i podążył za Dżoudą ku bujnej trawie cmentarza.

Wallender chłonął ze zdumieniem schludność i porządek otoczenia.

- To w ogóle nie przypomina Gazy. Co tu robimy, Abu Ramizie?

- Okazujemy szacunek - odparł Omar Jussef i zwrócił się do Dżoudy: - Sulejmanie, pokaż nam groby, które niedawno sprofanowano. Czy nie znajdowały się przypadkiem tam, na końcu tej ścieżki?

Dżouda poprowadził ich ku narożnikowi pierwszego kwartału mogił, naprzeciwko obelisku stojącego pośrodku trawnika.

- Uszkodzono ich kilka w tym miejscu, *ustaz* - oznajmił. - Możesz mi powiedzieć, o co chodzi? Przepraszam, że pytam, wujku, ale konsulat brytyjski ma przysłać dziś kogoś, kto obejrzy naprawione przez mnie nagrobki. Wasza wizyta ma z tym jakiś związek?

- Poniękad. Wszystko będzie w porządku. Nie martw się.

- Czy to moja łopata? - spytał Dżouda, już nieco zdenerwowany i odrobinę oburzony.

- Zaufaj mi, Sulejmanie - uspokoił go Omar Jussef i zszedł ze zwirowanej ścieżki na trawę.

Dżouda umocował na swoim miejscu oderwane kawałki kamienia i uporządkował naruszoną ziemię wokół grobowców. Tenznaczony graffiti wyróżniał się spośród pozostałych. Środek czyszczący usunął slogany wandalii, ale też zdarł dziewięćdziesięcioletnią warstwę brudu pokrywającego kamień i odkrył kredowobiały pasek biegnący ukośnie przez górną część nagrobka.

Omar Jussef podszedł do mogiły i przeczytał inskrypcję: Szeregowy Eynon Price. 53 Królewski Korpus Medyczny (Walia), Punkt Sanitarny, lat 28, poległ 4.5.1917. Przeczytał ją jeszcze raz. Eynon Price, Eynon Price. Jak wymawia się pierwszą sylabę tego imienia? Aj, ej czy i? Eynon Price. Był pewien, że już słyszał gdzieś to nazwisko. Może jakiś cudzoziemiec pracujący dla ONZ-u nazywał się podobnie, nie bardzo jednak

wiedział, o kogo chodzi. I wtedy sobie przypomniał: usłyszał te słowa z ust nienawykłych do mówienia po angielsku. W celi Odwana. Kiedy to człowiek, którego los okazał się przesądzony, relacjonował bezsensowny bełkot porucznika Fadiego Salaha zastrzelonego w chwilę później. *High noon price*. Tak według Odwana powiedział Salah.

Odwan myślał, że Fadi Salah negocjuje cenę pocisku, ale przerażony oficer przekazywał w rzeczywistości, gdzie można znaleźć tę broń. Była tutaj, jej ukrycie zostało zamaskowane rzekomym sprofanowaniem grobów.

Omar Jussef poczuł przyływ siły i podniecenia. Odkrył prawdę i teraz był bliski odkrycia Saladyna I.

- Sami, zacznij kopać w tym miejscu.

Dżouda zaprotestował. Omar Jussef położył dłonie na ramionach mężczyzny i przemówił doń uspokajającym tonem:

- Sulejman, doszło do strasznego przestępstwa. Słyszałeś o kościach, które znaleziono niedaleko stąd i zabrano do kostnicy w szpitalu Asz-Szifa?

Dżouda przytaknął.

- Pisali o tym w gazetach, *ustaz* - powiedział, nie odrywając wzroku od miejsca, w którym Sami rozkopywał świeżo położoną ziemię.

- To kości, które powinny spoczywać w tym grobie.

- Więc co jest w nim teraz?

- Wszelkie zło Gazy.

- Wobec tego pozostawmy je tam. - Dżouda nie pytał, skąd się to wzięło pod ziemią.

- Nie możemy tego zrobić. Gdzie podzięją się kości żołnierza?

Sami kopał zawzięcie, zagłębiony po pierś w ziemi. Bandaż na jego rękę zaczerwienił się od krwi. Omar Jussef czuł, jak wschodzące słońce coraz silniej nagrzewa powietrze.

Pomyślał o poruczniku Fadim Salahu, dobrym studencie, a potem przyzwoitym oficerze, ale też jako o biednym człowieku mającym złego brata, który zmusił go do handlowania pociskiem z Brygadami Saladyna. Fadi nie był w stanie dokonać

brudnej transakcji Jassera i puściły mu nerwy. Kiedy zdradził Odwanowi miejsce ukrycia pocisku, jego własny brat go zastrzelił. Omar Jussef przypomniał sobie wykład profesora Adnana Makiego, którego wysłuchał podczas tamtej kolacji - wykład o obcych najeźdźcach, którzy przybywali w ciągu wieków do Gazy, nie wyłączając owych Brytyjczyków spoczywających teraz pod jego stopami. Ale to nie ludzie z zewnątrz żądali od Gazy najwyższej ceny krwi - to ludzie tacy jak Jasser Salah, który zabił własnego brata.

- Abu Ramizie...

Sami wyrzucił łopatę z dołu i dźwignął skrzynkę ze sklejki. Miała długość trumny, ale była obwiązana drutem, drewno zaś wyglądało na nowe i niezniszczone.

Wallender pomógł Samiemu wydobyć pudło na trawę. Posłali Dżoudę po nożyce do cięcia metalu. Sami uśmiechnął się do Omara Jussefa z podziwem i zaskoczeniem. Kiedy dozorca powrócił, Sami przeciął drut i odbił styliskiem szpadla przymocowane gwoździami wieko skrzyni.

Pocisk był szary i zaskakująco wąski - nie szerszy od dziecięcego tułowia. Otaczał go żółty pasek przy czubku i drugi przy lotkach na końcu. Unieruchamiały go trzy piankowe wkładki i plastikowe pojemniki balastowe.

- Sulejmanie, zadzwoń do szpitala i poproś doktora Nadżdżara, anatomopatologa. Powiedz mu, że znalazłeś miejsce pochówku kości z pola - polecił Omar Jussef. - Powiedz mu jeszcze, że zadzwonię do kostnicy i wszystko wyjaśnię, jak tylko będę mógł.

Dozorca oddalił się pośpiesznie w stronę domu. Omar Jussef nachylił się i zamknął wieko skrzyni.

- O co tu chodzi? - spytał Wallender.

- To jest Saladyń I - odparł Omar Jussef.

Przybił wieko podbiciem dłoni.

Sami podszedł do niego.

- Jak zamierzasz zniszczyć ten pocisk, Abu Ramizie?

- Zniszczyć? - Omar Jussef wybuchnął śmiechem. - O, nie.

Sprzedamy go.

## ROZDZIAŁ 30

Kiedy wiatr ustał, chmura pyłu osiadła ostatnią ziarnistą warstwą na ulicy Emila Zoli. Omar Jussef spojrzął spod przykniętych powiek na niebo. Po raz pierwszy od czterech dni spoza pyłu wyjrzał błękit. Trójkolorowa flaga Francuskiego Centrum Kultury, sąsiadującego z domem Makiego, zwisała smętnie na maszcie, jakby więdnąc w upale wczesnego poranka. Sami podjechał pod krawężnik. Stuknął pięścią o skrzynkę ze sklejki, która spoczywała na złożonym tylnym siedzeniu dżipa, i podniósł kciuk do góry. Omar Jussef skinął mu głową i nacisnął dzwonek przy furtce.

Niebieskie metalowe drzwi się uchylily i Omar Jussef wszedł do ogrodu pełnego bujnych krzewów i wysokich palm. Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, i zauważył, że po raz pierwszy od wielu dni nie wciąga w płuca piasku. Z zarośli obok fontanny wychylała głowę plastikowa łania i Omar Jussef podstawił jej pod nos zabandażowaną dłoń, pokrytą zaschniętą krwią i potem.

Służąca ze Sri Lanki oczekiwała go przy szerokich mahoniowych drzwiach. Nie zwróciła uwagi na jego brudne włosy i twarz ani na czerwone smugi na brzuchu, do którego przyciskał wcześniej dłoń, by zatamować krew. Przyszło mu do głowy, że na tym progu musieli stawać bardzo dziwni ludzie, skoro ta



drobna kobieta reagowała uprzejmym uśmiechem na tak koszmarny widok, jaki musiał sobą przedstawiać.

- Profesor Adnan jeszcze nie wstał - oznajmiła. - Ale jeśli bardzo się panu spieszy, powiadomię go, że jest pan tutaj.

- Byłbym wdzięczny. Dziękuję.

Służąca poszła po Makiego. Omar Jussef wysunął spod stołu jadalnego krzesło z giętego drewna, żeby nie pobrudzić sofy i nie dołożyć kobiecie roboty. Bolały go plecy, w głowie łupało. Pomyślał, że Magnus myje się teraz i goli w Sands Hotel, i zaczął się zastanawiać, kiedy i on wreszcie to zrobi. Potarł sobie zarost na brodzie, oprószając przy tym drobinkami piasku lśniący blat. Starł go wierzchem dłoni. Bandaż zostawił na wypolerowanej powierzchni mokrą smugę. Odetchnął głęboko i tylko pokręcił głową.

Po chwili wróciła służąca. Uśmiechnęła się i zaproponowała kawę. Omar Jussef poprosił, by podała ją bez cukru, i kobieta poszła do kuchni. Nasłuchiwał stłumionych odgłosów jej krzątania, kiedy dostrzegł Makiego, który obserwował go zza parawanu pokrytego laką, zasłaniającego hol. Profesor miał na sobie czerwony jedwabny szlafrok i kremową piżamę, też z jedwabiu. Siwawe włosy były w nieładzie. Omar Jussef spojrzał na zegarek. Była ósma trzydzieści.

- Miłego poranka, Abu Nabilu - powiedział.

- Niech ci słońce jasno świeci - odparł Maki cichym głosem.

Przyjrzał się gościowi, ziewnął i przetarł dłońmi twarz, by się ocknąć.

- Przepraszam, że zakłócam ci spokój - rzekł Omar Jussef.

Wydawało się, że Maki obudził się momentalnie. Po chwili był już hałaśliwy i pełen energii jak zwykle.

- Ależ skąd, Abu Ramizie. Zapraszam cię na śniadanie. Pożądane towarzystwo przy kolacji jest czymś rzadkim w Gazie, a przy śniadaniu to coś absolutnie nieoczekiwanego - oznajmił, łypiąc żartobliwie okiem.

Omar Jussef zaczął się zastanawiać, jakim towarzystwem cieszył się Maki podczas śniadania w swoim apartamencie

w Paryżu, z dala od konserwatywnych strażników obyczajów obowiązujących w Gazie. Nie odznaczało się ono zapewne większą klasą niż ta, którą sam w tej chwili prezentował.

- Przepraszam za swój wygląd.

- Może zechciałbyś skorzystać z łazienki? Co ci się u licha stało?

Służąca przyniosła kawę. Maki polecił, by podała rogaliki i grzanki.

- Nie jestem głodny, Abu Nabilu - uprzedził Omar Jussef.

- Nie, nie, nalegam, byśmy zjedli bez pośpiechu śniadanie, tylko my dwaj. - Maki usiadł do stołu. - Bardzo się cieszę z twojego znakomitego towarzystwa. Zebrania rady rewolucyjnej dobiegły końca. Moi co bardziej kulturalni przyjaciele spośród delegatów powrócili na Zachodni Brzeg. I znów wszystko jest w Gazie śmiertelnie spokojne. Doprawdy, śmiertelnie spokojne.

Omar Jussef wyczuł ukryte znaczenie w tym ostatnim słowie. Być może Maki widział jego notatki na odwrocie ulotki Brygad Saladyna. Było to w tej chwili bez znaczenia. Omar Jussef miał w ręku kartę atutową.

- Nie przyszedłem tu, żeby prowadzić kulturalną rozmowę - oznajmił.

Maki przechylił głowę i rozwarł dłonie.

- Mam coś do zaproponowania na wymianę - dodał Omar Jussef.

Zjawiła się służąca z talerzem pieczywa. Maki podsunął go z uśmiechem Omarowi Jussefowi.

- Czyżby chodziło o jeszcze jeden interes w sprawie uwolnienia twojego przyjaciela, profesora Maszarawiego? - spytał.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że Maszarawi nie żyje - odparł Omar Jussef.

Uśmiech zniknął z twarzy Makiego. Przyciągnął talerz z powrotem do siebie i wgrzył się w czekoladowego rogalika. Przeżuając, zmrużył wilgotne, czarne i kijankowate oczy, w których pojawiła się nieugiętość i przebiegłość. Starł z górnej wargi kilka okruchów ciasta.

- Nie wiem tego równie dobrze jak ty, ale mimo wszystko przyznaję, że wiem.

- Mam Saladyna I.

- Co masz?

- Prototypowy pocisk, który ty i Jasser Salah ukradliście Brygadam Saladyna.

- Nie wiem, o czym ty mówisz. Kto to jest Jasser Salah? - Maki opuścił brodę jak pies szykujący się do skoku.

Omar Jussef walczył ze zmęczeniem, by zachować jasność myśli.

- Jasser Salah był oficerem służby prewencyjnej w Rafah. Sprzedałeś mu dyplom, żeby mógł awansować.

- Powiedziałeś... był oficerem służby prewencyjnej?

- Nie żyje. Pogrzebany żywcem w tunelu przemycnym pod granicą egipską. Byłem zeszłej nocy w jego domu i znalazłem tam swojego szwedzkiego kolegę, którego porwano. Dzięki Bogu, w dobrym stanie.

- Szwed jest cały i zdrowy? A więc wszystko skończyło się tak, jak sobie życzyłeś. - Maki rozłożył szeroko ramiona, rozchylając przy tym górę pizamy i odsłaniając szare włosy na piersi.

- Niezupełnie. Chcę ci sprzedać pocisk.

Maki pokręcił głową, jakby głęboko zdumiony.

- Dlaczego uważasz, że chciałbym go mieć?

- Bo jeśli go nie kupisz, to dobiję targu z pułkownikiem Al-Farą.

- I co z tego?

- Będzie chciał wiedzieć, jak pocisk przeszmyglowany do Gazy przez Brygady Saladyna znalazł się w rękach ONZ-owskiego nauczyciela.

- I co mu powiesz?

- Że jego sojusznik w radzie rewolucyjnej, profesor Maki, chciał odnieść korzyść z handlu bronią. Dzięki jego machinacjom dyplom uniwersytetu Al-Azhar nadano komuś tak mało znaczącemu w Rafah jak niejaki Jasser Salah, by można go było awansować w miejscowym oddziale służby prewencyjnej.

Maki roześmiał się i klasnął w dłonie.

- Abu Ramizie, ta burza piaskowa zaćmiła ci umysł. Cała ta historia to jakaś bzdura.

Omar Jussef zignorował jego słowa.

- Dzięki swej pozycji w siłach bezpieczeństwa, chroniącej go przed konkurencyjnymi przemytnikami, Salah mógł szmuglować broń i od razu ją sprzedawać. Kiedy dowiedział się, że Brygady Saladyne zamierzają ściągnąć nowy pocisk, wykombinował sobie, że nadarza się okazja, by przechwycić prototyp i odsprzedać go bojownikom.

Maki przestał się śmiać. Szczęki miał mocno zaciśnięte.

- Salah posłużył się swoim bratem, oficerem wywiadu wojskowego, w celu przeprowadzenia transakcji, aby Brygady Saladyne winiły właśnie wywiad wojskowy za kradzież - ciągnął Omar Jussef. - Jego brat załamał się w ostatniej chwili i sprzedaż diabli wzięli, więc Salah go zabił. Przypuszczam, że zamierzał sprzedać pocisk pułkownikowi Al-Farze, ale sprawy zaczęły się komplikować.

- Nic nie wiem o pocisku.

- Owszem, wiesz. Jasser Salah miał wprawdzie dwa lewe dyplomy uniwersyteckie, ale nie był historykiem. Pocisk został ukryty w grobie na brytyjskim cmentarzu wojskowym. To było w twoim stylu, profesorze. Jesteś historykiem. - Omar Jussef obserwował uważnie Makiego. - Mam ci przypomnieć twój wykład o Brytyjczykach w pierwszej wojnie światowej, jakim mnie uraczyłeś przy kolacji?

Profesor podzielił rogalika na kawałki i poukładał jeden obok drugiego na talerzu.

- Sprzedając dyplomy ludziom ze służby prewencyjnej, takim jak Salah, zapewniłeś sobie duże poparcie w całej Gazie. Zawdzięczali ci awanse i swoją władzę. Posługiwali się nimi, by sprzedawali broń, którą Salah przesmuglował pod granicą. - Omar Jussef uniósł palec i popatrzył twardym wzrokiem na Makiego. - Ale gdyby pułkownik Al-Fara się dowiedział, że wykorzystywałeś fakt sprzedaży dyplomów dla zdobycia większych pieniędzy niż tylko drobna gotówka na boku, to by cię

zmiażdżył. Nie spodobałoby mu się, że jego ludzie są od kogośkolwiek zależni, choćby w małym stopniu.

- Al-Farze też sprzedałem dyplom - uśmiechnął się Maki. - Więc przestań się zachowywać, jakbyś miał na mnie jakiegoś nadzwyczajnego haka.

- Mam pocisk, nie zapominaj o tym - przypomniał Omar Jussef.

Maki machnął lekceważąco ręką.

- Nie rozróżniam pocisków. Dla mnie każdy wygląda tak samo. Salah się tym zajmował.

- Posunąłeś się za daleko, Abu Nabilu - oświadczył Omar Jussef. - Kiedy profesor Maszarawi wysunął oskarżenia dotyczące korupcji na uniwersytecie, poleciłeś siatce swoich ludzi w służbach bezpieczeństwa zrobić go w szpiegostwo. W końcu kazałeś porwać Szweda, wysadzić w powietrze Jamesa Cree i zabić Maszarawiego, ponieważ się zorientowałeś, że zaczynamy odkrywać prawdę.

- Nie rozkazałem wysadzić tego gościa z ONZ-u - zastrzegł Maki. - To była głupota Salaha. Tak czy inaczej, myślał, że ty będziesz siedział w wozie, a nie cudzoziemiec.

- Ale chciałeś, żebym zginął?

Maki uniósł arogancko brodę, potem jednak opuścił ją gwałtownym ruchem, jakby pod wpływem rezygnacji.

- Po twoim wyjściu znalazłem ulotkę Brygad Saladyne z tymi notatkami na temat braci Salahów na odwrocie. Zrozumiałem wtedy, że byłeś w gabinecie z moją sekretarką. Na ulotce był numer telefonu, więc poleciłem Salahowi tam zadzwonić. Kiedy odebrałeś, oddał telefon Szwedowi i kazał mówić, żeby cię przestraszyć. Nie poskutkowało, więc wydałem rozkaz, żeby cię zabić. - Wzruszył ramionami. - Ale twój przyjaciel Szkot już wtedy nie żył. Zapewniam cię, że kiedy zginął, wcale nie chciałem twojej śmierci. Ta bomba na drodze to było zdecydowanie za dużo.

Omar Jussef poczuł drgnienie ramienia w miejscu, gdzie trafił go kamień, gdy stał przy płonącym samochodzie Jamesa.

Był to tylko jeden z licznych siniaków, ale teraz wydawało się, że ból umiejscowił się głęboko w mięśniu.

- Dla mnie to byto za dużo - powiedział. - Dla ciebie to był jedynie fragment długiej i fatalnej historii Gazy.

- Nie jestem potworem, Abu Ramizie. Jestem politykiem. - Maki położył sobie dłonie na sercu i zmarszczył czoło. - Jak myślisz, jak prowadzi się politykę w Gazie? Za pomocą rozsądnej i wyważonej dyskusji między ludźmi, którzy nazywają siebie „honorowymi dżentelmenami”? Miałem nadzieję, że dostrzeżesz, iż zaangażowałeś się w coś znacznie większego niż mało istotny spór między szefem uniwersytetu a wykładowcą zatrudnionym na pół etatu. Tortury, jakim poddano Maszarawiego, powinny były ci uzmysłwić, że stawka jest znacznie wyższa. - Maki pokręcił wolno głową. - Gdybyś był bystrzejszy, twój przyjaciel z ONZ-u wciąż by żył. To nie jego wina, że nie rozumiał, jak funkcjonuje Gaza. Ale ty jesteś Palestyńczykiem. Mówiłem ci, żebyś trzymał cudzoziemców z dala od sprawy Maszarawiego. A mimo to upierałeś się przy tym swoim głupim śledztwie. Jeśli ktokolwiek zabił Szkota, to właśnie ty.

Omar Jussef poczuł, jak zadrżała mu szczęka, a dłonie zatrzęśły się z gniewu.

- Przyznałeś, że byłeś gotów posunąć się jeszcze dalej - powiedział najspokojniej, jak mógł. - Wydałeś rozkaz, by mnie zabić.

- To było mniej istotne w porównaniu z morderstwem Szkota. Czy myślisz, że ktokolwiek w ONZ-ecie zmartwiłby się twoją śmiercią? - spytał retorycznie Maki. Uśmiechnął się, najwidoczniej czerpiąc siłę z gniewu Omara Jussefa. - Ale i tak śmierć Szkota nie wywoła żadnych reperkusji. Nawet gdyby ONZ się dowiedział, że byłem zamieszany w to zabójstwo - czego nie mogą udowodnić, wierz mi - jego dyplomaci zatuszowałyby sprawę.

- Jeden z ich ludzi nie żyje.

- O tak, można by oczekiwać, że zechcą się domagać sprawiedliwości. Ale o wiele bardziej będą się troszczyć o negocjacje

pokojowe. Nie zdobędą się na to, żeby oskarżać starszego członka rady rewolucyjnej o morderstwo. - Maki zatoczył dłonią krąg, wskazując pomieszczenie, jakby jego przepych miał dowodzić, że właściciel stoi ponad prawem i sprawiedliwością. - Ci z ONZ-u przymkną na to oko, dojdą do wniosku, że był to wynik jakiejś wewnętrznej walki między bandytami, i zapłacą odszkodowanie rodzinie tego biedaka, jeśli w ogóle ją miał.

Omar Jussef przypomniał sobie z goryczą, jak szybko zespół negocyjacyjny ONZ-u zawrócił do Jerozolimy, kiedy bomba zabiła Jamesa Cree.

- Może masz rację. Pozwolą, by cały ten incydent został zatuszowany - oznajmił z rezygnacją. - Niby dlaczego tylko Palestyńczycy mają być korumpowani przez Gazę?

- Przyszedłeś tu, żeby usłyszeć, jak się przyznają do winy? Sądysz, że trzy tysiące lat śmierci i cierpienia w Gazie dobiegnie końca, bo zawieszysz mnie na policję? Udzieliłem ci lekcji z historii Gazy, kiedy byłeś u mnie na kolacji. Ale mnie nie słuchałeś. - Maki nachylił się nad stołem i pokiwał palcem na Omara Jussefa. Na kostkach dłoni miał rozmazaną czekoladę, którą zlizwał. Uśmiechnął się i cmoknął. - Jasser Salah, Ejad Maszarawi i ten twój człowiek z ONZ-u, to postacie bez znaczenia. Ci trzej ludzie ciągnęli korzyści z tutejszej przemocy i korupcji - Salah szmuglował broń, Maszarawi grał rolę obrońcy sprawiedliwości, a twój znajomy z ONZ-u dostawał wynagrodzenie wolne od podatku i żył w błogim przekonaniu, że pomaga biednym, ciemnym mieszkańcom Gazy.

- To kosztowało ich życie.

- Godzili się na takie ryzyko. Ale kiedy żyli, korzystali z tego samego systemu, który ich zabił.

Omar Jussef machnął zabandażowaną dłonią.

- Zapomnijmy, że obaj jesteście nauczycielami historii. Nie obchodzi mnie zakończenie brutalnej historii Gazy. Kiedy mnie zaprosiłeś do swojego domu na kolację, powiedziałeś, że mógłbyś mi zaproponować pewną gratyfikację w zamian za przykrycie

sprawy Maszarawiego. Wiem, co miałeś na myśli, i zgadzam się, byś kupił moje milczenie.

Maki siedział nieruchomo. Uśmiechnął się ostrożnie, potem uniósł brwi i wybuchnął śmiechem. Uderzył w stół obiema dłońmi i zaśmiał się jeszcze głośniej.

- Abu Ramizie, polubiłem cię od pierwszej chwili. - Wycełował w niego palec. - Jesteś bardzo, bardzo złym człowiekiem, mój przyjacielu. Mój drogi, kochany przyjacielu. Bardzo złym człowiekiem.

Maki zawołał do służącej, żeby przyniosła whisky, a ta zjawiła się, zanim przestał się śmiać. Umilkł tylko po to, żeby wypić trunek jednym haustem. Wyciągnął w stronę Omara Jussefa szklankę.

- Dla ciebie też, Abu Ramizie?

Omar Jussef pokręcił głową.

- Chcę dwadzieścia tysięcy dolarów - powiedział.

- Tak dużo?

- To cena, jaką za pocisk zaproponowałeś Brygadam Saladyna.

- No cóż, chyba dam radę tyle wysupłać.

- Gotówką. Natychmiast.

Maki przestał się śmiać i westchnął.

- Skąd mam wiedzieć, że pocisk jest w twoich rękach?

- Otwórz drzwi garażu. Mój pomocnik wprowadzi do środka nasz samochód i zostawi dla ciebie pocisk.

Maki zaprowadził Omara Jussefa przez kuchnię do bocznych drzwi garażu. Potem podniósł bramę i wyprowadził swojego mercedesa na skąpane w blasku słońca podwórze, żeby zrobić miejsce. Omar Jussef skinął na Samiego, który wjechał tyłem do garażu. Potem wraz z młodym człowiekiem wyjął skrzynię z tylnej części dżipa i położył na poplamionej olejem podłodze. Maki wszedł do środka i opuścił bramę, a Sami podważył wieko pojemnika.

Maki zajrzał do jego wnętrza i się uśmiechnął. Przesunął dłonią wzdłuż pocisku, wstrzymując oddech, jakby dotykał nagiej kobiety.



- Saladyn I. Zamknij skrzynię, Abu Ramizie. Przyniosę ci pieniądze.

Wróciwszy do salonu, Omar Jussef zaczął przemierzać tam i z powrotem lśniąca marmurową podłogę. Profesor wrócił z czarną skórzaną teczką. Położył ją na stole jadalnym i otworzył. W środku znajdowało się dwadzieścia paczek dolarów amerykańskich. Omar Jussef przerzucił jeden z plików.

- Nie ma potrzeby liczyć, Abu Ramizie - roześmiał się Maki.  
- Uważam, że to atrakcyjna cena i znakomity interes.

- Co zrobisz z pociskiem?

- Jestem pewien, że pułkownik Al-Fara też uzna to za znakomity interes.

- Dasz mu go?

- Dasz? Abu Ramizie, obaj jesteśmy teraz zamieszani w handel bronią, więc nie musimy się siebie kępować. Pułkownik wiedział, że Brygady zamierzają przeszmyglować prototyp. Martwił się, ponieważ zdobyliby dzięki temu potężną broń, którą mogliby grozić Izraelczykom.

- A tym samym narzędzie wymuszania pieniędzy od partii i rządu - zauważył Omar Jussef.

- Gdyby ich nie opłacać, zbombardowaliby Izrael pociskami Saladyn I, a wtedy Izraelczycy wkroczyliby do Gazy - wyjaśnił ze śmiechem Maki.

- A to by bardzo zmartwiło Al-Farę.

- Gdyby pułkownik utracił kontrolę nad służbami bezpieczeństwa w Gazie, oznaczałoby to niebawem jego koniec, - Maki uderzył pięścią o dłoń. - Zamierzałem wcześniej tak wszystko zorganizować, żeby to Jasser Salah dokonał transakcji, a ja pozostałbym w cieniu. Ale równie dobrze mogę wykorzystać znajomość z Al-Farą, żeby dobić targu. Jak tylko wyjdiesz, zadzwonię do niego i powiem, że pewien pośrednik proponuje mu sprzedaż Saladyna I.

- Z małą prowizją dla ciebie.

Maki skłonił się z uśmiechem.

- Nie będzie miał nic przeciwko drobnej premii, honorarium za konsultację, jeśli wolisz. Pułkownik wyrazi zadowolenie

z wyników swej tygodniowej pracy. Najpierw ginie człowiek z wywiadu wojskowego i wina za to spada na Brygady Saladyna. W rezultacie bojownik Brygad, ten Bassam Odwan, zostaje zamordowany przez wywiad wojskowy, a w odwecie Brygady dokonują egzekucji generała Hussajniego, największego rywala pułkownika Al-Fary. A teraz pułkownik ma możliwość nabycia pocisku, o który wszyscy się biją. To niezwykle korzystny dla niego obrót wypadków, nie sądzisz?

Omar Jussef wziął walizeczkę i ruszył do wyjścia. Był już w ogrodzie i trzymał dłoń na pysku łani, kiedy Maki zawołał do niego z progu.

- Jak się czujesz, trzymając w ręku tyle pieniędzy, Abu Ramizie?

Omar Jussef wzruszył ramionami.

- Nie czujesz się trochę brudny, a nawet podekscytowany? Przywykłeś do noszenia dużej gotówki z nielegalnych transakcji? - dopytywał się Maki.

- Nie. Ale jestem przyzwyczajony do noszenia książek szkolnych. - Omar Jussef podniósł walizeczkę i ją poklepał. - A to jest właśnie podręcznik historii Gazy.

## ROZDZIAŁ 31

Omar Jussef pokonał z wysiłkiem ścieżkę, brnąc po piasku, który przesypywał się w pantoflach, i oparł dłoń o mur z graffiti przedstawiającym Kopułę na Skale spowitą czarnym drutem kolczastym. Uśmiechnął się. Nawet gdyby drut był prawdziwy, nie mógłby go skaleczyć głębiej niż szkło na murze wokół domu Salaha. Być może śmierć rzeczywiście tropiła go w całej Gazie, tak jak sobie wyobrażał, ale tylko po to, by przypomnieć mu, że nie jest wieczny, i mobilizować go do skuteczniejszego działania. Tak czy inaczej, nie dopadła go. Poprawił bandaż, pchnął furtkę i ruszył powoli między oliwnymi i cytrynowymi drzewami w stronę domu Maszarawiego. Przy każdym kroku teczka obijała mu się o kolana.

Piaszczyste podwórze przed drzwiami domu ocienione było przez czarne brezentowe zadaszenie, pod którym rodzina przyjmowała żałobników. Właśnie tam, na plastikowym ogrodowym krześle, siedział Nadzi z termosem gorzkiej czarnej kawy i małymi plastikowymi kubkami, gotów witać gości. Chłopiec nie zauważył Omara Jussefa. Siedział sam, bawiąc się swoim uchem, które charakterystycznym kształtem potwierdzało, że chłopiec jest nieodrodnym synem swego ojca, synem człowieka zabitego jako kolaborant. Patrzył na płataninę cieni pod drzewami oliwnymi. Ciepłe powietrze niesło ze sobą stłumione gruchanie gołębi. Omar Jussef wszedł cicho do domu.

W salonie na końcu holu znalazł Salwę Maszarawi i Umm Rateb. Obie kobiety siedziały, trzymając się za ręce. Umm Rateb wpatrywała się w palce przyjaciółki z rozpaczą rodzica opiekującego się chorym dzieckiem. Salwa zaś przyglądała się zdjęciom męża na półce z książkami. Podniosła drugą rękę i przyłożyła sobie do oczu małą, koronkową chusteczkę. Omar Jussef najchętniej zostawiłby je w spokoju, ale musiał porozmawiać z Salwą. Wszedł do środka.

- Miłego poranka, Abu Ramizie - przywitała go Salwa. Głos miała senny i powolny. Wydawało się, że nie dostrzega brudnego ubrania Omara Jussefa i jego zabandażowanych dłoni.

- Niech ci słońce jasno świeci, moja córko - odparł Omar Jussef. - Niech Allah zmiłuje się nad twoim zmarłym mężem.

- Dziękuję, Abu Ramizie. Witaj, witaj - powiedziała.

Umm Rateb podniosła się z miejsca. Uniosła ręce, jakby trzymała w nich zabandażowane dłonie Omara Jussefa, i spojrziała na niego z troską. Pokręcił głową.

- Musisz się napić kawy, Abu Ramizie - zauważyła. - Nie widziałeś Nadzieje w namiecie żałobnym?

- Oplakuje swojego ojca, Umm Rateb. Nie jest kelnerem. Niech sobie siedzi w spokoju.

- Sama przygotuję ci kawę, *ustaz*. Posiedź z Salwą - zaproponowała i poszła do kuchni.

Omar Jussef usiadł na sofie. Bolały go uda i jęknął, zginając nogi.

- Przykro mi, że nie mogłem uczestniczyć dziś rano w pogrzebie - powiedział. - Znalazłem swojego uprowadzonego przyjaciela, Szweda, i udało mi się go uwolnić. Właśnie przywieźliśmy go z Rafah.

- Allahowi niech będą dzięki.

- Chcę, żebyś wiedziała, że robiłem wszystko, by zapobiec temu, co spotkało twego męża.

- Wiem, Abu Ramizie. - Salwa otarła chusteczką łzę pod okiem. - W Gazie człowiek taki jak Ejad może albo mówić to, co myśli, i zapłacić za to straszliwą cenę, albo zignorować to, co

złe na świecie, a wtedy jego życie nie jest wiele lepsze od śmierci. Ejad wybrał swoją drogę. Za to go kochałam.

- Masz rację, moja córko.

Omar Jussef podniósł z podłogi walizeczkę i położył ją na kolanach Salwy. Spojrzała na niego, a on skinął głową, by ją odemknęła. Otworzyła zatraski i westchnęła z wrażenia.

- Abu Ramizie, coś ty zrobił?

- Mam nadzieję, że pomoże ci to przetrwać trudny okres.

- Skąd te pieniądze?

- To mniej więcej tyle, ile powinien wypłacić uniwersytet w ramach ubezpieczenia na życie. Oczywiście nasz szwedzki przyjaciel skontaktuje się z tobą w sprawie ONZ-owskiej renty.

Salwa otarła jeszcze jedną Izę, która zebrała jej się w kąciku oka. Otworzyła usta, żeby zadać następne pytanie, ale Omar cmoknął wymownie. Powróciła spojrzeniem do fotografii męża.

- Dziękuję, Abu Ramizie - powiedziała i zamknęła walizkę, którą wsunęła za sofę.

Umm Rateb przyniosła małą filiżankę kawy.

- Niech Bóg pobłogosławi twoje ręce - podziękował jej Omar Jussef.

- I niech ciebie błogosławi - odparła kobieta.

Omar wychwyił zapach różanego mydła i znów poczuł wyrzuty sumienia, że ta kobieta go pociąga. I to w domu, gdzie panuje żałoba, pomyślał, kręcąc głową. Ale natychmiast sobie wybaczył. Nie miał powodu, by wątpić w to, że jest dobrym człowiekiem, mimo pragnienia, nad którym nie mógł zapanować.

Umm Rateb usiadła na fotelu naprzeciwko niego, wydymając policzki. Odchrząknęła.

- Abu Ramizie, mam nadzieję, że nie jest za późno, ale.. pamiętasz tę ulotkę, którą zostawiłeś w gabinecie profesora Makiego?

- Wiem, co się z nią stało.

- Naprawdę? Znalazłam ją na podłodze za jego biurkiem. Był na niej odcisk buta. Pewnie nadepnął na nią nieświadomie.

- Z pewnością ją znalazł, Umm Rateb.  
- Przykro mi. Próbowałam złapać cię w hotelu i powiedzieć ci, że ją odzyskałam, ale akurat ciebie nie było. - Grymas troski zniknął po chwili z jej twarzy i kobieta uśmiechnęła się znacząco. - Pani, która odebrała telefon w recepcji, roześmiała się i odparła, że udałeś się „w jakiejś misji”.

Mejsun. Agent O. Omar Jussef poczuł, jak się rumieni, i odchrząknął zakłopotany.

- Zastanawiam się, o co jej mogło chodzić. - Jego filiżanka zadrżała na spodku.

Pożegnał się z kobietami i wyszedł na zacienione podwórze pod zadaszeniem. Usiadł na plastikowym krześle obok samotnego syna Ejada Maszarawiego.

Chłopiec ledwie podniósł wzrok. Sięgnął do zabandażowanej dłoni Omara i położył na niej chude palce. Ramionami Nadziego wstrząsnął płacz. Szlochanie dobywające się z jego krtani wtórowało gruchaniu gołębi, które siedziały na górze w swojej klatce. Oparł głowę o pierś Omara Jussefa, a nauczyciel głaskał ciemne włosy chłopca koniuszkami palców zdrowej dłoni. Siedział nieruchomo i cierpliwie przez godzinę, aż chłopiec wypłakał wszystkie łzy.

## ROZDZIAŁ 32

Sami zatrzymał dżipa pod hotelem, żeby zabrać Magnusa Wallendera i Chamisa Zejdana. Szwed milczał i był poważny - Omar Jussef poprosił szefa policji z Betlejem, żeby zapoznał jego przyjaciela ze szczegółami śmierci Jamesa Cree, sam zaś udał się do domu Salwy. Chamis jednak wydawał się niezwykle podniecony, podając Omarowi świeżą koszulę.

- Profesor Adnan Maki nie żyje - oznajmił.

Omar aż podskoczył na swoim siedzeniu i otworzył usta ze zdumienia. Chamis Zejdan uderzył zdrową dłońią o protezę.

- Dziś wieczorem ma się odbyć nadzwyczajne posiedzenie rady rewolucyjnej w celu omówienia sytuacji. W końcu to już drugi członek rady zamordowany w ciągu dwóch dni.

- Jak się to stało? - Omar Jussef ściągnął z siebie niezgrabnie zakrwawioną koszulę i włożył czystą.

- Oficjalne wyjaśnienie ukaze się dopiero po zebraniu rady, oczywiście.

- Oczywiście. - Omar uniósł wymownie brodę.

- Maki powiedział pułkownikowi Al-Farze, że może ułatwić mu zakup pocisku prototypowego, tego który nazywają Saladynem I. Al-Fara wręczył Makiemu gotówkę, a ten przekazał pocisk. Ale to nie był żaden prototyp, tylko stary pocisk Qassam. Są ich setki w Gazie i pułkownik od razu się zorientował. Sam ma ich cały arsenał.

- Maki nie mógł się z tego jakoś wytłumaczyć?
- Może i mógł, ale Al-Fara dostał telefon od Abu Dżamala z Rafah. Ten powiedział pułkownikowi o Jasserze Salahu i kradzieży nowego pocisku. - Chamis Zejdan klepnął się z ukontentowania w udo. - Abu Dżamal oskarżył pułkownika o kradzież pocisku, ponieważ Jasser Salah był w końcu jego oficerem. Wydaje się, że Abu Dżamal winił Jassera Salaha - a tym samym pułkownika - o śmierć kilku swoich ludzi podczas tej strzelaniny, kiedy uwalniałeś Magnusa.

Po odwiezieniu Wallendera do hotelu, Omar Jussef zrelacjonował przyjacielowi nocne wypadki, ale tylko dotyczące uwolnienia Szweda. Poprosił Wallendera, by nic nie mówił o odkryciu na cmentarzu brytyjskim, a o sprzedaży pocisku Makiemu wiedział tylko Sami.

- A więc oznaczało to wojnę na całego między Abu Dżamalem i Al-Farą - powiedział. - Albo zrzucenie winy na kogoś innego.

- Zgadza się. Pułkownik przypomniał sobie, że Salah otrzymał niedawno awans po zrobieniu dyplomu z prawa. Wiedział doskonale o tym, że Maki handlował dyplomami, zresztą Al-Fara też chyba kupił sobie jeden. To pozwoliło mu powiązać Makiego z Salahem. Wiedział, że został wystawiony do wiatru, ale też i to, że znalazł kozła ofiarnego.

- Zabił Makiego? - spytał Omar.

Chamis Zejdan przytaknął.

- Makiego znaleziono niespełna pół godziny temu w jego ogrodzie, leżał obok fontanny. Został zastrzelony w sposób mozambijski.

- Co to takiego?

- Kula z lewej i prawej strony piersi oraz w czole. To wysoce profesjonalna technika zabijania. Szkoleniowcy z CIA nauczyli jej agentów Al-Fary. Nikt inny nie stosuje tej techniki w Gazie. Będzie to wyraźny sygnał dla Abu Dżamala, że Al-Fara zlecił zabójstwo, żeby zrekompensować kradzież pocisku.

- Czy tak właśnie zdecyduje rada rewolucyjna?



- Posłuchaj, Al-Fara zabił Makiego. Może miał też coś wspólnego ze śmiercią generała Hussajniego. Gdybyś zasiadał w radzie, wskazałbyś na niego palcem? - Chamis Zejdan prychnął pogardliwie. - Zrzucimy winę na jedną z grup fundamentalistów i wszyscy będziemy wyjątkowo mili dla pułkownika.

Ruszyli drogą Saladyna na południe w kierunku Dejr al-Balah. Sami zaparkował samochód w cieniu wysokiej palmy pod domem dozorca brytyjskiego cmentarza wojskowego. Przy ogrodzeniu zobaczyli ambulans, a obok furtki doktora Naddżara wydającego głośno polecenia sanitariuszom. Lekarz przywitał Omara Jussefa, całując go tradycyjnie pięć razy w policzki, i zaprowadził na cmentarz.

Omar spojrział w niebo. Wraz z upływem poranka burza piaskowa ustała całkowicie. Wydawało mu się, że promienie słońca przenikają jego rzadkie włosy i sięgają aż do mózgu. Było samo południe, *high noon*, jak mówią Anglicy - słowa, nad którymi zastanawiał się w swojej celi Bassam Odwan.

Grób szeregowca Eynona Price'a miał postać równego prostokątnego zagłębienia w ziemi, gotowego ponownie przyjąć szczątki żołnierza. Omar zobaczył przy najdalszym kwartale mogił Sulejmana Dżoudę, który wyrzucił łopatę na trawę i wydobywał się teraz ze świeżo wykopanego grobu. Pocąc się z wysiłku, podszedł do Omara.

- Kiedy brałem tę robotę, cmentarz miał osiemdziesiąt lat. Nie spodziewałem się, że będę jeszcze kopał jakiegokolwiek groby - powiedział, ocierając czoło rękawem koszuli.

- Wydaje się, że dobrze się spisałeś - zauważył Omar Jussef. - Można by pomyśleć, że kopałeś groby całe życie.

- Jestem z Gazy, *ustaz*. Mam to we krwi - odparł Dżouda. - Tak czy owak, wykopałem go chyba w odpowiednim miejscu.

Omar Jussef podszedł do nowego grobu. Znajdował się w jednej linii z pierwszym nagrobkiem: szeregowiec James Cree. 4 Batalion Strzelców Królewskich z Edynburga. Lat 21. Zmarł 5.11.1917.

- Tak, Sulejmanie, wykopałeś go w odpowiednim miejscu. Dobra robota.

- Niedługo przyjedzie pewien dżentelmen z konsulatu brytyjskiego, żeby uczestniczyć w ponownym pochówku szeregowca Eynona Price'a - wyjaśnił Dżouda. - Powiedział, że nie ma potrzeby opóźniać drugiego pogrzebu, ponieważ pan Cree nie był członkiem żadnej brytyjskiej organizacji. Dodał, że ma się tym zająć pan Wallender jako przedstawiciel ONZ-u.

Sanitariusze przynieśli z podwórza dozorca dwie trumny. Pierwsza była prostą skrzynią z surowego drewna sosnowego. Doktor Nadżdżar polecił złożyć ją obok grobu Eynona Price'a i poczekać, aż przybędzie urzędnik brytyjskiego konsulatu. Drużga miała postać długiej skrzyni ze sklejki i tę zanieiono do mogiły Jamesa Cree.

- Dziwny materiał jak na trumnę - zauważył cicho Chamis Zejdan.

Sulejman Dżouda wskoczył do grobu i pomógł sanitariuszom opuścić trumnę do dołu. Potem wydostał się z niego i stanął, czekając, aż Magnus przemówi.

Szwed nie patrzył na trumnę. Spojrzał w niebo, wsunął palec pod szkła okularów, by otrzeć łzę z oka, i odczytał krótki tekst z małego modlitewnika, który po chwili zamknął.

- Wydarzenia, w których ja i James uczestniczyliśmy w tym tygodniu, nauczyły mnie, że ludzie z Zachodu, tacy jak ja, mają bardzo uproszczoną wizję tego, co jest dobre i złe na Bliskim Wschodzie. Wierzymy, że dobro musi zatriumfować nad złem, ale sami popieramy niegodziwych ludzi, kiedy jest to korzystne z politycznego punktu widzenia. James nigdy tego nie akceptował, ponieważ żywił głęboką troskę o tę ziemię i jej lud. Dlatego zawsze będę go wspominał, spoczywającego tutaj, w tym grobie w Gazie.

Dżouda zaczął zrzucać ziemię na skrzynię ze sklejki, a doktor Nadżdżar uścisnęła dłoń Wallendera.

- Niech Bóg będzie miłosierny dla zmarłego - powiedział.

- Dziękuję, doktorze - odparł Magnus. - Dziękuję, że zajął się pan jego ciałem.

Doktor odchrząknął.

- To nic wielkiego. Prosiłbym teraz, żeby podpisał pan kilka

dokumentów. Takie są procedury, a pan jest przedstawicielem ONZ-u.

- Oczywiście. - Wallender wziął do ręki papiery. Po chwili zmarszczył zdziwiony czoło. - Ale to są dokumenty dotyczące przewozu zwłok.

- Zgadza się.

- Ale przecież chowamy go tutaj. - Wallender przerzucił kartkę i spojrzął na drugą stronę. - To dokumenty, które mają być okazane władzom izraelskim. Zezwalające na wywiezienie trumny z Gazy przez punkt kontrolny.

Omar Jussef ujął Wallendera za ramię.

- Doktorze Nadżdżar, proszę przygotować drugą trumnę do pochówku, a Magnus przejrzy te papiery.

Doktor ruszył z uśmiechem przez trawnik.

- Abu Ramizie, co się dzieje? - spytał Magnus.

- Ciało Jamesa zostanie przewiezione do Izraela, a stamtąd przetransportowane samolotem do Szkocji. Wszystko zostało przygotowane przez ludzi z ONZ-u w Jerozolimie. Musisz tylko podpisać zezwolenie w tej sprawie.

- Nie rozumiem.

- Ciało Jamesa wciąż spoczywa w kostnicy.

- To kto leży w tym grobie?

- Nie kto, tylko co.

- Nic z tego nie pojmuję, Abu Ramizie.

- Właśnie pochowaliśmy coś, o co ludzie byli gotowi się zabijać. Pochowaliśmy to w miejscu, gdzie będzie leżeć przez sto lat, a może przez wieki. W każdym razie dostatecznie długo, by stało się bezużyteczne.

Wallender wpatrywał się w grób, aż w końcu zaczął wszystko rozumieć.

- Nowy pocisk?

Omar Jussef przytaknął.

- Podmieniłem go na stary pocisk Qassam, który Maki próbował sprzedać pułkownikowi.

- Skąd wytrzasnąłeś ten stary, żeby dokonać podmiany? - spytał Wallender.

Omar Jussef postukał się palcem w nos i pomyślał o dwóch ludziach z Brygad Saladyna na terenie Gazy: o Walidzie i Chalidzie, którzy przekazali jeden pocisk ze swojego arsenału i teraz mogli uważać się za rozgrzeszonych przez ONZ za swój zbrodniczy atak na samochód Jamesa Cree. Saladyn I nigdy nie opuścił cmentarza,

- Chodźmy, pochowamy tego biednego żołnierza - powiedział.

Sulejman Dżouda usypał łopatą niewielki wzgórek ziemi na nowym grobie i umieścił na nim prowizoryczny krzyż z nazwiskiem Jamesa Cree.

Na teren cmentarza wszedł jakiś wysoki, puciołowaty i rumiany mężczyzna w letnim garniturze koloru khaki. Pomachał radośnie i ruszył w stronę grobu szeregowca Eynona Price'a. Był to pracownik konsulatu brytyjskiego w Jerozolimie. Otarł chusteczką pot z karku i twarzy.

- Cholernie dziś gorąco - oznajmił. - Z drugiej strony omięła mnie burza piaskowa. Dzięki Bogu choć i za to, co?

Wyjął z kieszeni kilka zadrukowanych kartek i zaczął odczytywać tekst ceremonii pogrzebowej, podczas gdy pozostali zebraли się wokół grobu z pochylonymi głowami.

Niebo było ciemnoniebieskie. Omar Jussef przypomniał sobie opowieść Nadii o łzach Atuma. Jeśli egipskie bóstwo płakało, a jego łzy stały się ludzkimi istotami, to mimo wszystko nie był bogiem, w którego Omar Jussef mógłby uwierzyć. Jego bóg płakał ziarenkami piasku, burzą piasku, która przesłaniała mu wzrok i dławiała go do chwili, aż sam został zmuszony do zaprzestania płaczu. Kiedy dozorca zaczął przysypywać ziemią grób żołnierza, Omar Jussef popatrzył w błękitne niebo i się uśmiechnął. Oczy boga obeschły wreszcie po wielu dniach smutku.